Stefan Żeromski

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie trzecie. 1923.
BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożyzna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
DUMA O HETMANIE. Wydanie piąte. 1923.
DZIEJE GRZECHU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.
INTER ARMA. Warszawa 1920.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
MOGIŁA. Warszawa 1923.
OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków. 1912.
ORGANIZACJA INTELIGENCJI ZAWODOWEJ. Warszawa. 1919.
POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków. 1919.
POMYŁKI. Warszawa. 1923.
PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII i z początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925.
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie trzecie. 1923.
PROJEKT AKADEMJI LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925.
PROMIEŃ. Powieść. Wydanie IV. 1923.
PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
ROZDZIOBIĄ NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
RÓŻA. Dramat niescenieczny. Wydanie czwarte. 1923.
SEN O SZPADZIE. KRAKÓW. 1914.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa. 1923.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie nowe. 1920.
SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa 1923.
SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.
SYZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie szóste. 1924.
TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa 1923.
UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA... Komedja. Wydanie II. Warszawa 1925.
URODA ŻYCIA. Powieść w 2-ch tomach. Wydanie III. 1925.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.
WALKA Z SZATANEM I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM III. CHARITAS. Powieść. 1921.
WCZORAJ I DZIŚ. Serja Pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktór Piotr — Siłaczka. — Kara). 1925.
WCZORAJ I DZIŚ. Serja Druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczu). 1925.
WIATR OD MORZA. Wydanie drugie. Warszawa. 1922
WIERNA RZEKA. Klechda domowa Wydanie IV. 1925.
WISŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
WSZYSTKO I NIC. Wydanie drugie. Warszawa. 1923.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM PIERWSZY
WYDANIE SZÓSTE

WARSZAWA — MCMXXV — KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłómaczeń i przeróbek zastrzeżone
Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundret twenty five

3244 ❋

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

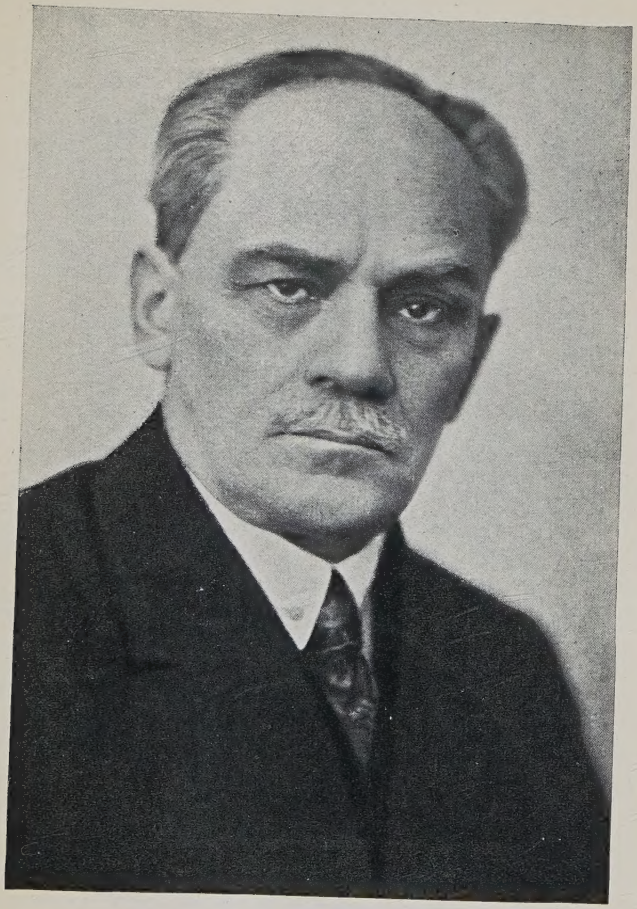

Stefan Zwoński

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/popioly0000stef_x8m9

Żonie swej ofiaruje ten utwór

Autor.

W GÓRACH.

Ogary poszły w las.

Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnem. Zdawało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi w boru, nie wiedzieć gdzie, to jakby od strony Samsonowskich lasów, od Klonowej, od Bukowej, od Strawczanej, to znowu jakby od Jeleniowskiej góry... Gdy powiew wiatru nacichał, wynurzała się cisza bezdenna i nieobjęta na podobieństwo błękitu nieba z pomiędzy obłoków, i wówczas nie słychać było nic a nic.

Naokół stały jodły ze spłaszczonymi szczytami, jakoby wieże strzeliste, niewyprowadzone do samego krzyża. Ich pnie sinawe jaśniały w mroku. Mchy stare zwisały z olbrzymich gałęzi. Wrósłszy między głazy, w niezmierną ławicę skalisk aż do gruntowej posady serdecznym korzeniem, wszczepiając pazury pobocznych skrętów w każdy zuchelek ziemi i wysysając każdą kroplę wilgoci, wielkie jedle chwiały królewskie swe szczyty w przeciągu nie jednego już wieku pomiędzy mgłami Łysicy. Tu i owdzie stała samotnica, której

gałęzie uschły i sterczały, jak szczeble, obcięte toporem. Sam tylko jej wierzchołek jasnozielony, z szyszkami w górę wzniesionemi, niby gniazdo bocianie, bujał nad przestworem. Gałęzie świerków, na których leżała ciężka pościel śniegowa, zwieszona ku ziemi, powyginały się w pałąk. Te wyciągnięte zewsząd, zbliska i zdaleka, kosmate łapy w białych oponach, wyłożone jak gdyby perłową macicą, zdawały się czaić i czyhać. Radosna zieloność najmłodszych, końcowych igieł jaśniała, niby wysunięte pazury. Co chwila, ulegając własnemu ciężarowi, czułe na każde westchnienie wiatru, sypały się puchy śniegowych owałów i ginęły w podścielisku na ziemi tak bez śladu, jak krople deszczu w toni jeziora. Ze szczytów ziatywał pyłek ledwie dostrzegalny, tak lekki, że stał długo w powietrzu, migocząc swymi kryształy, nim spłynął ku ziemi,

Około południa łagodna odwilż poczęła rozgrzewać śniegi. Wskroś bladoniebieskiego przestworu płynęły białe obłoki, przeniknięte od blasku słońca. Na najwyższych, krzyżowych spławach świerków stopniały lód zamieniał się na olbrzymie krople, które w ciemnej zieleni sopel, zwisając ze zdrewniałego mchu, z kory popękanej i chropawej, miotały snopy zimnych iskier. Niżej, pod śniadym cieniem gałęzi, był dawniejszy, ranny chłód. Niektóre młode *rsioki,* w sobie czerwonobrunatne, a żółtawe u szczytu, zgięte pod nadmiernym ciężarem śniegu trzymały wysokie głowy u samej ziemi, nie mogąc oderwać od niej przemarzłych gałęzi. Gdzie indziej sterczały wykroty pniów, wysiepanych z ziemi przez srogie świętokrzyskie wichry, tworząc pod zaspami strachem zionące pieczary.

Rafał, plecami oparty o pień grubego buka, stał bez ruchu i nasłuchiwał.

Nad sobą i przed oczyma miał tęgie, powykręcane, obmarzłe gałęzie o barwie łuski okonia. Cienkie, stalowe rózgi były nieruchome, a wielki śniat ze skrętami i kłębami, jak wyprężone mięśnie człowieka, zdał się być duchem mrozu. Olbrzymi buk stał samotny, twardy i zimny, jakby nie należał do drzew. Król na Łysicy! Nie drżą przed wiatrem jego gałęzie, pień się nie chyla. Rozłożysty, nad lasy wyniesiony wierzchołek, patrzy się z władczego cypliska w szerokie niziny na północ i na południe, ogląda się po górach jednoramiennych. Pustki wszędy, niwki, wsie... Daleko, za ostatniem wzgórzem łańcucha, za Stróżną, ciągną się wpoprzek role, aż do Krajna, aż na szczyt góry Kamienia. Odwieczny buk pamięta za wiosen swej młodości bór nierozdarty w nizinie Wilkowa, Ciekot, Brzezinek, po górach aż ku Kielcom. Zginęły za jego żywota pod siekierą dąbrowy, oschły między działkami chłopskiej nowiny mokre, zakisłe, nieprzebyte gozdy, z których się wieczne wody sączyły. Tam gdzie kosmaty rsiok wiekami rósł i gnił — wiatr po badylach świszcze. Polanki ról wżarły się w samą knieję, liszajem pełzną w strzępy jej płaszcza, z roku na rok wdzierają się wyżej aż ponad szczyty zawalone głazami Psar, Radostowej... Wysycha u stóp górskich niecicc, drzew żywicielka, zostaje grunt czerwony i szczerzy się kamieniami pod słońcem. Tylko jałowiec osłania jego nagość i rany. Już coraz rzadziej niedźwiedź ociera się kudłatem ciałem o pień starego buka; coraz rzadziej przychodzi śnić w cieniu jego gałęzi wielkorogi jeleń

— i wilk-kobylarz nie tak często czatuje tutaj na dropiate jagniątka łani. Już nie świszczą ponad konarami skrzydła orłowe, i sęp tylko kiedy niekiedy przylata popatrzeć z wierzchołka w zgrozie i gniewie na zniweczoną dziedzinę.

Wbrew srogim myśliwskim zasadom, Rafał zeszedł był ze stanowiska i chyłkiem dotarł do szczytu góry. Przez chwilę stał tam u wejścia na gołóborze i, przejęty głuchą trwogą, patrzał w to miejsce, gdzie wiedźmy, strzygi, błędnice zlatują się o północku, i gdzie się ukazuje sam Zły. Gładkie boki olbrzymich złomów kwarcytu iskrzyły się w słońcu ziarnistem szkliwem, jakby sam mróz. Obmarzłe kije, sterczące z pod śniegu, były podobne do broni, wykutej z kryształu. Stare jodły rzucały cień na połowę urwiska.

Wróciwszy na swe miejsce, młody myśliwiec wytężył słuch... Gdy go do ostatniej granicy na zwiady posłał, łudziło mu się, że i las z nim razem słucha. Cisza była wciąż ta sama, głęboka, głęboka, zaiste niezgruntowana...

Ale oto z krańców leśnych wypłynął gnuśny powiew, ze snu twardego obudzony szept, tchnienie rzewne, przeciągłe długo wstrzymywanego oddechu puszcz łysogórskich. Szczyty drzew pochylały się przed nim jakby we czci, gdy płynął w bory ów śpiew niewysłowiony. Brzmienie jego, ledwo wydobyte z nicości, jak płaczem cichym zdradzone wyznanie wzruszeń przedwiecznych, jako jęk bez nadziei, szło z samotni leśnych po wtóre, po trzecie i, sącząc się cichemi odcieniami dźwięków, nicestwiało w otchłani. Zdało się, że ten śpiew zaklęty, mieszkający w drzewach, coś wypomina,

że woła... W jasnem powietrzu, między zielonemi kępami igieł płynął pod niebem. Knieja obejmowała go tajemniczem ramieniem swojem, puszcza go znowu brała, matka rodzona, puszcza — dusza praojcowska, puszcza — siostra-miłośnica. Zamierał jak westchnienie ów żałosny świst — poświst... Gdzie zamierał?

Może na zburzysku wysokich skał, które się po odejściu fal i pian morza rozpadły w rumowie głazów, mchami rudymi porosłe... Może w kolisku dębowych pniów, do gruntu zmurszałych, które zwartą strażą otaczają prochy z przyciesi świętej kontyny, gdzie przed wiekami Pogoda łaskawie przyjmowała obiaty... Może na czole kamiennem, na twardych piersiach bożyszcza Lelum-Polelum, które śpi w dole nieznanym, mchem tysiąca zim i tysiąca wiosen okryte, i spać będzie nikomu nieznane na wieki wieków... Może w tropach wiecznego jelenia, który między rogami nosi po lasach drzewo krzyża świętego, a ukazuje się ludziom raz na sto lat...

Kiedy nadciągała zdaleka owa pieśń lasów, zdało się Rafałowi, że płynąć będzie przez jego ciało tak samo, jak przez drzewa. Zapominał wówczas, gdzie jest, i co się z nim dzieje. Snuły się w nim wspomnienia nieujęte, niedotykalne, zamglone, przedziwnie żebrzące o pamięć. Był daleko od tego miejsca, nie pod szczytem Łysicy, na stanowisku. Był w ogrodzie swego dzieciństwa. Tajała kra i okiść wszystkiego, co rzeczywiste... Ogród zapomniany, na tyłach starego dworu. Rozłożyste jabłonie z pniami w pewnych miejscach zwężonymi od dawnych szczepień, jak butle. Pęki, bukiety różowych kwiatów... Bujny agrest, gęste porzeczki

obrosły każdą drożynę. Nad wysokiemi trawami, które jeszcze powleka kroplista rosa, wznoszą się śnieżnobiałe, dziewicze drzewka wiśniowe. Zda się, że to chmurki wiosenne, obłoczki ranne z krańców nieba aż tu przyżeglowały i między wysokiemi topolami, między starymi parkany bezradnie osiadły. Brzęczą pszczoły, osy, muchy, napełniają cały sad gwarem, a serce, dla niewiadomej przyczyny, czcią i grozą. Och, jakże miło, jak radośnie w tym cienistym sadzie rodzinnego domu! Za drzewami owocowemi ciągną się niedostępne zarośla, gaje wiklów i rokiciny. Na kępach, wśród zapleśniałej wody, straszą oczy kudłate wierzby o pniach spróchniałych i lesie bujnych prętów, olchy smutne, czarne z krwawemi odziemkami. Żaby kumkają w wodzie lśniącej grzybieniem i skrzekiem, a niezliczone ptaki pogwizdują. Szmer liści, pogwar owadów i ledwie dające się ująć, przyciszone szepty, szmery, syki, ledwie dające się ciałem wyczuć westchnienia, czy ciche jęki, jakoby mrowienie i łechtanie przechodzi wpoprzek i wzdłuż... Mały chłopczyk, gadułka zdrowy, szczęśliwy, wesół i rozśpiewany, biegnie ścieżkami tego ogrodu. Skacze u nóg ojca, niosącego nabitą strzelbę, i dba o to tylko, żeby w rosach nóg nie zamoczyć. Tu rzuca mu się w oczy biedronka, pełzająca po mokrym liściu, tam ślimak zaczerniał w białej rosie; promień słońca padł na ponsowy kielich tulipana, świeżo rozkwitły tego poranka... Cicho, cicho... W gąszczach rozlega się słodki i wesoły, jak sama wiosna, jak dusza dziecięca, głos wiwilgi. Wtem z łoskotem piorunu wybucha strzał i huczy w drzewach. Serce drętwieje i staje w biegu. Radosne ciało całe drży... Z wyżyny wiązu, rosnącego

w kącie ogrodu, spada, trzepocząc skrzydłami, złotolita wiwilga i broczy krwią mokre trawy. Ach, jeszcze widać jej otwarty dziób i straszne, przeraźliwe oczy! Słychać jej sepleniący syk, zdławiony, gdy po nią rękę wyciągnął. I nagły ów strach! Nagły, przeszywający strach, radość, zemstę, rozkosz i niewysłowiony, dziecięcy ból. Trzepie się ptak i miota z boku na bok. Wstaje na nogi... Oczy jego zmętniały, kilkakroć wytężyły się jeszcze. Patrzą. Coś je zamazało, zawlekło...

Kiedy to było i gdzie? Czy były naprawdę, czy mu się śniły tylko te okrutne, ptasie oczy, wbite w pamięć, jak gwoździe, wbite w rany, które na samym początku życia istnieją?

Ale oto cisza nastaje, a pospołu z nią, niby chmurki w wyżynie, inne przepływają widzenia.

Las ciemny, srogi, oświetlony blaskiem księżyca. Ogromne śniegi na nim leżą, na czarnym lesie. Dzwonią janczary i echo ich odbija się w kniei, jak zuchwałe wzywanie do boju. Księżyc w zimnym przestworze króluje. Źrenice nie mogą oderwać się od jego tarczy, i przedziwne szepty, półsłowa, wreszcie jakieś wyrazy płyną do niego z piersi. To bezlitosne światło woła ku sobie, wciąga na wysokość ku słodkiej harmonii, ku rozkosznym, jak ta leśna, melodyom... Ojciec lubi tamtędy jeździć, drogą »na las«, mało znaną. W tych ostępach włóczyły się stada wilków. To też, gdy wjeżdżano w posępne gąszcze drzew zwartych, podsypywano prochu na panewki dwu flint, i dobywało się z za pasa podwójne pistolety. Słychać jeszcze szept modlitw matki... Dreszcz zimny do szpiku przejmuje i, niby czyjeś skostniałe palce, podnosi włosy na głowie. Jan-

czary rzegoczą coraz głośniej, coraz głośniej, im dalej w knieję; wreszcie zda się, że biją jak dzwony. Cztery konie mkną drogą, której nie przetarła sanica. Od uderzeń kopyt rozpryskują się zadmy śniegu, jak góry pytlowej mąki. Kiedy niekiedy coś pod saniami trzaska. W lesie słychać niepojęte głosy... Cały bór wre i huczy od echa janczarów. Aż oto w pewnem miejscu zasłona świerków na krótko się rozchyla: z wąskiej, leśnej polanki widać górę, a na niej poszczerbione ruiny. Księżyc oświetla śnieg i lód, który na gzymsach zburzonych ścian, na krawędziach wybitych okien leży.

To ruiny aryańskiego kościoła.

Jaki dziwny, niespodziewany żal!...

Gdzież jest ten dzień, gdzież się na wieki został?...

A ta wiosenka... Po świętach Wielkiejnocy powrót z rodzicami od krewnych do domu. Jadą tą samą drogą. Wolno wlecze się bryka po korzeniach i ciemnych bagnach szlaku. Naokół las gęsty, mokry, dymiący się od pary. Wszędzie w mroku poddrzewnym lśni stojąca woda. Oślizgłe, czarne kije zgniłemi gałęziami leżą w ciemnych bajorach drogi. I oto znowu ruiny ukazują się na drodze. Konie wstrzymano, i rodzice pozwalają dzieciom wejść na szczyt wzgórza. Brat starszy i siostry biegną na wyścigi...

Niegdyś wdzierała się na tę górę szeroka, jezdna droga dla landar, bryk, kutych wozów, ale już i na niej sosny wyrosły. W kolejach stoją grube świerki, na zakrętach stanęły jodły stuletnie, z przykopy, biegnącej środkiem, strzeliły białopienne brzozy. Las zamknął dostęp do ruin, wziął w posiadanie, co weń weszło, i napowrót stał się sobą. Już ani okien, ani drzwi.

Nikt nie strzeże wyklętej świątyni, oprócz wysokich kęp ostu. Dzika róża po nagich skarpach pełza zwysoka i wyciąga kolczaste, żebracze badyle. W tem miejscu, gdzie może był ołtarz, gdzie oczy wyznawców szukały widomego znaku — czarny szkielet jeżyny. Niestrudzona woda gryzie cegłę i kamień, a mech rozsypane ich prochy grzebie pod sobą. Nazewnątrz murów, w głębi świątyńki i w lesie jakie mnóstwo podlaszczek! Ubogie kwiatuszki, siwe biedotki leśne, są jakby kroplami bladego nieba północnej wiosny, które spadły zwysoka na ziemię i rozprysły się w kształt kwiatka. Jaka rozkosz, jaka tajemnicza, niedostępna rozkosz — niby ów las... A jakie coś drapieżne, bolesne, oślizgłe od deszczów i straszliwe od echa każdego kroku w tej ruinie kościoła! Co w niej jest, co płacze i woła z ziemi za odchodzącem dzieckiem? Oczy nie mogą się z nią rozstać, i nogi nie mogą odejść. Zerwane kwiecie z rąk wylatuje, i w uszach odzywa się jak gdyby syk sepleniący wiwilgi, zabitej w ogrodzie...

Nagły, daleki, jadowity głos drgnął w lasach. Za pierwszym ozwał się drugi, rzewny i czysty, niby miąższy tenor. Rafał ocknął się jak ze snu i machinalnie dźwignął strzelbę do twarzy. Po chwili oprzytomniał i napastnicze oczy w las wlepił. Pierzchły marzenia. Słońce przypiekało, wzmogły się powiewy ciepłego wiatru, i ze wszystkich drzew leciały raz w raz na ziemię ogromne płaty lepkiego śniegu.

— Psy gonią... — szepnął do siebie.

W istocie słychać już było dźwięk dwu głosów, Niemna i Wisły, ale tak daleko, gdzieś w ciepłej kniei, na południowym stoku łańcucha gór, że tylko młode

ucho mogło rozróżnić to granie. Echo płynęło zwolna, jakby w znużeniu, ale zbliżało się ciągle. Nim jedno krańców leśnych dosięgło, już płynął w pościgu rzeźwy huk, niby muzyka złowroga, pełna dzikiego czaru, gwałtu i siły. Młody mężczyzna obejrzał starannie panewkę swej broni, troskliwie przyjrzał się suchym i lśniącym ziarenkom prochu. Zaczaił się i cały przeistoczył w narzędzie śmierci. Tęsknota, jaka mogłaby zdusić życie, osiadła w jego oczach i zmieniła je we dwa pociski. Serce głośno biło w piersiach i każdem uderzeniem zdało się również czatować.

Psy nadciągały bliżej, bliżej... Już można było rozróżnić same głosy.

W pewnej chwili, od szczytu góry dał się słyszeć tępy, jednostajny, rytmiczny odgłos biegu — *duch-duch, duch-duch...* Serce w słuchającym zamarło i ustało. Trzasła w pobliżu gałązka. Przez chwilę gęściej, obficiej śnieg się posypał... Oto z pomiędzy zarośli młodej świerczyny wysunęło się stado sarn, a na ich czele szedł z wysuniętą głową ciemnoorzechowy rogacz. Rafał wziął go na oko, przycisnął kolbę do szczęki i położył palec na cynglu. W tej samej chwili sarn stanął. Przednią lewą nogę podniósł, odwrócił śliczną głowę z różkami i uważnie nasłuchiwał. Z całego stadka para szła gęsta.

— Na komorę... — marzył Rafał, kierując lufę pod przednią łopatkę kozła,

Nagle olbrzymia czapa mokrego śniegu runęła na jego ręce, twarz, kolbę i panewkę. Pociągnął za cyngiel. Krzemień sucho trzasnął, ale iskra nie zapaliła zmoczonego prochu. Gdy młodzieniec przetarł oczy,

ujrzał już tylko sarnie nogi, wytężone jak stalowe sprężyny, i białe ich »talerze«. Przesadziły najwyższe stojące szczyty chojaków i znikły. Tylko te szczyty zielone i giętkie jeszcze długo drżały i kiwały się, a śnieg leciał niespokojnie z potrąconych gałęzi.

Ujrzawszy, że znowu jest sam na tem miejscu, gdzie przed sekundą odbyło się coś jak misteryum tajemne, Rafał ze wściekłością cisnął strzelbę w zarośla, a sam runął na ziemię, dusząc się od łkania.

Ocucił go strzał, po nim drugi. Jak gromy rozległy się i długo huczały w lesie. Po ostatnim dało się słyszeć z dołu, w połowie wysokości górskiej, nawoływanie:

— Na-hohoho! Na-hoho! Na-hoho!

Psy ucięły. Zaraz potem drugi głos, bliższy Rafała, odpowiedział jednokrotnie tym samym sposobem.

Młody myśliwiec jeszcze przez czas pewien leżał na ziemi, pękając ze złości. Po chwili jednak zerwał się na równe nogi, strzepnął śnieg z siebie, odszukał w krzakach pojedynkę. Wytarł oczy i, na podobieństwo sarn, skacząc przez choiny, pomknął na dół.

W odległości kilkuset kroków stał nad zabitym rogaczem ogromny chłop w krótkiej brunatnej sukmanie i oglądał uważnie swoją małą fuzyjkę.

— Zabiliście, Kacper! — szepnął Rafał zdyszany od biegu.

— Ij!... tak mi się ta nawinął... Sam nawet nie wiem, jak to być mogło. Myślałem se, że tego kozielka to przecie jaśnie panicz położy.

— A kiedy nie wyszły na mnie... — rzekł Rafał, czerwony jak burak.

— O, hery! Widzicież wy, moi ludzie... A na to miejsce przecie wagę miały. Nie wyszły i pokój! A już ta pod tym bukiem niejeden wygarnął. Czasem to tam nawet dłużej przystaną i wezmą szukać wrzosu, abo chwycą wargami, ile zdolą, młodych koniuszków jedli. Poszły sobacze bokiem... — mówił stary wyga, wlepiając z jawnym śmiechem w młodzieńca swe wypełzłe oczy.

W tej samej chwili jeszcze raz odezwał się w dole niecierpliwy głos:

— Na-hoho!

— O, nasz pan woła! — z trwogą mruknął Kacper. — Chodźwa.

— A cóż zrobicie z rogaczem?

— Trza go brać na ramię, tylego konia!...

Zabity sarn, trafiony w samo serce, leżał martwy. Dokoła niego zamróz odtajał, i krople wody sączyły się ze świerkowych gałęzi. Pyszna jego głowa, rzucona bezwładnie, patrzała w Rafała umarłemi oczyma. Młodzieniec uczuł nagle poryw wściekłości, chwycił za kordelas, który miał przy sobie, i byłby zadał zdechłemu zwierzęciu cios jeszcze jeden, ale już strzelec podsadzał się pod nie. Dowlókł rogacza do sąsiednich wykrotów, dźwignął go w górę i, ująwszy rękoma po dwie jego nogi, zarzucił sobie na plecy to brzemię ze zdumiewającą siłą. Poszli na dół. Co chwila nogi ich zapadały w szczeliny między złomami brył kamiennych, w rumowiska stoku góry pod mchem ukryte. Rozwalali zgniłe pnie, miękkie jak ciasto, o próchnie rudozielonem od pleśni. Skomlenie psów w zagajnikach na dole wskazywało im drogę. Rafał, wielkimi kroki po-

stępujący przodem, ujrzał wreszcie wuja. Chudy szlachcic, niewielkiego wzrostu, siedział w kucki nad sarną i patroszył ją. Skrwawionemi rękoma wyrywał dymiące jeszcze wnętrzności i ciskał psom. Gdy nadeszli, pan Nardzewski obejrzał się złowrogo na strzelca, zmierzył okiem rogacza i z lekka sepleniącym głosem zauważył:

— Toś, kundlu, kozła musiał dla siebie zostawić...

— Ale bo...

— Nie wiedziałeś, prawda? że ja tu czekam na stanowisku. Gdzieżbyś ty o takich rzeczach mógł pamiętać! Żebym ja kozy po tobie strzelał, chamska szyjo!

— Ale bo szły jakosi krzywo...

— Krzywo szły od buka!... Łżesz!

— Jeszcze, rzekę, psiedusze wiatr owieje. Wiatr szedł od Klonowa, akuratnie. Takem se ozmyślał...

— Jak ci dam ozmyślanie, to się nogami nakryjesz! Kładź kozła! A cóż ty, Rafciu, jakoś nic nie nięsiesz z Łysicy! — łaskawie zwrócił się do siostrzeńca.

— Nie wyszły na mnie. Słyszałem tylko że walą za drzewami, aż ziemia stękała.

— Ts... Nie przeszły koło wielkiego buka... Słyszane rzeczy!... Patrosz... — mruknął do strzelca.

Gdy ten otwierał mały składany koziczek, wiszący u jego pasa na rzemyku, Nardzewski spytał go opryskliwie:

— Skądżeś strzelał?

— A z pod znaczonej jedli, kajem stał. Wylazł mi sarn pod lufę, jakby go tam pastuch przygnał. Jeszcze ta była ścięta jedła, okrzesana, to se stanął, ma-li skoczyć.

— Skądże się tam wzięła jedla okrzesana?

— Skąd jedla? A to ją, wielmożny panie, ściął ten chłop z Porąbek, co to z Miemcem miał sprawę.

— Nic nie wiem o żadnym Niemcu, ani o sprawie.

— O, dyć to we wszystkich, we wsiach gadają.

— No, to i ty gadaj, kiedy wszyscy.

— Dobrze. To tak było, żeby to z końca... Przyjechał chłop z Porąbek, Jamrozek ma na przezwisko, parą koni doskonałych i gołym wozem, że to tylko koła były i ozwora, w sam szczyt Łysicy po suchą jedlę, żeby ta już była dobra jedla, smolna, we wiatrach wysuszona. Robi króbki na sól — to mu potrza suchego drzewa. No, dobrze. Ściął on se jedlicę tylą, co wieża na Świętym Krzyżu, oździabał wszystkie gałęzie precz, jak się patrzy. Ma se kloc tylośny, że byłby z niego wał do młyna. Wzieni mój Jamrozek, rozsunęli wóz jak najdłużej, że się poślednie koła ino ino trzymały za ozworę, sworzeń se wyrychtowali, żeby zatkać, patrzą, a tu z krzaków wyłazi dozorca leśny. Odzionie na nim zielone, na głowie ma skopeczek z jakimsi guzikiem, w ręku strzelba. Spojrzał ino raz na Jamrozka, tram opatrzył, wymierzył go jakimsi żółtym łokciem i zaczął pisać na papierze. Jak skończył, dopiero zaczął gadać do chłopa niby po naszemu, ale jakosi frymuśnie. Chłop zdjął czapkę, drapie się... Myśli se: — »Źle!« Wziął do niego Miemiec szwargotać z polska, a wreszcie zawrzasnął:

— Marsz do Słupia!

— No, dobrze. Chłop wdział czapkę, okiełznał konie i pojechał z góry tą dróżką, co ta idzie nad strugą ku Porąbkom. Miemiec szedł przy wozie, sapał i fajkę kurzył. Jak wyszli z lasu, są ta polanki wykarczowane,

a idą z pieca na łeb po górze jeden za drugim. Jamrozek zdjęli czapkę, pokłonili się i pedają:

— Niechże ta wielmożny pan feśter darują...

Miemiec swoje:

— Marsz do Słupia!

Ano pojechali znowu noga za nogą miedzami, abo i prosto bez pola, Ujechali kawałek drogi, chłop zdjął czapkę i gada:

— Niechże ta choć wielemozny pan feśter wlezą na wóz, bo tak to na jutro na rano do Słupi nie zajedziewa.

Miemiec se pomyślał, wytrząsnął faję i siadł na wóz. Pośledne koła były kawał od przodka. Wziął się pluder za kłonice, trzyma się krzepko, za obie. Jamrozek to samo wleźli na przodek, kulasy postawili na orczyki i zacięli szkapska, ale tak, żeby przecie poczuły. Ale cóż ta mieli jechać »do Słupia« drogą? — poszli na przełaj, a potem na ukos bez rolą, po zagonach, po skibach. Wzięły pośledne koła tańcować na prawo, na lewo, prać z zagona w zagon, z przykopy w przykopę. Miemiec się trzyma garściami, wrzeszczy. Chłop nic, jedzie, kaj mu kazali... Co się ma oglądać? Ino sprzężaj zacina... Aż jak ta konie poszły co duchu, jak tylne koła wytną w skibę, czy ta w kamień... Jakosi się Miemiec uciszył.

— Jakto uciszył się? — pytał Rafał.

— A ja sam tego nie wiem, bo się ta i oni, choć i Jamrozek, nie oglądali. Myśleli se: »co mi do tego?« Kazał pan feśter jechać, to jadę. I pokój. Dopiero, jak już w Porąbki wjechali, na wieś, obejrzeli się: niemasz Miemca. Zamartwili się. Ale pedają: Noc szła, cóżem ta miał robić?...

— Któż Niemca znalazł? — spytał Nardzewski łagodniejszym głosem, puszczając kłęby dymu z krótkiej fajeczki.

— A musi go ktoś znalazł, bo cięgiem po lasach łazi. Kwardy.

— Dobrze wam tak, podłe chamy! — mruknął szlachcic — całybyście las wycięli!

— Ij, wielmożny panie, któż ta tyli las wytnie? Nie było nas, był las, nie będzie nas, to samo las na Łysicy będzie. Jak świat światem, ludzie ze solą jedzą. Trza ją w króbkach trzymać. Zawdy ludzie króbki robili, jedle na nie ścinali, a las stoi. A cóż ta dopiero za prawo ma do niego taki pluder! Las je królewski. Starostwo je i pokój. Tu my takie stada dzików gonili, jeleniemy płoszyli z Cisowskich lasów aż po Siekierno... Ile razy ja tu na Łysicy niedźwiedzia widział, jakem jeszcze był małym berbeciem! Abo to jest dźwiérz piękny — niedźwiedź. Abo jeleń... Mocny Boże! Jak rogi położy po sobie, jak lasem pójdzie — okropnie pieknie patrzeć! Aby tylko na świętego nie trafić... Panie, zachowajże też...

— Jakto na świętego? — dopytywał się Rafał.

— A to widać paniczek nie wie o naszym jeleniu... — mruknął strzelec niechętnie.

— Nie wie, skoro pyta — rzekł Nardzewski.

— Ludzie gadają tacy, co widzieli...

— Który widział?

— A Łakomiec widzieli. Powiadają to samo o starym Szafrańcu, co miał ze sto lat abo więcej, że go to samo ślepiami widzieli.

— Jakże to było?

Chłop spoglądał posępnie i zwlekał.

— Łakomiec nama gadali i zaprzysięgli się. Wyśli, pedają, ze swoją fuzyjczyną, i stanęli na stanowisku, jak ogary pana krajczego Olchowskiego...

— Aha... — wtrącił Nardzewski.

— No, przecie nie ja stał, ino oni, choć ta już na boskim sądzie, Panie świeć... Stoją se oto pode drzewem zcicha i czekają. Aże słyszą: *duch-duch*. Idzie. A dzień był wietrzny, ciemny. Idzie na dół po kamieniach, a przed nim jakiesi światło, tak jakby dodnia pod zimę, kiej słonie z lasu wychodzi. Zda im się spojrzeć ku niemu: widzą, idzie wolnego jeleń stary, wielki jak koń cugowy i okropnie piękny. Rogi położył... Wzieni go na oko, a prosto w łeb. Dopiero co się nie dzieje!... Trzymają kolbę przy pysku i nie widzą jelenia, tylko światło, tak jakby czerwone słonie wyszło z lasa i prosto im w ślepie lunęło. Strzelba im z rąk wypadła, a i samych łomot o ziemię. A jeleń poszedł kole nich, bokiem. Dopieroż zobaczyli, że miał między rogami krzyż złoty, i że z onego takie światło w las waliło.

— Duży był krzyż? — poważnie pytał Nardzewski.

— Biedyć-ta duży! Pasyjka niewysoka, ino gruba na dwa palca. Dopiero mój Łakomiec za lufę i w nogi co tchu! To ich jeszcze na trzeci dzień tarmosił strach, jak se wspomnieli, że oni do takiego gada chcieli wygarnąć... A jakby go też człowiek zabił... Rany!

— Ty, żebyś go i z krzyżem spotkał, tobyś nie ścierpiał.

Chłop udał, że nie słyszy, i ciągnął dalej:

— Tera taki psia para jeźli ściąć nie da! Sadził

ją tu, czy co? Nic, ino »kamera«. Wszystko, pada, do »kamery« należy.

— A tak, teraz wszystko do kamery... — westchnął Nardzewski.

— No, skończyłeś?

Strzelec wyprostował się i wytarł ręce w śniegu.

— Wielmożny panie, ony nama tu i zapolować z pieskami nie dadzą!...

— To nie twoja rzecz.

— A przecie gadają, że Górno, Krajno, Porąbki, Brzezinki, Masłów wszystko precz niemiecki król puścił w dzierżawę młodemu panu z Olchowa.

— No, więc cóż z tego?

— A to i do lasów ma wręb, choć i rządowe dozorce będą drzewa pilnowały. A on już koźlątka nie popuści — choć i jaśnie pan Olchowski.

— Zobaczymy, a teraz weź-no, rozpal trochę ognia. Ręce mi zgrabiały.

Strzelec w mgnieniu oka wyczyścił miejsce, śnieg zgarnął, naniósł suchych żółtych gałązek jałowcu i sośniny. Skrzesał ognia i umiejętnie, szybko, z dziwną wprawą, rozdmuchał płomień. Igły poczęły trzaskać, i niewidoczny błękitnawy płomyczek biegał to tu, to tam po zgiętych pałąkach. Rafał pomagał Kacprowi, znosił suche gałęzie i rzucał w ogień. Stary pan siedział na wystającym głazie nieruchomy i chmurnie patrzał w ognisko. Już wtedy nadchodził szybki wieczór styczniowy. Wiatr się odwrócił i dął z północy. Z drzew nie leciały już kępy śniegu, a spadające strugi wody nagły mróz w sople zamieniał.

Strzelec upatrzył młodego świerka i począł go

ścinać u samej ziemi małą siekierką, którą nosił za pasem. Okrzesał prędko gałęzie, ściął wierzchołek i przygotował drąg kilkułokciowy. Wówczas związał do kupy rzemiennymi pasami przednie i poślednie nogi dwu zwierząt i drąg ów między nie wsunął. Gdy to wszystko załatwił, zbliżył się do ognia i rozgrzewał nad nim ręce. Właśnie wtedy pan Nardzewski wyciągnął z kieszeni kapciuch i nabijał »galicyjskim« tytuniem swą glinianą fajeczkę. W trakcie tej czynności, nie patrząc, podał strzelcowi dużą szczyptę tytoniu. Chłop zdjął czapkę i pięknie podziękował. Zaraz też roztarł tytuń na lewej dłoni, zwilżył go śliną obficie, ugniótł palcami i dopiero tak przygotowaną masą naładował fajkę. Potem całą fajkę wsunął w gorący popiół, pełen czerwonych węgielków. Gdy zwilżony tytuń dobrze zaprzał, wyjął fajkę z popiołu i jeden z węgielków umieścił na wierzchu.

Rafał, zaciekawiony, spytał go, czemu to wszystko robi.

— Czemu? Abo tak dopiero będzie prawdziwie tęgie paliwo. To je dopiero tutiun! Żeby też tak jaśnie paniczek zapróbował... Już się ta z tem nie zrównają ani debrejskie liście, ani knaster niekrajany, ani ta i nasz powszedni w obertuchach.

— No, pokażcie.

— Rafciu, ostrożnie! — zawołał Nardzewski.

Podrażniony młodzieniec starannie otarł cybuszek i pociągnął, ale natychmiast puścił go z rąk i zatoczył się, jak uderzony drągiem w głowę. Przez pewien czas tchu złapać nie mógł, a choć się wreszcie uspokoił, długo jeszcze czuł ogień w piersiach i w gardzieli.

— Takie je chłopskie paliwo, jaśnie paniczku, che-che...

— No, dość już twego palenia. Chodźmy.

Zdeptali ognisko. Strzelec chwycił jeden koniec drąga, Nardzewski drugi; schylili się obadwaj i jednocześnie, jak na komendę, podnieśli zawieszone zwierzęta. Chłop szedł pierwszy. Koniec drąga był wsparty o jego ramię. Niższy wzrostem Nardzewski dotrzymywał mu kroku, choć się zataczał w prawo i w lewo. Kiedy Rafał, palony żądzą współdziałania, dopominał się, żeby mu wuj miejsca ustąpił, szlachcic go ofuknął:

— Daj-no pokój! Pilnowałbyś strzelby...

Szli tak dość długo z góry w kierunku klasztoru. Nie dochodząc do źródła świętego Franciszka, skręcono na lewo. Nardzewski ochrypłym głosem dał rozkaz, żeby stanąć, i wręczył siostrzeńcowi tak upragniony koniec pawęzu. Rafał z pietyzmem oparł go na ramieniu, ale w tej samej chwili zgiął się i przysiadł pod ciężarem. Doznał wrażenia, że mu w barach kości pękły. Ze ściśniętymi zębami, oddechem zapartym i twarzą brunatną od nabiegłej krwi, szedł jednak twardo aż do drogi bodzentyńskiej. Tam go znowu zluzował stary myśliwiec.

Był już mrok prawie, gdy na skraju leśnym stanęli przed kurną chatą, zadętą ze wszech stron przez górskie śniegi. Para koni, zaprzężona do prostych fornalskich sanek, stała już przed niskiemi drzwiami. Wwalono sarny na sanie przy pomocy oczekującego parobka i zagrodnika, a wszyscy trzej myśliwi ulokowali się jako tako w sąsiedztwie zwierzyny. Młode konie skoczyły z miejsca i poszły w górę. Śnieg po

odwilży przymarzł wierzchem; okryła go śreń, cienka skorupka lodowa. Podkute kopyta trzaskały ostro w szklistą powłokę. Ogary biegły z trudem i kaleczyły się, zapadając w śniegu. Obydwa były senne, znudzone, i odbywały tę podróż resztkami siły. Nardzewski podniecał je co chwila pieszczotliwymi dźwiękami, cieszył pogwizdywaniem.

Za lasem, na szerokiej drodze, ciął jak kosą wiatr północny, ostry i przenikający do kości. Gdy stanęli na przełęczy, którędy szła droga, widać było na prawo i lewo ogromne przestrzenie, dwie rozległe doliny — i lasy, jak okiem sięgnąć. Jedna z tych dolin, płaska, od strony Kielc, była krajem dawno uprawnym, zaludnionym, poprzerzynanym przez olbrzymie wsie, dwory, kościoły. Druga była jeszcze starodawną głuszą. Widać w niej było siedliska na wydartych w puszczy polanach. Wsie te o nazwach leśnych, wspominających królestwo i dzieje borów, jak Brzezinki, Klonów, Wilków, Psary, Siekierno, Dąbrowa... słały w czysty lazur odwieczerza wysokie drzewa dymów. Wyniosłe góry dwoma pasmami spływały ku Łysicy i wrastały w nią, ażeby dalej iść jednym grzbietem wysokim i najeżonym skałami. Stał jeszcze po nich wszędzie las, jak władca, i rozpościerał swe panowanie. Granatowe jego łany osędziały od śniegu. Gięły się na odległych garbach gór i niby długie srebrnoszate zwoje spływały przestronnymi wąwozami ku dolinom, gdzie już osiadł zimny cień wieczora. Na krańcach leśnych rozpoczynała się dziedzina jałowca, równie dzika i rozległa. Zasnute śniegiem jałowce zdały się być z mrozu samego utkane i tak przedziwnie złudne, jakby na nie w biały jeszcze

dzień padało światło księżyca. Ta ziemia, opasana borem, skryta w jego tajemnicy, miała w sobie grozę i wspaniałą dumę. Rafał wlepił w przestrzeń oczy, widział dokładnie każdy zakąt i szczegół, ale w tej samej chwili wspominał ją i obejmował, jak inną, z dziecięcych lat. Był tu dawno, dawno, wiosną... Zielone smugi łąk leżały na jego oczach i ciągnęły się ku cudnej rzece, ku Czarnej Nidzie, która ze strumieni górskich urasta. Powiał ku niemu woniejący wiatr z głębokich wąwozów góry Radostowej, z przecudnych wąwozów, nad którymi wiszą brzozowe gaje. Chóry słowików przerywały ciszę tej nocy wiosennej, kiedy tamtędy jechał za dawnych lat z głową leżącą na kolanach matki. Teraz rozmawiał z wujem, ale jednocześnie śniło mu się, że przez tę daleką, śpiącą, martwą dolinę jedzie na dzikim koniu. Żelaznem wędzidłem rozdziera mu wargi i trzyma jego łeb zgięty ku ziemi. Jedzie ku słońcu, ku słońcu, które tarczą ognistą zachodzi za lasy błękitnawe, okiem nie dosiężone... Dalekie lasy, dalekie lasy, odwieczne.

Śliskie sanice co chwila leciały w zatoki na rozbitym gościńcu, gdy konie poszły z góry.

— Te, trąba! — wołał Nardzewski na furmana, gdy się sanie zbyt ostro toczyły w wyboje.

W pewnem miejscu, gdzie stało jeszcze kilkanaście sosen i buków po wyrąbanym lesie, wskazał jedno z tych drzew i rzekł:

— Tu pięć lat temu zabiłem sępa.

— Sępa?

— A tak. Szedłem sam z polowania. Było to jakoś na jesieni. Słońce zachodziło, jak teraz. Patrzę: na

boku coś się rusza. Nie chciałem oczom wierzyć... Miałem lufę nabitą łotkami. Złożyłem się i palnąłem.

— Skrzydła też to miał, skrzydła! Jezus ci Marya... — wtrącił Kacper. — Jak my go rozciągnęli na ziemi, to psy, przecie nie byle jakie, poszły w pola ze skomleniem, i strąbić ich do domu nie było sposobu.

Rafałowi twarz tak naziębła, że nie mógł mówić. Z gościńca skręcono na boczną, karkołomną drogę, która szła tuż nad brzegiem górskiej rzeki. Wartka woda kłębami toczyła się w obmarzłych brzegach, bijąc w tafle lodu, który żywe jej ciało schwycić usiłował. Konie chrapały, i wyprężone ich nogi silnie biły kopytami w twardą drogę, żeby się na niej utrzymać.

— No i cóż, Rafciu, u was tam w Sandomierszczyźnie niema ani takich dróg nędznych, ani takich wertepów. Prawda? Droga jak po stole...

— Ale też zato lasu ani odrobiny.

— Co wam po lesie! Pszenicę zato macie, jak nasz bór. Jeszcze wam mało?

— Już jabym wolał tu mieszkać! Tu to dopiero życie.

— Tu wolałbyś mieszkać? Co gadasz? He, bracie, tu nie łatwo wysiedzieć. Tu tylko taki, jak ja, wytrzyma.

— Już jabym tam wytrzymał!

— Tak powiadasz?

— A tak.

— No, no, pamiętaj sobie, żebym ja cię za słowo nie chwycił i nie osadził w tej norze.

— Nic się nie boję.

— Ejże!... Ale wiesz?... to mię cieszy, że mat-

czysko będzie kontente. Co? jak myślisz? Wasze kuligi, bale, czy reduty powinny dobrze wypaść. Mamy rogacza, mamy sarnę, jest w spiżarni dziesiątek zajęcy, jest warchlak. Będzie na ten wasz wieczór?... Powiadaj krótko! Bo jak nie, to jutro od świtu idziemy w knieję.

— Aż nadto, wuju.

— Nadto, nie nadto. Skoro jedziesz tyli świat, to z byle czem wracać nie sposób. Niechże się i dzika okolica pochwali.

Po chwili dodał:

— Poczciwa Anusia... My z twoją matką najbardziej zawsze z całego rodzeństwa pałaliśmy ku sobie afektem braterskim. Trudno o lepszą siostrę. Ech, Boże miłosierny...

— Gdyby to wuj zjechał do nas na ten kulig, dopieroby to mama i... tatko...

— Aby za tatkę nic nie obiecuj! Z tatką to już całkiem inny sentyment. *Amicus Plato*...

— No, niech tam, ale żeby tak wuj na ten kulig...

— Zwarjowałeś, dyscypulusie? Ja na kulig! Ja z Wyrw! Trzydzieci lat z domu nie wyjeżdżam, a teraz dopiero na kulig wyruszę, i to jeszcze aż gdzieś za Klimontów, we światy! Cóż ty gadasz?

Raptem szorstko dodał:

— Nie wyjadę. Nie, nie wyjadę. Mam dosyć.

Był już mrok. W nizinie ukazały się drzewa ciemne, aleje, budynki, światełka w majątku Nardzewskiego. Wkrótce sanie pędem wjechały na dziedziniec i stanęły przed gankiem dworu. Z okien tryskało w noc rzęsiste światło. Gdy konie osadzono, z ganku i z za węgłów domu wybiegło kilku ludzi. Jedni wysadzali pana, inni

zabierali się do wydobywania z sanek zwierzyny. Na gumnie panował ruch: do śpichlerza znoszono w workach omłot dzienny, zadawano bydłu słomę, koniom obrok i siano. Psy podwórzowe, jeszcze uwiązane na łańcuchach, wyły w niebogłosy, szczekały myśliwskie kundle, wyżły, jamniki. Jakiś olbrzymi kundys co chwila rzucał się do Rafała, żeby go z czułością liznąć po twarzy.

— Co takie światło po pokojach? — spytał Nardzewski.

— Jakisi przyjechał...

— Kto przyjechał?

— Miemiec, czy co. Trudno go ta wyrozumieć. Przyjechali aże z samych Kielc z drugim. Tamtego furmanka powiozła do Bożęcina, a ten ostał i siedzi.

Nardzewski czmychał nosem w sposób wcale niegościnny. Wreszcie nie mógł wytrzymać i popchnął pierwszego famulusa z brzegu, dodając:

— Dyabli cię z twoim Niemcem!

Wpośród wściekle szczekającej gromady, myśliwi weszli na ganek i do pokojów. Na ich powitanie wstał z za stołu mężczyzna młody jeszcze, wygolony, przystojny, ubrany z dajczerska w krótkie, czarne suknie z klapami, w grube pończochy i płytkie trzewiki. Kłaniał się zgrabnie, mierząc Nardzewskiego uważnem spojrzeniem. Po chwili rzekł, z trudem wymawiając słowa i śmiesznie je akcentując:

— Czy honor mam z dziedzicem, z jegomością panem Nardzewskim?

— Nardzewski jestem do usług... Kogóż, jeśli łaska, mam zaszczyt... w tych ubogich... te... progach?

— Moje miano jest Hibl. Z Kieleckiego krajzamtu...

— A tak... Miło mi... Raczże waszmość rozgościć się, jak u siebie. Służę zaraz.

Komisarz Hibl usiadł w obdartem krześle i przy blasku drgającego płomienia dwu świec łojowych, obojętnie, zimnemi oczyma przypatrywał się Rafałowi, który sam na sam zostawiony z gościem przez wuja, nie wiedział, co ma robić. Nie zdjął nawet z ramienia swej pojedynki. Dopiero Kacper przyszedł mu z pomocą. Rafał usadowił się w ciemnym rogu dużej stancyi i zaraz poczuł, jak mu się straszliwie chce spać. Głód skręcał mu kiszki, ale senność i nad tem górowała. Oczy chłopca dostrzegały jeszcze »Niemczyka« i płomyki topniejących świec, ale w przedziwnie wielkiej odległości...

Całe stado psów wałęsało się po pokoju. Jedne z nich wskoczyły wnet na sofę przy stole i oko w oko przypatrywały się gościowi, inne rozkładały się na dobre obok wielkiego pieca. Niemen i Wisła, bohatery dnia, śmiało układały się do snu w rogu kanapki, która była miejscem spoczynku Rafała. Tymczasem Nardzewski, zrzuciwszy lisiurę, wyszedł z sąsiedniego pokoju w lżejszych butach i łosiej kurcie ze srebrnymi guzami. Twarz jego była czerwona i oczy przekrwione od wiatru. Siadł przy stole naprzeciwko niemieckiego przybysza. Nim znowu zaczął z nim rozmawiać, rzucił rozkaz:

— Wieczerza!

Kacper znikł we drzwiach wejścia, prowadzących do sieni i kuchni na drugiej stronie wielkiego dworu.

— Siadaj, Rafale — rzekł Nardzewski.

Zwracając się do Hibla, przydał:

— Mój siostrzeniec, Olbromski, z Sandomierskiego. Na poetyce w szkołach sandomierskich *juventutem* marnuje...

Gość skłonił się w milczeniu, nie podnosząc oczu.

Nardzewski patrzał weń nieruchomem spojrzeniem, w którego wyrazie nie było cienia przyjaźni.

— Radbym wiedział — rzekł zcicha, uprzejmie i prawie z pokorą — czy mamy zaszczyt należeć do tej samej nacyi, co waszmość, panie komisarzu, czyli też, niestety...

Obcy podniósł głowę. Uśmiech nieokreślony wypłynął na jego wargi. Rzekł ostrożnie, z namysłem:

— Jestem w mieście stołecznem, Wiedniu, urodzony. Tam mój ojciec urodzony był, gdy przybył z czeskiej strony...

— Z czeskiej strony? proszę...

— Tak jest. My są Słowianie.

— Rozumiem.

— Kiedy ja byłem sześć lat stary, rodzice moi przybyli do Wschodniej Galicyi i w Jarosławskim krajzamcie osiedli. Tam się wychowałem. Ojciec mój był mandataryuszem w dobrach księcia Olelkowicza.

— I to rozumiem.

— Teraz ja... Ja jestem prawie Galicyanin. Wiednia nie pamiętam, umiem po polsku.

— Doprawdy?

— Bardzo jestem przywiązany do tutejszych zachodnio-galicyjskich obywatelów i do tego kraju Zachodniej Galicyi. Ja do tego kraju ze Lwowa wydelegowany, kiedy po nieszczęśliwych przypadkach i smutnych zamieszkach ten kraj używać nareszcie zaczął

błogiej pomyślności pod panowaniem Najjaśniejszego cesarza i króla Franciszka Wtórego, zostałem.

— Toś waćpan dobrze powiedział.

— Bardzo to jest piękny kraj!

— A tak, dosyć piękny, tylko trochę niewesoły i, jak to sam spostrzegłeś, złej konduity... — mówił szlachcic, kiwając głową.

— Na lepszem pożytkowaniu ról zbywa... — nieśmiało wtrącił urzędnik. — Żadne drogi tu są, osobliwie w Kieleckim krajzamcie. Ach co za drogi! Ja myślałem, że tylko w Karpackich wielkogórach takie drogi bywają.

— To są, mości panie, polskie drogi. Ale jakoś i takiemi zajedzie, skoro się uprzeć. Co mówię? wjedzie tam, gdzie, zdawałoby się, tylko czarownica na łopacie doleci...

Dalszą rozmowę przerwało wkroczenie wieczerzy. Drzwi się otwarły, i tłusta gospodyni wniosła salaterki z kiełbasą w zawiesistym sosie. Dwie dziewki niosły półmiski z kartoflami, suto kraszonymi skwarkami słoniny. W mgnieniu oka stół nakryto obrusem i ustawiono fajansowe, powyszczerbiane talerze. Sztućce były bardzo pospolite, w oprawie z jeleniego rogu. Gość ostrożnie zabrał się do niewielkiego kawałka kiełbasy, a resztę momentalnie podzielili między siebie myśliwi· zgłodniali po całodziennych marszach i poście. Dymiące kartofle znikły. Znikła także druga potrawa: zając pieczony na rożnie. Przy drzwiach stał wciąż strzelec Kacper i łykał ślinę, aż mu się grdyka ruszała. Zajęty był wykręcaniem ze strzelb nabojów i przemywaniem luf ciepłą wodą.

Rafał, słysząc pociągającą muzykę szorowania wnętrza flint mokremi pakułami, okręconemi o stempel, nie tknął się już wina, którego kieliszek wuj mu podsuwał. Przysiadł w kucki obok strzelca i sennemi oczyma patrzał, jak czarna woda strzyka w miskę z panewek. Nudziła go rozmowa i obecność Niemca, a spać jeszcze nie było sposobu, gdyż słano mu zawsze w tym właśnie pokoju na sofie.

— Waszmość dobrodziej hoduje, jak widzę, piękne psy. To bardzo piękne psy są — mówił przybysz, głaszcząc z widoczną odrazą łeb Niemna, który mu poufale na kolanach łapy opierał.

— A niezłe psiska. Dziś się już podstarzały, ale jeszcze z pola nie schodzą. Jeszcze i cuch i rozum przedni mają. Osobliwie suka. Chodźno tu do pana, Wisełka.

Przygarnął sukę i gładził ją pieszczotliwie.

— Ona to wydaje się na oko niby melancholiczka, a to jest psisko bardzo a bardzo wietrzne i gońca pierwszej wody. I on tam, Niemen, ma ochotę i upór, ale za nią tylko poprawia. Spojrzyjno waszmość, co to za przestrone nozdrza! jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już ma co trąbą podać do mózgu. A jaki zato u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty i długi, zważ waćpan. A zato u tej... noga. Co? Stopka podługowata, widzisz waćpan? Ona mi się jeszcze ani razu nie podbiła...

— Ale! — wtrącił Kacper — gdzie się to taka suka podbije. To idzie po śniegu, czy po grudzie, jak ten lis.

— On, choć jest pies cnotliwy, nieraz się znosi i milczkiem, zdrajca, nakłada, a ją zawsze słychać: idzie

równo lasami, jak dyliżans po gościńcu. Głos kaj u młodej wdówki. Co ona wiatrem i prędzej, to ten musi kopytem, leniwiej, na rozum i nie tak rączo, a za nią, za nią!

— To bardzo piękne psy... A czy i tamte kundle także jakie zalety mają? — z odcieniem ironii pytał Hibl, wskazując wielkie, kudłate psiska pod piecem.

— Tamte? A to samo psy zacne. Na dzika — jedyne! Toż zeszłego roku w samą wilię wzięliśmy z nimi dzika prawie żywcem.

— Aż tak? — dziwił się Galicyanin.

— Byliśmy we dwu z tym oto strzelcem. Wyszlakował był dziki w lasach, tu na Bukowej górze. Nocowały w małym smugu, w oparzeliskach. Poszliśmy raniuteńkiego. Puściliśmy te pieski w zagajnik. Cicho, cicho... Aż jak wrzaśnie oto ten — Rozbój; aj-aj-aj! Na oko wszystkie i zębcami! Wygnały dzika tylego jak bawół wprost na niego, na Kacpra. No, zaczął mierzyć, celować, przykładać się i, dasz waćpan wiarę? — chybił. *Artifex!* On i takie sztuki potrafi, choć przecie ze mną trzydzieści lat za zwierzem chodzi, a chwali się, że kszykowi, jaskółce w lot nie zborguje. A psy swoje: stanowią dzika w głębokich śniegach. Żebyś waszmość widział ten obraz! Jeden się wszczepił w ucho, przelazł na bałyku przez bestyę i wisi, ani piśnie. A ślepie u niego — żywa krew! Drugi trzyma za lewe ucho; przedniemi łapami worał się w śnieg, w ziemię, i nie popuszcza. Trzeci, Kusy, dopada, dopada... Dzik toto wszystko wlecze na sobie i brnie śniegami. Ale kłem, rozumiesz to waszmość, nie może ani, ani, bo Rozbój... Czasem tylko dmuchnie nosem, albo ciapnie pyskiem...

Ja tu strzelić nie mogę, bobym psa, czego Boże broń, zabił. A już wolałbym sobie w nogę palnąć, niż w takiego psa. No, a dzik mi idzie w lasy i my, jak głupcy, za nim. Dopiero się przecie mój Kacperek odważył. Przeżegnał się i wlazł na dzika okrakiem, siadł se na nim mocno, jak na koniu, obcasy wparł w ziemię. Tym oto kozikiem, co go ma u pasa, zaczął mu podrzynać gardziołek. Naśmiałem się też wtedy! Bo to jechał na dziku ze siedm pacierzy, nim mu wszystkie żyły i *arterias* poprzerzynał...

— Szelma też to była sroga, choć i ten dzik! — westchnął Kacper. — Znałem ja się z nim! Dopadł ci mię on jednego razu na Cisowskiem, a jak mię zorał kłem po łydach, to do samej kości mięso ozdarł, jak cygankiem, aże w kolano. Pod siebie mię przecie o mało nie wziął, ciortu brat, bom go się był bardzo przeląkł. Teraz jeszcze, jak se spomnieć, to człowiekowi seremno. A ja już bywałem pod dzikiem. Już mi ta jeden orał kożuch na plecach to prawym, to lewym kielcem, i deptał po mnie raciami: z tego wiem, co taki ma w sobie za siłę! Świnia! Ślepiem na mnie, zatracony, pojrzał, tylem, jak żołędzia łupina, a krew człowiekowi w żyłach zmarzła, i w gardzieli głos zatkało... Alem ja i tamtego to samo połechtał po szyjce...

— Ba! my tu rozprawiamy — wtrącił Nardzewski — a waszmość, panie komisarzu, może i owo zgoła nie myśliwy?

— Ja wcale myśliwy nie jestem. Gdzież czas na takie zabawy znaleźćbym mógł? Zawsze na służbie... Oto i teraz delegowany na komisyę do wielmożnego pana, jako do zwierzchności gruntowej, jestem.

— Do mnie? Na komisyę?

— Tak jest.

— A w jakiejże sprawie, jeśli łaska?

— Spraw bardzo wiele.

— Nawet bardzo wiele. To ciekawe...

— Czy możemy zacząć w tej chwili?

— Noc to... A proszę, proszę...

— Ja przybyłem za dnia i czekałem cierpliwie. Jutro muszę jechać dalej.

— To też ciekawie słucham.

— *Primo*, konskrypcya dusz.

— Dusz konskrypcya? Chłopskich?

— Tak jest.

— Słyszane rzeczy!

— Baron von Lipowski, pierwszy cyrkułowy komisarz Kieleckiego krajzamtu, nie mogąc sam osobiście, mnie wysyła...

— A cóż waszmościom, u Boga Ojca, do moich chłopów?

Urzędnik zlekka a szczerze uśmiechnął się, nie podnosząc oczu. Nie odpowiedział też na to pytanie, lecz zadał inne:

— Czy wielmożny pan na fundamencie dekretu ratę ofiary styczniowej dziesiątego i dwudziestego grosza na ręce egzaktora w Chęcinach, urodzonego Czaplickiego, zapłacił był?

— Ratę ofiary? Cóż to za ofiara?

— Po wstąpieniu wojsk Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości w kraj tutejszy — mówił urzędnik głosem kaznodziejskim — odezwę do obywatelów feldcajgmajster de Foulon z żądaniem składania ofiary bez

najmniejszej zwłoki wydał był. W styczniu, zeszłego 1796 r., przez duchownych z ambon ten cyrkularz publikowany jest, a każdy pleban udzielał go obywatelom za rewersem. Czy wiemożny pan to *publicandum* otrzymał?

— Być może. Ale ja do papierów żadnej zgoła wagi nie przywiązuję. Mnie papier potrzebny tylko na przybicie prochu i śrutu, i to jeszcze przekładam flejtuchy z pakuł nad papierowe.

— Otóż, przeciw lepszemu spodziewaniu, wielmożny pan jeden z niewielu zaległ w opłacie.

Nardzewski siedział na swem krześle z rękoma w kieszeniach rejtuzów. Twarz jego, schłostana przez wiatry, była teraz szkarłatna, wargi odęte. Milczał długo.

— Bardzo być może... przeciw lepszemu spodziewaniu — wycedził wreszcie przez zęby.

— To *ad primum*. A teraz co do *homagium*. Pan baron von Lipowski, pierwszy cesarski komisarz Kieleckiego krajzamtu, żebym wyraził wielmożnemu panu niezadowolenie z powodu jego absentowania się w tej tak ważnej sprawie, polecił mi był.

— Do dyaska! siła grzechów, jak widzę, ciąży na mojem sumieniu...

— Tak jest. Wielmożny pan nietylko nie udał się osobiście do Krakowa...

— Ja do Krakowa! Ale czegóż to waszmość wymagasz ode mnie?

— To nie było wymagane.

— Nie wymagane znowu! Więc jak?

— To było oczekiwane od obywatelów.

— Raz wymagane, drugi raz oczekiwane!... Ja, mości panie, trzydzieści lat z tych oto Wyrw nie wyjeżdżałem i nie wyjadę. Nie wyjadę, chociażby kije z nieba leciały! Tu siedzę, i skończona rzecz. O niczem nie wiem... A pierwszy von Lipowski komisarz... Mam już dość Krakowa — i wszystkiego świata!

— To wszystko bardzo być może...

— Ostatni raz byłem w Krakowie *anno Domini* 1768. Porachuj-no waszmość, ile to lat.

— Rzeczywiście — wykrztusił Hibl, przeglądając jakieś papiery.

— Dawne to już, ubiegłe czasy, mości panie. Jeszcześ wówczas wasze nawet Wschodnich Galicyów nie oglądał.

— Wielmożny pan tam do szkół zapewne?... — mówił urzędnik, segregując w dalszym ciągu stosy swych notat.

— Do szkół? Ale co znowu! Ja szkoły traktowałem w Sandomierzu, w sławnem po wsze czasy kolegium ojców Jezuitów, choć już z niego ani dymu, ani popiołu. Ale nie do nauk byłem stworzony. Szczerze mówiąc, ledwiem się przez infimę, gramatykę i *sintaxim* przebił nie bez trudu, a poetyki i retoryki owo zgoła zaniechałem. Kraków!... — mówił w zadumie: — nigdy tam moja noga nie postanie. To waszmość możesz oświadczyć pierwszemu baronowi, z czegoś tam Kieleckiego.

— Z Kieleckiego cyrkułu — wyraźnie i zimno oświadczył urzędnik.

— Mnie te nazwy ani pachną, ani śmierdzą...

Hibl nieznacznie coś zanotował w pugilaresiku.

— Powiem waćpanu, — ciągnął szlachcic — czemu Krakowa nie lubię. Sam pojmiesz.

— Proszę, proszę...

— W młodocianym wieku osierocony przez rodziców, wzięty byłem przez opiekuna całej mojej puścizny, krajczego — Panie świeć nad jego duszą! — Olchowskiego ze szkół, gdziem się tyle, że wałkonił i po wagarach chodził. Na dworze jego, w Sieprawicach, młodość strawiłem. Siostrę moją, matkę tego oto młodzieńca, wychowała nieboszczka krajczyna. Pan Olchowski, jako sam człek ongi rycerski, bo z królem Janem bywał, widząc we mnie ochotę do szabli, udzielił mi błogosławieństwa w imieniu rodziców, a na znak i zakład posłuszeństwa *antiquo more* kazał rozciągnąć na kobiercu i własną swą senatorską ręką wyliczył mi pięćdziesiąt batogów. Zaraz też sto obrączkowych wsypał do trzosika, dał dwu pocztowych, dwa konie wierzchowe jak dyabły, ryngraf na piersi, i sam odwiózł do chorągwi pancernej, co się wówczas uwijała koło Miechowa. Wtedy oto pierwszy raz widziałem Kraków. A ostatni raz, ostatni... I niech go tam jasne pioruny spalą, cały wasz Kraków! Więcej tego wszystkiego kosztować nie myślę...

Gość zaśmiał się zcicha, chytrze rozszerzając powieki. Szepnął z udanem zdziwieniem:

— Dlaczego? Wielmożny pan obiecał wyjaśnić...

Szlachcic słyszał ten okrzyk i widział uśmiech, ale niezrażony mówił dalej:

— Dlaczego? A no dlatego... Wytrzymałem był w tym Krakowie oblężenie pospołu z bracią z województwa Sandomierskiego, Krakowskiego, jako też

i ziemi Sanockiej. Wytrzymałem dziesięcioniedzielny szturm do miasta. Byłem przytomny, kiedy nieprzyjaciel zdradą wpuszczony był do grodu, a my wszyscy sromotnie poddać się przymuszeni byliśmy. Złożyliśmy jak barany rynsztunek wojenny i dwie niedziel zamknięci w zamku krakowskim czekaliśmy na rezolucyę, co też z nami uczynią. Trzy nasze związki konfederackie, Boże mój, Panie miłosierny! rozłączono, a każdy do innej sali na zamku graf zamknąć kazał. A skorośmy do tych sal weszli, warta z ukrytych miejsc pokazała się, u drzwi i okien miejsca zajmując. Nazajutrz przyszedł plac-major z rezolucyą, ażebyśmy do podróży byli gotowi. Dwustu siedmdziesięciu nas samej szlachty oficyerów w marsz wyszło przez Grodzką bramę. A za oną bramą zastaliśmy konwój z karabinierów. Ci nas wiedli błotami i drogą złą w naznaczoną podróż. Później dopiero dano nam podwody, i tak oto zwolna jechaliśmy w oczach ludzkich przez Skalbmierz, Staszów, Iwaniska... Za Staszowem idzie tam droga szeroka lasem. No, mój ta już był bliski kraj. Zdala Święty Krzyż widać... Zdarzył się był nocleg w miasteczku Bogoryi. Dokoła zajazdu, gdzie my w stajniach pokotem leżeli, warta czuwała. Wstałem ja w późną noc, przyszedłem do karabiniera pierś w pierś, gdy się nie spodział, i wziąłem mu z rąk broń, siłą a w mgnieniu oka.

— Spał? — cicho szepnął urzędnik.

— Co miał spać?... Czuwał!

— Więc jakże?

Szlachcic uśmiechnął się boleśnie i strzepnął palcami.

— Nie pamiętam już dobrze, jak się to stało... Dość, że mię... te... puścił. Rzuciłem się we drzwi, między domostwa, wypadłem w pola i dopiero co mocy w nogach! Gwałt czynili żołnierzykowie, dalej sypać za mną w ciemności kulami, tylko mi koło uszu gwizdały. Ręka boska odegnała... Lasami przyszedłem do tych moich Wyrw bosy, obdarty do naga, głodny. A stanąwszy w tych progach, takem sobie rzekł: »Teraz Ci, Panie Jezu, ślubuję, że już nie wyjdę!« Otóż i siedzę, jak leśny wilk. Widzisz waszmość, że jadłem dość w tym Krakowie chleba, napoły z plewami spieczonego... Zważ waszmość, że działa się ta sprawa w roku Pańskim 1768. Gdzie mnie teraz do Krakowa? Cobym tam ujrzał?

— Wielkie zmiany, pożądane zmiany. Ten dzień 17 sierpnia zeszłego roku na zawsze zostanie w pamięci wszystkich co go widzieli. Najprzedniejsze obywatelstwo Zachodniej Galicyi zgłaszało się do nadwornego komisarza, pana barona Margelika z życzeniem asystowania przy wjeździe jegomości pana hołdowniczego, księcia Auersperga.

— Najprzedniejsze obywatelstwo, mówisz waszmość? Patrzajcież?

— Tak jest. Nie wszyscy mogli być przyjęci, osobliwie na dzień samego wjazdu 9 sierpnia. Co to za festyn był! Szły naprzód ku miastu przez most z przedmieścia Josephstadtu...

— Skąd, proszę?

— Od przedmieścia, Podgórze dawniej zwanego.

— Dawniej zwanego!... a teraz Josephstadtu...

— Cechy, korpus kawaleryi, stangreci obywate-

lów asystujących bez koni naręcznych, berajterowie, trębacze, później szlachta polska na pięknych koniach...

— Berajterowie, trębacze i szlachta polska na pięknych koniach...

— Damy polskie w powozach, dwór jegomości pana hołdowniczego, wreszcie on sam — i znowu korpus kawaleryi.

— Piękne widowisko, przez Bóg żywy!

— A w dniu hołdu! Od pałacu Spiskiego do kościoła Panny Maryi i do katedry na Wawelu stanęła infanterya i kawalerya w prostych liniach. Wyszli mieszczanie ze swymi cechami, świeckie i zakonne duchowieństwo, deputowani z cyrkułów i wszystka obecna szlachta w paradnych strojach, dalej personal *Gubernium* krajowego, wszystkie urzędy, akademia. Wszyscy uszykowali się w swych miejscach. Cisza jest, bardzo wielka cisza. Wtedy począł dzwonić na Wawelu wielki, starożytny dzwon, Zygmunt.

Nardzewski słuchał uważnie. Z podziwu, czy zachwytu, głowa jego chwiała się na prawo i na lewo, a z gardła dobywał się co chwila przemocą trzymany głos.

— W wieczór — ciągnął komisarz — było całe miasto illuminowane, a w Sukiennicach książę jegomość Auersperg dał wielki bal, gdzie się aż do samego rana bawiono. Zjazd był tak wielki z obydwóch Galicyów, że Sukiennice nie mogły wszystkich gości ogarnąć. Blisko sześć tysięcy szlachty w nich się z największą radością bawiło. Przy stole były spełnione toasty z wielkim zapałem, przy odgłosie armat...

Nardzewski wciąż śmiał się. W pewnej chwili mruknął, nie odwracając głowy:

— Zawieś mi kartę.

Strzelec natychmiast porzucił rozkręcone strzelby i do wahadła zegara, który naprzeciwko miejsca, gdzie siedział Nardzewski, wisiał na ścianie, przyczepił asa żołędnego. To uczyniwszy prędkimi kroki i z obawą, jakby się paliło, pobiegł do sąsiedniej izby, przyniósł stamtąd dwa piękne pistolety dziwerowane, z kolbami bogato srebrem nabijanemi, i położył je przed dziedzicem na stole.

— Kontynuuj waszmość, jeśli łaska... Miło mi słuchać tego, co mówisz, miło mi, przez Bóg żywy! Che-che... Więc tedy, powiadasz, jako wiarogodny świadek, że sześć tysięcy najprzedniejszej szlachty do rana z radości hulało, że te... I toasty, i okrzyki... A królewski, starodawny dzwon Zygmunt...

Urzędnik zamilkł i zbladł. Oczy jego kilkakroć błysnęły złowrogo i znowu skryły się pod powiekami. Prawa ręka ociężałym ruchem skradła się w zanadrze jedwabnej sukni i wydobyła stamtąd wąski, wenecki sztylet tak prędko, że ten ruch ledwie zdołały pochwycić bystre oczy Rafała. Nardzewski ciągnął:

— Mówże waszmość, miłościwy panie, z łaski swej... Niech i moje serce napoi się po brzegi radością tych dni! Ja tu w lasach, pośród wilków i lisów żywiąc, gdym rad, strzelam do tego znaku. Waszmości pewno dym prochowy nie szkodzi... Cha-cha... Na wiwat!

To rzekłszy, ujął pierwszy z brzegu pistolet i spojrzał w oczy Niemca. Po twarzy snuł mu się uśmiech, a z pomiędzy warg wypadał szorstki ów chichot, podobny także do czkawki, czy łkania.

Hibl miał twarz spokojną, tylko jakby stężałą. Prawe jego oko było przymknięte i dolna szczęka nieco wysunięta. Mówił zwolna, głosem pewnym i spokojnym:

— Cały ten wiekopomny akt przysięgi na wierność monarchom dynastyi Habsburskiej odbył się w największym porządku.

Nardzewski podniósł pistolet i strzelił.

Dym napełnił pokój. Wapno przez kilka chwil sypało się ze ścian i powały.

Rafał podszedł do zegara i sprawdził, że czarny znak żołędnego asa był z karty wystrzelony. Gdy się dym rozwiał i zaczął odpływać do izb przyległych, młody chłopiec ujrzał w polu odchyleń wahadła mnóstwo kul, które siedziały w modrzewiowych belkach. Niektóre były wpakowane jedna na drugą i rozpłaszczone.

Komisarz nie interesował się wcale wynikiem strzału. Siedział na swojem miejscu i kiedy niekiedy machnął ręką dla odpędzenia dymu. Widząc, że Kacper z pośpiechem nabija wystrzelony pistolet, mówił oschle, wyraźnie i śmiało:

— Mnie dym prochowy nie szkodzi, ale może wielmożny dziedzic zaniecha strzałów. Jeszcze ważne sprawy... Podług osnowy rozkazu mej władzy, ogłaszam jako zwierzchności gruntowej, że liczba dni roboczych, jakie odtąd komornicy świadczyć będą, rocznie bez różnicy płci trzynaście, a liczba płci chałupników dwadzieścia sześć wynosić ma. Chłopi, posiadający grunta, o ile płacą określone podatki, pracować na rzecz wielmożnego pana nie więcej nad trzy dni w tygodniu mają. Dłużej jak ośm godzin w zimie, a dwanaście

w lecie żaden pracownik w polu czy w gumnie robić obowiązany nie jest. Święto, gdy przypada w dzień pańszczyzny, liczy się na korzyść pracowitego chłopa.

— No i cóż jeszcze? — mruknął Nardzewski.

— *Presshafte Leute,* — mówił urzędnik — to znaczy podupadli na zdrowiu, starcy powyżej lat sześćdziesięciu wolni od robocizny być mają.

Nardzewski znowu ujął pistolet i strzelił. Nie czekając, nim się dym rozejdzie, wyrwał broń z rąk strzelca. Ostatni słuchał tak ciekawie tego, co mówił urzędnik, że ledwie ruch pana dostrzegł.

— Nabijaj! — wrzasnął Nardzewski — bo ci tu na miejscu łeb roztrzaskam!

— Żaden poddany...

— Co jeszcze? co jeszcze?

— Aby żaden kmieć skrzywdzony przez pana, żadną drogą samowładnie sprawiedliwości dla siebie forytować nie ośmielił się, rozporządzono jest, żeby do krajzamtu w Kielcach, wprost do pełnomocnego komisarza ze skargą szedł — ciągnął urzędnik głosem ochrypłym, ukryty już prawie w dymie prochowym.

— Niechaj spróbuje!

— Rozporządzono dalej...

— Co waszmość chcesz mówić? — zcicha, głosem suchym rzekł szlachcic, wstając ze swego miejsca. — Ja tu jestem panem, ja prawem! Naddziady tu moje siedziały... Moja to jest ziemia i moi ludzie. Te Wyrwy to jest mój kraj. Mój i niczyj więcej! I przez Boga żywego tu nikt...

Komisarz śmiał się.

— Za Jana Kazimierza, po wojnach, przybył tu

prapradziad mój, Józef, i te pustki lasami porosłe kupił za grosz, w boju, na kresach, ranami zdobyty. Sam własną ręką, wyszorowaną w ciągu lat przez pancerz i rękawicę, karczował te role, rwał pniaki i jałowce. Sam zrównał nowiny, wyniósł kamienie. Idź waść i obacz owe kamionki dokoła moich pól! Latami ten człowiek... Na tych to rolach moje chłopy siedzą. Nie miał na zawołanie najemników, a choćby i byli, to czemżeby ich opłacił? Przyszli za nim ludzie bezpańscy z dobra woli, nędzarze, przymierający głodem, i za kawały gruntu, za budynki i gospodarski dobytek zobowiązali się do stałej daniny w pracy. Lepiejże im może było tułać się po słotach, nie mieć dachu nad głową? Lepiej było poniewierać się w czeladzi po dużych dworach, czy też siedzieć tu w jasnych domostwach, na świętej, pospólnej ziemi, z której nie płacili przecie pieniędzy? Żyli tu jako jedna rodzina. Babka moja, jak zapamiętam, matka i moja, Panie świeć nad jej duszą, żona, były ich lekarkami. Spytaj waszmość kogo chcesz, czy i ja sam, chociem człek twardy...

Hibl kiwał głową.

— Jeśli zagrodnik trzysta zagonów roli pańskiej posiada, — mówił z uśmiechem ironii — niech płaci od każdego zagona po groszy miedzianych trzy, jak jest zwyczaj. Przypadnie za wszystkę jego rolę złotych sześćdziesiąt. Rachujmy dzień roboczy najtaniej po groszy miedzianych piętnaście, przypadnie za wszystkie dni robocze wroku złotych siedmdziesiąt ośm. Dobrze mówię?

— Mów wasan.

— To jakże? Gdzież reszta? Kto bierze ośmnaście złotych? A przecież to nie koniec! Muszą przecie

nadto stróżę po nocach odbywać, na posyłki chodzić. A daniny? Za cóż jeszcze daniny składają? Czy także z gruntu pradziadowskiego? Przecie go pracą na pańskiem z czubem okupili. Dają różne gatunki zboża, dają kury, jaja, połowę miodu od pszczół, muszą znosić do dworu określoną ilość lnu, jagód, orzechów, grzybów. Nawet gdy się orzech w lasach nie urodzi, dać go muszą, bo tak prapradziadom za Jana Kazimierza dawali...

Nardzewski słuchał tego wszystkiego jakby w osłupieniu. Ręce jego bezwładnie leżały na pistoletach.

Rzekł spokojnie:

— Skądże to waszmość wiesz? Skąd wiesz? Drażnisz mię, licząc na to, żeś pod dachem szlachcica polskiego... Ale przez Boga żywego nie czyń tego dłużej.

— Ja się broni nabitej nie boję...—rzekł komisarz z dumą, wstając ze swego miejsca.

Po chwili zwrócił się do strzelca ze słowami:

— Zawiadomić wójta i ławników, żeby się jutro cała wieś zgromadziła na dziedzińcu dworskim. Urzędowe rozporządzenia przeczytane będą. *Ad tertium*... Co do gromadzkiego śpichlerza...

Nardzewski spojrzał na strzelca okropnemi oczyma i z cicha mówił:

— Niech mi Jawór obębni po wsi, że jutro mają się zejść wszyscy, kto żyw. Na mój rozkaz, słyszałeś! Będzie brał karę Tomek Zalesiak za to, że się dobierał do mego lamusa. Otrzyma przy całej wsi i w oczach tego oto pana komisarza sto pięćdziesiąt miotełek brzozowych, jak za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i innych bywało.

— Oświadczam uroczyście wielmożnemu panu, że to się nie stanie, — mówił komisarz. — Bić zabrania się wszelką miarą. A teraz pragnąłbym udać się na spoczynek.

Szlachcic konwulsyjnie chwycił się za głowę, i coś jak szczekanie wyłamało się z jego zduszonej gardzieli. Wstał ze swego miejsca i zaczął chodzić po izbie z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego była straszna, o kolorze dymu, który ją owiewał. Co pewien czas piersi jego jęk wstrząsał, a wargi ciskały wyrazy bez związku.

Rafał w postawie siedzącej chrapał w kącie sofki, jak zarżnięty. Sen jego był tak twardy, że nawet nowy strzał wuja tylko go na chwilę ocucił...

Był już dzień biały, kiedy Nardzewski zaczął budzić siostrzeńca. Młodzieniec nierychło podniósł głowę. Zdało mu się, że dopiero co zasnął i chwileczkę drzemał. Ze zdumieniem też spostrzegł, że jest rozebrany i leży pod kołdrą.

— No, kochanku, szkapy zaprzężone: komu w drogę temu czas, — mówił Nardzewski. — Droga daleka, dzień mały...

Chłopiec wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Na dworze słychać było gwar ludzki, szczekania psów i donośny głos urzędnika, przemawiającego z ganku. Stary szlachcic chodził po pokoju, szarpiąc czuprynę i wąsy. Twarz jego była szara, oczy zdziczałe. Naglił siostrzeńca do pośpiechu, tłumacząc mu ochrypłym głosem, że dzień krótki. Zmusił go do prędkiego wypicia winnej polewki, otulił niedźwiedzią kiereją, wyprowadził na dwór i wsadził do szerokich sanek, naładowanych zwierzyną. Cztery dzielne konie, w lejc za-

przężone, włochate i dymiące na mrozie, niepokoiły się wśród tłumu chłopów w rudych sukmanach, bab w wełniakach i dzieci. Kiedy woźnica był gotów, Rafał uściskał wuja i zasiadł się dobrze w słomianem siedzeniu.

Tak mu było żal jechać, tak niewymownie... Paliła go nienasycona ciekawość, jak w lesie, gdy się odezwał głos ogarów.

Co też to będzie? Co się tu stanie?

Widział rozognione twarze chłopów, błyszczące ich oczy, które nic nie dostrzegały poza figurą urzędnika. Hibl w krótkiem futerku, oparty o słup ganku, coś dobitnie rozpowiadał.

Nardzewski dał znak furmanowi i sanie, głośno sprzypiąc na mrozie, ruszyły z miejsca.

— Przyprowadzić Zalesiaka! — krzyknął wtedy szlachcic, przerywając tym sposobem wykład komisarza.

Rafał nastawił ucha.

— Sołtys, bębnić!... — wołał Nardzewski.

Dał się słyszeć ponury, groźny głos bębna...

Konie Rafała, ściągnięte długim batem, pomknęły z kopyta torem, iskrzącym się od mrozu.

KULIG.

Z Opatowskiego w kierunku Koprzywnicy i złotopszenicznej niziny Powiśla, nawskróś jedynego na świecie Sandomierskiego płaskowzgórza, gnał kulig. Łańcuch kilkudziesięciu sań budził całą okolicę radosnym głosem dzwonków, brzmiącym łoskotem janczarów, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, bębnów, fujarek, melodyą śpiewów i muzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymając w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekina w czarnej masce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomykał. Blask złotych ogni w dymie płatami rozdzierających noc, o kilka wiorst na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zaspy, parowy, urwiska i wskazywał wśród nich przetartą drogę.

Noc była widna, księżycowa, mroźna.

Wielkie śniegi, przemarzłe w tęgich mrozach, leżały pierzastemi zaspami. Tu i owdzie wypełniły po brzegi wąwóz, których tyle w tamtej okolicy, gdzieindziej zadęły opłotki, a nawet wioszczyny przytulone

do urwisk. Mglistemi kępy i drgającemi żywo światełkami znaczyły się dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w wywary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arlekin. Kulig nie znał przeszkód. Tworząc ogromny korowód, leciały sanie najrozmaitsze. Jedne były snycerskiej roboty, pozłacane lub posrebrzane, z czasów jeszcze saskich i stanisławowskich, w kszkałcie łabędzi z długiemi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprzęgane czwórkami w piórach i czubach; inne — zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieślę pomalowane *lubryką* lub na zielono, a ciągnione przez fornalki rozmaitej maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi, jak chety, z jednaką brawurą i życiem rzucały się w zaspy, niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach.

Kapela, złożona z klimontowskich żydków, rżnęła od ucha mazury, oberki, krakowiaki, drabanty. Chwilami porywająca melodya przygasała, jak od zachwytu, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby z pod śniegu, dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni. Więc z jednej strony słychać było tkliwe dyszkanty damskie:

»Ścieni dąbek, ścieni, już się nie zieleni...
Dałam chłopcu słowo, już się nie odmieni!«

A z innej naigrawały się potężne basy męskie:

»A ja sama nie wiem, co to za przyczyna:
Gustuję w bronecie, wzdycham do blondyna!«

Zaraz odcinał się chór panieński:

»Granatowy fraczek, woskowane buty —
Teraźniejsza młodzież same bałamuty«.

I znowu z góry donośnie, siarczyście, zanosiły się skrzypce, basy i flety, głusząc wszystko.

Rafał, jak większość najmłodszych kawalerów, jechał konno. Pierwszy to raz w życiu dostał od ojca pozwolenie zażycia faworytnej »Baśki«, młodej klaczki swego chowu. Baśka liczyła sobie dopiero trzy wiosny. Pochodziła z ojca czystej krwi araba i matki polki. Była płocha, żywa, a przecie nad wszelkie słowo rozumna. Główkę miała maleńką, śliczną. Siwa sierść pokrywała jej skórę, cienka, jak jedwabnica. Klacz szła w pląsach, stroiła ogniste skoki. Bawiła się, jak człowiek: to nastawiwszy uszka i rozdymając nozdrza z chrapaniem, słuchała muzyki, to za nią w żartkich lausadach szła, niosąc jeźdźca rozkosznie, jak w kolebce. Rafał był szczęśliwy, co się zowie. Kieliszek starego węgrzyna, wypity gdzieś w ostatnim dworze w Górkach, Ossolinie, czy Nasławicach, rzucił jego uczucia jakoby na ptasie skrzydła. Koń niósł go wskróś tych zasp, których zimny oddech tak miłośnie mu twarz ochładzał... A w saniach, lecących przed nim, te dwie panie... Jedna starsza, mężatka, czy wdowa; druga — młodziutka dziewczyna. W blasku księżyca widział ich głowy i kołpaczki: u jednej — starożytny, sobolowy, z kitą osadzoną wśród brylantów; u drugiej — okrągły, suty, z gronostajów cynkowanych.

Osobliwie ta starsza, w salopie złotego koloru z puszystem futrem... Tańczył z nią krakowiaka i mó-

wił już kilka wyrazów. Stał mu w oczach cudny czar tej osoby, jej oczy zachwycające, które, zdawało się, nie widzą go wcale, i uśmieszek, który się z jego pomyłek w tańcu tak przedziwnie naigrawał. Wtedy nawet, gdy on, Rafał Olbromski, żywy i trzeźwy, na nią patrzał w futro otuloną, widział ją w głębi siebie inną, odmienną. Wspominał, jak z nim tańczyła w sukni greckiej purpurowego koloru, rozkosznie ściskającej stan i piersi, potoczystej, z ogonem i obszyciem ze złotego masyfu.

Pamiętał śliczne ręce w bufiastych rękawach ze śliskiego atłasu, które się do niego w tańcu wyciągały, i włosy z grecka trefione. Podniecał konia do skoku i kiedy się równał z saniami, wówczas brylanty na kołpaczku, zwróconym w jego stronę, migotały w blasku księżyca. Oczu nie było widać, i Rafał pewien był, że nie patrzą. Jakże czarodziejsko, jak rozkosznie mieniły się błyski drogich kamieni.

Zdało się, pomimo wszystko, że to uśmiech ów skryty, niewidoczny, schowany i wzgardliwy, a przecie nad wszystko powabniejszy, przez noc się ku niemu przebija. Schylał się, niby to poprawiając trzęzlę lub puślisko, ale i tak oczu nie widział.

Sam był przebrany w strój niby wiejski, krakowski, w żupan granatowy z karmazynowym kołnierzem, lamowany srebrnymi galonami z szychu, w zuchwałą czapkę karmazynową, rogatą, z pawiem piórem. Pas z kółkami pobrzękiwał na nim, a stalowe podkówki trzaskały o strzemię.

Co chwila odwracał się ku niemu i drugi kołpaczek. Ta głowa dziewicza była bliżej. Nie kryła wcale

swych spojrzeń. Widział oczy i rozchylone usta, małe, ponsowe, czuł nawet unoszący się nad saniami w czystem powietrzu zapach *l'eau de la reine d'Hongrie*, tak poczciwie zwany larendogrą. I były chwile, że jak przykuty, jak we śnie, sam nie wiedząc czemu, wpatrywał się w te oczy, które się do niego śmiały z serdecznością i szczęściem.

»Bo niemasz krainy, niemasz takiej strony,
Gdzieby nie kochali chłopcy cudzej żony...«

— wyleciały, jak z procy, skądś, aż z ostatnich sanek, swawolne słowa. Niby groty z ognia uderzyły w Rafała i jakoby oczywiste prawdy zatrzęsły nim aż do samej głębi duszy. Pochylił się na kark konia i tylko siłą wstrzymał ręce, żeby go nie objąć i ust płonących nie przycisnąć do wzdętej jego grzywy.

Jeden głos męski potężny, drżący od siły i wesela, śpiewał w nocy:

»Nie będę się żenił, nie będę się śpieszył...

— Jeszcze czego! — wołał drugi.

«Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...«

— ciągnął pierwszy z taką szczerą prawdomównością w każdym tonie, że wszystkie sanie wybuchnęły śmiechem radosnym, prawdziwym aż do samego dna. Był to jakgdyby akord tej samej pieśni, jakby okrzyk zgody czułej, jakby potwierdzenie prawdy nieomylnej, a długo zamącanej przez kłamców.

Zdala, zdala, od przednich sań leciała piosenka:

»A ja się stanę małą ptaszyną
I okryję się gęstą krzewiną...
— Jednak ja twoja nie będę!
Mają cieślowie takie topory,
Że wycinają lasy i bory...
— Jednak ty moją być musisz!...«

Pieśń ta, w inną stronę, jak wiatr, poniosła duszę Rafała. Dłonie jego ścisnęły jak gdyby toporzysko siekiery, i ramię kurczyło się, żeby z całego duchu ciąć owe »lasy i bory«. Ujrzał je w oczach, jak żywe: bory niezmierzone, głuchą świętokrzyską puszczę. Wionął na niego smutek i żal...

— Także to nas waćpan zabawiasz, mości kawawalerze, — rzekła nagle starsza z pań.

— Ale bo ja... właśnie w tej chwili... — bąkał Rafał zmieszany, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi.

— Ani nam nie śpiewasz pięknych piosenek, ani grzecznym dyskursem nie rozweselasz. Niemy waćpan jesteś, jak ten worek skórzany, w którym nogi trzymamy. Tyle, że z nami jedziesz, jak i on...

— Nie umiem śpiewać. I dlatego właśnie...

— Toć to kulig, nie pogrzeb. Waćpan jedziesz na swym koniu za naszemi saniami, jak za trumną.

Rafał płonął ze wstydu, ale w tonie mowy pięknej pani nie czuł gniewu, ani odrazy. To też pod wpływem nagłej decyzji zeskoczył z konia i stanął w tyle sanek. Przez chwilę myślał, że za ten krok będzie cierpiał srogie jakieś kary, ale było mu wszystko jedno.

— O, nie zasłużyłeś waćpan, żebyśmy cię na naszych saniach wiozły! Nie prawdaż, Heleno?

Młodziutka towarzyszka śmiała się zcicha i co chwila wykręcała się na swem miejscu.

— Już się napewno poprawię! — szepnął.

— Więc akomoduj się waść, bo źle będzie...

Wrzawa na saniach, jadących przodem, wzmagała się coraz bardziej. Bliżej, rozgłośniej słychać było jedną i drugą kapelę. Pochodnie uwijały się gdzieś w dole.

— Cóż to za zgiełk? Dlaczego? — pytała piękna pani.

Rafał podniósł głowę i spostrzegł, że cały łańcuch sanek zjeżdża w dolinę rzeki Koprzywianki. Z urwistych brzegów, omijając zadęte wąwozy, sanie pędem zlatywały na dół wśród krzyku kobiet i nawoływań męskich.

Klaczka Rafałowa niechętnie szła za saniami. Musiał ją ciągnąć za uzdę, a wsiąść na siodło już nie mógł. Ani sposobu! Przyrósł do miejsca w tyle sanek. Owiewał go czarodziejski zapach i jasny blask tych dwu zjawisk, które miał przed oczyma. Teraz już widział uśmiechy obudwu twarzyczek, zwróconych ku niemu...

— Gdzież jest dom rodziców waćpana? — pytała pani.

— Z tamtej strony, za rzeką.

— Czy go już widać?

— Ledwo, ledwo! Światła się daleko w nim błyszczą.

— Gdzie to?

Rafał nachylił się nisko i wskazywał ręką. Sobolowe futro musnęło go po twarzy

— Ach, więc to tam są Tarniny? — prędko wypowiedziała panna Helena, nie wiadomo, czy do swej towarzyszki, czy do Rafała.

On czuł, że musiała się przytem strasznie zaczerwienić, że cała stanęła w ogniu, bo i jego ogień ogarnął. Słodki, melodyjny głos brzmiał w jego uszach w całej głowie, w piersiach. Te to przecudne, jaśniewielmożne usta nazwały jego wieś rodzinną...

— Tak, to Tarniny... — odpowiedział z pozornym spokojem.

— Musimy tam zajechać... — mówiła starsza pani, — a przewrócimy wszystko, mości mruku, do góry nogami. Prawda, Heleno?

— Ja sam będę dopomagał, bo dom nasz stary niski i niepiękny. Musiałby rodzic drugi dom wystawić.

Powiedziawszy to głupstwo z dość wielką brawurą, obejrzał się mimowoli, czy aby rodzic nie słyszał aforyzmu.

Woźnica stanął w saniach i wstrzymał swą czwórkę. Cztery spasione konie, okryte lamparciemi skórami w szorach, nasadzanych licznymi dzwoneczki, z czubami ponsowych piór na łbach, stały w blasku nad brzegiem urwiska, jakby senne widziadło. Po chwili, gdy ruszył lejcami, zapadły w dół, idąc zrazu kłusem, później galopem. Wierzchówka Rafała nie chciała ich naśladować, i młodzieniec, pragnąc nie wypuścić z rąk wodzów, musiał skoczyć na ziemię. Runął w śnieg i ledwo utrzymał cugle. Po chwili namacał końcem stopy strzemię i gnał za saniami.

W nizinie, nad brzegiem rzeki, utworzył się istny

zator pojazdów i koni. Mostu w tych miejscach nigdzie nie było. Jeżdżono od początku świata w bród. Pierwsze sanie, przebywając rzekę po lodzie, oberwały wielką jego taflę i ledwo, ledwo wydobyły się z wody. Brzegi rzeczki były spadziste, obmarzłe, nie do przebycia. Jedyne łagodniejsze miejsce zostało zniszczone. Czekano na chłopów z najbliższej wioski. Tymczasem zjeżdżało sań coraz więcej. Dwie kapele złączyły się teraz i od ucha cięły zawołanego mazura. Okazało się, że pierwsze sanie wiozą napotkanego w drodze »turonia«, czyli »kłapacza«, t. j. chłopa przebranego za straszydło z wysoką szyją, jak u żyrafy, i ruchomą paszczęką, czerwonem suknem wybitą. Na wybrzeżu Koprzywianki powstał gwar, zgiełk, hałas. Dzwonki, janczary, krzyki, śpiewy, muzyka zlewały się w ogromny wybuch wesela. Turoń posuwał się zwolna między saniami, kłapiąc dolną żuchwą i nachylając się to tu, to tam. Rafał na widok tego stracha, tej przeraźliwej chimery, uczuł w sobie dreszcz, który się wskroś śmiechu przebijał. W tej samej chwili panna Helena, obok której stał właśnie, znagła ujrzawszy poczwarę, krzyknęła, rzuciła się na oślep, a lewą ręką pochwyciła ramię Rafała. On instynktownym ruchem przysunął się ku niej. Tak przez chwilę stali obok siebie, złączeni śmiertelną grozą, gdy turoń nachylił się ku ich twarzom i końską swoją paszczę szeroko otwierał. Po chwili śmiali się do rozpuku, zaznajomieni ze sobą wskutek tego zdarzenia, jakby od wielu lat chowali się pod jednym dachem.

— Boisz się waćpanna turonia? — zapytał cicho.

— Ależ nie... Co znowu! Tylko tak na mnie zakłapał.

— Ja się dawniej bałem. Och, bardzo, strasznie! Śnił mi się po nocach ze swoim czerwonym językiem. Po Bożem Narodzeniu przyszedł raz do nas, do Tarnin Byłem wtedy chory, a w dodatku mały smarkacz. Drzwi się otwarły, i wsunął się łeb... Wie pani, taki okropny bez oczu...

— Och, wiem! Nagły łeb, jakby się wyśnił, albo, jak czasem z ciemnego pokoju... wiesz waćpan, coś takiego wyłazi...

— Czasem jeszcze i teraz, choć to śmieszne, zdaje mi się, że stoi za oknem na deszczu, na wichrze, i słychać kłapanie. A oczu strach podnieść... Spojrzeć? — Za nic! Prawda?

— Za nic! A to tylko wiatr wyje w ciemną noc, w jesień... To poprostu topole jęczą i skrzypią, a stare lipy huczą. Przejdzie chwila i wszystko nacichnie!

Gromada chłopów, zwołana przez umyślnych na miejsce, jęła się pracy. Usiłowano przeprowadzić konie i sanki w innem dostępnem miejscu, ale znowu lód nie wytrzymał. Radzono tedy, co czynić. Jedni utrzymywali, że wypadnie objechać aż na Koprzywnicę; inni byli zdania, żeby się cofnąć w górę rzeki, gdzie jakoby przed laty był jakiś lekki mostek.

— Chłopcy! — zawołał nagle ktoś z tłumu szlachty: — a nam co po moście? Który się podejmie przenieść sanki razem z paniami na drugi brzeg rzeki, dostanie natychmiast czerwony złoty jeden, pojedyńczy!

— Zimna woda, jaśnie panie! — rzekł pierwszy chłopowina z kraja.

— A ja idę! — krzyknął drugi, ściągając z ramion zwierzchni kożuch.

Po chwili już kilkunastu rozzutych i napół odzianych brało na bary pierwsze sanie. Furmani siedli oklep na wyprzężone konie i w drugim brodzie przejeżdżali wodę. Powstał krzyk dam siedzących w saniach, śmiechy i oklaski zgromadzonych na brzegu. Przenoszenie długo trwało. Wkrótce jednak na przeciwległej stronie zgrupował się zastęp niemały. Zmącona woda chlupała, gdy chłopstwo podsadzało się pod sanicę i brnęło środkiem.

— Zimno! — wołali dźwigający.

— Dalej go! czerwony złoty na głowę... — zachęcał projektodawca.

— Kapelę nam tu dawajcie, kapelę! — dopominała się młodzież: co tu mamy próżnujący czekać...

— Pochodni! — nastawały panie.

— Ej, chłopy pracowite! — ozwał się głos młody — a weźcie no jeden z drugim łopaty, ubijcie nam tu śnieg, a równo, twardo!...

— Żydy, mazura!

— Pejsate Żydy, naszego!

— Kulig!—wykrzyknął arlekin, podniesiony przez młodzież nad głowy wszystkich.

Żydki urżnęły od ucha.

Wkrótce śnieg ubity był twardo i zrównany, niby najdoskonalsza posadzka. Oczekując na przybycie wszystkich, puszczono się w pląsy, zatoczono mazura, jakiego świat nie widział.

Matrony i starcy, otaczając koło, przyklaskiwali, a młódź hulała co tchu. Wnet futra, opończe, bekiesze poczęły zawadzać, więc je rzucano w sanie. Hajduki wysoko wznosiły pochodnie, i gruby, bujny, migotliwy

blask oświetlił miejsce. Zabłysły kółka pasów, barwne kierezye, wyszywane gorsety, białe rękawy koszul.

Rafał tańczył z panną Heleną. Wyglądał szatno i szumno. Krzesał hołubce, jak żaden. Krew w nim kipiała.

— Olbromszczak... — gwarzono naokół z aprobatą i poklaskiem.

— Dobra krew...

— Widać zaraz, że dumna sztuka...

— Po ojcu, po starym cześniku. To samo tancerz był ongi, a towarzysz nie ladajaki, chociaż dziś kutwa nad kutwami.

— Patrzajcie-no... Co to za pląs! co za gracki ruch!

— To mi tan!

— Dyablo i pięknie!

— Ej, dziś-dziś, ej, dziś-dziś!

Panna Helena zrzuciła futerko i kapłoni rękawek. Miała na sobie suknię niebieską z krótkim stanem, z fartuszkiem linowym w paski, bez żadnego upiększenia. Nie wpięła nawet kwiatu we włosy, spuszczone na czoło. Gdy od tańca zakwitły jej policzki, oczy zdało się, pochłonęły migotliwe blaski pochodni i otrzymały ich siłę palenia. Rafał nie mógł od niej oderwać wzroku, zapomniał o świecie całym. Taniec był dla niego już nie zabawą, lecz wybuchem radości, pląsaniem ze szczęścia. Oczy, złączone z oczyma ślicznej panienki, pełne były zachwytu i poczęły wypowiadać to, czego napozór nie było wcale w duszy, co tam leżało jak ruda kruszcu bez ceny, martwym pokładem. Teraz bił stamtąd blask i wznosił się pachnący dym.

Kiedy najbardziej rozkosznie wciągał w nozdrza ten królewski zapach i najsiarczystsze krzesał hołubce, usłyszał głos ojca. Stary cześnik mówił:

— Kto, mośćbrodzieje, na mój grunt, dnia dzisiejszego, kto, mówię, na mój grunt nogą stąpi, tego, mośćbrodzieje, już nie wypuszczam za granice włości: takie u mnie zdawiendawna *jus terrestre,* dnia dzisiejszego.

— A toż tańczymy, sąsiedzie dobrodzieju, na waszym gruncie, aż w całej parafii dudni... — ktoś z boku zawołał.

— Nie nasza to rzecz, mośćdobrodzieju, *sub divo* hulać!

— Dlaczego, panie bracie?...

— Dlatego, że to despekt dla szlachcica, mośćbrodzieju. Choć u mnie pod strzechą izdebki, choć, mówię, nie do tańca, aleć miłościwe panie i łaskawi sąsiedzi, Bóg widzi, jak się rzekło...

Rafał zatrzymał się w tańcu i wmieszał w tłum. Nie rad był wcale nasuwać się rodzicowi na oczy. Stary tymczasem już go był dostrzegł i obrzucił szorstkiem wejrzeniem.

— Raczcież, — ciągnął—miłościwe mośćbrodziejki, raczcież, sąsiedzi panowie i bracia... zaszczycić...

Był to starzec zgarbiony latami, łysy, z krótkim, mlecznym wąsem i grubą brwią nad wspaniałemi jeszcze oczyma.

W koło tańczących wtłoczyły się saneczki arlekina, i czarna jego maska wynurzyła na światło.

— Do Tarnin, kto żyw! — wołał głośno, trzepiąc swą rózgą wokoło, a szczególnie mężczyzn blisko stojących. — Do Tarnin!... cóż tu stoicie, mazgaje?

Wszyscy ruszyli do swoich sanek. Powstał ścisk, gwar, wyszukiwanie i wdziewanie rzuconych futerek i burek.

Królował śmiech. Buchnęła w rozmowach bezmierna wesołość. Zakipiały śmiałe żarty, mignęły tu i owdzie ukradkowe całusy po ręku, jak cieniem zakryte obrazą, która trwała przez mgnienie oka, uśmiechy, których piękność i rozkosz głębia nocy pochłania i życzliwie zataja. Gdy Rafał dopadł wierzchówki i miał skoczyć na siodło, ujrzał ojca tuż przy sobie. Cześnik nieznacznie zmacał ręką kark klaczy, badając, czy bardzo zgrzana, i coś pod nosem mruknął. Rafał wiedział, że z tych badań dobrego nic nie wypadnie, ale tylko przekrzywił krakuskę na głowie. Co ma być, to tam już jutro... Klacz sama stanęła obok sanek, w których siedziały znajome panie. Chwilę stali na miejscu, nim ogromny wąż zaprzęgów ruszył się z miejsca. Widzieli znowu przed sobą rwący się w kierunku Tarnin barwisty łańcuch. Ognie, okrzyki, śpiewy znowu napełniły dolinę.

W dali, na wzgórzu między drzewami, wśród Sandomierskiego płaskowzgórza, które się skłania ku dolinie Wisły, paliły się światła w oknach starego dworzyszcza. Kiedy nareszcie i pojazd Helenki ruszył z miejsca, Rafał usłyszał głos ojca, który gramolił się do małych saneczek.

— Rwij mi, dnia dzisiejszego, z kopyta do dom i przyjmuj na ganku.

Kawaler z bólem podciął klacz, ze wściekłością przechylił się na siodle i, wymijając pochód, ruszył cwałem. W mig był na ganku. Już tam pierwsze sanie stawały, i matka w kontusiku drojetowym, z siostrami

w odświętnych sukniach, witała gości, błagała o zaszczycenie niskich progów. Rafał stanął przy matce, kłaniał się, zdejmował futra, szuby, wprowadzał panie, znosił krzesła. Wkrótce zjawił się i ojciec. Nikt nie mógł poznać starego Olbromskiego, który nigdzie nie bywał i nikogo prawie nie przyjmował u siebie. Dziś stary zmienił skórę. Przybrany w piękny kontusz, Bóg wie, jakie czasy pamiętający, »na opaszki« wrzucony,— w drogi żupan — giął się w ukłonach, muskał wąsa, jak za dawnych, pijackich czasów, uśmiechał się, prawił komplementy i sumitował. Gdy wstąpiła na ganek jedna z najpoważniejszych matron okolicznych, stary cześnik podał jej ramię i z krygami, muskaniem wąsa oraz odrzucaniem wylotów wiódł ją uroczyście przez tłum, zgromadzony już nietylko w bawialni, w alkierzach, w ciasnych i niskich izdebkach dworu, ale nawet w sieni, na ganku, w bokówkach starych ciotek, sióstr-panien odwiecznych i rezydentek.

Rafał dopilnował, żeby godnie przyjąć swe damy Podał ramię pani stolnikowej i wprowadził ją do domu Sam nie wiedział, skąd mu się wzięła pewność taka, śmiałość ruchów, ukłonów, które wykonywał, i słów grzecznych, które mówił. Pani stolnikowa trzymała za rękę swą towarzyszkę, pannę Helenę, i śmiała się wesoło. Stanęli za progiem izby bawialnej, gdzie już był tłok taki, że obrócić się nie było sposobu, gdy cześnik przepraszał właśnie swych gości i zaklinał, żeby się bawili, jak mogą.

— Łuczywa nam tylko sąsiad dobrodziej nie poskąpisz! — wołał ktoś z tłumu. — Wyjdziemy na dziedziniec i jak nad wodą, hulaj dusza!

Stary zwrócił się w stronę tego głosu i mówił z pięknym ukłonem, śmiejąc się chytrze:

— Dom ciasny, na miły Bóg, ciasny, mościbrodzieju! Sam to widzę i boleję, ale nieraz tu już krzesano hołubca pod tą strzechą niską za dobrych starych czasów. Hańbaby to dla mnie, dnia dzisiejszego, była, gdyby na dziedzińcu tak znakomici goście...

— Cóż, kiedy ciasno, sąsiadeczku dobrodzieju nasz!... cóż, kiedy ciasno...

— Ciasno, nie ciasno! — zawołał ktoś inny.—Szlachecki dom ciasny, ale miejsca w nim do tańca, dla braci, nie brakło, jak świat światem. Jakoś się rozsuniemy...

— Mościbrodzieje! — wołał głośniej cześnik, zarzucając w tył wyloty starego kontusika, — mościbrodzieje! ściany każę wyjąć z tych oto pradziadowskich węgłów!...

— Co znowu! Miejsca dla nas — świat!

Muzyka, ustawiona za oknami, grała krakowiaka, i kilka par puściło się w tany. Dla stojących nie było już tam miejsca. Tłoczono się tedy z izby do izby.

Służba folwarczna, *ad hoc* poprzebierana w liberyjne kubraki, roznosiła wino na tacach i domowe ciasto. Gwar rozmów napełnił dom cały aż do ostatniej sionki, gdzieś na ogrody wychodzącej. Było wesoło, ale czuli to wszyscy, że o tańcach w tym domu nie może być mowy. To też szeptano sobie pocichu, żeby chwilę jeszcze z grzeczności pobawić i ruszać dalej dla odszukania dworu większego.

W bokówce, gdzie wisiał wielki obraz Matki Boskiej Sulisławskiej ze zczerniałemi od starości ramami,

w bokówce, która zamknęła w sobie niejedno już zapewne długie życie, całkowite od kolebki aż do grobu, starosta i starościna kuligu prawili długą oracyę do gospodyni domu, cześnikowej Olbromskiej, częstując ją deską, wyrobioną na wzór pszenicznego sandomierskiego placka.

Wskroś tonów muzyki przebijały się do dalszych izb ledwie strzępy tej mowy:

— »Cóż tedy czynić,—wołał starosta,—kiedy kogo *astra* necesytowały urodzeniem, iż odjąć się nie może naturze i do wesołej przywyknąć konwersacyi? Sili się *ars*, różne *media* i *remedia* podając... Ale *fluctuantur* podczas i same nawet nadzieje, kiedy *tenax propositi* człowiek uchwyci się kresu i portu swego, słusznie zaprawdę *gratulari* sobie może...«

Gwar zagłuszył ciąg dalszy. Ale za chwilę znowu dała się słyszeć rzecz miodopłynna:

— »Jakoż prędzej niebotyczne cedry zajadłym czas zębem skosi, prędzej kwitnące zwiędnieją laury, aniżeli rozkwitła w serdecznych wirydarzach przyjaźń jakiejkolwiek podpadnie alteracyi...«

W sąsiednich izdebkach młodzież tańczyła, jak mogła, kręcąc się na miejscu. Zbliżała się już chwila stanowcza, i oglądano się już tylko na arlekina, ażeby wydał hasło do odjazdu. Rzeczywiście przedarł się przez tłum w swej masce, skrzypiąc i trzepiąc rózgą naokół po sprzętach, ścianach i plecach. Stanął na środku obszerniejszego pokoju, zatrzymał tańczących i jeszcze raz wykrzyknął, kręcąc się na pięcie:

— Hej! kulig, kulig!

Wtedy stary Olbromski znowu z gracyą podał

ramię swojej matronie. Muzyka urwała i z nagła, niespodziewanie ucięła wspaniałego poloneza. Wszyscy z podziwieniem oczekiwali, co będzie dalej. Cześnik występował z niewymowną precyzyą i nadzwyczajnemi ceregielami. Minął jednę izbę, drugą, jakieś alkierze, bokóweczki, sienie, aż wreszcie zatrzymał się przed szczelnie zamkniętemi drzwiami. Tu zarzucił wyloty, musnął wąsa i znagła klasnął w ręce. W mgnieniu oka drzwi się naoścież rozwarły. Oczom idących ukazała się duża, pusta, wysoka i doskonale oświetlona sala. Arlekin wyrwał się naprzód i w podskokach ją przebiegł, wołając:

— Kulig, kulig!

Pary wkroczyły do wielkiej izby. Muzyka, umieszczona w przeciwległych drzwiach, zagrała krakowiaka, i cały tłum z okrzykiem wesela puścił się w tany. Nierychło spostrzeżono, że jest to prosta stara kuchnia. z piekarnią dla czeladzi, przybudowana w tyle dworu. Cześnik w przewidywaniu kuligowego najazdu kazał ją z sadzy oczyścić, wprawić nową i wywoskować do tańca podłogę. Ściany zawieszono festonami z jedliny, olbrzymi komin i piec chlebowy zastawiono świerkowemi drzewkami, tworząc z nich pewien rodzaj leśnej altany. Woskowe świece w drewnianych lichtarzach, które przybito do ścian, rzucały rzęsiste światło.

— Ot, to mi figiel gracki! — wołano ze wszech stron.

— To po naszemu!

— To lubimy!

— W górę gospodarza! Ot, to prawdziwa niespodzianka!

— W to nam graj!

Teraz dopiero wyzwoliła się zabawa, co się nazywa. Wszystko co młodsze znalazło się w sali i hulać zaczęło. Były tam i modne fraczki, i starodawnym krojem szyte kontusiki, głowy w lokach i podstrzyżone. Większość panien miała już na sobie suknie, odkrywające ramiona, a czoła zakryte puklami włosów, ale nie brakło dziewic, odzianych w staromodne suknie, w lewitki i bufoniki, w krótkie rękawki z długiemi angażantkami z koronek. Wszystko to mieszało się w tłum barwisty, utkany mnóstwem kierezyi chłopskich, krakowskich »suk«, gorsetów i białych, bufiastych rękawów. W pierwszej chwili tuliła sie po kątach młodzież uboższa, ale wnet radość powszechna wciągnęła w wir i najmniej odważnych. Chwilami ta rozbawiona młódź sprawiała wrażenie zdrowej, dzielnej, urodziwej stadniny, pędzącej z krańca w kraniec po błoniu. Nowa podłoga dudniła, jak skóra na bębnie, światło jarzących świec chyliło się poziomo to w tę, to w inną stronę, zawieszone festony chwiały się do taktu, a cała izba, zdało się, trzeszczała w swych węgłach. Wrzawa uciechy huczała w niej, jak spieniona woda. Zdrowie, młodość i kipiące życie przemieniły ten taniec w wylew radości. Bawiono się z pełnego serca, hulano z potrzeby duszne j, tańczono w całem znaczeniu tego wyrazu do upadłego. Słychać było tylko śmiech i krzesanie hołubców.

Otwarto drzwi, gdyż było duszno nawet w tak wielkiej izbie. Ktoś spróbował odemknąć okna, a gdy się okazało, że są na głucho zabite gwoździami, wyrzucił je razem z futryną. Wnet z dwu czarnych otworów wionęły białe obłoki i ukazały się w nich liczne

głowy czeladzi, dziewek i parobków wiejskich, co z rozdziawionemi ustami patrzali nieruchomo na to pańskie »granie«.

Starsi z gości, nacieszywszy się rozkoszą młodych, natupawszy w miejscu i po wyładowaniu westchnień za ubiegłymi laty, rozpełzli się po stancyjkach dworu. Wszystkie alkierzyki i przybudówki z niskiemi powałami, o wybielonych wapnem belkach, pełne były gwaru i śmiechu. Każda z tych skrytek miała już swój choćby najmniejszy stół i grono biesiadników. Niektóre łączyły się między sobą nakryciami, tworząc jadalnię dziwnie pokrzywioną, która szła wskroś całego dworzyszcza. Jedzono na porcelanie, na cynie, na holenderskiej farfurze, na wszelkiem naczyniu, jakie w domu było. Przepłynęła już była kolejka gdańskich wódek, obnoszono potrawy, i strugą lać się zaczął węgrzyn. Szlachta piła. Większość przyjechała już dobrze podochocona, a teraz weseliła serce do znaku. Gospodarz, gospodyni, dwie ich córki i syn obsługiwali gości. Rafał, obchodząc gości z dzbanem wina, słyszał mimo chęci szeptane rozmowy.

— Beczkę węgrzyna sprowadził na saniach z Krakowa stary kutwa: słyszeliście?

— Cuda, cuda!...

— Starsza córka skwaśniała im na ocet siedmiu złodziei, więc teraz młodszą umyślili spróbować z innej beczki.

— Sarnie combry jadą! Widziałeś sąsiad... Jak mi Bóg miły — sarnina!

— Combry, ale baranie.

— Mnie aby waszmość powiesz! Ja węchem po-

znam cuch sarni, kiedy się jeszcze na brytwannie smaży, a dopieroż na półmisku...

Gdzieindziej mówiono jeszcze ciszej:

— Tańce w kuchni, a przyjęcie w bokówkach.

— Piastowskim obyczajem...

— Pastuchy od prosiąt w lejbikach z galonami.

Rafał płonął ze wstydu, gdy niespostrzeżony słuchał słów takich. Najbardziej go zabolał szyderczy śmiech pięknej pani.

Skoro tylko mógł się wymknąć, biegł do izby bawialnej. Tam ścigał oczyma błękitną panienkę. Smutek uciskał mu serce w chwili, kiedy spostrzegł, że, tańcząc z kim innym, była wesoła i rozbawiona. Kiedy go spostrzegła, oczy jej śmiały się jeszcze bardziej, jakoś promiennie i z radością. Wówczas na jedną sekundę nie rozstawały się ich oczy. Były ciągle zwrócone... Nawet podczas drabantów i anglezów, które usiłowała zainaugurować młodzież wykwintniejsza i bardziej światowa (od strony Zawichosta), panna Helena odwracała głowę w tym kierunku, gdzie był jej kawaler. Gdy w przerwach między jednym tańcem a drugim przechadzała się z towarzyszkami, Rafał przyłączał się do niej na chwilę. Nie mógł, poprostu nie był w możności oderwać oczu od tego widoku, jak usta jej uśmiechają się z dziecinną szczerością, a jednocześnie słowa są napuszone, i siła woli przymusowy wyraz powagi nadaje twarzy.

Kiedy tak błądzili między ludźmi, nie wiedząc, co do siebie mówić, ośmielali się każdem spojrzeniem i oczyma mówili sobie rzeczy niewysłowione. Były chwile nadziemskie, że szli obok siebie z utopionemi

w źrenicach źrenicami, zaczarowani przez uśmiechy, omdlałe ze szczęścia. Zdumienie przenikało ich serca aż do samej głębi, i trwoga nieznana a nie przekraczająca czasu mgnienia powieki. Oczy jej błękitne, jak w dzień letni dalekie lasy, stawały się znagła ciemnemi i nabierały siły ognia, na obraz płomieni prędko wybuchających. Wtedy przez krótkie chwile iskrzył się w nich jak gdyby gniew, drżały jakieś pragnienia, żal powstały z niczego... Nie wiedzące o sobie wzruszenia, gorące, namiętne, dziecięco-niewinne i naiwnie-lubieżne, przepływały szybko przez twarz i gasły nagle w wybuchach śmiechu niespodzianego, a ostrego, jak toczony sztylet. Wszczynali jakąś rozmową, nie wiedzieć dlaczego półgłosem prowadzoną, o wszystkiem i niczem, o niebie i ziemi, o frakach i najładniejszych imionach, o łacinie i głębokim śniegu... Od tej rozkoszy ciągle odrywały Rafała wskazówki ojca, nawoływania matki i sióstr. Dawał tedy szturchańce i rady sługusom, zapraszał co znaczniejsze osoby do jedzenia i picia, a nawet podawał fajki i własnoręcznie zapalał fidybusy. Kłaniał się, mówił niezliczoną ilość słów grzecznych, ledwo, ledwo rozumiejąc, co mianowicie mówi. Ten stan niepewności języka bardzo potęgowało ciągłe przepijanie do młodych sąsiadów. Pierwszy to raz w życiu Rafał pił bezkarnie, i to starego węgrzyna. Gwarzył też coraz głośniej, śmielej, płynniej, kwieciściej. Biegał między tłumem i coraz jawniej szukał oczyma panny Helenki.

Tak minęła noc.

Nad ranem, po dłuższym odpoczynku, muzyka znowu zagrała. Młody gospodarz wychylił jeszcze kilka

kieliszków wina w ręce jednego z sąsiadów, równie jak on dorastającego, — i znagła uczuł taką miłość do tego młodziana, że razem z nim udał się do sąsiedniego pokoju i zaczął mu ze łzami wyjawiać najserdeczniejsze swoje tajemnice. W trakcie tych zwierzeń spostrzegł, że przez sionkę przyległą przesunęła się jakaś osoba, niby obłoczek niebieski. Co tchu pobiegł za nią, pragnąc jej służyć w razie, gdyby czegokolwiek potrzebowała. Rozdzielił tłum szlachty, głośno, z plastycznymi ruchami rozmawiającej, i szybko wszedł do zacisza, przeznaczonego na gotowalnię damską. Było tam pusto. Woskowe świece słabo paliły się przed starem, zczerniałem zwierciadłem. W kącie tego pokoju panna Helenka klęczała na ziemi i wyrównywała, jak mogła, oberwaną w tańcu plisę swej sukienki. Rafał zobaczył ją raptem. Ujrzał, jakby pierwszy raz w życiu, kolor jej lic, nie dający się z niczem na świecie porównać, wybuch ponsowego ognia policzków, spływającego w delikatny śnieżnobiały mat czoła. Zobaczył jasne, puszyste włosy... Spostrzegłszy go, wyprostowała się i wlepiła weń przestraszone, upajające oczy, oczy o żałosnym błękicie kwiatu lobelii.

Coś wyrzekł, wyszeptał...

Zbliżył się do niej, bezradnie stojącej. Posunęła się, żeby wyjść stamtąd. Wtedy bezwiednym ruchem ujął jej ręce, nachylił usta i dotknął wargami jasnych włosów. Przez chwilę trwał ten piekący, namiętny pocałunek. Cichy okrzyk wyrwał się z jej piersi. Odsunęła go w zdumieniu i wyszła. Rafał stał plecami o ścianę oparty, tak, jak go zostawiła. W głowie jego, w piersiach, w uszach, w sercu, zlewały się oddalone,

rzewne, namiętne dźwięki mazura i jeden szczególnie najwyższy, najrozkoszniejszy spazm skrzypiec. Szalonem szczęściem napełniało go drganie całego domu od tańca i zgiełkliwy gwar, przechodzący w bezładną wrzawę. W czaszkę waliły młoty krwi, a w oczach płomienie świec migotały, jak sama wcielona, widoma rozkosz, miotająca się w sercu.

Zaśmiał się na cały głos i twardym krokiem wyszedł stamtąd. Zdawało mu się, że już teraz z radości nie wytrzyma. To już koniec. Rozwali pięściami, nogą rozkopie i na drzazgi rozsiepie ten cały dom, wyzwie tu wszystkich i zeklnie. Będzie się z każdym bił na śmierć, ktoby śmiał... Tak postanowiwszy, padł w ramiona pierwszego z brzega brzuchatego szlachcica, który go z miejsca, a bez żadnej racyi, zaczął dusić w uścisku i kłuć po twarzy ogoloną brodą. Rafał wypił z nim braterski, na wieczne czasy, kielich i, płacząc ze szczęścia rzewnemi łzami, szedł dalej.

W sąsiedniej izbie ujrzał rodzonego swego ojca, złączonego dziwnym uściskiem z księdzem dziekanem, który się na ten kulig przypadkowo zaplątał. Gruby dziekan trzymał starego cześnika za ramiona, a cześnik dziekana za żebra, i obadwaj rzadko kiedy jednocześnie, ale z wielkiem usiłowaniem zachowania taktu mazura, skakali pod powałę na jednem miejscu, w ciasnym kąciku między stołem i szafą, piejąc zupełnie cudzymi głosami:

— Hej, dziś-dziś! Hej, dziś-dziś!

Nikt na nich uwagi nie zwracał. Przy stole siedziało kilkunastu biboszów, którym już z czupryn tęgo się kurzyło. Porozpinali kontusze i siedzieli w żupa-

nach z kitaju, sagatysu, kamlotu. Niektórzy coś krzyczeli ochrypłymi głosami. Jeden podnosił co chwila cybuch, gruby jak maczuga, grożąc niewiadomo komu. Naprzeciwko niego stał szlachcic, chudy, mizerny, zawiędły i wołał:

— A, mówię, tak! To tak, mówię! Czekajże, rybeńko... Odrazu rym go w pysk, rym z drugiej, i to *arte*. Dopiero wtedy rura mu zmiękła... Do nóg mi. »Wielmożny panie, powiada, wszystko jak przy świętym konfesyonale...«

Ktoś spał na ręku, całem ciałem rzuciwszy się na stół. Okna były otwarte, i jasne światło księżyca dogasało już przy słabym blasku daleko wstającego słońca.

Z izby, gdzie tańczono, dolatywał śpiew krakowiaka, tak rzeski, szczęśliwy i radosny, że aż same nogi drgały:

»W Krakowie na sali
Niemcy tańcowali..
Polak wąsem ruszył —
Wszyscy uciekali.«

Naokół przyklaskiwano, przytupywano. Z kąta ozwał się jakiś zapity, ochrypły głos:

— Aby to jedno prawda... Ogromnie te Niemcy pouciekały i to z Krakowa.

Ale go zaraz skarcił i zagłuszył okrzyk powszechny:

— A tobyś · aść siedział i ciągnął likwor, skorc go masz przed nosem. Oto filozof...

Rafał poszedł do sali tanecznej, oparł się tam ple-

cami o ścianę i rozpalonem okiem śledził każdy ruch panny Heleny. W pewnej chwili ujrzał, że tłum mężczyzn, stojących przed nim, rozsunął się, i że jedna z panien tańczących wybrała go w mazurze. Podał jej rękę i przebiegł salą niezupełnie właściwymi krokami. Po chwili uczuł w swej ręce dłoń panny Helenki. Oprzytomniał. Krew zbiegła mu do serca. Głos zupełnie obcy, jakby duch jakiś postronny, szatan czy anioł, przemówił przez jego usta tak cicho, że tylko ona mogła posłyszeć te straszliwe wyrazy, które mu pierś rozdzierały:

— Przyjadę do Dersławic!... W nocy. Na koniu. Czekaj mię przy oknie od ogrodu. W tem narożnem. Od ogrodu!... Zastukam trzy razy w szybę, w to miejsce, gdzie w okienicy jest wykrajane serce. Przy oknie czekaj... Słyszysz?

Panna Helenka spojrzała na niego, na dzikie oczy, zmącone do dna, na żyły jak strąki, czerwoną twarz, wzburzone włosy, i parsknęła śmiechem tak niesłychanie szczerym, że wszyscy obejrzeli się i, nie wiedząc, o co chodzi, wtórowali temu głosowi.

Słysząc dokoła śmiech powszechny, Rafał ruszył przed siebie z głową schyloną, jakby miał zamiar uderzyć nią w tłum cały, niby taranem. Nie wiedział tylko, gdzie mu się ten tłum z przed oczu podziewa. Nogi się pod nim gięły, jakby w nich nie miał kości. Usłyszał wtedy nad uchem dobrotliwy szept matki:

— Rafciu, Rafciu, chodź ze mną, błagam cię na wszystko. Ojciec zobaczy.

Dźwięk wyrazu »ojciec« dźwignął go z omdlenia.

— Przyjadę na koniu... Słyszysz? Zastukam trzy

razy... w serce... — szepnął matce do ucha tym samym demonicznym głosem.

— Przyjedziesz, przyjedziesz, tylko chodź, co tchu, bo ojciec...

Rafał posunął się naprzód, ale w niewłaściwym kierunku i tak lekkomyślnie obwisłymi ruchy, że matka zmuszona była wesprzeć go siłą i wyciągnąć prawie z domu. Gdy go owiało mroźne powietrze zimowego świtu, zupełnie stracił siłę w nogach. Opadł na ziemię jak płaszcz. Kilku parobków odniosło go do tak zwanego Belwederu i tam złożyło na posłaniu. Belweder — był to dawny dwór, gniazdo prapradziadowskie z modrzewiowego drzewa. Stał w głębi ogrodu. Ze starości zapadł się w ziemię, ściany jego zgięły się; dach prawie gruntu dotykał, a dzikie krzewy, zasłaniające okna, do połowy wielkiego dachu wystrzelały. Były tu pokoje gościnne, śpiżarnie i składy gospodarcze. W największej izbie stało kilka posłanych łóżek, a na ziemi przez całą szerokość leżało pokotem na słomie rozciągnięte posłanie dla gości. Już tam kilku braci szlachty co słabszych w głowie chrapało dobranym chórem. Piec był dobrze napalony, a stary dwór, co jeszcze króla Jana pamiętał, trzymał ciepło; to też spało się tam nienajgorzej. Rafał, własnoręcznie przez matkę rozebrany aż do bielizny, przykryty dobrze, usnął, jak kłoda.

O jakiejś godzinie dnia zbudził się i usiadł na posłaniu. Dokoła na ziemi i na łóżkach chrapali sąsiedzi. Rafał nie wiedział, gdzie jest, i co się z nim dzieje. Głowa mu z bólu pękała, w oczach się ćmiło. Spostrzegł śpiących, ale nikogo nie mógł poznać. Drżał na myśl, że jest sam jeden w jakiemś miejscu wiecznego

potępienia. Widział głowy, rozrzucone ręce i nogi, poroztwierane usta, wreszcie blask świecy, płonącej w rogu izby na stole... Wlepił oczy w to miejsce i po długiem badaniu z ulgą i pociechą dojrzał żywego człowieka. Poznał go nawet. Był to Wicuś Jawrysz, syn ubogiego szlachetki z pod Wiśniowej, drab wielkiego wzrostu, siły i bardzo dzikiego charakteru. Ten Wicuś, z czupryną zwisłą na czoło, siedział na słomie i jadł, a właściwie pożerał mazurki, kruche ciasta, strucle przekładane, które wydobywał z pod poduszki. Skoro wyciągał stamtąd niepośledni mazurek, łamał go na dwie części i każdą z nich unicestwiał kilku ciosami ogromnej żuchwy. Rafał długo i z osłupieniem wpatrywał się w tę jego czynność.

Widział, jak Wicuś Jawrysz, wchłonąwszy wszystko, co miał pod ręką, udał się na palcach do sąsiedniej śpiżarni, której drzwi zostawiono otworem, i przyniósł stamtąd nowe naręcze mazurków i strucel, jak to wszystko umieścił pod poduszką, siadł w kucki i ze zdwojoną energją zabrał się do dzieła. Rafał widział to wszystko, domyślił się wreszcie, gdzie jest, ale nie mógł przyjść do siebie. Wspomniał sobie coś rozkosznego, ale nie był w stanie zrozumieć, co ma czynić. W rozterce takiej runął nawznak i, nim głowa jego dopadła poduszki, zachrapał na amen.

Świeca dopaliła się i zgasła.

Nikły promień światła wpadł przez otwór w kształcie serca przymkniętej okienicy. Zdala, ze dworu, dochodziły tony muzyki, grającej od ucha. Skrzypce zanosiły się, basy niestrudzenie wtórowały, a klarnet rzewliwie przyśpiewywał.

Rafał ocknął się znowu. Siadł na posłaniu i natychmiast przypomniał sobie pannę Helenkę. Wszystko w nim zagrało, jak ta rozkoszna, zdala dochodząca muzyka...

Co tchu zaczął się ubierać, co sił! co sił! Namacał w ciemności buty i wzuł je co prędzej, wyszukał poomacku jedną z najbardziej niezbędnych części ubrania i zaczął wciągać na nogi. Nie mógł wyjść z podziwienia, czemu czynność tak prosta tyle mu czasu zabiera. Był wściekły, bo mu się śpieszyło, to też wciągał na się nieodzowną szatę z całej siły, bez względu na to, że złowrogo trzeszczała. Długo w ten sposób pracował, nie mogąc sobie dać rady. Długo szukał wszystkiego, co było konieczne, aby módz stanąć przystojnie wobec panny Helenki. Był pewny, że znalazł już wszystko, gdy znowu ogarniać go zaczęła bezwładność, i powtóre usnął, jak kamień.

Około południa nazajutrz znaleziono go śpiącego na ziemi, o kilka kroków od posłania, z lewą nogą wbitą w rękaw modnego fraka, który powyrywał wprawdzie i rozdarł, ale zdołał wciągnąć na łydkę aż do kolana.

Taki dziwny był los jednego z najpiękniejszych fraczków, jednego z pierwszych w Zachodniej Galicyi granatowych fraczków sąsiada Targowskiego z pod Zawichosta.

POETICA.

Rafał siedział na krześle ze skurczonemi nogami, palce wbił we włosy i na podobieństwo mełameda wykrzykiwał:

— *Tetrameter dactilicus catalecticus in bissyllabam, seu versus Alemanius...*

A później odmiennym:

— *Ibimus, o socii comitesque...*

Znowu cienko, a z góry:

— *Trimeter dactilicus catalecticus in syllabam, seu versus Archilochius minor...*

A potem:

— *Iteritura simul...*

Na chwilę przerywał, z chytrością spoglądał na kolegę i kuzynka Krzysztofa Cedrę, uśmiechał się w sposób błazeński i czterykroć za wysokim głosem deklamował:

— *Dimeter trochaicus catalecticus in syllabam, seu versus Euripidaeus...*

Kuzynek Krzyś skandował, śpiewając jak kleryk:

— *Trudilur dies die...*

— *Dimeter trochaicus acatalecticus cum anacrusi, vel versus Alcaicus enneasyllabus...*

Cedro wyciągał:

— *Fastigit umbrosamque ripam...*

Za chwilę dla rozrywki zmieniali porządek. Kuzynek zaczynał miłym, melodyjnym głosem, z prawdziwie dowcipnemi minami:

— *Versus simpliciter dactilicus vel Aristophaneius...*

A Rafał odpowiedział:

— *Lydia, dic per omnes...*

— Lydia, Lydia, Lydia... — szeptał Krzyś, przymykając oczy.

— Idź do wszystkich Arystofanesów!

— »O Lydio, czemuż, powiedz, chcesz przez miłostki zgubić tego oto Sybarysa? Czemuż do Marsowego pola wstręt powziął, tak cierpliwy niegdyś na kurzawę i upał słoneczny...«

— Idź, mówię, bo śmiercią zginiesz!

— Przeczytaj sobie, Sabarysie, z uwagą i namaszczeniem dziełko starego adwokata Marka Tuliusza Cycerona »De consolatione«.

— Skończysz dzisiaj?! *Versus Archilochius major tetrameter dactilicus...*

Z głębokim smutkiem, wzdychając, jakby wypowiadał egzortę, wbrew radosnym dźwiękom wiośnianej piosenki Horacego, Rafał ogłaszał:

— *Nunc decet aut viridi nitidam caput impedire myrto...*

A niby dalszy ciąg, z najposępniejszą w świecie miną, grobowym głosem skandował:

»Nie będę się żenił, nie będę się śpiczył...
Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...«

— Powinieneś zrozumieć tą właśnie głową »wonnościami zlaną«, że innej rady niema. Musisz się zgodzić na tak niewinny i słodki pewnik łysego kpiarza: *ut homines mortem vel optare incipiant, vel certe timere desistant.* Przecie to takie proste i do wykonania łatwe...

— Ja dzisiaj zobaczę, czy boisz się śmierci, czy nie.

— Rafałku, nie boję się.

— *Mactel*

— Powiedz mi; długie włosy, jasne, jasne, jasne... *Lydia, dic per omnes te deos oro cur properes amando perdere...*

Rafał podpierał brodę pięściami, nieruchome oczy wlepiał w szyby okna. Daleko, daleko widział. Olbrzymia, szeroko rozlana woda Wisły gubiła się we mgłach i deszczu. Zatopione w nich wierzby błędnie szarzały. Błonia obrosłe wikliną, daleka przestrzeń tamtego, prawego brzegu z jego miasteczkami, smugami wsi i skrzydłami lasów ukazywały się niekiedy, jak odbicia chmur. Daremnie oczy szukały domów Nadbrzezia, Trześni i kępiastych, a jak lasy rozrosłych parków Dzikowa. Z tego widoku wynurzał się szczególny rodzaj niepokoju. Jak ciemna chmura deszczowa bez wyraźnych granic płynie przez niebo, tak płynęła wskróś ciała nieokreślona żądza zjawisk, stanów i rzeczy tajemnych, wielkich, rozkosznych. Płynęła cicho, milczkiem, zwolna. Była niby nudą i znagła stawała się natarczywością, uderzającą, jakby przeraźliwy szczęk żelaza o żelazo.

Przeszła, przepłynęła...

Szlakiem wyżłobionym przezeń ciągnęły się wdzię-

czne dumania, długie, bezdenne, marzycielskie wspominanie spraw, których nie było wcale i nigdy, cudna tęsknota pełna łez i wołań, żeby przyszła istność szczęścia, ukryta za mgłami. Przędła się w głowie wątła myśl i nikła w sennych obrazach. Noc księżycowa, pełna białej jasności... Nad łąkami wiszą płasko rozciągnięte opary. Wpada w taki tuman mgły co sił w klaczy, zlekka tylko trzymając się strzemion końcami butów. Cudnie pachną skoszone potrawy, zwilgłe, zimne siana jesienne. Od Wisły tchnie wiklowy chłód. Zda się, że to miejsce, przez które jedzie sam w nocy, to jakieś inne, obce, nieznane. Jakież to straszne miejsce! Rosa i pajęczyny bielą się w miesięcznem świetle. Cisza w głębokich wąwozach... Coś nimi, ziemią idzie za człowiekiem, coś leci śladem cwałującego konia. Snuje się jako pajęczyna, a gdy stanąć i słuchać, bez wydania głosu zamiera. Gdy spojrzeć poza siebie — nic, tylko srebrzysta rosa śpi pod zasłoną nocnych tumanów...

Deszcz, to mętnemi, płynnemi falami zanosił widnokrąg do szczętu, to się uciszał i znikał. W takich minutach ukazywały się bure wody pędzącej rzeki, a zimna kra trupio wśród nich szarzała.

Gdy się na pewien przeciąg czasu rozjaśniło, Rafał głośniej począł wykrzykiwać wiersze Horacego, zbliżył się cicho do szyb i długo, z wytężoną uwagą w dal patrzał. Znagła radosnym, aż sennym z rozkoszy głosem wyszeptał do towarzysza:

— Ten chudy rybak, Bobrzyk, przybija do brzegu! *Nunc decet aut viridi nitidum caput...* Boże, ten dopiero wiosłuje! Czy ty widzisz? czy widzisz? To majster!

— Właśnie, że nic nie widzę... — z rozpaczą szeptał

Krzyś, wbijając napróżno krótkowzroczne oczy w zamazane szyby.

— Wiosła się pod nim wyginają, jak pióra. Ach, Boże... Ten płynie! Krzyś, bądź gotów...

W sąsiednim pokoju dała się słyszeć głośniejsza rozmowa, i przyjaciele zaczęli znowu powtarzać swe »pensa«.

Krzyś posmutniał. Dolna warga jego ślicznych ust odęła się, i blade, ciche oczy smutek owiał.

Był to daleki kuzyn Rafała, jedyny syn bardzo zamożnego szlachcica z nad Wisłoki. Obadwaj z Rafałem mieszkali na stancyi u profesora Zawadzkiego w dworku, stojącym pośród ogrodów, niedaleko od ruin kościoła świętego Piotra. Cedro był szczupły, mizerny i nie bardzo silny. Uczył się doskonale, aczkolwiek nie zawsze z równą wytrwałością. Uwielbiał Rafała za jego siłę, męstwo i bardzo często odrabiał za niego różne prace szkolne.

Ustalił się był niepisany zwyczaj, że, gdy wieczór zapadał, obadwaj pensyonarze wychodzili na przechadzkę do ogrodu, zbiegającego ku Wiśle po zboczu góry. Tam o zmierzchu gonili się, ciskali pigułami w siebie nawzajem, ile się dało, w przechodzących Izraelitów, a nawet, ze smutkiem wyznać to trzeba, w przechodzących katolików. Szczególną nienawiść w nich, studentach austryackiego gimnazyum, budzili wychowańcy tak zwanego *sztyftu*, czyli szkoły żołnierskiej, która mieściła się w tymże gmachu po-jezuickim. Skoro tylko za murem ogrodu ukazał się malec *ze sztyftu*, dostawał niezliczoną liczbę piguł, wymoczonych *ad hoc* w wodzie i zamrożonych umiejętnie.

Tego dnia, znalazłszy się w sadzie profesorskim, obadwaj zbiegli szybko wąwozem aż na samo dno doliny wiślanej. Szerzył się już mrok zimny i prędki, spływając z chmur. Sam był jak chmura.

Rafał obejrzał miejsce i przyległości. Nigdzie nie było żywej duszy. Dał znak Krzysiowi. Przesadzili parkan ogrodu. Stali o kilkadziesiąt kroków od brzegu rzeki. Z burych fal szło zimno i przejmujące seplenienie kry, która się w nich gęsto kołysała. Młodzieńcy chyłkiem szli w kierunku Złotej i widnego zdala Samborca. Co tchu przekroczyli Jagiellońską drogę i, brnąc w błocie, stanęli nad wodą. Zmierzch już nadciągnął i olbrzymimi fałdami osiadał ziemię.

W dole rzeki był zator lodowy.

Ktoś o nim wspomniał przy obiedzie, jak o rzeczy okropnej. Szli tedy obejrzeć własnemi oczyma, czy tak jest, jak mówiono.

Rafał znalazł łódź, którą był widział przybijającą do brzegu. Jeszcze raz rzucił okiem...

Sandomierz piętrzył się wyniośle. Błyskały już światła na przedmieściu, zwanem Rybitwy, i w górze.

Odwiązał łódź, wyszukał w wiklach wiosła i skoczył pierwszy. Krzyś poszedł za nim i siadł w tyle.

Była to łódź płaska i płytka, zalana wodą. Nie zdążyli pochwycić wioseł, kiedy już prąd wody porwał ją i wyniósł na rzekę. Rozparli się nogami, zanurzyli wiosła i, co tchu w piersiach a mocy w barkach, poczęli wygarniać z głębin kłęby wodne. Dziób czółna twardo, z oporem, jakby orał w piachu, zwrócił się w stronę Trześni.

— Raz, dwa! — zakomenderował twórca wyprawy głosem nieswoim, surowym, z głębi piersi.

Złomy lodu płynęły szybko a ciężko, jakoby potrzaskane ściany ciosowych kościołów. Z łodzi wydawało się, że w okrąg sunie zniszczony jakiś ląd, niepodobna ziemia, zorana skibami, ruda, zczerwieniała od martwych piachów, od śladów rozpętanych, czarnych nawałnic zimy. Były momenty, że płynęła wprost na łódź tafla olbrzymia, jak strop wielkiej sali, ostrymi krajami swymi godziła zdradziecko w burty stateczku. Wówczas Rafał wznosił wiosło i zadawał jej śmiertelne pchnięcie z czoła. Groźna, pływająca szyba posłusznie usuwała się na bok. Inne, słabsze, od jednego trącenia rozpadały się w drobne ułamki, jak truchło bezwładne. W ostatnim blasku dnia widzieli w pęknięciach czarno zielone pasy narosłych warstw. Słyszeli dokoła siebie cichy syk lodu. Wybuchały z żółtych głębin bańe i skręty wirów, niby olbrzymie źródliska, kipiące z rozwartego dna. Kiedy niekiedy łódź drżała od niespodziewanych uderzeń i trzeszczała złowrogo. Co chwila wiosła wyrzucały z pienistego bełtu tafle kry lodowej i ze śliskim szczękiem miotały je w górę. Zdarzało się, że jakaś gruba tafla jak skała mknęła na wartkich falach środkowego nurtu. Wtedy szkuta, podważona wiosłami, odskakiwała wbok i szła w ukośnym kierunku.

Światło, zapalone w jakiemś oknie na górze miejskiej, ścigało ich, łamiąc się i chwiejąc na wichrowatej fali ostrą iglicą. W tej szczelinie świetlistej ujrzeli pierwszy raz dziką otchłań, z głuchym furkotem, zapamiętale ciekącą.

Mrok głęboki owiał dusze, ale nie wygnał z nich radości. Czuli rozkosz fizyczną niesłychanego pędu w miękkiej kolebce przepaści. Chwytali ją wiosłami za gardziel i wykręcali jej stawy...

— Raz, dwa! — krzyczał Rafał ze wściekłością w głosie i namiętnem ukontentowaniem.

Wiosła wyginały się, jak od wiatru pręty wiklowe, ale łódź, potężnie gniotąc wklęsłe wiry i banie wodne, szła naukos w świerzy wodnej. Migotliwa igła na falach znikła, i noc śmiertelna otoczyła czółno. Ramiona słabły. Pot lał się z czół, krew biła w skronie.

Drewniany statek leciał. Nie mogli już zawrócić jego dzioba, ani dokąd wola kierować. Znagła zatoczył szalenie prędki krąg, garnąc ogonem świszczącą falę — i zwolnił biegu.

Był gdzieś przed nimi głuchy, przeraźliwy szum. Wszystek ryczałt wody grzmiał tam ponuro, niby zlatujący wodospad z jakichś niezmiernych stawideł.

— Rafał, gdzie my jesteśmy? — cicho spytał Krzysztof.

— Ty czasem masz pyszne pomysły co do pytań! Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie my jesteśmy?

— Co to tak huczy?

— Woda.

— Patrzaj, a to co?...

Trwoga wgniotła Rafałowi do gardła drwiące słowo odpowiedzi. Twarzy, piersi, rąk jego dotknęło coś, jakby ciemne wilgotne szpony olbrzymiej łapy. Obadwaj młodzieńcy żachnęli się wtył i ku obronie dźwignęli z wody wiosła. Krypta wolno poszła naprzód. Wtedy poznali, że są w koronie strzelistego drzewa, które

widać, woda wydarła z ziemi i zwaliła. Na wystających gałęziach i cienkich, bezlistnych prętach wisiały szmaty i torby zgniłej trawy i siana, które oblepiło znienacka ich twarze i okręcało szyje.

Odepchnęli się wiosłami, i łódź wolno, jak komięga ze zbożem, poszła tam, dokąd ją skierowali, zlekka tylko przez gościniec wodny unoszona w jakimś kierunku różnym od poprzedniego. Było tam pełno kry, płynącej ospale, strzyży drobnej, kilku warstwami spiętrzonej. Rafał stanął w łodzi, rozstawił nogi, wsparł je na burtach i zaczął łódź huśtać. Krzyś rozumiał, że pragnie ją uchronić od oblepienia przez krę, ale truchlał na myśl o tem, gdzie się znajdują.

Płynęli tak długo.

Huk trzaskających wód, które się dokądś waliły z przerażającym łoskotem, zbliżał się ku nim. Szedł na nich z nocy.

Znagła uczuli obadwaj, że ich znowu główny wart porywa. Woda darła się w lewo, szelestem prąc kry. Ciekli chwilę wśród lodu, który się szybko dokoła skupiał. Dopiero całym wysiłkiem rąk zdołali go odtrącić wiosłami raz, drugi, trzeci. Łódź znowu cofnęła się na cichsze mielizny, przez strzyż zawalone. Wtedy instynktownie poznawszy główny strumień Wisły, szeregiem gwałtownych wirów pod kędzierzawemi falami lecący, pomykali się co sił w przeciwną stronę. Wiosła ich miesiły krę, rozgarniały ją, z łoskotem tłukły się w niej, aż wreszcie tył łodzi twardo uderzył w coś nieruchomego.

— Czy to brzeg? — zapytał Krzysztof.

Rafał zmacał to miejsce wiosłem i znalazł, że to

jest jednolity lód, zachowany przy brzegu. Mieli przed sobą otchłań głównego toru, dokoła stłuczoną krę.

Ręce ich ustały, byli przemokli do suchej nitki. Zziębli. Rozwarte szeroko oczy wlepiali w tę noc bez gruntu, ale nic dostrzedz nie mogli.

— Stań w łodzi, — rozkazał Rafał — a ja wyjdę na ten lód i zobaczę, czy brzeg daleko. Tu właśnie musi być zator. Bylibyśmy w takim razie u celu.

Krzyś z posłuszeństwem wykonał rozkaz. Uczuł, jak łódź gibnęła się, gdy Rafał z niej wyszedł, usłyszał szklisty szelest jego pierwszego kroku i pewny siebie głos:

— Chodź, lód twardy. Wyciągniemy barkę na brzeg. Ja już nie mogę robić wiosłami.

Krzyś stanął na lodzie.

Naokół słychać było chrzęst strzyży, chlustanie i szelest odbitych fal. Deszcz pluskał bezustanku.

— Wyciągniemy łódź na brzeg i zostawimy ją tutaj, — rzekł Olbromski, — a sami pójdziemy piechotą. To jest lewy brzeg...

— Łódź nie jest nasza! — zawołał Krzysztof stanowczo. — Musimy ją odstawić na miejsce.

— A to ją odstaw. Z największą pochwałą akceptuję projekt.

— Moglibyśmy ją dociągnąć, idąc po brzegu...

— Możesz i to zrobić. Ja nie będę ciągnął.

— Cóż tu począć?...

— A to też to! Tu ją zostawimy. Powie się jutro rano przed lekcjami Bobrzykowi, da mu się na piwo.

— Ja mu zapłacę! Masz słuszność. Ja mu dam tyle, że będzie nawet zadowolony z tej afery.

— Właśnie, ty mu dasz. I ja tak myślałem.

— No, to ją tylko wyciągnijmy na brzeg...

— Zaraz. Muszę nasamprzód zobaczyć, gdzie to jest ten brzeg.

Odszedł, brocząc po wodzie, która cienką warstwą stała na tem lodowisku, zmurszałem i przemokłem od długich deszczów. Gdy wrócił z wiadomością, że do brzegu będzie kilkadziesiąt kroków, ujęli obaj za łańcuch przykuty do dzioba barki i zaczęli ją z całej mocy na lód windować. Poszło to z trudem, ale ostatecznie dało się wykonać. Czółno wsunęło się na pomost lodowy dość szybko.

Znienacka Rafał zauważył, że jego nogi wolno zanurzają się w wodzie. Przerażenie włosy mu zjeżyło na głowie, bo uczuł, że cała ta olbrzymia kra ugina się pod nimi i idzie na dno.

— Krzyś, uciekajmy! — wrzasnął na towarzysza i chciał go chwycić rękoma, ale dłonie jego objęły próżną ciemność.

Wzdęty bałwan wodny pchnął go w piersi i dokądś odtrącił. Cedro krzyknął nagle, a potem kilkakroć zabełkotał w wodzie. Rafał wpław rzucił się w to miejsce naoślep i złapał rękoma włosy i ramiona. Wywlókł go z fali i pchnął przed siebie, jak drewno.

Ochynął się cały z głową. Poczuł, jak tafle, złomy, okruchy lodu obsiadają go ze wszech stron, z dołu, z boków, z góry, jak przystawiają do gardła ostrza swych krajów i garną się w usta. Płynąc w tym gęstym roztopie, uderzył ramieniem o łódź. Trzymając się jej burtu lewą ręką, dowlókł Krzysia do calizny lodowej i wwalił go na nią. Później sam się tam wczołgał, i, le-

żąc na brzuchu, sunął po płaszczyźnie, która się uginała i zanurzała w wodzie. Cedro ocknął się z jękiem i zaczął gramolić... Widzieli, że giną bez ratunku, bo znowu szli na dno razem z ułamaną taflą, gdy Rafał chwycił rękoma pręty wiklowe i rokity na brzegu. Wówczas dopiero pomyślał o ocaleniu. Wyłókł Krzysia z topieli na brzeg. Odetchnął. Pot lał się z niego. Grube zimowe ubrania nasiąkły wodą do ostatniej nitki, nogi w butach głośno chlupały.

— Cedro, zimno ci? — rzekł szeptem.

— Zimno.

— Musimy lecieć, bo zginiemy. Uciekajmy!

Rzucili się w zarośla wiklowe i poczęli wyżej kolan grzęznąć w rozkisłych bagnach nadbrzeżnych. Pręty smagały ich po twarzach, pniaki jakieś raniły nogi, ostre kije z kolkami rozdzierały ręce, ale po długiej męczarni uczuli, że niski ląd staje się coraz twardszy. Wreszcie wybrnęli i znaleźli się na pochyłych zagonach.

Rafał usłyszał, jak zęby Krzysia szczękają. Dotknął go ręką i uczuł, że drży. Sam także ledwie mógł stłamsić przerażający dreszcz w sobie. Woda sączyła się z każdego ich włosa.

Wtedy ogarnęła go śmiertelna rozpacz. Nie wiedział już, w którą stronę iść: stracił wszelki zmysł i rozumienie kierunku. Nastawił uszu, ale słyszał tylko wściekły, przerażający szum wody, szum — śmierć.

— Ty się nie oryentujesz, gdzie Sandomierz? — mówił do towarzysza.

— Nie.

— Możesz iść sam?

— Nie.

— Krzyś!

— Idź sobie. Ja tu zostanę.

— Krzyś!

— Zimno mi, zimno, zimno... — zaskomlał, jak małe dziecko.

Usiadł na ziemi.

Kostniejącemi rękoma Rafał chwycił go wpół i zaczął wlec dokądś, przed siebie. Ale uszedł tak zaledwie kilkanaście kroków. Potknął się i runął w rozmiękły zagon. Przez chwilę leżał bez sił, z twarzą w bróździe, pełnej roztajanego lodu, zimno i martwo myśląc, że już nic nie poradzi. Dreszcze wyrwały się z pod jego woli, łamały go i trzęsły. W głowie zatlił się krwawy płomień.

Ruchem niezawisłym od świadomości, myśli i woli, głuchym aktem bezdennej rozpaczy zaczął zdzierać z siebie mokry, obmarzły kubrak, który go tem strasznem zimnem przejmował — i raptem zaczął to czynić co sił, co tchu, co mocy w palcach. Zdarł ze siebie koszulę, spodnie i zaczął mocować się z rozmiękłymi butami. Rzemień przywarł do nóg. Zdało się, że cholewy są skórą ciała. Ciągnęły się jak guma. Po długiej męczarni zwlókł wszystko z siebie i został nago. Wtedy to samo zaczął robić z Cedrą. Poszarpał na nim ubranie w pasy i odarł go ze wszystkiego. Tamten leżał bez sił w miękkim zagonie, dygocząc całem ciałem, gdy zzuwał z niego buty. Kiedy Krzyś był już zupełnie nagi, Rafał zaczął go prać pięściami, szarpać za ramiona, bić z całej mocy po nogach i zmusił do walki ze sobą. Okładali się pięściami na dobre, gdy Rafał wrzasnął, że muszą lecieć co tchu, bo inaczej zginą obadwaj.

Znalazł w ciemności rękę Cedry i jął go ciągnąć. Z początku tamten wlókł się, padając co krok, szedł ociężale, później coraz prędzej, aż wreszcie pobiegł. Lecieli jak obłąkani, przez niewiadome pola, przełazili przez płoty, mijali wąwozy, zarośla, krzaki, doły. Było im coraz cieplej i z każdym krokiem przybywało sił. Jelenimi susami sadzili przez rowy, nie bacząc na to, gdzie noga stanie. Biegnąc tak obok siebie na wyścigi, trafili na grunt twardszy, wznoszący się ku górze, i poznali, że są na Sandomierskiem płaskowyżu. Rafał zaśmiał się zcicha.

Już teraz nie lękał się topieli. Było mu dobrze rwać tak, co pary w piersiach, nurzać się w śmiertelną ćmę nocną, grzać się jak ogier w biegu.

W pewnem miejscu, lecąc bez przerwy w nieznanym kierunku, znagła usłyszeli poza sobą daleki, daleki dźwięk. Był to głos zegara na wieży kolegiackiej. Skoczyli w tę stronę i wnet nozdrzami poczuli dymy. Sandomierz!

Zbliżali się do niego od Opatowa. Gdy przybiegli do ogrodów miejskich, szli po zapłociu ich aż do swego, wskok wdarli się na górę i stanęli przede drzwiami domostwa, które było ich czasową siedzibą. Teraz nareszcie groza położenia zajrzała im w oczy...

Rafał dumał przez chwilę i zlekka popróbował drzwi, wiodących do sieni. Ku jego wielkiemu zdumieniu — ustąpiły. Weszli cicho, jak upiory, i sunęli się obok ścian, po dobrze znajomych dylach. Z sieni wchodziło się do stancyi profesora. Trzeba ją było minąć, chcąc dostać się do ich studenckiego pokoiku.

Otwarli drzwi, uczuli ciepły dech zimowego mie-

szkania i, niby widma, szli przez tę stancyę. Słychać było tylko bicie ich serc... Wtem Krzyś runął razem z krzesłem, na które wlazł w ciemności. W mgnieniu oka dom się poruszył. Zabłysły światła. W sąsiedniej izbie ktoś krzesał ognia, zapalił świecę i, nim zdołali dopaść drzwi, zastąpił im drogę. Był to profesor, ich mentor i chlebodawca. Stał przed nimi w bieliźnie, wysoko wznosząc świeczkę łojową. Gdy ujrzał dwie postacie nagie, jak je Bóg stworzył, unurzane w ciemnem bagnie, otwarł usta i długo im się przypatrywał. Powieki jego drgały, a szlafmyca trzęsła się jak w febrze. Winowajcy stali przed nim, zachowując cyniczne milczenie, i brutalnie przypatrywali się jego chudym łydkom. Wreszcie słowo skrzydlate wyfrunęło z jego łacińskiej gardzieli:

— Olbromski!... to ty, ptaszku! Twoja to jest nowa sprawka...

— Panie profesorze! — zawołał Cedro, wyciągając ku niemu zabłoconą prawicę — przysięgam, że to ja jestem winien.

— Czemu jesteś winien, kochanku?

— Ja sam tylko! Winien jestem! Ja to go namówiłem, Rafała, ja wymyśliłem...

— Cicho! Będziesz mi tu się stroił w bohatera, mnie uniewinniał... Mnie!... — rzekł Rafał z pogardą, która kierowała się właściwie nie do towarzysza niedoli.

— Olbromski! — wykrztusił belfer, trzęsąc się z zimna i wściekłości — odpowiesz ty mi za to w dniu jutrzejszym. Wielki Boże! nago łazili po mieście w nocy, zimową porą. Wszystko się to wykryje!

— O, wykryje się niezawodnie! Wszystko na

świecie może być wątpliwe, to tylko jest pewna, że ta sprawa się wykryje.

Oczy jego błysnęły złowrogo, i okropna ironia zaświeciła w nich płomieniem.

— Chodź spać! za mną! — krzyknął rozkazująco, jak wódz, na Krzysia i majestatycznym krokiem, zostawiając na idealnie wymytej podłodze dokładne odbicia spracowanych stóp, ruszył w stronę łoża.

Z jakąż rozkoszą uczuli obadwaj kołdry na grzbietach!

Rafał wtulił głowę w poduszkę i jął rozmyślać o stanie rzeczy. Wiedział, że go nic dobrego nie czeka. Z nauczycielami oddawna darł koty, jako uczeń wcale nie świetny i pierwszy w szkole łobuz, notabene, łobuz pod wąsem. Wiedział, że nazajutrz zmuszony będzie dać dowody bohaterstwa, które zadziwi całą sztubę, *sztyft*, wreszcie miasto i długo zostanie w koleżeńskiej powieści. W dali ukazywały się Tarniny — i ojciec. Na to wspomnienie przejmował go dreszcz, zimniejszy niż w rzece. Chciał zasnąć. Zamknął oczy... Ale sen uciekł od jego powiek za dziesiątą granicę. Noc wlokła się, trwała bez końca. Rafał słyszał, jak Krzyś usnął, jak się rzucał we śnie, mamrotał, budził, znowu zasypiał. Słyszał jego oddech nierówny, prędki, zdyszany, jakby wciąż jeszcze biegli przez czarne pola...

Rozpalona głowa leżała nieruchomo na poduszce, i wśród ciszy nocnej zaczęły się w niej budzić, wstawać i do kolosalnych rozmiarów urastać widziadła. Nadchodziły z ciemności zdarzenia tak bliskie, że były niemal rzeczywistością, wysuwały się z mroku osoby prawie dotykalne, brzmiały słowa, potoki krzyku, wybuchy ję-

ków. Jakby światło przez wąską szczelinę do podziemnej pieczary spadał znagła blask występku dokonanego i oświetlał surowe przepisy, które takich a takich czynów zakazywały. Rafał teraz dopiero spostrzegał, co zrobił. Badał, co też go za to czeka, że wziął cudzą łódź, że pływał w niej nocną porą, że tę łódź zatracił, że o mały włos nie utopił Cedry i że, o straszliwa grozo! nagi wszedł z towarzyszem do izby profesora... Teraz dopiero zaczęło wyłazić zagadkowe znaczenie takich czynów, jak włóczenie się nago po mieście. Gorąco nań biło, gdy sobie wspominał rozmaite wzmianki niegdyś słyszane o podobnych, ledwie podobnych wypadkach, wzmianki szeptem ze zgrozą zawsze mówione. Cóż go za to czeka? Jakaż jest za to kara? Któż wie może to jest największa ze zbrodni ludzkich? Gdyby ktokolwiek mógł mu powiedzieć, oznaczyć jednem słowem wielkość tego występku! Czy to właściwie jest zbrodnia? Zbrodnia! Wysuwał w ciemność cały mózg i jakoby nowem narzędziem badał nieznaną dziedzinę, oświetlał sobie drogę nowo odkrytą, po której teraz, samemu iść wypadnie.

Słyszał nierówny, tchnący żarem oddech Krzysztofa i noga za nogą schodził w głębokości przerażenia: on umrze...

Wlókł się myślami po schodach w gimnazyum i na ich szczycie widział prorektora Kubaszewskiego oraz wszystkich Minosów i Radamantesów, a nadewszystko... pedelów. Nowy zimny sylogizm wypływał kroplami lodowatego potu na jego czoło: będą mię bili. Skręcał się w sobie i czuł wściekłe, bezgraniczne, bolesne, do cna rozszarpujące mość duszy smaganie upokorzenia.

Ale nadewszystko, nad przewidywane męki i bóle, czuł gdzieś daleko spojrzenie ojca. I wtedy truchlał jak zabity trup. Całą siłą woli, rozumowań, pocieszeń odpychał ten widok, zamazywał go, ścierał, używając skłamanych świadomie usprawiedliwień, wysnuwał ze siebie ciche błagania do kogoś, kto go wybawi. I znowu, jak powiew gorączki, nie wiadomo skąd wychodzący, snuły się widma, wywody, myśli, przeczucia.

Pomimo jednak cały ten proces upadku, w głębi, za wszystkiem, stało coś, czego unikał. Nie chciał tego wyznać przed sobą, bał się wyjawić wobec modlitw, ażeby ich nie spłoszyć, nie rozbić i nie odwrócić, ale wiedział to zatajoną, obłudną pewnością, że tam jest radość z dokonania tego występku, zła duma, głębokie, tęgie, młode szczęście, które drży, kipi, rwie się i głośno a bezbożnie chichoce. Z westchnieniem modlitwy, która się z serca odrywała, jak wonny dym, chował się głośny, pękający śmiech siły z tego, że Krzyś chory, łódź wędruje do Gdańska, a buty i mokre szmaty leżą na brzegu.

W zmaganiu się uczuć odmiennych i różniących się od siebie tak bardzo, jak światło i mrok, upływała ta noc nieskończona. Widziało się, że świt blisko. Już wszystko się rozstrzygnie. Tak, czy inaczej, ale zaraz...

Zwinięty w kłębek na posłaniu, rozżarzał w sobie odwagę, przewidywał zapytania i kuł odpowiedzi, a nadto w sekrecie przed sofizmatami udręczonej głowy, ściskał pięście i wyprężał mięśnie przedramion.

Bezdenna cisza nocy zimowej pochłaniała wszystkie te uczucia chwiejnie płonące, pełne upadków i wybuchów. Aż oto w jej głębi, jakby w czarnych niebiosach,

rozległ się dźwięk zegara na wieży. Uderzył raz, po chwili drugi raz...

Włosy zjeżyły się na głowie Rafała.

— Dopiero druga... — wyszeptał prawie głośno.

Opanował go taki przestrach, jak nigdy jeszcze w życiu. Rzuciły się nań wszystkie złe myśli, wszystkie fatalne kombinacye, przewidywania obłędnicze, i rozpacz chwyciła go za gardziel. Wbił czoło w poduszkę, i przypatrywał się swemu nieszczęściu. Onego czasu widział, jak polowy w Tarninach łapał na skoszonej łące jadowitą żmiję. Widział, jak rozwidlonym końcem gałązki brzozowej przycisnął do ziemi jej szyjkę, jak potem ujął dwoma palcami łebek od tyłu, ściśnieniem otworzył paszczę... Wściekła żmija oplotła się dokoła ręki. Wtedy polowy końcem patyczka zaczął wyciskać jad z pęcherzyków pod jej zębami. Rafał wspominał sobie tę chwilę. Doświadczał w ciele podobnego drżenia, jakby żmija oplatała go całego, jakby zwracała ku niemu rozwartą paszczę i za chwilę ostre zęby utopić miała w jego oczach.

Skulony, zwinięty w kłębek, tak, że kolanami dostawał nosa, trzęsąc się w febrze, drzemał i budził się na dźwięk zegara. Każde uderzenie, surowe, obce, ów głos żelazny, wychodzący z rzeczy martwej, przelatywał puste i ciemne dziedziny jego rozmyślań i spadał na piersi, jak cios kamiennej kuli. Nareszcie blady świt ukazał w mroku powierzchnie ścian. Wkrótce wszczął się w domu zwyczajny ruch. Familia profesora, jego gadatliwa żona, siostry, a nawet córki zajęły się chorym Krzysiem. Posłano po lekarza. Rafała otaczały zimne spojrzenia tych osób, wyciskając na jego czole

piętno hańby. On sam czuł się winowajcą. Wypił zwyczajny kubek gorącego mleka z takim pośpiechem, że o mało warg sobie nie sparzył i, nim się ozwał dzwon szkolny, z wiązką książek pod pachę ruszył do liceum. Wszedł na schody, które widział był we śnie, i pierwszy zasiadł w pustej sali. Sprzęty jej, które jeszcze wczoraj były wyrazami wesołości, przybrały teraz szaty złowrogie. Wyniosła katedra z drewnianym baldachimem bardziej niż kiedykolwiek tchnęła surową grozą konfesyonału; czarne ławy miały w sobie posępną ciszę płyt grobowych. Wpadł do klasy jeden z kolegów, drugi, trzeci; wkrótce wielka izba pełna była wrzawy, gwaru i śmiechu. Rafał siedział zatopiony w sobie z oczyma utkwionemi we drzwiach. Jak przez sen widział, że jego towarzysze kują zamach na łacinnika, wlepiając między rzeźbione ornamenty baldachimu katedry dobrze ubitą pigułę śniegową. Nieżywy śmiech przesunął się po jego duszy na myśl, jak to śnieg, gdy się powietrze ogrzeje, zacznie topnieć i pysznemi kroplami kapać na łysy czerep nudziarza...

Dreszcz wewnętrzny wstrząsał jego ciało, a myśli zamieniły się w błędny dym. Wesołość towarzyszów, ich pytania pełne swawoli, koncepty i okrzyki zawierały w sobie podwójną, potrójną sumę boleści, spychały go jeszcze bardziej w ciemny dół rozpaczy. Chwilami ogarniało go nagłe i śmiałe postanowienie ucieczki. Jedna tylko sekunda — i w czyn się zamieni. Uciekać! Uciekać... do domu. Ale oto jakiś dźwięk, szmer, słowo zmieniały nastrój w inny aż do rdzenia. Tymczasem zeszli się profesorowie: Szczepański, Zawadzki, Orłowski, ksiądz Kozubski, przybył prorektor Kubaszewski. To

czyli w gabinecie ostatniego jakąś naradę. Oprócz Rafała nikt na to uwagi nie zwrócił, ale on ze ściniętymi zębami liczył już teraz sekundy.

Znagła dostrzegł pana Filipa i głęboko wciągnął w piersi powietrze.

Pan Filip był pedelem szkolnym, zwierzchnikiem bezpośrednim kalafaktora Michałka i stróża szkolnego Jana Kapistrana. Pan Filip był niewielkiego wzrostu, szczupły, żylasty, na pałąkowatych nogach, ale silny, jak koń. Długo służył w kawaleryi austryackiej, odbywał liczne pochody na nieprzyjaciela, był wielokrotnie ranny i, jak zwykł był mawiać, więcej krwi na rozmaitych polach wylał, niż jej obecnie miał w sobie. Trudno było określić, w jakim jest wieku. Wyglądał na lat trzydzieści kilka, a mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt. Była to twarz szara, ciemna, otoczona baczkami. Chodził w jakiejś resztce obcisłego munduru, w sukiennych kamaszach, które sięgały za kolana, umiał świstać przeciągle, cienko i grubo, posiłkując się dziurami spróchniałych zębów, jak otworami klarnetu. Młodzież szkolna drżała na widok tej wiotkiej postaci. Jej duże, czarne oczy, przejmujące do szpiku kości, zapierały oddech w każdym studencie.

Pan Filip umiał siec rózgą w szczególny sposób. Jednych ciął do krwi od pierwszego uderzenia, innych do trzydziestu prawie bez bólu tylko smagał. Wiedziano, że kogo nienawidzi, tego rżnie »z wiedeńska«, wolno, ze strasznymi przestankami i piekielnymi ciosy. Wtedy to pogwizdywał swoje aryjki. Wtedy także zdejmował z szyi kolorowy szaliczek, rozpinał mundur, koszulę na piersiach i ostrożnie wyjmował z kieszeni cybu-

lasty zegarek. Śmiał się przytem i coś do siebie gwarzył z niemiecka, czy z polska. Pan Filip wszystko wiedział. Znał życie każdego wychowańca, jak własną kieszeń.

W pewnej chwili przeszedł się zwolna obok drzwi *poetyki*. Zajrzał w nie i ze strasznym uśmieszkiem szukał kogoś oczyma. Znalazł Rafała i zlekka cmoknął.

Potem odszedł, wezwał do siebie kalafaktora Michałka, chłopa dziobatego, z kołtuniastym łbem i plecami, jak karyatyda. Ten Michałek stanął obok drzwi, prowadzących na schody i obserwował miejscowość oczyma wołu. Pan Filip gwizdał niedbale, stojąc pod ścianą ze skrzyżowanemi rękoma i przymkniętą powieką.

Rafał domyślił się, że on to jest zwierzyną, którą osaczają w ten sposób. Było mu wciąż zimno, ale szczególny lodowaty spokój zwolna się w nim zasiadał i rozpierał.

W pewnej chwili wszedł do klasy jeden z nauczycieli i zawołał Rafała do salki prorektora. Gdy tam weszli, oczom skazańca ukazał się areopag nauczycielski, żywo dyskutujący. Prorektor zbliżył się do studenta i, surowo patrząc mu w oczy, zapytał po niemiecku:

— Gdzie byłeś dzisiaj w nocy z Cedrą?

Rafał milczał.

— Jeszcze tylko szczera skrucha i wyznanie wszystkiego może twoją karę złagodzić. Gdzie byliście obadwaj? Mów zaraz i prędko. To jedno... Czy ty słyszysz, co mówię?

Zamieć kłamstw leciała przez głowę winowajcy i tysiąc myśli, ale żadna nie zamieniła się w słowo.

— Czy ty będziesz odpowiadał? Wiemy wszystko. Gdzie byłeś dziś w nocy?

— Na rzece.

Wszystkie twarze wydłużyły się i oczy rozwarły.

— Na jakiej rzece?

— Na rzece Wiśle.

— Coś tam robił?

— Raki łapałem.

— Oszalałeś! W zimie! W roztop... Drwić tu śmiesz z nas wszystkich, łotrze! Mów, coś tam robił!

— Pływałem łódką.

— Czyją?

Rafał umilkł znowu, wsunął głowę w ramiona, jakby wszystko, co miał do powiedzenia, wciągał w siebie i zamykał na klucz.

— Kto kogo do tego namówił: ty Cedrę, czy on ciebie?

Rafał milczał.

— Który którego namówił? słyszysz?

— Słyszę.

— No, więc?

— Ja jego.

— Toś go zgubił. Ten chłopak umrze. Odpowiadaj: po co wyszedłeś z domu w nocy i czemu tamtego ciągnąłeś z sobą?

Nagła duma i furya wydźwignęła się z nicości w piersiach Rafała. Coś w nim zakołysało się i runęło.

— Wyszedłem z domu i robiłem to, co mi się podobało! — rzekł głośno, zuchwale, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby.

— Tak ci się podobało... Aha!... — wyseplenił

prorektor. — Tak ci się podobało... Czekajże, bratku, powiesz ty mi zaraz odmiennym tonem.

— Nie powiem wam nic, choćbyście mię porżnęli na kawałki!

— Powiesz!... — wybełkotał zwierzchnik.

— Ani jednego wyrazu!

Prorektor w pasyi ledwie zdołał namacać dłonią klamkę. Otwarł drzwi i piskliwym głosem rzucił w korytarz wezwanie:

— Filip!

W momencie, kiedy to czynił, Rafał prześliznął się jak wąż za jego plecami i szerokimi kroki odszedł w przeciwległy koniec długiego korytarza. Tam zatrzymał się w głębokiej okiennej framudze. Za nim szedł już bez pośpiechu Filip, a o kilka kroków dalej, waląc obcasami juchtowych butów, kołysał się na ogromnych biodrach kalafaktor, Michałek. Z każdej sali poglądały na scenę roziskrzone oczy uczniów, ale nauczyciele rozbiegli się po klasach, zamykali drzwi i tylko sam prorektor, oraz pedele zostali w korytarzu. Gdy Filip był zaledwie o kilka kroków oddalony, Rafał wydobył z kieszeni długi, składany nóż w kościanej oprawie, cenny dar wujaszka Nardzewskiego. Otworzył go sekretnym gestem i skulony czekał cierpliwie.

— Możeby lepiej po dobroci... — rzekł cicho Filip, uśmiechając się łagodnie. — Wyadministruję miętką trzydziestkę i *fertig*. Słowo honoru: miętkie *drejsig* — i sza.

— No, chodź, aniołku, Filipku. Chodź...

Pedel spostrzegł, widać, nóż, ukryty w rękawie, bo trupia, zielona bladość twarz mu okryła. Straszna wściekłość zionęła z oczu.

— Z nożem... — rzekł półgębkiem do prorektora.

Wraz kazał swemu pomocnikowi, żeby zaszedł z drugiej strony.

Rafał chrapliwie mruknął przez zęby:

— Precz ode mnie, chamy, bo z was kiszki powypuszczam!

W tej samej chwili Michałek, sapiąc, ruszył na niego z wyciągniętemi łapami. Prorektor, obserwujący sprawę z pewnej odległości, ujrzał błysk ostrza i krew, ale niezwłocznie spostrzegł, że nóż wydarty został z rąk Rafała. Michałek jedną ręką cisnął ten nóż daleko od siebie, a drugą, z której krew rzygała, trzymał obiedwie dłonie studenta. Pan Filip narzucił na te ręce, ściśnięte do kupy jak gdyby klamrą, pętaczkę ze swego szalika. Ale oślepiająco porywczym ruchem Rafał wydarł się z objęć kalafaktora, skoczył na bok i w chwili prawdziwie lwiego susa potrafił dodać ramienia i zwiniętą pięścią trzasnąć go tak między oczy, że ten olbrzymi chłop runął nawznak i formalnie nakrył się juchtowymi butami. Rafał skoczył przezeń, jak przez kłodę, w biegu huknął w brzuch prorektora i zmiatał korytarzem. Ale nim dopadł drzwi, dopędził go na giętkich nogach zwinny Filip i chwycił w pół.

W tej minucie skrzywdzony prorektor widział tylko skłębione ich ciała na ziemi. Za chwilę ujrzał mały łebek i gardło Filipa w pięściach i pazurach Rafała. Z białych nosów obudwu lała się krew, z ust toczyła się piana, z kurt, kamizelek, koszul dyndały strzępy. W pewnej chwili pedel wydobył się z obłąkanemi oczyma, z sinemi pręgami na szyi, obiany krwią, i, zniżywszy głowę, na oślep rzucił się do walki. Nad-

ciągnął Michałek ze swemi krwawemi rękoma i Jan Kapistran. Mieli już Rafała, gdy ten skokiem znalazł się za oszklonemi drzwiami korytarza. Wszystkie szyby wyleciały z drzwi, piorunowym ruchem zatrzaśniętych. Pościg, z Filipkiem na czele, rzucił się na te drzwi, nic nie zwracając uwagi na krzyk prorektora, który zbolałym brzuchogłosem nakazywał zawieszenie broni. W mig wysadzono drzwi z zawias. Filip dopadł zbiega w przedsionku, ale zwinny chłopak, rozjuszony jak ranny dzik, zwalił go z nóg jednym ciosem w skroń. Filip odbił się od ściany i, potykając kilkakroć, runął twarzą na ziemię. Kiedy wstał, chwiejąc się na nogach, z oczyma zasłanemi bielmem, z gębą pełną krwi, obłąkany, zaczął macać rękoma dokoła, bełkotać i szukać Rafała.

Ale tego nie było już ani w przedsionku, ani na schodach, ani na dziedzińcu. Za chwilę nie będzie go już nawet w mieście.

NA POKUCIE.

Na cztery wiatry zaocznym werdyktem wypędzony ze szkół sandomierskich, niewesoły wiódł żywot w Tarninach. Stary cześnik widzieć go nie chciał. W ciągu pierwszych dwu tygodni nie dopuszczał do ucałowania ręki, nie spostrzegał wcale jego obecności i nie mówił do niego ani słowa. Winowajca jadał obiady i wieczerze sam w narożnej izdebce, gdzie też sypiał na sienniku, rzuconym w kącie. Z rozkazu starego pana do dnia budził go podstarości Piotr i zabierał ze sobą. Szli pociemku świecić latarnią w oczy zaspanym parobkom i dziewkom, wyciągać wszelki żywioł służebny z barłogu, z pod kożucha, otwierać stajnie, obory, stodoły. Rafał dozorował, kiedy bydłu zadawano słomę i odmierzano koniom obroki, wydzielał chałupnikom, przychodzącym na pańszczyznę, oznaczone ilości snopów do młoci i t. d.

O świcie spotykał się z młodszą siostrą, Zofką, idącą w rubych butach, w krótkiej spódniczce i futrzanej bekieszy pilnować dojenia krów — i zamieniał kilka słów milszych.

W innych porach dnia i to było wzbronione. Nikt bez wyjątku, nawet matka, nie miała prawa rozmawiać z »zakałą«, z »wrzodem«, z »infamisem« rodu. Garnuszek mleka z kromką sitnego chleba »infamis« spożywał, stojąc w swej klecie, i zaraz musiał wracać na gumno. Aż do obiadu siedział w stodołach, w zapolu, z nogami grubo kłocią i targaną słomą obłożonemi. Tak pilnował chłopów, młócących zboże. Po obiedzie aż do zmierzchu, aż do upragnionej chwili wiania omłotu, odbierania zgonin, pośladu, mierzenia i odnoszenia ziarna do śpichlerza, spędzał w ten sam sposób na milczącem, sennem wsłuchiwaniu się w łoskot cepów o klepisko. Gdy dokonany został oprzęt wieczorny koni, bydła, owiec, wszystko zamknięte i klucze odniesione do kancelaryi starego pana, miał rozkaz, zjadłszy kolacyę, spać natychmiast.

To samo zresztą czynił dom cały. Od szeregu lat szło wszystko tak mechanicznie patryarchalnym trybem, »jak w zegarku«. Już po upływie tygodnia Rafałek omdlewał z nudów. W czapce nasuniętej na oczy, z dłońmi wbitemi w rękawy lisiurki słuchał chłopskich gadek, baśni, przypowieści, patrzał niby na to, co się dokoła działo, czy nikt z robotników »nie stoi...« Myślami był na innym świecie. Dopiero wrzaskliwy głos ojca, grzmiący gdzieś po gumnie, sprowadzał go znowu na klepisko. Wówczas skazaniec zbierał rozwleczone myśli, układał przytomne i krótkie odpowiedzi na pytania, których mu zresztą cześnik nigdy nie zadawał. Tylko straszne spojrzenie starca z pod nasępionych brwi witało go zawsze i żegnało. Jeżeli zaszło coś nie tak, jak trzeba, wtedy otrzymywał takich spojrzeń drwią-

cych, mściwych. okrutnych, kilka z rzędu, na odchodnem jedno, dwa »mośćbrodzieju«, wycedzone w taki sposób, że skóra cierpła, jak od razów praojcowskiego kańczuga. Tym porządkiem upływał dzień za dniem.

Przy końcu stycznia, w niedzielę rano, Zofka, ulubienica rodzicielska, weszła do stancyi Rafała i rzekła krótko:

— Jegomość tatuńcio kazał, żebyś z nami siadł do kościoła.

Rafał drgnął z radości.

Kiedy czterokonne sanie stanęły przed drewnianym kościółkiem w Sulisławicach, znowu Zofka Rafałowi szepnęła do ucha:

— Nie chodź z nami przed ołtarz. Masz zostać na kościele. Tak jegomość tatuńcio rozkazał.

Krew zakipiała w młodzieńcu. Hańba prawie nie do zniesienia: stać na kościele, między chłopstwem, ramię w ramię z kołtunami, kiedy cała szlachta okoliczna znajdowała swe miejsca w prezbiteryum!... Musiał jednak być posłusznym.

Stanął między żółtymi kożuchy, za kratą, oddzielającą nawę od wielkiego ołtarza, zagryzł wargi i ze wstydu nie podnosił oczu. Czuł, że, motłoch rozstępuje się raz w raz, czyniąc ulicę dla przejścia nowoprzybyłych, słyszał szelest kroków idących ku ołtarzowi, ale oczu wciąż nie podnosił. Udawał, że się modli żarliwie, choć ani jednej litery książki, którą trzymał w ręku, nie widział. Dopiero przed podniesieniem dźwignął ukradkowo oczy.

Wśród matron i personatów parafialnych bokiem zwrócona siedziała panna Helenka. Oczy jej skierowane

były w stronę Rafała, choć nie patrzyły... Oczy błękitne, jak dalekie lasy w słoneczny zimowy dzień. Wspaniałe strumienie jasnych włosów wymykały się z pod futrzanego toczka, który głowę okrywał. Twarz bledsza, jakby starsza od owej chwili, kiedy ją Rafał widział, ostatni raz, była głęboka, piękna, niewymowna... Przyćmił oczy jak gdyby smutek. Ale za nim stały uczucia dziecięcej radości, szczebiotliwego śmiechu, nieśmiałych a wesołych pytań, zcicha rzucanych. Podziw, a może żal odwracał tę twarz, te upajające dziewicze oczy... ku organom.

Rafał zacichł w sobie, wsłuchał się sam w tony organów, czy w muzykę ich mrącą, jak echo w głębi serca. Kiedy znowu wzniósł oczy, spotkał wejrzenie krótkie, pachnące jako dym z przecudnych kadzideł, snujące się pod sklepieniem. Ów to dym wonny, czarodziejski, uroczysty oddalacz zasnuł przestrzeń między ich oczyma. Nim ukończyła się ta święta msza, odbyło się w sercach tajemnicze misteryum. Minęły długie dzieje, zalegała w duchu otchłań zdarzeń, od pierwszego zachwycenia, któremu towarzyszyła trwoga, aż do róż wiernego uśmiechu, wykwitających na ustach, aż do błyskawic szczęścia w prześlicznych oczach, aż do wyznań zaprzysiężonych i pokornego ślubu.

Ani słowa nie przemówili wtedy do siebie. Zaraz po sumie Rafał odjechał do domu.

Ta niedziela stała się jakby granicą nowego czasu. Od niej inne zaczęło się życie. Budził się i zasypiał wzburzony. Dokonywała się w nim fizyczna i moralna przebudowa. Nie miał apetytu. Istotna choroba ogarnęła całe jego ciało. Była to, rzekłbyś, moralna trawiąca

gorączka. Miłość szerzyła się w nim, jak zaraza. Kochał się całem ciałem i całą duszą, a każda komórka ciała i każde drgnienie duszy pełne było krzyku. Zdarzały się dni, że zamieniał się w żywioł bezduszny, przykuty do miejsca, i wówczas wszystkie wysiłki woli rozbijały się o jeden promień światła, o jedną smugę błękitnego dymu, który onego dnia wznosił się ze świętych kościelnych kadzielnic.

Były dni, że czas leciał, jak jaskółka, na skrzydłach, kiedyindziej wlókł się, jak żebrak na kulach. A w ciągu takich dni Rafał żył poza wszystkiem, jakby nazewnątrz dnia, prac, zajęć, nawet myśli, nawet uczuć. Żywiło go czucie niematerjalne, płynące zdala na podobieństwo owego jadła, które pustelnikowi kruk nieznany przynosił. Przymykał powieki i wpatrywał się w oczy rozsiewające iskry, z których każda tworzyła nowy świat. Oto wszystko. Sam nie mógł ani pojąć, ani zrozumieć, ani nazwać pożądań, bólów nieokreślonych, ślepych i ciemnych, palących się namiętności. Jedno tylko odczuwał, że tęskni do wydobycia się do szaleństwa. Krzyczał na siebie, jak na łotra i w tej samej chwili nurzał się w szelmowskiej dumie, kąpał w marzeniach grzesznych, niewiadomych, w snach nad snami. Dla zniszczenia w sobie tajnych zgryzot zamierzał wykraść z apteczki karafkę z gdańską wódką i pić, pić na śmierć. To znowu marzył o śmierci, o zgubie, o zbrodni, o szaleństwie.

Już po jakichś dziesięciu dniach takiego życia wychudł, zżółkł, zczerniał i wyglądał obrzydliwie. O nic nie dbał. Spojrzenia ojca najbardziej srogie zaczął lekceważyć. Owszem, pragnął, żeby go bili, żeby go prali,

żeby cierpieć aż do obłąkania. Śniły mu się katusze ojcowskie, baty na śmierć... Ani piśnie! A powstawszy z kobierca, zrobi to samo, coś takiego, że zapamiętają... Otwierały się przed jego wzrokiem coraz to nowe powiaty zuchwalstwa. Stracił poczucie granicy między wpojoną wiarą w rzeczy dobre i złe. Znał teraz tylko jedno: pachnący, uroczy, kwiecisty cień. Przychodziły nań chwile, że chciał na rzeczy święte, czczone, drogie, dla wszystkich i dla niego samego aż do tych dni położyć dłonie hańby, właśnie na te sprawy, dzieła, uczucia, słowa najdroższe, najświętsze... Rwać, szarpać... Wlokła go i ciągnęła ku sobie siła, nęciła boleść, zachwycała potworność. Z wewnętrznego musu chciał wydrzeć ze siebie samą naturę ludzką. Brzydził się nią, jak starem, zgniłem próchnem i bezgranicznie gardził jej przepisami. Być zdrowym, starać się o łaskę dobrych uczynków, unikać chorób i śmierci, jakież to nędzne i głupie! Przez ściśnięte jego usta buchała teraz lawa wyrazów zelżywych, złych, nikczemnych, jakoby krew zgniła, co się z ciężarem po żyłach przesuwa. Nie umiałby odrzec, skąd znane mu są takie słowa, jaki wiatr przyniósł je do uszu z karczem rybackich, z plugawych siedlisk miasta. W takich momentach opętania bił o byle co, częstokroć niesprawiedliwie, chłopów pańszczyźnianych i rozkrwawiał gęby parobkom.

Kiedy znalazł się pośród rodziny, drżał często na całem ciele, czując, jak się w nim objawia chęć rzucania ciężkich przedmiotów i słów okrutnych, niepowetowanych, słów—zabójstw. Nieraz w biały dzień opanowywała go głęboka senność, to znowu gwałtowna żądza ruchu, blasku, świateł, hałasu, orgii. Czuł w so-

bie to płacz dziecka, najżałobliwszy, to śmiech cyniczny, to pociąganie bez kierunku, bez celu, nieokreślone. Tysiąc już razy silnie pragnął, żeby te dziwne chwile umarły, zbierał do kupy wolę, żeby je wygnać i zedrzeć ohydną błonę, przywarłą do serca. Ale nie chwile bieżące umierały, tylko właśnie wola. Jedno czarujące wspomnienie bladej twarzy było w nim stałe, wieczne, niezmienne, wcielone w jego duszę, jak życie.

Ćmiły się te oczy od wichrów wspólnych, wewnętrznych jak płomienie, które się od jednego wiatru chwieją. Przychodził znagła, niespodzianie, w chwilach najbardziej niestosownych, bo w obliczu ojca, zapach włosów, aksamit twarzy, upał rąk.

Dusza stała się czarną i rozpaloną. Nieraz budził się w nocy z uczuciem, że w nim jest przepaść niezgruntowana, ziejąca głębią. W godzinach południowego wytchnienia szedł cichaczem do stajni i kęsy swego chleba oddawał klaczce Basi. Była to jedyna jego powiernica. Przypatrywał się jej z rozkoszą. Była długa, na niskich, delikatnych, suchych, przepysznie foremnych nogach, które stawiała miękko, niby po kobiercu, i z dziwną gracją. Miała boki wpadłe, jak wilczyca, kłęb wysoki, łopatki tak długie, że ich mięśnie wystawały nad piersi, a muskuły udowe podkasane i wydłużone. Szyja jej była płaska, długa i zgięta w pałąk, główka mała i ogromnie mądre, głębokie oczy, osadzone w nadzwyczaj szerokich kościach czoła. Oczy te były pełne sądu, pewności siebie i — przysiągłbyś: dumy.

Cienka skóra, przez którą znać było wszystkie żyły, suche ścięgna i mięśnie, była ubarwiona miękką, aksamitną sierścią. Biała grzywa, obfita, bujna i wzdęta,

burzyła się, a niestrzyżony nigdy ogon świetnie od tułowia odsadzał. A ruchy! Wiła się, jak wąż; można nią było zawrócić na stole. Umiała pląsać w miejscu, wolno i lekko, iść do ręki, jak pieszczone dziecko, ale umiała również wydrzeć z rąk cugle perskiego munsztuka, z rozwartym pyskiem, wziąwszy na kieł krygowe wędzidło, rwać, jak dziki wicher, przez rowy i płoty, choćby jej ręka jeźdźca darła żelazem wargi.

Rafał pamiętał Basię od pierwszej chwili jej życia. Miał ją w oczach, gdy była włochatem źrebiątkiem i biegła na chwiejnych nogach za matką, tęgą, rozrosłą, białą świerzopą; pamiętał, gdy była źrebicą o krótkiej grzywie, kiedy hasała swobodnie na pastewniku... On pierwszy dopadł, pierwszy siadł na jej grzbiecie bez uzdy i siodła. Pierwszy ją na uździennicy otargał i objeździł oklep, nocami, w sekrecie przed cześnikiem. Nie dziesięć, nie dwadzieścia razy prasnęła nim o ziemię, że ledwie wstał. Nieraz go ponosiła bezdrożami, w nocy, aż obojgu dech zamierał, i serce stawało. Ugłaskał ją wreszcie. Teraz klacz go kochała. Potrafiła rozpoznać jego kroki, gdy już zdaleka nadchodził, rżała zcicha, radośnie, gdy się zbliżał, a biła nogami, kiedy się oddalał. Panicz pieścił ją, karmił, pielęgnował, sam czesał zgrzebłem, sam poił i przeprowadzał.

W tych czasach, skoro jej oddał przyniesione smakołyki, siadał w jej żłobie, splatał ręce na jej szyi, opierał czoło o jej łeb i siedział nieruchomy, w zamyśleniu. Klacz wyciągała ku niemu wilgotne, szeroko otwarte chrapy o czarnych jamach, a mądre spojrzenie jej oczu jakby z pytaniem czułem i trwożnem na nim spoczywało. Często przychodził teraz do niej bez chleba,

bez jabłek... Siadał tak samo i, patrząc w oczy Baśki przymróżonemi oczyma, z dziwacznym uśmiechem śpiewał jej zcicha głuchą piosenkę swej duszy, śpiewkę bez słów, jeszcze nigdy i przez nikogo nie słyszaną, dźwięki z samej głębi serca płynące tak bez woli i wiedzy, jak łzy płyną z oka...

NOC ZIMOWA.

Jednego z pierwszych zaraz dni marca Rafał, dopuszczony już w drodze łaski przed rodzicielskie oblicze, wszedł wieczorem do sypialni, skąd właśnie wyniósł się podstarości, otrzymawszy codzienną, przepisaną niejako, dozę łajań, wymysłów i krzyku. Nowy Rafała obowiązek polegał na czytaniu urywków starych gazet, które cześnik pożyczał z sąsiedztwa. Lektura trwała zazwyczaj krótko, jakieś najwyżej pół godziny. Cześnik leżał już w łóżku. Podstarości Piotr złożył był wszystkie klucze na stoliku. Łojówka topiła się już w blaszanym lichtarzu od dość dawna i niewiele jej zostało. Gdy Rafał wszedł pocichutku i zatrzymał się przy drzwiach, wnet stary krzyknął na niego:

— Co się tam czaisz? Znowu może knujesz jakie łotrostwo... Bierz gazetę i czytaj mi wyraźnie od tego miejsca, gdzieś wczoraj stanął. Na czemśmy skończyli?

— Na »Dekrecie pochwały dla księdza Zdziechowicza z Piekoszowa«...

— Wiem. Dobrze. Pochlebcom zawsze dobrze,

w gazetach ich będą drukowali! Jedź dalej! Wyraźnie i, mościbrodzieju, tak, żeby sens było widać.

Rafał wziął w rękę podarte i zasmolone, luźne szczątki *Gazety Krakowskiej* z roku 1796 i zaczął głośno, patetycznie czytać:

— »List generała Buonapartego do Dyrektoryatu, Z głównej kwatery! Werona, dnia 29 Briumer«...

— Czego?

— Napisano: Briumer.

— Co to jest ten Briumer?

— Ja nie wiem.

— Tybyś też co wiedział, dryblasie! Warto było pieniądzem gotowym za ciebie w szkołach płacić. Nożem pruć pedelów toś się tam *expedite* wyuczył, niczem rzeźnik cielęta, ale co znaczy takie zagraniczne słowo, to nie twoja rzecz. Ślabizuj dalej!

— »Jestem tak zmęczony fatygami, obywatele Dyrektorowie...«

— Cóż to za jedni ci obywatele dyrektorowie?

— No ja... tego nie wiem.

— Żeby mi się wstać chciało, tobym cię tak, mościbrodzieju, huknął w ucho za to »nie wiem«, żebyś zaraz zmądrzał!

—»...iż nie jestem w stanie donieść wam o wszystkich poruszeniach wojskowych, które poprzedziły bitwę pod Arcole, co teraz zdecydowała los Włoch. Dowiedziawszy się, iż feldmarszałek Alvinzy...«

— Wyraźnie! Dnia dzisiejszego!

— Feldmarszałek Alvinzy zbliża się do Werony...

— I Werony pewno nie wiesz, co jest?

— Wiem. Werona jest takie miasto we Włoszech.

— Mój-że, mądrala...

— »..„dla złączenia się z dywizyami jego armii, które są w Tyrolu, poszedłem z dywizyami generałów Augereau...«

— Jak?

— »...Augereau i Masseny, wzdłuż rzeki Etsch...«

— Łżesz!

— »...Etsch... Tymczasem dowiedział się nieprzyjeciel o naszych poruszeniach i wysłał regiment Kroatów i kilka regimentów węgierskich do wsi Arcole, która, dla swego położenia wśród bagnisk i moczarów, jest bardzo mocna. Ta wieś zatrzymała cały dzień 15 przednią straż armii. Generałowie, znając ważność czasu, nadaremnie rzucali się na czele kolumn dla przebycia małego mostu pod Arcole. Wszyscy niemal byli ranieni. Generałowie Verdier, Bon, Verne, Lasne musieli być z miejsca boju sprzątnieni«...

— Widzieliście... — mruknął cześnik.

— »...Generał Augereau«...

— Znowu swoje!

— »...Uchwycił chorągiew, zaniósł ją aż na koniec mostu, został tam kilka minut, ale bez najmniejszego skutku«.

— Masz teraz! Tak, widać, Austrjak, prał tęgo. Zlękły się Francuzy, rozumiesz, gapo?

— Rozumiem — rzekł Rafał.

W chwili, gdy to mówił, patrząc ojcu w oczy z rzewną serdecznością, sięgnął ręką po klucz od stajni, ściągnął go niepostrzeżenie ze stolika i schował do kieszeni.

— Czytajże dalej. Cóż się też stało?

— »...Z tem wszystkiem potrzeba było przejść ten most, lub kilka mil obchodzić, coby było nasze działanie zepsuło. Udałem się sam...«

— Kto się tam udał? Kto się gdzie udał, mość-brodzieju?

— Udał się ten, co na początku, jakże się tam zwał... Buonaparte... »Zapytałem się żołnierzy: czy jeszcze są zwycięzcami z pod Lodi? Przytomność moja... takie sprawiła... poruszenie... w wojsku...« — czytał Rafał głosem coraz cichszym, widząc, iż ojciec już tylko jednem okiem, i to słabo, na niego spogląda.

Nim doczytał do końca szpalty, już cześnik wpadł w głuche sapanie. Za chwilę chrapnął raz i drugi. Wtedy młodzieniec zgasił świecę i na palcach wyszedł, cicho zamykając drzwi izby ojcowskiej.

Minął kilka ciemnych już stancyjek, znalazł w mroku drzwi do swojej, zamknął je i upadł na posłanie. Leżał bez ruchu. Coś w nim teraz ostygło i zaczęło zwolna wysuwać się z piersi, wysuwać, jak dusza. Został w nim tylko zimny rozmysł i ta żelazna pewność, że klucz ma w kieszeni. Klucz ów był to płaski ułomek kutego żelaza, mający co najmniej ćwierć łokcia długości, wykrzywiony w kształt litery *S*. Obadwa jego końce miały kwadratowe wyimki, czyli zęby do chwytania nimi mutry, zakręcającej śrubę.

Cisza ogarnęła już dwór. Bezdenna zimowa cisza. Ostatnie szelesty zginęły... W kuchni zgaszono łuczywo. Słychać było, jak drobny śnieg sennie podzwania, padając w otwór drewnianej okiennicy, jak po szybie ślizga się każda jego drobina... Świerszcz nocny skrzypiał trwożnie gdzieś w trzecim pokoju...

Wiatr ostry u węgłów domu zakwilił, a później z żałośliwym szmerem wałęsa się pod ścianami. Chwilę nacichnie i znowu z rykiem i świstem pięściami bije w ściany, usiłuje wyrwać okiennice, tupie jak koń po słomianej strzesze...

Rafał, wyciągnięty na swym sienniku, czekał, patrząc w ciemność. Zdawało mu się chwilami, że tak już całą noc przeleżał, że świta, to znowu nabierał pewności, że niema godziny od chwili, kiedy z izby cześnika wrócił. Kilkakroć dźwignął się i nasłuchiwał. Serce targało się w nim, jak więzień silny i młody, który w męce pięściami usiłuje rozwalić ściany swej celi. Głowa płonęła, a krew biła w skroniach. Dusił się w gorącu, które szerzył piec z rogu izby.

Przed północą siadł na posłaniu i na coś oczekiwał. Przyszła wreszcie tajemnicza chwila i dźwignęła go na nogi, jak rozkaz. Wciągnął na zwyczajne, sukienne ubranie, w którem był, spodnie ze skóry łosiej, wdział na kubrak krótki barankowy kożuszek z żółtej, twardej skóry, ściągnął się mocno rzemiennym pasem szerokim i grubym, wzuł buty długie, za kolana, doskonale poprzednio wysmarowane łojem, i wcisnął na głowę futrzaną czapeczkę. Gdy to skończył, wylał na siebie flaszkę larendogry, którą był skrycie zabrał siostrom. Zapach dodał mu sił, tchnął weń zuchwalstwo, potęgę i szał. Trzymając w ręce klucz od stajni, Rafał pchnął okienko swego pokoju. Okiennica, umyślnie słabo przytwierdzona, podała się w ciemność, oknem wiatr jął szarpać. Awanturnik wskoczył w śnieg. Skoro przymknął połówki okienne, żeby w nocy nie stukały i nie zbudziły śpiących, skoro podparł okiennice przy-

gotowanym drągiem, był już pewny swego. Wionęła dokoła jego twarzy wichura, zatoczyła się, jak pijana wiedźma, osypała go śniegiem dymiącym z dachu, całego od stóp do głowy. Wciągnął w nozdrza ów śnieg rozpylony, łechczący jak tabaka. Radość go niosła przez zaspy. Pławił się w nich i kopał, nim wybrnął z ogrodu. Gdy wszedł na dziedziniec, obskoczyły go psy, olbrzymie brytany i kundle włochate, mokre, pospuszczane z łańcuchów. Skakały mu na piersi, łasząc się, lizały ręce. Odpędził całą gromadę precz od siebie i, już stojąc przed stajnią, badał pogodę. Śmiał się z radości widząc, jak śnieg dmie coraz lepiej, i marzył o tem, jak zasypie, zaniesie, zniszczy wszelkie ślady. Dobra, poczciwa, ukochana zamieć...

Drzwi stajenne zawierały się na sztabę żelazną, która z wewnątrz na ukos je przypierała. Koniec tej dęgi przytwierdzało się śrubą, która, przewiercając odrzwia, wychodziła nazewnątrz i mogła być zamknięta na mutrę, wkręcaną nań owym kluczem, dopiero co skradzionym. Rafał podważył mutrę kluczem, odkręcił ją prędko, pchnął drzwi i wszedł do stajni. Przez chwilę, stojąc w gorącym końskim oddechu, nasłuchiwał, czy nie obudził się który z parobków. Ale chrapali wszyscy, jak zarżnięci, jedni pod żłobami w sąsiedztwie drzwi, inni pokotem śpiący w tak zwanej grudzy. Baśka parsknęła kilkakroć, gdy do niej szedł, i dotknęła go wilgotnemi nozdrzami.

— Basiu, Basiu... — szepnął do niej na przywitanie.

Szybko jej na łeb nałożył trenzlę, na grzbiet podkład i siodło.

Wywiódł ją szybko ze stajni. Klacz chrapała na zimnie i biła kopytami. Za progiem ściągnął i mocno, z drobiazgową pilnością pozapinał popręgi siodła, urównał puśliska i przymknął drzwi. Bez pomocy drugiego człowieka, któryby sztabę dźwignął i wsunął śrubę w otwór, nie mógł ich zamknąć, to też, zostawiając je na całą noc, aż do chwili swego powrotu, otworem, spełniał czyn straszny. Chwilę namyślał się... I oto piorunem zleciał weń napastniczy, obmierzły, jakby włochaty i cuchnący lęk... Podszepnął mu, żeby klucz zabrać. Wsunął tedy w kieszeń od rajtuzów ten duży kawał żelaza, chwycił w garść wodze i był na siodle.

Baśka w podskokach przeleciała podwórzec. Psy ścigały ją za bramę, ale się wkrótce cofnęły. Rafał wypadł w pole. Jechał topolową aleją do obłąkania szczęśliwy. Suche pręty starych, wyschłych drzew huczały w ciemności. Była to pieśń szczęśliwa, krzyk ze wzdętej piersi i całej gardzieli. Śnieg walił zewsząd: rwał się z ziemi i smagał z boku. Trwała ciemność tak zupełna, że Rafał o kęs nie mógł w nią wszczepić wzroku, nie widział drzew, o które się ocierał... Potężne granie wichury na olbrzymich strunach lip i topól nadwiślańskich zaczęło zniżać się i przygasać. Z tego wniósł, że już minął aleję. Droga tam szła na mały wzgórek, gdzie, omijane przez żyjących, w cieniu kilkunastu brzóz leżało samotne cmentarzysko cholerycznych, dawno, dawno, przed wieloma laty tu schowanych. Rafał rozeznał poświst nagich rózg brzozowych, odmienny, przedziwnie odmienny od wszystkiego na świecie. Posłyszał, jak tam wiatr szlocha na ramionach zmurszałych krzyżów, co się chylą między zarośla, jak chichot

wichrowy szczeka z pomiędzy badylów dzikiego głogu. Wołało na niego straszne miejsce przeraźliwemi słowy, które włosy na ciemieniu podnoszą i lodowatą seremność ciskają w serce. Wzywały ku niemu z ziemi wzgardzone mogiły... Uderzył Baśkę w bok nogą i minął je galopem. Zostały za nim w polach, ucichły, umilkły...

Baśka niosła go wskróś wiatrów, siekących twarz, wpoprzek miękkich śniegów. Lecieli oboje w dzielnej rozkoszy. Rafał chylił się na jej grzywę, objął rękoma przepyszną szyję i szeptał:

— Zanieś mię...

Spostrzegł po chwili, że wiatr mu sprzyja: dął z tyłu, podniecał kobyłę do biegu, a zarazem dawał możność utrzymania kierunku drogi. Rafał czuł zresztą doskonale, że jedzie szlakiem, i skoro tylko Baśka wkraczała na zagony, sprowadzał ją w kolej. W pewnem miejscu, w stronie Godzisławic krzyżowały się drogi, i była tam na rozstaju figura z Panem Jezusem. Rafał czuł to, że powinien był zbliżyć się już do niej. Naprężył oczy i wyciągniętą ręką szukał w powietrzu słupa. Baśka drgnęła i zboczyła. Rafał zmusił ją do powrotu i dotknął ręką słupa, oblepionego śniegiem. Wiatr tam wył przedziwnie. Zdawało się, że w istocie, jak głosi baśń ludowa, dyabeł owija się dokoła figury, okręca się dokoła niej, jak badyl, pełza, jak bluszcz, póki wicher świętego obrazka nie zedrze ze słupca.

Teraz jeździec pewny już był, że nie błądzi. Skręcił na prawo, i z godzinę równym kłusem jechał aż do opłotków, które były zadęte i pełne śniegu, jak sąsieki zboża. Wyprowadził Baśkę na pole i przez czas pewien

brnął noga za nogą. Był już zdyszany. Czuł, że i klacz zagrzała się tęgo, że w niej krew kipi. Wkrótce, jak się tego spodziewał, napotkał stóg siana. Zeskoczył na ziemię, wydarł sporą porcyjkę, związał ją mocno i przytroczył do siodła. Wywiódł kobyłę za bróg, w ciszę, gdzie wiatr ledwie milczkiem kąsał, przystawił ją bokiem do ściany, sam się skulił, plecami oparł i dał w objęcia pochwycić marzeniom. Czyhały na tę chwilę, goniąc stadem nieprzeliczonem. Skoro tylko wytchnął, stanęły przed nim jawniejsze i oczywistsze, niż wszystko, czego dotykał rękoma i mógł dosięgnąć oczyma. Widma cudowne! Nieskończoną radość odczuwał na myśl, że już zbliżył się do miejsca swojego szczęścia. Pochłaniał je oczyma, jakby ciemność dookolna nie istniała, i rzeczywiście widział to, co było utworem imaginacyi. Widział oświetlone pokoje, meble, sprzęty, osoby, ich ruch, słyszał rozmowy... Widział ją, a raczej ogarniał wzrokiem wcieloną piękność, marzenie ziszczone, duszę swej duszy, kwiat cudnobarwny żywota. Jaśniała przed nim w mroku nocy wszystka świetlista, przeistoczona w obłok złotobiały i w uśmiech. Rozkosz widzenia jej tak cielesnemi prawie oczyma nie miała granic, łaska miłości przechodziła tu szczyt swój najwyższy. Słuchał melodyi, którą budziło jej przejście, i unaszał się sam ponad sobą, jak duch.

Klacz zdawała się wiedzieć, co się to dzieje. Stała cicho, żując wędzidło i zlekka lotną zaspę rozgarniając kopytem. W pewnej chwili Rafał ocknął się ze swych snów, wspiął na siodło i z ciszy wyjechał w wicher. Teraz już sama Baśka niosła go przez bezdroża. Przystanęła czasem, i wyciągnąwszy szyję, brała chrapami powietrze. Wówczas jego ręka gładziła pieszczo-

tliwie piękną grzywę. Z ust mu się wymykały dźwięki pochwalne. Jakże wielbił swą Baśkę! Stała się oto dla niego wszystkiem: nietylko powiernicą szczęścia, lecz i dobroczynną potęgą, która niesie w jego strony...

Był teraz na granicy rozdołu Koprzywianki, w pobliżu wielkich lasów Góreckich. Gdy tam stał chwilę, pierwszy raz ogarnęło go niemiłe uczucie. Do domu było już daleko, a i do celu podróży nie blisko. Cmoknął na klaczkę. Omijał dwory i wsie, albo je przebiegał cwałem, skracał sobie drogę, ile się dało, wreszcie zbliżył się do Dersławic. Szum drzew i szczekanie psów zwiastowały, że już blisko, ale głównie zwiastowało światełko, błyszczące między drzewami, w dole. Rafał jechał polem noga za nogą aż do miejsca zdawna przewidzianego.

Oczy, przywykłe do ciemności, wyróżniły czarną masę budynku. Wtedy zeskoczył na ziemię i sprowadził klaczkę z wyniosłości na drogę, niżej położoną. Basia szła chętnie, zcicha chrapiąc i ostrożnie badając powietrze nozdrzami. Stanęli obok murowanej budowli. Była to kuźnia, stojąca zdala od folwarku, w alei.

Teraz, w nocy, była zupełnie pusta. Przede drzwiami jej istniał pewien rodzaj portyku na dwu otrąconych u dołu filarach z cegły, gdzie w czasie deszczu stawiano konie do kucia. Był tam nawet w kącie wygryziony mały żłobek i drabinka. Rafał umieścił przy nim Baśkę, wytarł ją silnie zwitkiem siana, a całą wiązkę rzucił w żłób, do którego uzdę przywiązał na głucho.

Basia zaczęła skwapliwie żuć siano...

Miał już iść od niej... Otrząsnął się, przeciągnął... Chwilę dumał i nasłuchiwał. Wreszcie odszedł. Dużymi krokami przebył wpoprzek szerokie pasmo gościńca,

które się zniżało między rzędami lip, i szedł obok płotu, otaczającego bardzo rozległy sad. Znalazł wreszcie miejsce dogodne i wkroczył na obszar dworski. Stał w ulicy ogrodowej, która prowadziła do dworu. Niskie drzewa owocowe były okryte czapami śniegu dopiero co spadłego. Musiał zniżyć się, żeby go nie strącać. Śnieg wił się tutaj między gałęziami w tysiącznych kierunkach. Było tak ciemno i panował taki chaos ruchu, jakby miliardy istot wirowały w tem miejscu. Rafał posuwał się naoślep. Zdawało mu się, że nie trafi do dworu. Raz sądził, że ten dom jest dalej, to znowu, że go już dawno minął. Tymczasem wyciągniętą ręką znagła dotknął się ściany. Dreszcz rozkoszy przeniknął całe jego ciało. Stąpał obok kilka kroków, z rozpaczą marząc, że to już wszystko, że już trzeba wracać.

Cóż jeszcze więcej być mogło? Nic. Chyba nieszczęście... Ale za uderzeniem powtórnem myśli, że dotyka ręką węgłów domu, gdzie ona jest napewno, że może za tą ścianą ona oddycha, we śnie pogrążona, że to on, we własnej postaci, nie we śnie, ani w marzeniu idzie obok drzew, które ona jutro ujrzy oczyma, kipiało w nim obłąkanie. Wciągał w siebie nozdrzami przedziwną atmosferę, która, jak podniecający zapach, zdawała się ten dom otaczać. Czuł bezsilność rozsądku, niedolę niewoli... Nic więcej nie pragnął oprócz tego, żeby jeszcze przez chwilę oddychać powietrzem tego ogrodu. Stał w gąszczu krzewów bzu, które zacieniały okna, teraz na głucho przykryte okiennicami. Tuż obok była naturalna altanka, utworzona przez kępy leszczyn, głogu i dzikiego chmielu. Pod cieniem bzowego krzewu,

który w grube drzewo się rozrósł, była darniowa ławka, tej nocy zadęta do znaku. Naokoło sypały się puchy śniegowe z cichym szelestem, ale na to miejsce prawie nie padały, gdyż utworzył się tam na gałęziach jakby dach z okiści. Westchnął z głębi serca. Zatrzymał się tam i twarz ukrył w dłoniach. Serce rozdzierało się w nim od myśli, że już iść trzeba. Dźwignął głowę, zrobił jeszcze dwa kroki naprzód... I oto, znalazłszy się za węgłem domu, ujrzał światełko w ścianie prostopadłej do tej, przy której stał.

Biały promień wydzierał się z serca okiennicy i nikłym kręgiem swoim ciemność rozpraszał. Płatki śniegowe wiły się w nim i połyskiwały miliardem brylantowych światełek.

Dołem tej ściany ciągnął się darniowy odgłos, jakby długa ławka. Rafał wszedł na nią i, cicho brodząc w puchu śniegowym, dotarł do otworu wyciętego w drewnianej okiennicy. Spojrzał weń i zdrętwiał. Tuż, o dwa kroki przed nim siedziała Helena. Na ukos od okna, przy małem biureczku, wygodnie leżąc w fotelu, czytała książkę. Woskowa świeca drżącem lśnieniem oblewała jej rozpuszczone włosy, jej przecudowne czoło, śliczną twarz, odkrytą szyję i piersi. Miała wrzuconą na ramiona futrzaną szubkę, którą okryła się była, widać, przed chwilą zabierając się do snu. Powieki spuszczone rzucały długi cień rzęs na białe, zadumane policzki. Oczy Rafała przywarły do jej ust rozchylonych, do jej czoła, na którem osiadła melancholia, płynąca z kart książki. Zdawało mu się, że umrze pod tem oknem, że w nim, silnym i młodym, coś kona i wydaje ostatnie tchnienie. Nienasycone oczy zaszły łzami. I oto,

jak mordercza kula, przeszyło mózg postanowienie. Wsunął palec w otwór okiennicy i trzykroć cicho stuknął w szybę. Z wyciągniętemi rękoma rzuciła się w tył i chwilę stała przerażona, bez życia, patrząc w okno. Wówczas znowu trzy razy zastukał. Był teraz spokojny. Czuł zimno w piersiach. Szczęście, jak złotopióry ptak, zabity w powietrzu, spadło i martwe leżało w jego duszy, Smutnemi otrzyma patrzał w głąb pokoju...

Światło zgasło.

Poszedł zwolna od tego okna. Przymknął oczy i wsysał duszą pierwszą rozkosz wspomnienia jasnego pokoju, światła, które go oślepiło, szczęścia, które przyszło niewołane, jak sen, i niewysłowionej, czystej rozkoszy, jaką tylko uczuć można. W oczach jego stało tak wyraźnie widziadło wnętrza tego zacisza, cudnego blasku, na który zewsząd następowała otchłań mroku, że znowu je dotykalnie widział i powtórnie zamierał, zastygał, jak od pierwszego wrażenia. Złudzony do żywego, wlepiał w nie znowu oczy...

Znikło zwolna widziadło. Wówczas nagłe wybuchy łez, jak gniazda żmij wylęgłych pod sercem, zdusiły go za gardło. Serce nie bolało. Przepadło pragnienie widzenia osoby, szczęścia raz jeszcze. Oto jakaś wysoka, niedosięgła troska, coś nadludzkiego i nadziemskiego przez chwilę go niosło w dali od tego miejsca. Był gdzieindziej, z nią razem, w przedziwnem zaśnieniu, na świętem, przedwiecznem łonie. Budził się i dziwił, jak szemrze śnieg, osiadając na zaspach, jak wiatr wydyma z dachu długie jego żagle, jak szeleszczą suche rózgi drzew.

Mówił sobie po stokroć, że trzeba iść. Już odejść, jak złodziej nocny...

Nagle, w milczeniu rozległ się powolny zgrzyt otwieranych drzwi. Stojąc na wichrze, Rafał usłyszał go, uczuł w piersiach, jak ostrze żelaza utopionego ręką. Był pewien, że jest zgubiony: zbudziła służbę... Ale i w nim ocknęło się lwie serce. Wyprostowany, pewnymi kroki szedł naprzód, pragnąc jednym ciosem zwalić na ziemię każdego, kto zechce zakłócać jego marzenia. Zaświeci im w ślepie pańskim śmiechem! Czegóż, kogo mógłby się uląc po tem, co już widział? Co złego mogłoby go spotkać? Zbliżył się do kamiennych stopni ganku i wyciągniętemi rękoma dotknął jednego z filarów, na którym spoczywała wystawa dachu. Czuł, że we drzwiach stoi człowiek. Wparł oczy w to miejsce i milczący czekał. Wtedy usłyszał szept, głos cichszy od szemrania wiatru. Po stopniach, zasłanych śniegiem, Helena zeszła wolno jak cień. Zstąpiła ku niemu, jak niewidzialna dusza, jak sama miłość. Spłynęła w jego ramiona. Objęli się rękoma. Głowy schyliły się ku sobie, wsparły. Szli, nie mówiąc.

Łaska miłości wypełniła i razem wyniosła serca obojga. Dokoła ich złączonych dusz i ciał kipiała zamieć coraz potężniejsza.

Śnieg zasypywał ich od stów do głów. Obok darniowej ławeczki, pod rozłożystym bzem, w tem miejscu, gdzie serce jego najboleśniejsza miłość ścisnęła, i gdzie żal płynął z najgłębszej rany, stanęli. Głowy dźwignęły się, uniosły ku sobie, a usta spoiły pocałunkiem wieczności.

W pewnej chwili wargi jej cofnęły się. Nasłuchi-

wała przez chwilę, a później szepnęła cicho, zemdlałemi słowami:

— Jakim sposobem waćpan się tu znalazłeś?

— Przyjechałem.

— Na koniu?

— Tak.

— Więc, jakeś wtedy powiedział, w tańcu?

— Tak.

— Gdzież on jest? koń?

— W kuźni stoi przy żłobie.

— Sam?

— Sam. Chodźmy do niego...

— Nie, boję się tam iść. Bardzo się boję.

Rafał schylił głowę. Wargi jego znalazły znowu lica, usta, oczy. Rozsunął haftki kożuszka i przywarł ustami do piersi odkrytych. Usunęła natrętną głowę miękkiemi rękomą, a gdy spragnione jego wargi dotknęły policzków, szepnęła:

— Mokre wąsy...

W istocie mech pod nosem natręta wciąż się okrywał twardym szronem.

— To może na przyszły raz przyjechać już bez nich?

— Bez czego?

— A bez wąsów...

— Nie trzeba.

— Co nie trzeba?

— Nie trzeba... i tyle!

— A kiedy niemiłe...

— Mokre... powiedziałam...

Śmiech obojgu nie dawał mówić. Rafał, jak mógł,

osuszał swe »wąsy«. Pomagała mu, odchylając jedwabnego szala, którym głowa jej była nakryta. Zanurzył usta we włosy, na węzeł związane jednym ruchem, utopił je w wonnych, suchych kędziorach. A kiedy znowu zniżał się do ramion, nie doznał już oporu.

Uszy jego słyszały, jak rwie się i kipi to wzburzone serce. Ręce pieściły nie dziewicze, płonące ciało, lecz jakby żywe szczęście, ucieleśniony zachwyt. Tracił rozum, odsłaniając ustami przecudowne, niewinne łono, pełne radości i upojenia. Wydzierał jeden jeszcze pocałunek, tylko ten jeden, z ochotą marząc, żeby go za to spotkała śmierć. I oto drogie ręce otoczyły jego szyję, ukochane, żarliwe usta wpiły się w jego usta, z cichym bolesnym szeptem... Cała postać zgięła się, złamała i przytuliła do piersi. Przygarnął ją ze czcią, przyjął do siebie ufną, cichą, posłuszną. Wtedy doznał na chwilę szczęścia jakby cudzego, rozkoszy niedoścignej, zgoła czystej, zaziemskiej, nieprzemierzonej, jak niebo. Pragnął zwierzyć jej, co czuł, nazwać słowem czarę rozkoszy zbliżoną do ust, zawrzeć w nazwie ów niespodziany głos, rodzący się w sercu, który go przenikał aż do szpiku kości. Duch jego pracował wtedy, jakby świat ramieniem spychać mu przyszło z posady. Tę samotną i potajemną chwilę rozkoszy znagła roztrąciło coś, jak uderzenie... Był to głos piszczałki wartownika nocnego.

Helena drgnęła, raz jeszcze na mgnienie oka przywarła do niego w pocałunku ciał i uściśnieniu dusz... Znikła w ciemności. Szelest jej kroków zagłuszyły poświsty wichru. Rafał słyszał przez chwilę, jak rozmawiała na ganku ze stróżem nocnym i wabiła do siebie

psy. Nie wszystkie jednak do niej przyszły. Kilka z nich ze szczekaniem skoczyło ku Rafałowi, który umykał, co sił w nogach. Ledwie, ledwie zdążył przypaść do konia, odwiązać supeł cuglów i stanąć w strzemionach, gdy go opadły. Baśka rzuciła się naprzód, jak strzała. Sadząc jeleniemi susy, wypadła w pole i uszła psom. Długo niosła go w podrzutnym skoku wskróś wichru i śniegów po niewiadomej przestrzeni. Nie ścigał wodzów, nie mógł kierować jej chodami.

Dokoła wrzała rozpętana burza. Całe pole, skróś którego leciał, zrywało się, jak oszalałe jezioro. Falami huśtały się sypkie tumany i nakształt bryzgów strzelistych pian wylatywały do góry, ponad konia. Kiedy niekiedy zrywał się jakoby schylony filar, stał chwilę w powietrzu i rozlatywał raptownie, jak kupa piasku. Wicher dął zaciekle. Wypadał z gwizdem, jak gdyby z jakichś szczelin w ziemi. Była ciemność nieprzejrzana, straszliwa, pełna tylko kłębów białawych, wzmagających się wśród poświstu. Co kilka chwil rozlegał się tępy wrzask zawiei, ryk zdławiony jakoby przez pętlicę z rzemienia. Wybuchały niewiadome siły, chwytały się w ciemności za bary śmigłe, gibkie, lecące ciała. Śniło się, że grzmocą wzajem pierś w pierś straszne pięście, że zduszone gardła charczą i wyrzygują krew, że w ciemnych jaskiniach nocy coś zdycha i daremnie prosi o łaskę.

Wierzchówka, puszczona wolno, szła w zawód z wichrami. Osnowa jej grzywy trzepała kiedy niekiedy schyloną nisko twarz Rafała. Teraz dopiero czuł upojenie. Surowemi klątwami podniecał źrebicę i burzę, żeby obiedwie wytężały siły. Lećcie stwory! Co duchu,

co mocy! Polotny skok Baśki zmienił się w cudny bieg. Dziko parskała. Zdało się, że chce wyrzucić konchy nosowe, że rozwarte jej chrapy zioną krwią i płomieniem.

Nie czuć już było podrzutów, gdy sprężyste nogi odbijały się od zmarzłej ziemi: pławiła się w tumanach śniegowych, jak w rozbujałej wodzie.

Rafał, schylony nad jej szyją, nie mógł się jeszcze otrząsnąć ze snu. Miał wciąż w objęciach gibkie ciało cudnej dziewczyny, ruchliwe jak powieka. Przywierał ustami do stromych piersi i w oczarowaniu miłosnem szeptał jeszcze ciche wyrazy. Sumienie w nim zgasło. Cały się zmienił w noc i burzę.

Rozkosz miłości rzuciła na szalę czułości niedawnej miecz swój żelazny. Rozległ się w duszy jej zwierzęcy ryk, skierowany do wysokich poszeptów i tajemniczych trwóg: *Vae victis!* Podmuchy myśli, jakie nigdy jeszcze nie postały w jego głowie, leciały teraz na wyścigi z wiatrami.

Kobyła przez czas pewien biegła po niewiadomej płaszczyźnie. Rafał nie wiódł jej wcale. Znienacka poślizgnęły się kilkakroć jej tylne kopyta. Jechała na zadzie, zrywając się na nogi... Poderwał ją uzdą, wstrzymał i puścił wolnym kłusem. Był w jakiemś nieznanem miejscu, na błoniach zarosłych iwiną i chróstami, które przeraźliwie w wichrach gwizdały. Świerzopka brnęła przez dawne śniegi, do piersi jej sięgające. Nogi jej ślizgały się na lodach jakowychś rozległych. Rafał pomyślał, że jedzie bez celu, i teraz dopiero przypomniał sobie, że ulegając klaczy, mknie wciąż za wiatrem, więc się od domu oddala. Rozejrzał się na wsze strony, ba-

dając, czy jeszcze nie świta. Ale mrok był naokoło niezgłębiony. Skręcił tedy bachmatkę pod wiatr i pojechał przed się miernym kłusem. Baśka mknęła chętnie, bujała w polach. Stroiła skoki, chrapała czasami, cofała się, czując przed sobą urwiste wąwozy, nieraz zapadała w rowy i wyrwy, przedzierała się zaroślami tarek i głogu, które w nocy huczały, jak lasy.

Rafał, zatopiony w marzeniach, zlekka ją tylko zwracał do wiatru. Wspominanie było dla niego dziełem sto tysięcy razy ważniejszem, niż sprawa powrotu. Widział Helenkę, ale dawniejszą, z kuligu i kościoła. Dzisiejszą musiał sobie utworzyć w myśli. Tą właśnie sprawą był zajęty... Jakież były jej oczy, jakie usta w tej minucie? Rozgarniał ciemność i na samem jej dnie znajdował tajemnicę... Zdaleka przylatywały wspomnienia. Wchodziła do serca jej wesołość tak szczera, jak blask słoneczny, minki w czasie tańców na kuligu, udające obojętność lub zamarsowanie i obrazę, a kończące się wybuchem śmiechu. Ciemno szafirowe, niezrównane oczy, głębokie i dumne, marzące i pełne płomieni ukazywały się w nocnej ciemności. Przenikliwym, szybkim ruchem uderzały go drgnienia brwi prosto zakreślonych.

W pewnej chwili usłyszał szczególny huk. Zrazu sądził, że jest na brzegu Wisły, ale wnet zoryentował się, że Wisła stoi, okuta przez lody. Baśka szła krokiem wolnym, ostrożnym, nasłuchując i chrapiąc niespokojnie. Wkrótce Rafał rozróżnił w tym huku trzask i skrzypienie drzew. Podjeżdżał tedy do wielkiego lasu, a z takiej strony, że wcale nie mógł osądzić, gdzie jest. Było tu zacisznie. Las go zasłaniał od wichru, był więc

między nim a domem. Takiej szeroko rozwartej knieі nie było w całej okolicy.

Niewiadome zastępy drzew wołały w ciemnościach. Wylatywał stamtąd to przeraźliwy głos spadających skał, to huk wód, które lecą w bezdenną próżnię z wysokości obłoków. Słychać było stękanie całych poręb, trzak bukowych konarów i świst siekący rózg brzozy, zgiętych do samej ziemi... Nadewszystkiem wszakże panował martwy pomrok. Rozdymał się, albo zacichał, ale trwał ciągle. Przez chwilę Rafał stał przed tą ścianą niewidzialnego boru i niechętnie rozmyślał, co ma czynić, w którą stronę jechać. Co prędzej chciał co przedsięwziąć i wracać do swych widzeń miłosnych. Było mu wszystko jedno. Byleby się tylko świt nie pokazywał...

W tem Baśka skoczyła w bok, jak ciosem rażona. Rafał cudem tylko nie zleciał z siodła. W oczach mu coś zamigotało, tam, w tych leśnych głębiach. Przez sekundę śnił, że to migocze światełko w dersławickim dworze, i radość go owiała. Ale prędzej od ruchu źrenicy zmienił się ów sen w postrach gwałtowny, który go przebił na wylot, jak gdyby lanca. Kobyła z ryczącem chrapaniem stanęła pod nim dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór, precz od lasu, za wiatrem, co pary w piersiach. Stało się to tak nagle, że Rafał czuł tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na łęku, nogi wyciągnął, złożył po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tańczących śniegów Baśka kopnęła się w przecwał coraz bardziej chyży. Jeździec miał teraz pełne usta śniegu. Mokre

szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekła policzki. Wicher go do kości przejął. W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłańcanie, jak gdyby zgłodniałych psów.

— Wilki za mną... — wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie, i lodowate mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przychylając głowę do szyi kobyły, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

— Basia, ratuj, Basia!...

Klacz jakby rozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciała nad ziemią we fruwających pianach śniegu z chyżymi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak godzący pocisk...

W jakiejś chwili Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrzał w tył. Ujrzał cztery błyski, migoczące gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczuł wnet, że ma płomień we włosach, płomień, pełgający na szyi, na krzyżu. Leciał, mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami kobyłę w zapadłe boki, smagał ją końcami lejców. Rozpacz okrążała jego czaszkę, zwolna ją oplatała, jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk, martwiejący na ustach, wnet dziwaczny, głupkowaty śmiech. Klacz przesadzała krzaki, płoty... Drzewa leciały obok, stronami, ze świstem, krzaki miotały w lecącego śmiech urwany, jak oklask, chichot dyabelski. Tu i ówdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartemi

nozdrzami kopała się w dzikich rzutach przez zaklęsłe parowy, a zbierając nogi do kupy, wypadała z nich lwimi susami. Czasem stękała, jak człowiek, czasem coś, jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem, zionęło z jej pyska. Były chwile, że cmokanie nacichało. Na gołych polach Baśka ubiegała wilki o staje, albo i dwa, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu ze zdwojoną siłą, śmigała jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi. Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatami ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconem spojrzeniem, i ukazywało się w jednym błysku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia... Za chwilę była to już tylko straszliwa, ciemna otchłań. Nie widział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Leciał w powietrzu...

W jednej chwili, nie wiedzieć kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napełniły mu głowę i oczy. Machnął kozła przez łeb kobyły, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał nawznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało. Wtem buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwem sapaniem, jak koń, zwalił się na niego. Rafał uczuł wszczepione w siebie pazury i kły. Straszliwa, długa paszcza wżarła się w kożuch na jego piersiach, przejęła kłańcami grubą sukienną kurtę i, miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery druzgotały mu piersi, ramiona, ręce, ciosy

tego czarnego łba. Czynem rozpaczy Rafał chwycił nagiemi dłońmi ów czerep za nastroszone grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodzić na śmierć i życie ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwartej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka ozionęło go mrozem śmierci. Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepia cios zwiniętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczękę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał rozwarł pięść i wszystkimi palcami, silniej niż sęp szponami, wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go nazewnątrz. Wilk rozwarł pysk, wygiął się, jak naciągnięty łuk. Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy kożuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas rzemienny kiszki od nich osłonił. Łeb targał się w oszalałych rękach Rafała ze śmiertelną potęgą. Ślepia kołowały. Z nagła straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pełgającą jasnem światłem, dźwięk krótki, jak ostatnie uderzenie dzwonu: klucz. Cichym złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przebłyskiem nadziei mordu w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwścieczonymi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywlókł z nich żelazo. Ujął je pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu potężnym ciosem, chichocząc, wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem

w drugie, aż się po dłoń zatopiła krzywa sztaba. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, zaczął bić w czerep, między uszy, w kufę. Ostre końce klucza więzły między kośćmi nosa i w czaszkę. Miażdżył ją teraz póty, aż się klucz na poły we łbie wilczym nurzał. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwala mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą, jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim, wygięty, pazury łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb siepał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze. Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczeniem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem żgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał, gdzieś obok siebie, śmiertelne rżenie Baśki. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gardziel, jak chłepce płomienną krew i mlaszczącym pyskiem żre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał, leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i sił kuł jeszcze raz za razem. Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył do zdruzgotanej mordy twarz i mówił w nią:

— Znaj pana, znaj pana!... Za Baśkę!

Wyrwał z paszczy rękę, jakby z cieśni ognistej. Legł na gorącym trupie i spoczął na nim jak w pościeli.

Nie rychło, tknięty jakąś błędną myślą, ścisnął w ręce żelazo i dźwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad

sobą i nie wymówiony mróz strachu. Serce ściskało się w nim odległymi, ślepymi i bezdźwięcznymi wybuchy. Chwilami ustawało, jak zabite. Zaczął iść wskroś zaspy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął, potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejnych nogach szedł, uciekał, zmykał od łkającego rżenia kobyły. Usłyszał wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękoma, obłapił go, jak chłop wszechwładne nogi pańskie.

Był to samotny jarząb przydrożny, do pół zadęty przez wiotkie śniegi. Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidlonemi gałęziami. Teraz dopiero poczuł i spostrzegł, że piersi jego są nagie i że są jedną otwartą raną. Dopóki leżał na wilku, nie czuł ni zimna ni bólu. Teraz zakrył się rękoma, skulił, przywarł do drzewa. Rozum jego wydarty był z korzeniem. Cierpiał w sobie jedną jedyną myśl, która nad czemś płakała. Chciał oddalić usta napełnione rozkoszą pocałunków, wdzięczne, uchylone ku niemu wargi. Otaczała mu głowę senna łagodność wonnego szeptania, rozkosz dźwięku tkliwych słów, które z ucha nie mogą odlecieć, a z serca nie chcą się oddalić.

Miał przy ustach przecudne kędziory, okurzone dymem zapachu. Duszy jego uchwycił się błąd. Objęło go wpół i za szyję dumanie o tej cudności dziewiczej, którą był pojął tej nocy, i rozkosz, mocniejsza niż sama śmierć, przewyższająca samą zatratę... Bezsilna głowa zwisła i wsparła się o lodowatą korę gałęzi. Ołowiem ciążące powieki kleiło drzemanie, pełne widziadeł. Łoże tajemniczego szczęścia, łoże bezcielesnej rozkoszy od-

słania się o krok... Wyciągnąć tylko rękę, tylko zawołać... Ale dłonie rąk nie mogą już dosięgnąć. Dłonie spuchłe są i twarde, z grubego lodu. Palce nie mogą się zginać. Ogień buzuje się w piersiach, jęzorami oplata żebra. Z piersi wyrasta jarząb. Gruby pień wrósł w nie wszystkimi korzeniami, między odkryte kości i żyły, w rany głęboko porozdzierane. Pień rozwidla się w górze na konary o barwie stali, ze strony wiatru oblepione puchowym barankiem śniegu. Wysoko, w górze świszczą nagie pręty. Wysoko, w niebie... Ścisk i męczarnia opasują szyję rzemiennym pasem. Powloką go bez sił, bez woli, z oślepłemi oczyma po tej straszliwej ścieżynie, po tajemnym chodniku, który wiedzie do umarłych.

— O, Boże! O, wszechmogący Boże... — szeptają wargi, zwiotczałe i bielsze niźli śnieg.

W zrzedłym, w śniadym półmroku widać zaspy zaspy... Jedne, jak zboże w sąsiekach, jak słomiane, strzechy chałup z kalenicami, jak plewy rozwiane na boisku, jak mogiłki po zapomnianych, starych cmentarzach. Błękitne śniegi porywają się z ziemi, a nieprzejrzane pustkowia dymią od kurniawy.

Rafał zadygotał.

Jakże on widzi te pola? Jakże widzi tarniny krzak zadęty, którego każda igła skowyczy, każdy pręt kurczy się i wyje?

Nie rychło, nie rychło pojął...

To dnieje.

Podniósł głowę, płonącą w ogniach niebieskich, zielonych, fioletowych, szkarłatnych, i jął patrzeć dokoła. Pola! Pola bez końca! Nagle łkanie wyrwało się

z jego ust. Buchnęło, jak żywa krew z przerwanej żyły. Ujrzał Baśkę. Leżała na boku, rozciągnięta, ze łbem odwalonym bezwładnie. Wilk rozszarpał jej brzuch, wlazł weń ze łbem i przedniemi łapami. Czarny jego kadłub, unurzany we krwi, wysuwał się z niej co chwila, wlekąc na zewnątrz śniade i ponsowe jelita. W obłędzie zaciekłej zemsty Rafał skoczył na ziemię i wielkiemi krokami poszedł w tamtą stronę. Bielmo zalepiło mu oczy, usta ciskały przeklęte wyrazy. Ściśnięte krwawe pięście biły w wiatr. Już za chwilę począł uciekać w przeciwnym kierunku. Wlókł się po zagonach, padał na twarz w lotne zaspy, dźwigał się i znowu wstawał. Za każdym krokiem otwierały się rany jego piersi i skrzepła, zastygła krew znowu broczyła. Świtało. Odsłaniały się pola coraz dalej i dalej. Modra poświata przenikała śnieżną zawieję. Rafał żegnał się z tem światłem ostatnim dreszczem serca. Ciało jego ze drżeniem waliło się na ziemię. Myśli z czaszki uciekały. Widział dokoła siebie tysiące mar, tak samo, jak on, podrywających się z zagonów i mknących w lekkich śniegach. Chwilami wytężał wszystkie siły, żeby krzyczeć, ale tylko schrypły jęk z gardła jego wypadał. Stracił wreszcie ostatnie dreszcze woli. Nie wiedział już owo zgoła, czy idzie, czy stoi. Żółte krzyże z równemi ramionami zaczęły występować dokoła. Dzień biały, święty i z końca świata wstający, począł gasnąć... Jakoby pokrywa, ukuta z ciemności, niezmierzonej myślą, nieobeszłej wyobrażeniem, krąg z brzegi obrąbanymi zawisł nad polami i szedł na jego czoło. Ostatni raz oczy pełne łez spoczęły na widnej jeszcze wstędze światła. Bezmierne obrzydzenie, awersya, wzgarda przyniosły obraz śmierdzącego wilka.

Coś czarnego przebijało tam śniegi, wlokło się zwolna... Za nic na świecie walczyć już nie chciał. Nie, nie!

Tymczasem czarna zjawa zbliżała się ciągle, i oto Rafał z podziwem ujrzał parę szkapiąt, tak małych, że wielkie ich łby i chude tułowia ledwie było widać między zaspami. Za końmi sunęły goło sanie chłopskie, a na poprzecznej listwie przodka siedział stulony chłop w wielkiej rogatej czapie i żółtym kożuchu. Wiatr poddymał kołtuniaste grzywy i ogony zbiedzonych, włochatych źrebiąt i zasypywał je śniegiem.

Rafał wołał na woźnicę, stojąc na miejscu, ale tamten nie słyszał wcale, gdyż magierę wsuniętą miał na uszy i głowę owiązaną szmatami. Konający ostatnim rzutem sił, z wyciągniętemi rękoma posunął się ku niemu i wlókł za saniami z wołaniem coraz cichszem. Konie szły noga za nogą, torując sobie drogę ku opłotkom, na których Baśka załamała się była i zginęła. Zdala poczuwszy wilka, konięta dźwignęły łby i zatrzymały się w miejscu, pełne niepokoju. Chłop stanął na sanicach i wpatrywał się w dal. Wtedy Rafał przyczołgał się do niego i runął nań z boku.

Ujrzawszy półnagie widmo, od stóp do głowy staplane we krwi, zagrodnik z wrzaskiem cisnął powrózki lejców, bat i uciekał w pole. Dopiero ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, opamiętał się i ostrożnie zaczął przyglądać.

Kiedy po długich namysłach wrócił do zestrachanych koni, znalazł Rafała, leżącego wpoprzek sanic bez duszy.

MARY.

Ogień trzeszczał i strzelał żywo na kominie, dym kłębami wywalał się z pod okapu na izbę i grubą, gęstą warstwą wisiał pod stragarzem. Pierwszy raz otwarte na chwilę oczy Rafała ujrzały przed sobą rogatą głowę krowy i błyszczące spokojnem jaśnieniem jej oczy, zwrócone w stronę ognia, grube, białe wargi, ociężale miamlące strawę... Wyżej nad krową ujrzały okno zabite deskami i ogacone ściółką leśną, małą szybkę, którą szron tak powlókł, że wyglądała jak wprawiona tafelka lodu. W kącie, daleko, za dymem, ktoś na wyrku stękał, i niemowlę z krzykiem popłakiwało.

Zaraz wszystko to wciągnął w siebie dym.

Wielkim kłębem zniżał się, zniżał coraz bardziej, sięgając niemal głowy, to znowu chłonął niewidzialną czeluścią sam siebie, magał okrągłe półzwroty, cofał się, chwiał, odchodził. Gdy błysk ognia padł w jego czarne przepaście, coś rozwidniało się w nim i świetliste widma płynęły.

Rafał słyszał, że obok komina ludzie mówią, ale

dusza jego, jakby ów dym rozproszona, słyszała tylko wycia wichru. Chata z kołków, zrzynów, chróstu, z gliny i ziemi uklepana drżała, gdy w nią bić wzięły rozjuszone podmuchy. Nawał wichrów siekł ją i prał, podważał liche jej przyciesi, próbował zruszyć węgły, pędził dokoła, kwicząc przeciągle, tłukł w nią stumilowemi skrzydłami i wszczepiał między belki żelazne swoje pazury. Zdało się, że ta kurna zagroda stanęła na wiatrowisku, gdzie się zbiegają z czterech stron świata zamiecie, chery, zawiewy i chachaice.

Słychać było, jak krokwie nad dymem trzeszczą i prężą się przeciwko burzy, jak gonty skrzypią, a zardzewiałe gwoździe skowyczą, wyważane ze swoich szczelin. Co pewien czas świszczące, szumnolotne wybuchy zamieci parły wszystek dym w jeden kąt izby, albo napełniały nim całą budowlę. Za chwilę ciągnący dech wysysał go szczelinami. »Zły«, dmąc w wielką gwizdę, sypał w okienko jak gdyby suchym piaskiem.

Rafał słuchał.

Głośny jego oddech podwajał, potrajał swą szybkość. Obłąkana krew wydarła się ze swych upustów i niestrudzonymi ciosami gruchotała serce. Myśl, myśl ostatnia, samotna, przelatywała upierzona strachem nieskończone pola, albo zmieniwszy się w czucie bryły kamiennej, potrzaskanej na złomy, wirowała w przestworzu bez końca. Głowa stała się głazem, lecącym w przepaść, jakby w ciasną, ognistą studnię. Płochliwe skrzydło złudzenia kurczyło się co minuta... Oto schylone kłęby dymu, a z nich patrzą twarze nieznane, mordy zwierząt, wysnuwają się pająki wielkie, jak wiązy, z nogami dłuższemi od żerdzi...

Dźwigał wtedy bezsilną głowę z szeptem bezdźwięcznym warg. Usiłował spojrzeć w okienko, bo Baśka rży. Baśka rży... Daleko, daleko w zaspach... A nim wzrok do szyby przyleciał, porywał go ze sobą wiatronogi lot, jakoby sen w czasie burzy na szczycie masztu, sen pełen trudu, w którym niema czasu na pochwycenie tchu z powietrza. Leciał tak po przestworzu oćmy i przerażenia, u boku śmierci. Aż oto dobrotliwy, łaskawy i miłosierny wylew potu, jakoby wodą zlał jego czoło, ręce i nogi. Przyszedł nań na wzór anioła miłośnika, pokropił spalone ciało hyzopem tak samo, jak obfity deszcz ratuje od śmierci zgorzałe ziele.

Serce uciszyło się i wytchnęło na krótką miareczkę czasu.

Wtedy uciszało się wszelkie uczucie. Cisza i spokój...

Słyszał głos mówiący:

— Jeden zołmierz z naszych stron beł i w piekle i w niebie... A to tak beło. Ten zołmierz szedł od wojska, a służył siła lat pod niemieckim królem. Przelazł brodami przez Wisłę i miał jeszcze przechodzić bez wielkie lasy, bez Golejowskie. No, dobrze. Wchodzi do tego lasu i patrzy: stoi dziad staruszek a prosi go o jałmużnę. Zołmierz pada: — »Mój dziadku, idę od wojska, przesłużyłem siła lat a dostałem od króla ino trzy dukaty, hale niech ta, dam woma jednego«. A we środku tych lasów Golejowskich zdybał drugiego dziada na drodze, i ten znowuj prosił. Tak ón znowu to samo powiedział i dał mu drugiego dukata... A jak już wychodził z lasu, tak znowu żoba-

czył dziada. Wtedy ten dziad wstaje i powiada: — »Cóż ty, żołnierzyku, chcesz ode mnie za te trzy dukaty? Czy Królestwo Niebieskie, czy skrzypki i torbę?« »A jakież to, dziadku, macie, skrzypki, że ta aże za Królestwo Niebieskie obstoją?« — »Takie mam skrzypki i taką torbę, co jak zawołam: *Chinaj do śnapsaka!* — to ci samo wpadnie, co ino chcesz...« Tak ten zołmierz powiedział, że woli skrzypki i torbę. Ten dziadek dał mu toto. Ha no zołmierz idzie, idzie, aże przyszed do wielkiego miasta, do Krakowa. Wlazł na rynek i słyszy, jako ludzie gadają, że w tem mieście zbudował król spaniały zamek, ale w tym zamku nik mieszkać nie może, bo kto tam nocować przyńdzie, to mu zara cosi łeb urwie. Król ogłosił, że jakby taki się znalazł, coby tych dyabłów wypędził, toby mu dał swoją córkę za żonę. Zołmierz powiedział, że ón się podejmie to zrobić. A i poszedł. Siadł se, obstawił się dokoła święconą kredą, wzion te skrzypeczki i nic nie pyta, ino grá. Hale, o straszna godzino! O północku drzwi się otwarły, i do tego zołmierza pakuje się dwonastu dyabłów. Zołmierz nic nie pyta, ino grá, a dyabły proszą go tańczyć. On gada: — »Nie mam ta ochoty, hale jeśli chceta koniecznie, to pójdę, ale mi, psiekrwie, musicie pierwej przynieść wór pieniędzy«. Lucyper wyprawił kilku dyabłów, i przynieśli wór. Hale zołmierz gada: »Za taki mały woreczek nie opłaci mi się z wami tańcować! Przynieśta jeszcze jeden«. A jak widział, że już ma dosyć pieniędzy, jakże nie zawrzaśnie: »*Chinajta*, psiekrwie, *do śnapsaka!*« Tak wszystkie dyabły bach do torby! Zołmierz wtedy związał torbę śnurem, buchnął w nią pierzcią, i wszyst-

kie dyabły rozlały się w maź, że ino łby zostały, a jednego takiego łba czterech chłopów nie mogło potem udźwignąć...

Burza biła we drzwi i okna kłębami śniegu. Skostniałe jej łapy zgrzytały po szybce, a głos rozjuszony skowyczał. Chorego obejmował sen. Budziło go tylko dalekie, dalekie w huku wichrowym wołanie.. Ujrzał przed sobą starca pomiędzy dwoma rumakami, które się wspinały jak tygrysy. Straszny dziad o twarzy jakby wykutej z piaskowca, o długich siwych kudłach, rozczesanych na ciemieniu we dwie strony, trzymał je u pysków i szedł krokiem żelaznym. Rafał uczuł w ręku rzemień uździenicy. Starzec siadł na koń i ukazał się na nim w całej swojej wielkości. Rafał uczuł strzemię pod podeszwą i z dzikim śmiechem skoczył na siodło. Piersi mu pękały od szalonego tchu i słowo więdło na wargach. Schylił się do widma z szeptem:

— Zawieź mię, zawieź...

Nie mógł wymówić nazwy. Zapomniał, jak się to zwie. Widział tylko w głębi swych oczu, czy w mrocznych czeluściach nocy, bladą twarz... Przytulił do siebie ten widok, pochłonął go duszą tak, jak woda chłonie trupa topielicy. Poczęli teraz obaj z dziadem wiać i świstać polami, polami, polami, z najprędszym wichrem w przegony. Zmienili się w kamienne bryły z piaskowca lecące na obłąkanych koniach. Ręce ich stały się grube, opuchłe, jak u przydrożnych figur, oczy nie widziały nic, nawet ciemności...

Jakaż to dobroczynna siła dźwignęła głowę cięższą niż góra? Jakaż to władza poruszyła skały rąk? Ślepe oczy widzą...

Siedzą ludzie na niskich pieńkach dokoła komina. Chłopy kudłate w kożuchach. Baby w wełniakach przędą i skubią pierze. Czerwony blask pada na ich zamyślone twarze, posępnie wsłuchane w głos starego chłopa, który coś mówi. Zgarbiony dziad mówi:

— Gádá do mnie ten Franek Dyląg, że mu gwer nie wypalił. A tu ogień gęsty, kule pierą raz kole razu. Tak ja mówię sekretnym sposobem: — »Kulę wyjm, ciśnij na ziemię i zadepcz w piachu nogą«. Ale się zląkł: — Zobaczy, pada, kapral, to mię puszczą bez żywą ulicę. — »No, rzekę, jak ta chcesz!« Ogień szedł, a on precz gwer nabija. Wtem zawołali: *Ruhit* — to niby na odpoczynek. Mnie feldfebel pozwolił z glitu wyjść. Wyszedłem ja z glitu, a tu akuratnie wtedy Francuz nastąpił, sam ich najpierwszy naczelnik dalej w nas! Zawołali ognia dawać! Dyląg złożył się i wypalił. Wzieno mu gwer ozerwało. Zabił i siebie i kolegę, co kole niego stał. Ja wracam na to miejsce, gdziem gwer ostawił, widzę, Dyląga już nie masz: inny zołmierz stoi. Tamtych zabitych w tył wywlekli. Nasz glit odstąpił, a inne na to miejsce przyszły. Patrzę, mojego Dyląga, choć już z niego ino zimny trup ostał, rozciągnęli na ziemi i bili tęgo laskowymi kijami w plecy, w brzuch, po łbie, dla postrachu innych...

Głowa Rafała zsunęła się znowu na wiązkę słomy, okrytą zgrzebną płachtą. Łzy gorzkie padały z oczu na Dyląga trup krwawy, łzy płomienne, nie wiedzieć czemu płynące.

Głosy rozmówców oddalały się wciąż i słychać je było, jak przez grubą ścianę. Jeden mówił:

— Za tamtego, za króla chłopa, choć do wojny nie gnali. Pan z panem szedł bić się we światy...

— A tyś, chłopie, zdychał wedle zagona, jako ta krowa i kóń...

— Tako i dzisiaj, jak i za tamtego, za króla...

Dym burymi kłęby walił w izbę i wisiał nad głowami. Co chwila zsuwał się aż na ubite klepisko.

WIOSNA.

Ziemia sandomierska kąpała się w majowym poranku. Okno w narożnej izdebce Rafała było otwarte, i zapach wiosenny, gwar ptaków, dalekie szczekanie psów we wsi przylatywały do niego. Ledwie je słyszał i ledwie widział. Od chwili do chwili ciskał nim niezwalczony, nerwowy płacz. Piersi jego rozrywał ból fizyczny, a ciężki ucisk gniótł je, jak głaz.

Po długiej chorobie, która go przez marzec, kwiecień i część maja trzymała u drzwi śmierci, Rafałek wychudł do cna i zczerniał. Ale dopiero gdy zaczął przychodzić do zdrowia, zrodziła się druga choroba: męczarnie duszy. Oto poprzedniego dnia powziął od sióstr wiadomość, że z jego winy Helenę wywieziono do Krakowa, czy do Warszawy, do Paryża, czy do Berlina, że padło jakieś podejrzenie, jakiś domysł. Była to rzecz oczywista, że stracił ją na zawsze. Wiedział o tem aż nadto dobrze mocą tajemnych przeczuć, mocą uczuwania w półśnie, w drzemaniu, nieomylniejszą od rachunku. Stał się teraz brzydki, jak trup. Nos mu się zaostrzył i wysunął naprzód. Zapadłe oczy pło-

nęły w swych dołach, jakby się miały do znaku wypalić. Nie sypiał w nocy, a jeśli we dnie popadł w śnienie, miewał widzenia, których potęgi, plastyki, dotykalności nie sposób wyrazić słowami. Było to drugie życie, bardziej rzeczywiste, bardziej istotne, niż na jawie. Tam się rodziły pewniki, trwogi, nadzieje, decyzye, stanowiące życie ducha. Rzeczywistość była tylko jałowym, suchym, nędznym obszarem tęsknoty. Tam i ją widywał. Uczuwał jej obecność wśród drżenia ciała... W dymach błękitnych słyszał jej głos, śmiechwesele, nadchodzące kroki, a budził się do tej straszliwej prawdy, że tego wszystkiego wcale niema, nigdy nie będzie, że to był sen. Teraz o tym świetlistym poranku od pierwszego świtu, od pięciu godzin chodził po swej izbie tam i z powrotem, tłukąc się od ściany do ściany. Na podłodze zaczerniały tu i owdzie czarne krople spadłych łez. Były tak bolesne, tak z pod serca, że je omijał, bał się na nie nogą nastąpić, jak na rzeczy, w których samoistne tkwi życie. Spotykając martwe przedmioty, oczy jego cierpiały, jak od ukłócia noża, a myśli zamieniły się w zazdrość. Zazdrość skibom ziemi, kamieniom, zagonom, dalekim przykopom i rowom ich losu. Leżeć, spoczywać bez bólu, nie czuć... Ale spokój na wieki, zda się, odleciał. Wbrew woli, naprzekór wszystkim wysiłkom, zazdrość przeistaczała się w bezrozumną »zaciekłość«, w dziką pasyę rozdzierania ran własnych, w chuć nieustanną uprzytomniania sobie niedoli.

Wszystko pomagało mu w tem z szyderczą usłużnością. Ojciec wypędził go z domu, zezwalając na przebywanie w nim tylko do chwili wyzdrowienia.

Osobliwie, kiedy rozeszła się po dworach plotka-domysł, tłumacząca przyczyny nocnej wycieczki Rafała i katastrofy z kobyłą, stary cześnik popadł w stan dzikiej, zajadłej wściekłości. Dom cały drżał z trwogi. Przypomniano sobie ów sądny dzień, kiedy to ów starszy, młody podówczas oficerek, dopiero wypuszczony z korpusu kadetów, w sprzeczce z ojcem o świeżo ze stolicy przywiezione nowinki, gdy ten zagroził mu bizunami i kazał wołać parobków, położył dłoń na rękojeści szpady... Matka i córka chodziły teraz na palcach i usiłowały tyle już wyrobić, wygłaskać, żeby młodszy mógł przyjść w domu do zdrowia. Rany z pokąsań wilczych zabliźniły się, a straszna jakaś choroba, która z tego wynikła, gdy go napół martwego znaleziono w chłopskiej lepiance dalekiej wsi, wreszcie przeminęła. Ale wówczas dopiero zaczęło się piekło. Starzec drżał. Skrzywione jego wargi miotały przeraźliwe wyrazy, ręce ciskały w przechodzących, co się zdarzyło. Wszyscy mieli krótko i węzłowato zapowiedziane, a osobliwie matka, że skoro tylko »wyrodek« będzie mógł stać na nogach, ma się z domu wynosić na cztery wiatry i więcej nie pokazywać na oczy, aż do dalszego rozkazu. Stał już na nogach i tego też dnia miał po śniadaniu odjechać z domu. Matka słała go skrycie do owego starszego brata, który mieszkał daleko, w leśnej okolicy, gdzieś w pobliżu Małogoszcza. Biedna matka wiedziała, że i tamten syn jest ciężko chory, pragnęła tedy, wysyłając do niego młodszego, ratować jakoś obudwu. Powziąć zresztą wieść jakąś... Sama nawet pomyśleć, nawet zamarzyć nie mogła, żeby tam pojechać. Owszem musiała udawać, że do tej

chwili nie przepuściła mu w sercu. Udało się tyle przynajmniej przez podstarościego, pańskiego zausznika i faworyta, wyrobić, że wyznaczono fornalkę, najlichszą, rzecz prosta, i najlichszą bryczkę do wywiezienia Rafała. Cześnik zgadywał, dokąd to powędruje wypędzony z domu. Może nawet w tajemnicy przed samym sobą pragnął także powziąć wiadomość o tamtym, o pierworodnym, o ukochanym niegdyś, który, niewidziany od tylu lat, za światem... pono umierał. Wieść tylko głucha, obojętna, z dziesiątych ust, jak pies milczkiem kąsający, dobiegła ucha i jadowitym zębem wieczną w sercu rozdarła ranę. Stary kutwa błąkał się codzień miedzami, po dołach, po łąkach, rolach od świtu, a kiedy stawał na progu domowym i kiedy zaczynała się naokół panika, rzucał zawsze wrzaskliwe, drżeniem wszystkich, kto żył, przejmujące pytanie, skierowane nie wiedzieć do kogo:

— Czy ten złodziej nocny, czy ten gach jest tu jeszcze?

I tego dnia Rafał słyszał już ów krzyk, ale nie zwracał nań uwagi. Męka jego wewnętrzna była po stokroć, po tysiąc razy głębsza od wszystkiego, co go ze strony ojca spotkać mogło.

Żal mu było matki. Ale był to żal drugi, daleki, jakby przybłąkany... Słuchał jej próśb, zaklęć, cichych, szeptanych skamlań, słów wyłowionych z morza łez, zaczerpniętych z nocy bez snu. Odpowiadał z przymusem, boleśnie, na prędce skomponowanemi kłamstwami. Cóś przyrzekał, zaprzysięgał głębokim, najuroczystszym szeptem. Załatwiał rozmaite czynności, brał, wiązał, układał sekretnie znoszone posyłki dla

Piotra — brata, którego prawie nie znał. Notował jakieś lekarstwa, uczył się na pamięć pozdrowień, błogosławieństw, słów-talizmanów, które zawierały wszystką od początku do końca matczyną miłość. W tej samej chwili wstrzymywał pod powiekami łzy krwawe, dusił w sobie szlochanie, rozsadzające piersi, albo z całej siły woli krzywił usta w sposób cudaczny, w wesołym, niby to młodzieńczym uśmiechu. W czasie tych właśnie rozmów z matką i siostrami, gdy był zmuszony zajmować się swoją podróżą, cierpiał najbardziej. Myśli, porzucone przez chwilę, mściły się, uczucia nieszczęsne, tysiącem wściekłych rąk szarpały za włosy. Czasami jednak przychodziły nań chwile przedziwne. Zatapiał się w najwyższą ekstazę miłości: upadał na twarz przed szczęściem utraconem. Schodziło nań coś nadziemskiego i nadludzkiego: zapomnienie o sobie. Wówczas, w czasie tych mgnień błogosławionych, choć łzy lały się z oczu, nie bolało nic a nic serce. Widział wprawione w duszę swą i patrzące wskroś ciemności błękitne oczy z dziękczynieniem.

Pogrążonemu w tak zasępione marzenia dano znać, że konie na gumnie czekają, i że czas już jechać. Wytarł oczy i, nie oglądając się za siebie, szedł z izby. Matka, płacząca zcicha w sieni domu, dała mu znak, że ojciec nie chciał go widzieć przed odjazdem.

Mając przed oczyma tylko sen swój wieczny, młody wygnaniec ledwo zrozumiał, co do niego mówią. Pożegnał matkę, siostry niby to czule i szerokim krokiem ruszył na gumno. Stamtąd wyprawił go w świat podstarości.

Para starych, wychudłych szkap, odwieczna dropiata kobyła i gniady, ślepy wałach, leniwo wlokąc gnaty, na których tylko skóra wisiała, wyciągnęły w pola rozeschniętą bryczkę. Naokół, wzdłuż i wszerz płaskich wyżyn i okrągłych, lekkich wzgórków, zbożne niwy rozciągały się, jak okiem sięgnąć. Opar gorący migotał. Suchy i ciepły wiatr chwiał miękką ruń jasnego żyta, ciemnej, łanami rozesłanej pszenicy, ledwo wychodzące z szarej roli pióra jęczmienia. Dech wielkiej przestrzeni wiał z tych dorodnych pól, odsłonionych ku niebu, w pieszczotach słońca. Rozległe wąwozy, czyli błonia, kierujące się ku dolinie Wisły, okryte już były darnią zieloną. Strużki i poniki łąkowe stały się żółtymi szlakami jaskrów, a suchsze wzniesienia zasiało nikłe, błękitne albo białe kwiecie. Poprzeczne parowy, co się zbiegają ku każdemu rozdołowi, świeciły w słońcu jasnożółtymi placami i żebrami szczerej gliny. Gdzieniegdzie uczepiła się ścian tych uroczych rozpadlin kolczasta tarnina, albo krzak dzikiej, powikłanej jabłonki. Obydwie tego dnia biały i różowy kwiat okrył, jakoby komżą świąteczną. Niskie dołki między polami napełnił żyjący połysk gałęzi. Białe brzozy stały tam po małych zboczach. Dotknięte żarem wiosennego ognia, pławiły czuby swoich gałązek w powiewach, omglone młodymi liśćmi. Oziminy spływały ku nim cudnemi zgięciami zagonów, jakoby głosy przerozmaite, a wysokie jednego chóru. Chaty, gnieżdżące się w załamaniach parowów, albo przylepione do wyniosłych ścian z gliny, odbijały jasnością od zieleni sadów. Już czujny modrzew, tam i sam stojący, okrył ramiona cudnością zieleni, jakoby tuwalnią

pajęczą. Już krzywe, grubaśne pnie wierzb nad mokradłami, puściwszy nowotne rózgi, stały w nich, nikiej świece, jarzące się od wielkiego blasku. Jeszcze tylko olchy martwo smutniały w jasnej przestrzeni, a czarne kępy rokicin rzucały mrok na zieloną murawę. Zdało się, że nawet nędzne lepianki zakwitły na wiosnę. Dachy ich, wielobarwne od słomianego poszycia, na kalenicach przegniłego, jak stary aksamit, złociły się na słońcu. Wiklowy płotek pleciak, snując się od jednej zagrody do drugiej, sam jeden tylko utrzymał szarą barwę zimy. Zataczał się krzywo i martwo, wspierał na wierzbach... A dokoła niego, wszędzie już radosny jar okrył szarą nędzę ziemi. Od zetknięcia prętów z wietrzykiem wytryskały liście. Nawet na niebie kwitły całkiem nowe, nieznane, jare i zadzierzyste, śniade obłoczki.

Jedną z wąskich, mylnych drożyn sandomierskich sunęła bryczka, wlokąc za sobą chmurę szarego kurzu. Zapadała na dno głębokich, zimnych wąwozów, wdrapywała się na szczyt płaskowzgórza... W jednem miejscu Rafał obejrzał się poza siebie i objął widny zdala dom i okolicę. Wpatrzył się w tę stronę rodzinną i w tłumie myśli bezładnych uczuł dokuczliwy żal. Żal ten ucisnął jego duszę, jak obcy przychodzeń z nieznanego kraju, i znikł. Wzmogły się po jego odejściu wszystkie gorejące uczucia, i nowy ich żywot się zaczął. Rafał czuł, że nic sobie poradzić nie może, oprócz tęsknoty nic nie zyska, a jednak, ujrzawszy siniejące w dali na horyzoncie aleje w Dersławicach, radośnie westchnął. Droga jego nie tamtędy wiodła, i furman miał już skręcić na lewo, gdy panicz rzekł:

— Wincenty... czy to my... tego... na Dersławice jedziemy?

— Gdzie zaś! Na Bazów, na lasy Golejowskie.

— Słuchajcie, jedźmy tamtędy... na Dersławice.

— A i pocóż my, tylośny świat! Jak się wielmożny pan dowie...

— Nie dowie się!

— Hale, ón się ta nie dowie!... Będę baty brał.

— Wincenty! Dostaniecie ode mnie strawne i jeszcze kieliszek wódki. Dowiedzieć się nikt nie dowie... Jedźmy tamtędy!

— La Boga świętego, pocóż my, paniczku, na Dersławice? Tu droga, jak strzelił... Zapowiedział podstarości, jak i co mam robić...

— Na moje słowo!

— No, jużci jakbym leżał pod gankiem...

Z rezygnacyą zawrócił i pojechał w stronę Dersławic.

Była to ta sama droga. Na rozstaju stała figura. Ostre zapachy młodych pól teraz ją owiewały, cierpkie kwiatki przydrożne, żółte i siwe, słały się wiankiem u jej podnóża. Rafał zwrócił na nią oczy pełne łez. Całe życie przeszłe i przyszłe, wszystko, co było i być mogło, wydało mu się niegodnem jednego oddechu tamtej godziny. Na samą myśl, że ta droga, w marzeniu milion razy widziana, przebyta, uproszona w snach i widzeniach, już do celu nie doprowadzi, że jest jedną z wielu dróg nędzy człowieczej, czuł, że nie miłość ma w sercu, lecz tylko pragnienie śmierci. Zachwycających spojrzeń nigdy już ujrzeć nie można, urok jej obecności komu innemu się udziela — oto

wszystko. Zarazem rozważał cichą, kryjomą, badawczą myślą, że wioząc w sobie śmiertelnie chorą, napół umarłą duszę, nie umrze teraz, lecz dopiero po nieskończonych latach. Przebywał zwolna wszystkie szczeble tęsknoty aż do ostatniego. Było to ciężkie utrapienie ducha. Dźwigał bowiem w sobie wroga własnego i jej szatana kusiciela, wiekuistego zdrajcę i obłudnika: zazdrość. Wszystka robota ducha upadłego na siłach nie miała już podniet.

Ostatnim sensem wszystkich wysiłków było słowo: stało się.

Nadaremnie otaczał się fosami, rowami i bastyony rozsądku, jak obłąkany, któryby toczył walkę na pięści z samym sobą. Wszystko rozsypywało się w proch i przemieniało w nędzę.

Zaszumiały nad jego głową dersławickie aleje. Olbrzymie lipy z prawieków, nadwiślańskie topole o cielskach napoły wyschłych, ledwie gdzie u szczytu okryte młodymi liśćmi, zcicha szemrały. Rozlegał się w całym ogrodzie gwar ptaków, budujących gniazda. Głosy wywilg, srok, zięb, trznadlów kryły się w mokrych gęstwinach. Droga, zniżając się na dół, zaprowadziła wkrótce przed kuźnię. Rafał kazał tu stanąć i zalecił furmanowi, żeby obejrzeć stan podków końskich. Zdziwiony Wicek zlazł z kozła i zaczął ze złością podnosić kulasy jasnokościstym szkapskom. Okazało się, że istotnie zdarte żelaziwa ledwie się trzymały u kopyt. Rafał nastawał, żeby je poprzybijać nowymi hacelami. Gdy kowal zabrał się do tej roboty, zeskoczył z bryki. Ociężale zbliżył się do sztachet ogrodu i stanął u przełazu, wspartego na dwu słup-

kach. Ujrzał dwór, sad, wysokie nad nim lipy... Samorodna altana pod baldachimem starego bzu pałała zielenią darni, okrywającą ziemną ławkę. Wybujałe zazarośla jaśminu i dzikich róż zakrywały ją i tworzyły żywe ściany. Widząc to miejsce oczyma, Rafał ścisnął sobie gardło, żeby nie łkać głośno. Stojąc tak długo, kąsał się własną wściekłością, smagał każdem spojrzeniem oczu. Na rabatach przed oknami domu świeciły się kwiaty, ozdobione niezgasłymi kolorami. Okno, wyśnione było otwarte, i dwie jego połowy wonny wiatr z lekka kołysał. Białe ściany domu uroczyście i tajemniczo milczały w rozkwitłych koronach wiśni i jabłonek. Pnie drzew czereśni stały dalekim rzędem, rozwidlone u samej prawie ziemi, powikłane w konary, ze zwieszonemi gałęziami. Stara na nich kora pękała niby przyodziewek zetlały, rozłażący się to tu, to tam. Uliczka mokra jeszcze, brunatna od wilgoci, biegła popod białe rózgi, w ustronia odległe, w klomby dzikich wielkodrzewów, w cienie.

Długie i subtelne liście wiśniowe i grubsze śliwin lśniły się, jakoby miodem powleczone. Ostry zapach kwiatów, śpiew niezliczonych ptaków, raszek, kosów, wywilg, nad tym ciemnym, szerokim dachem, wszystko to ścigało teraz i szczuło serce widokiem swoim. Skrępowany czarownymi więzami nie mógł ruszyć się z miejsca. Wdychał jeszcze zapach tego ogrodu i pochłaniał go oczyma na zawsze... Oglądał widome drogi szczęścia i słodyczy pełne cienie, osłaniające święte jego szaty... Tylko szczęścia samego już nie było. Ulegał złudzeniu, że widzi siebie, idącego z Heleną w stronę niewysłowionej altany. Głowa styka

się skronią z jej głową, a dokoła szelest i gwar wiosenny. Kwietne się sypią puchy, białoróżowe śniegi rozkwitłych wiśni i jabłonek. Z ran, do żywego zadanych drzewom przez obcinanie gałęzi, sączy się aromat oskoły...

Czuł w sercu szczęście tamtego dnia i nadziemską mocą wyobraźni przenosił je całe, olbrzymie jak świat, aż do tej chwili i miejsca. I nagle jeden podmuch wietrzyka wszystko w proch rozbijał. Zlatywał na ziemię, jako kwiat czereśniowy. Dom był pusty, niemy. Ramy okienne chwiały się sennem kołysaniem, a szara, wypełzła od dżdżów okiennica zgrzytała do taktu z ich melodyjnym pląsem, zgrzytała zcicha, starczym, zjadliwym, przemądrzałym śmiechem zardzewiałych zawias. Niema, niema, niema... — naigrawał się ten starości głos wyziębły. Okrutny wyrok rozległ się w głowie, jakoby głos dzwonu, który śmierć zwiastuje. Zasklepiona od balsamów wiosennych rana rozdarła się na nowo. Ukazywała się z pod złudy uczuć, z pod miękkich wielobarw kwiatów, z głębi prochów i dymów wonnych rzeczywistość chropawa, istotny, szorstki byt, i wszystka jego głupia nędza Wlokło się z głębin cienistych mądre, liczące straty i zyski rozczarowanie. Ze ściśniętymi zębami, z oczyma pełnemi ognia prosił się o cud powtórny, o widok drogiej postaci tylko przez mgnienie oka, o złudzenie widoku... Daremnie...

Trzeba było wracać na bryczkę.

Już kowal załatwił się z podkowami, a Wincenty chrząkaniem dawał znać, że czas w drogę. Rafał zawarł powieki i z obojętnością wręczył rzemieślnikowi na-

leżne cwancygiery. W trakcie tej czynności rzucił ukośne spojrzenie na kuźnię, na wygryziony u wejścia żłobek... Nie obejrzał się, gdy bryczka ruszyła z miejsca, klekocąc wyschłemi sprychami, i nie odwracał głowy, gdy mijała długi ogród. Miejsce to miał w sobie, zamykał je pieszczotliwie w duszy swej na siedm zamków.

Boczna droga, na którą z gościńca skręcali, powiodła ich w lasy. Jechali wolno wpoprzek pól, otoczonych borem, później znowu lepszą drogą, aż do Staszowa. Po kilkogodzinnem wytchnieniu, którego szkapska nieodzownie potrzebowały, ruszono dalej. Zmierzch zastał ich na granicy jakichś łąk bardzo rozległych, wśród których słały się wody stawów, daleko jak gdyby jeziora błyszczące. Nigdzie, jak oko sięgło, nie było widać ani wsi, ani nawet chaty. Kępy lasów stały tu i owdzie nad owymi łęgami, które już kwiecie zaciągnęło. Po nadrzeczu czerniały smugi olch, wyniosłych brzostów, kępy drzew liściastych, czyli, jak mówił furman Rafałów, żywych. Przypiaskowa, to znowu bagnista droga szła brzegiem lasu. Konie wlokły się noga za nogą, utykanego, w sposób coraz bardziej niepokojący, aż wreszcie zgoła ustały. Nie skutkował ani bat, ani biczysko, ani kłócie, ani głaskanie i posiepywanie za kantary. Zwiesiły stare łbiska dwa żywe trupy i z wlepionemi w ziemię oczyma pogrążyły się w spokój zupełny, obojętny na wszystko, nie wyłączając cierpienia i nie wyłączając śmierci. Rafał tknięty został widokiem tych koni. Zsiadł z bryczki, obejrzał zwieszone czerepy i zadecydował, że trzeba w tem miejscu nocować. Fornal wydobył zaraz worek z chudym obro-

kiem, odprzągł szkapska i urządził im żłób w przodzie wózka, a sam chętnie wziął się do miętoszenia żuchwą partyki razowego chleba, oraz skiby sera, zzieleniałego od starości. Rafał nie był głodny. Ciało jego, rzekłbyś, przestało istnieć. Dusza, rozpłomieniona, w udręczeniach, spaliła je na węgiel. Zaczął chodzić nad łąką w pobliżu bryki tam i sam, dusząc w sobie wszystkie szały miłosne i zawierając je w sercu, które się szarpało i biło ślepymi ciosy.

Zdala, nad łąkami, dogasała zorza. Niknące zglisko jej lśniło jeszcze przez czas pewien na wodach nieznanych, na latoroślach łóz, które z wielkiej odległości oko ujmowało jak gdyby promienie świetlne, na szczytowych liściach wyniosłego białodrzewa, sokor i wiązów. Gdy tak przygasło, że tylko ceglasty brzask po niem został, Rafał polecił służącemu nazbierać suchych patyków i rozniecić ognisko. Wnet wzbił się w górę pióropusz sinego dymu, i małe, jadowite płomyczki zaczęły pożerać suche igły jałowcu.

W małym kręgu ogniska, Rafał, stojący zdala, widział bezmyślnie, cielesnemi oczyma zwisły nad opałką łeb narącznego konia, wyschłą czaszkę z ruchomymi powyżej orbit dołami. Surowy i zimny czerep nasuwał się jako kształt cierpienia, jakoby jego wizerunek i obraz prawdziwy. Poniewoli wzrok znowu przywierał do zgasłych końskich oczu, do ich siły wyczerpanej, do oczu przeżytych, a tak niedościgle mądrych, tak udręczająco wielomównych, że w ich wyrazie mieścił się cały jakiś świat, alfa i omega bytu. W mowie tych źrenic żałosnych, które przymusowo widziały płomień ogniska, bo je raził i nękał, można

było wysłuchać słowa, i Rafał ostrym zmysłem cierpienia zaczął słyszeć wzdychanie ich z ciemności:

— O śnie wieczny, śnie wieczny!

Na pograniczu cichego lasu i łąk, od wilgoci łąk, od wielkiego bogactwa traw pachnących we dnie i w nocy, śnie wieczny...

O dobrotliwy spoczynku kości znużonych!

W świętej ciszy nocnej, pod rosą z niebios zstępującą, w południa, w słońcu, co pali aż do zgnicia wszelkiego truchła, pod ulewnymi deszczami, które bez wytchnienia pracując, obmyją, co się ostoi.

O puchy miękkich traw, które przyniesie wiatr wiosny! Kwiaty, mające się z nas urodzić... Błogosławione nasionka, któremi proch nasz zapłodnią ptacy i motyle...

Wewnątrz łodyg, w tkankach badyli krążyć będzie nasza krew i nasze ciało.

O woniejąca rodzino nasza, bracia i siostry! Dzwonki polne, maki, bławatki, bratki łąkowe... O usta nasze i oczy umarłe... W was będzie łkanie naszych piersi, w was bicie serc, w was płomień miłosny naszych żył...

Rafał odszedł. Rozgrzany piasek jeszcze nie ostygł. Nogi z lubością zatapiały się w nim, a torfiasta w głębi ziemia głucho dukała. W dali rechotały żaby. Chór ich tworzył melodyę kołyszącą, senną. Niekiedy z jej głębi dawał się słyszeć przeciągły, głuchy, cudzy pobrzęk. Wówczas mimowoli nasuwał się na oczy odległy widok. Wznosiła się z bagien olbrzymia głowa porosła tatarakiem, grzybieniem i skrzekiem, oplecione chwasty wodnymi, wywracała do gwiazd, ro-

błyskujących w niebie, przejrzyste, jasnobarwne oczy. Śniło się, że leniwym ruchem dźwiga błonistą rękę i niesie do ust piszczałeczkę, wykręconą z najmłodszej rózgi wierzbowej, która się w ciągu poprzedniej nocy urodziła. Lepkie żabie palce przebiegają po dziurkach ligawki, i leci w zroszoną dal przygrywka żabiego chóru. Leci, błąka się, ginie między wysokiemi drzewami...

W pobliżu czerniał iglasty bór. Nieruchomy, nieżywy, bez głosu stał, ciągnąc z łąk i wsysając w siebie ciemność najgęstszą. Z dalekości, z zarzecznych pagórków, które w nocy dawno zginęły, dolatywało czasami żywe naszczekiwanie psów. W innych momentach wybijała się na wierzch cisza. Ledwie, ledwie mąciło ją suche trzaskanie płonących igieł, brzęk niewidzialnego komara. Czasem koń głośniej chrupnął, albo dmuchał nozdrzami z umysłu, żeby odwiać sieczkę i snadniej wargą trafić na nieliczne ziarna owsa. Od dalekich białodrzewów, z łona wód, z pośród rokicin, iwiny i tataraku nadciągnął powiew szelestny, wiatr zwilgły, nasiąkły ożywczą wonią, rozszerzył się po suchem gołoborzu i obudził szum leśny, szum czarny, gęsty od tłustości żywicznej, parny, ciężki i gnuśny. Ale za chwilę z suchych piasków uciekał i znowu cisza przepływem niepostrzegalnym wracała na dawne miejsce.

Rafał wyciągnął drugi worek z obrokiem, rzucił go wzdłuż bryczki i położył się nawznak. Patrzał w niebo rozwartemi oczyma. Miał jeszcze w sobie osłupienie i niemoc nabytą w chorobie. Od gwiazdy sypał się w ciemność nocy pylny brzask, srebrny posiew

światła. Białe smugi pary, mgławice obłoków, nieskupione jeszcze pierwociny chmur cicho i sennie przepływały między gwiazdami. Ciałka ich mleczne nikło jaśniały od brzasku-poświaty gwiazd, by nieco dalej posunąwszy się w otchłań, rozwiać się w niedościgłą dla oka formę, stać się niebem.

Noc była parna. Migały zrzadka szybkie i bezdźwięczne, suche błyskawice, które lud zowie zwiastunkami pogody. Zostawały po nich w oku tylko prześliczne, niebieskawe wizye fioletowych lasów, wsi usypiających między sadami, pól zielonych. Wzrok i myśl zatapiały się w nieprzeniknioną noc, szukając nadaremnie widzianych przez chwilę zarysów.

Fornal usnął, jak kłoda, w pobliżu gasnącego ognia.

Kiedy Rafał leżał bezczynnie, rad, że nic nie czuje, że nawet nie wie, gdzie jest, i co się z nim dzieje, w pobliskiej kępie olszyny rozległ się dźwięk... Jeden, po nim drugi, trzeci... Młodzieniec zerwał się i usiadł. Słuchał tonów słowiczych, całował je z radosnym uśmiechem, przyciskał do serca wszystką mocą duszy, wszystkiemi siłami ciała. Zwolna te dźwięki metaliczne, tony pierwotne, tak lekkie, jakby je wywoływało dotknięcie strun cytry przez różnobarwne pióro pawia, poczęły zapadać w niego, lecieć wskroś, jak ostry krzemień przelatuje głębinę wody. Wówczas posłyszał wyrazy... Wyrazy niemateryalne, nazwy — pieszczoty, pogłaskania, dotknięcia pełne czci, pocałunki oddane duszy przez duszę wpośród ukłonów aż do ziemi i wpośród dymów wonnego kadzidła. Wyrazy nowe, o których nic nie wiadomo, czem są,

czy miłością, czy nienawiścią, czy litością, czy wzgardą i potępieniem. Usłyszał całe dzieje swojej miłości w owych poświstach przecudownych, lecących jakoby brylantowe strzały w jasny lazur aż do samego zenitu, w zagięciach dźwięku, które w boleści na dawne miejsce powraca, jakby niewolnik w jarzmie z krzyżem zgiętym, poszarpanym batem siepacza, w strzelistych pieniach samotnych, pełnych siły i dumy, w dźwiękach wolnych, oszalałych z zachwytu, najpotężniejszych na ziemi, niedościgłych. Zdawało mu się chwilami, że to w nim samym, sobie samemu śpiewa ów niewysłowiony złotostron, i że to on sam wyrywa z niego zdrętwiałymi palcami owe krzyki duszy, przeciągłe, długie, padające, jakoby ptaki zabite u jakiegoś kresu boleści. Posłyszał imię kochanki, nazwę jej włosów, barwę jej oczu. Złożył umęczoną głowę na jej piersiach, trzęsących się od płaczu, przycisnął usta do policzków, do powiek mokrych i słonych od całonocnych łez.

Pierwszemu słowikowi, który tę tonikę zaczął, odpowiedział zdala drugi, tamtemu trzeci... Do tego trójdźwięku przyłączył się czwarty, tworząc z pierwszymi akord niewysłowiony. Daleko w gęstwinach nadwodnych śpiewał ostatni.

Były to jak gdyby czaty, nocne wojska uczuć, wigilie, czyhające po nocach na samotną miłość, któraby się zabłąkała, przechodząc temi stronami.

Skoro tylko dnieć zaczęło, zbudził Wincentego i jechał w dalszą drogę. Wypoczęte i popasione konie szły raźniej. Z prawej i lewej strony widać było wsie i folwarki spalone przed dwoma laty do przyciesi.

Stały jeszcze szerokie, czarne place zgorzałej ziemi, których murawa przejąć nie zdołała. Leżały stosy opalonych belek, krokwi na węgiel zetlałych. Rozwarte paszcze okien we dworach, drzwi powyłamywane, okiennice, wiszące krzywo na ostatnim haku, sufity zawisłe nad zburzonemi ścianami, do pół strącone kominy i piecowiska, przywalone zeschłym popiołem, widać było naokół. Tu i ówdzie wznosiły się na popieliskach domostwa, stodółki, obory. Tam i sam nowy dwór dźwigał się między zwęglonemi lipami, które, jak czarne pochodnie, biły w oczy ze środka zielonych pól. Większość wiosek stała jeszcze pustkowiem, gnieździła się w budach.

Z południa Rafał minął Chęciny. Stary, strzaskany zamek, baszty czarne, pęknięte, mur trupi, unosił się przed nim w powietrzu, niby czaszka rozbita. Wjechali w okolicę górzystą, leśną i dążyli do miejsca przeznaczenia. Nigdy tu jeszcze Rafał nie był. Ukazał mu się kraj zgoła inny: cichy, zapadły, smutny. Przestrzenie wzgórz bezużytecznych o glebie czerwonawej, zarosłej sośniną, albo jałowcem, piaski na wzniesieniach, sapy nad rzekami. Z traktu skręcili na boczną drogę i wąskim, leśnym szlakiem jechali aż do wieczora. Korzenie świerków jak węże przerastały drogę, a gdy się od niej cofnęły drzewa, to otwierała się przed oczyma żółta smuga litego piasku z dwiema koleinami, które daleko, daleko w las się ciągnęły. Dookoła stały smukłe świerki, jak strzały zaopatrzone w bełty dla bardziej chyżego lotu. Zielony, świecący się mech wiosenny otulał rudawosiną ich korę. Słońce wnikało do głębi lasu, i promienie jego przelewały się

nietylko przez gąszcz gałęzi, ale nadto prześwietlały nowe, tegoroczne ich wyrostki. Młode, miękkie, zielonożółte igły były przeźroczyste, jakoby krople wody. Cień od drzew był na młodych murawach dziwnie uroczy, lękliwy, płochy i czuły. Zdawało się, że niechętnie znosi ludzkie spojrzenie, że istnieje tylko dla siebie, a cofa się i kryje, gdy nań patrzeć. Rafał śledził go z pod nawisłych powiek.

Szeptał do niego, jak do brata:

— Cieniu, mój cieniu...

Różowe, wiosenne szyszki zdały się topić i rozpływać w cieple słońca. Pachnąca żywica wylewała się z nich, i zapach jej spływał ku ziemi. Jeszcze się trawa bujna nie puściła w lasach. Zeszłoroczne igły i suche liście zaścielały grunt barwą cmentarną, ale już tu i tam mokra droga w głębokim cieniu lśniła istnym szmaragdem zieleni. Miejscami grunt był twardszy. Tam w gąszczach jedliny dymiły się młode brzózki, niby obłoczki wiosenne. W głębi lasu drzewa się przerzedzały i widać było samotne obręby, gdzie na znacznym obszarze spokojnie usypiały smugi płytkiej, stojącej wody. Warstwy spadłych igieł leżały na jej dnie, rudziejąc żywo, jak bursztyn. Dookoła takich zalewisk z wybuchem krzewiła się zieleń borówek, młode, jasnozielone świerczki taplały się w niej, jak gąsięta, a jaskry ze wszech stron ramą obejmowały płomienną. Na zwilgłym w pobliżu sapie barwiły się niebieskie kwiatki Matki Boskiej i kępy niezapominajek.

Szkapy szły noga za nogą. Koła bryczki zeskakiwały z korzenia na korzeń, albo zarzynały się w głę-

bokim piasku. Wówczas bryczka ledwo podawała się naprzód, monotonnie skrzypiąc. Suchy piasek sunął po sprychach, jak w klepsydrze. Dla Rafała bardzo miłymi przyjaciółmi były te leśne głębiny. Czuł się tu skrytym ze swoją duszą, niewidocznym i jakby przygarniętym. Tęsknota jego, jak niewolnica na powrozie, znużona długim jarzma uciskiem, szła w kraj naznaczony, patrząc z żałobą na miejsca, które mijała. Po uprawnych niwach sandomierskich, gdzie wyzyskaną była każda skiba aż do przykopy, te zapomniane obszary lasów, rosnące samowładnie, takież, jak przed wiekami, takie same, być może, jak na zaraniu świata, były bliskie jego duszy, chorej z miłości. Pchało go, żeby wyskoczyć z bryki, rzucić się tu na ziemię i samemu zostać w ciągu długich dni i długich nocy, dotykać rękoma tylko drzew, a ustami kwiatów. Słychać, jak wiatr sennie przygrywa na gałęziach sosen...

Był na granicy, na samym progu rozumienia przedziwnej mowy owych leśnych, płytkich jeziorek i drzew, które w nie patrzą przez lata, słyszał dźwięk, szept, westchnienie... Wiedział dobrze, jakby był swoim własnym profesorem, że jeśli teraz głosu tego nie zrozumie, nie pochwyci go w duszę swoją, to już nigdy, przenigdy nie odezwie się do niego ta mowa... Jechał dalej a dalej, dziwiąc się samemu sobie, uczuciom, które się w nim zwolna przetwarzały, żywym twórczym głosom świata.

Miało się już pod zachód słońca, kiedy wyjechali z lasów. Otwarła się przed nimi jakby ogromna polana, wykarczowana z boru. Rozdzielały ją piaszczyste wzgórza porosłe karłowatą sośniną, jałowcowe prze-

stwory i uprawne pola. W dali, na krańcu tego obszaru, pod przeciwległym lasem błyszczał w zachodzącem słońcu ogromny jakiś staw i rzeka, która długą taśmą blasku wiła się w nizinach zarosłych olchami. Miejsce, gdzie znajdowała się bryczka, było pod wzgórzem, i całą rozległą dolinę widziało się stamtąd jak na dłoni. Daleko, nad owym stawem, bielił się w kępach drzew biały dwór.

— To je Wygnanka, paniczu — rzekł Wincenty, obracając się na koźle. — Tam młody pan mieszka.

— To jest Wygnanka — powtórzył Rafał.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że wkrótce ma powitać brata. Nie znał go prawie, gdyż ów brat, poróżniony z ojcem, nigdy w Tarninach nie bywał. Wiedziano tylko o nim, że raniony ciężko, bliski był śmierci, i że później osiadł w owej Wygnance. Te wiadomości, Bóg raczy wiedzieć od kogo, jakby od głuchej ziemi, miała matka. Wiedział o tem i ojciec, ale nigdy ani jedno słowo o synu Piotrze nie było wymówione głośno w Tarninach. Rafałowi przyszła teraz do głowy myśl, że i brat może go źle przyjąć... Cóż wówczas? Nie odpowiadał sobie na pytanie, ale miał wyryte w sercu. Wówczas zostaje... Kraków, Warszawa, Berlin...

Słońce zaszło za dalekie lasy, i stłumiony został ostatni jego promień. Znużone konie wlokły się tak ociężale, że furman co chwila wyrażał obawę, czy aby znowu nie ustaną. Jak na złość, droga była jak najfatalniejsza. Niezgłębione bajoro stało między dwiema długiemi pryzmami kamieni, które wyrzucono z roli. Kamionki te osłonione były kępami tarniny, która już

okwitała. Na przypiaskowych gruntach widać było mizerne pióra żyta i owsów. Gdy mrok zapadł, w owym dalekim dworze wybłysły światła w trzech oknach. Rafał dziwnego doznał ściśnienia w piersi. Patrzał w te okna, których wydłużone odbicia widać było w połyskliwej wodzie stawu — i nie mógł od nich oderwać oczu. Była to pierwsza chwila, w której ciągu nie cierpiał.

W nocy już przywlekli się nad brzeg wody. Drożyna, podarta przez wiosenne ulewy, zniżyła się za groblę i szła między gajami olszyn, wbród przecinając strumienie, które płynęły z upustu i młyńskich pogródek. Koniska same ją znajdowały w ciemności. Cały ten obszar przesiąkły był wodą i napojony jej ciekawym, nęcącym, uroczym szelestem. Mrok pełen był wieczornego oparu. Zarysy drzew, krzewów, kęp i gąszczów wynurzały się i ginęły w ciemnicy. Wyżej nad poziomem stawu srebrzył się białawy, rzadki tuman. Serce Rafała biło niespokojnie. Rozglądał się w ciemności jeszcze niezupełnej i zapoznawał sercem z tajemnicą tego zakątka. Widział przed sobą ciągle na wzgórzu świecące przez gąszcze drzew owe trzy okna. Minąwszy czarną, litą masę młyna, bryczka zwróciła się w górę i stanęła przed zamkniętemi wrotami.

Naokół nie było żywej duszy. Wincenty zaczął wołać, ale nikt nie nadszedł, więc sam odniósł na bok wrótnię. Dziedziniec wciąż się dźwigał ku górze aż do dworu. Bez turkotu, bez szelestu prawie zajechawszy pod cień ogromnych drzew przed gankiem, Rafał nieśmiało zeskoczył z bryczki i wszedł do sieni. Gdy stukał w ciemności, poszukując wejścia, drzwi otwarły

się przed nim, i człowiek wysokiego wzrostu zapytał w sposób wskazujący niezwykłego jąkałę:

— Któż ta?

Rafał nie wiedział, co ma odpowiedzieć, gdyż nie brata miał przed sobą. Zapytał wreszcie:

— Czy pan kapitan Olbromski jest w domu?

— W w... w... domu. A któż ta?

— Brat.

Ów człowiek odsunął się, i Rafał wszedł do pokoju. Gdy się znalazł za progiem, ujrzał brata, wychodzącego z sąsiedniej izby. Kapitan Olbromski był wysoki, szczupły i nieco naprzód pochylony. Miał twarz bardzo piękną, zupełnie wygoloną. Długie włosy z czoła w tył zaczesane spadały aż na kołnierz jego białego surduta. Gdy rozpoznał Rafała, uśmiech głębokiej radości, prawie zachwytu, prawie szczęścia ukazał się na jego twarzy. I w sercu Rafała coś drgnęło na widok tej postaci, którą z dzieciństwa ledwie, ledwie jak przez sen pamiętał. Kapitan przycisnął go do piersi i bez słowa, długo całował w usta. Gdy go wreszcie posadził przy stole, jeszcze długo, zasłaniając oczy od blasku świecy, patrzył na niego w milczeniu.

— Sam przyjechałeś? — zapytał wreszcie przyduszonym głosem.

— Sam.

— A mama, ojciec żyją?

— Żyją, proszę brata.

— I zdrowi?

— Zdrowi.

— A siostrzyczki: Zofka, Anusia!

— Zdrowe...

— Zdrowe...

— Mama tu do mnie za tobą nie przyjedzie?

— Nie.

— Nie przyjedzie... Ale ty zostaniesz dłużej, prawda? Nie zaprzecz! Prawda? zostaniesz?

— Zostanę.

Kapitan położył rękę na ręce Rafała i ścisnął ją mocno. Po chwili odwrócił się do służącego, który stał przy drzwiach, ze słowami:

— Michćik, zajmiesz się końmi panicza i pomyśl o wieczerzy.

— We-we-dług... — mruknął tamten, szczęknąwszy przytem zębami, jakby chciał ukąsić coś zawieszone w powietrzu, wykręcił się na pięcie i poszedł.

Gdy zostali sami, kapitan Piotr spoglądał za nim we drzwi przez czas niejaki, a potem zwrócił się do Rafała z zapytaniem:

— Czy ojciec dobrodziej, czy... nie kazał powiedzieć mi... To jest...

— Nic a nic! — rzekł Rafał prędko i zczerwienił się, jak gdyby go schwytano na uczynku kradzieży. Czuł w sobie niesłychane jakieś wzburzenie, niedoświadczane nigdy. Pierwszy raz w życiu stał w obliczu czegoś, co było niby nim samym, a było razem obce, wyniosłe, dostojne.

Piotr powtórzył, jak echo:

— Nic, nic a nic!

W dźwięku tym brzmiało tyle krwawego cierpienia, że Rafał znieść go nie mógł. Czuł, że musi złagodzić to, co powiedział.

— Jakem wyjeżdżał, — zaczął tonem objaśniają-

cym — to nawet nie widziałem jegomości, bo był właśnie... w polu.

— W polu był... — uśmiechnął się starszy.

— A tak, wyszedł...

— I nie pożegnał się z tobą?

— A nie, bo nawet... muszę powiedzieć...

— Mów ze mną śmiało. Ja cię nie będę sądził surowo... — uśmiechnął się Piotr. — Musiałeś tatuńciowi przeskrobać.

Rafał wyszczerzył się cynicznym, niemiłym śmiechem, który ukazał wszystkie jego zęby.

— A rzeczywiście...

— Mówże śmiało!

— Jegomość tatuńcio kazał mi precz jechać z domu! Tyle, że mi dał ślepego wałacha i kobyłę Margolę do wywiezienia, jak trupa na mogiłki.

— O! I za cóż to?

— A bo zajeździłem wierzchówkę.

— Zajeździłeś kobyłę... I zato tylko?

— A no... mówię bratu.

— Cóż to za kobyła takiej ceny?

— »Baśka«, co to źrebica po Popielatce.

— Nie widziałem jej... Dawnom już w domu nie był. Ale nie martw się, Rafciu. I ja wyjechałem, a raczej wyszedłem, bez pożegnania, prawie psami wyszczuty. Dawne to rzeczy... Myślałem, że ojciec przysyła przez ciebie...

Kapitan wstał i począł chodzić z kąta w kąt izby. Rafał wodził za nim oczyma i z nadzwyczajną ciekawością wchłaniał w siebie jego figurę, sposób mowy, każdy ruch, gest, każde skrzywienie twarzy. Nie mógł

na to przystać, że ów brat tajemniczy, który poza dom rodzinny gdzieś na świat się wyniósł szeroki i stał symbolem rzeczy okrytych milczeniem, grozą, rzeczy wielkich i straszliwych, mieszka oto w tak nędznym starym domu. »Toż to jest on? Piotr?« — myślał, przypatrując mu się ukradkiem. Ale jednocześnie, gdy znikała owa gruba zasłona, usunęła się razem jakby zapora dzieląca. Nienasycona ciekawość i coś innego jeszcze, nowego, bliskiego, miłego, kazało mu zapomnieć o wszystkiem na świecie. Oczy mu się świeciły, jak dwa ognie żywe.

Piotr stanął przed nim. Zaczął mówić:

— Widzisz, braciszku... Jesteś jeszcze bardzo młody i nie powinieneś może wiedzieć o tem wszystkiem, co ci wyjawiłem. Ale... któż wie, co się stanie jutro... Chciałem ci otwarcie powiedzieć, dlaczego tak dawno u was nie byłem, żebyś nie myślał źle o moich sentymentach dla rodziny.

— Nie, gdzież tam!

— Tak było ze mną... Oddał mię ojciec do szkoły kadetów. Nie byłem w domu bardzo długo, bo na lato zwykle zabierał mię do siebie jeden przyjaciel ze szkoły. Przyjechałem do Tarnin pierwszy raz, gdym już był gefrejterem. Miałem głowę naładowaną myślami... Nie wiem, czy mię będziesz rozumiał...

Ex-student przybierał miny jak najbardziej odpowiednie, choć w istocie nie był pewny swego.

— Już w szkole, uważasz, zaczęła się była komocya w umysłach. Dużośmy czytali... »Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego«, »Żywot Chodkiewicza«, to były jakby światła pochodni w noc ciemną. Dam ci

te książki... Na opresyę kmiecą, na kurs sprawy publicznej krwawem patrzaliśmy okiem. Każdy zaufał w szpadzie i na nią poprzysiągł. Wierzyliśmy, że cała Rzeczpospolita na naszem leży ramieniu, i że to my ją wydźwigniem. Gdym wrócił do domu i zaczął rozmawiać z ojcem, porwała mię desperacya. Ojciec stał po stronie i w szeregu tych, których na śmierć nienawidziłem. Kazał mi tak postępować, tak nawet myśleć, jak on i oni. Nastawał, żebym się zaparł samego siebie. W jednej rozmowie zelżył mię, w drugiej zagroził...

— Wiem, wiem... — jęknął Rafał.

— Słyszałeś o tem w domu? — pytał Piotr, schylając się nad nim.

— Słyszałem.

— Mama ci mówiła?

— Mama, Anusia...

Piotr oddychał szybko i ciężko... Policzki mu pałały. Prędko chodził po izbie i kiedy niekiedy rzucał wyraz, cichy jak oddech;

— Zdeptał mój oficerski honor. To nic! Ale duszę wszystką nogami... W strasznym gniewie, w dzikości wzburzenia... gdy parobków... krzyknąłem, żem oficyer, że się nie dam... wyrwałem z pochwy. Boże mój!...

Usiadł prawie bez tchu... Siedział tak, chwytając oddech piersiami prędko i z trudem. Mówił jeszcze:

— Nocą wyszedłem. Tyle już lat! Gdyśmy z Bracławszczyzny pod Grochowskim dniami i nocami ku Połańcowi... zdala widziałem naszą stronę... A potem... żeby też słowo!

— Ojciec nic o bracie nie wiedział, i my to samo...

— A i cóż mieliście wiedzieć? To co o każdym. Na Szczekocińskim placu... skłóły mnie bagnetami Prusaki... Krew mię uszła... Leżałem między trupami. Ten oto żołnierz, coś go widział, wrócił się po mnie w nocy, nalazł mię pół żywego. Na ręku wyniósł... Leżałem po dworach w Krakowskiem, a jakem wreszcie wstał, w gruncie rzeczy... nie było już poco...

Strzepnął palcami i rzekł prędko:

— Och, nie mogę... gadać!

Po chwili jednak zaczął znowu:

— Przyszedłem tu z tym żołnierzem, skąd on rodem. Wziąłem w dzierżawę tę oto wioszczynę i tak siedzę. Ziemi tu mało, więc karczujemy jałowce. Smutek mię zagryza... A z domu... żeby też słowo!

Rafał, pobudzony przez szczególne uczucie, zaczął mówić o domu, rozwodzić się o wszystkiem, co zaszło i zostało w pamięci. Piotr zatrzymał się znowu przed nim i pałającemi oczyma rozniecał w nim swadę. Porozumiewali się zapomocą dźwięków urwanych, zdań ledwie zaczętych, okrzyków, naśladowań głosów ludzkich i zwierzęcych. Piotr pytał się, jak chłopiec, o drzewa przed domem i w ogrodzie, szczególnie o pewien stary brzost w dole sadu, o konie i psy, o sprzęty w domu, o pola, drogi, o parobków i chłopów. Oczy jego i usta śmiały się teraz tak samo, jak oczy Rafała. Stali się teraz zupełnie podobni, byli jak jeden we dwu osobach. Czasami, wśród powieści o czemś domowem, przerywali sobie cichym okrzykiem, jakimś ledwie początkiem śmiechu, i niby na skrzydłach lecieli

do czegoś innego. Piotr zadawał pytania o stare ciotki, o rezydujących niedołęgów, a o każdego i każdą dowiadywał się jednym jakimś ruchem naśladującym, jednem charakterystycznem zmrużeniem oka, albo samym, bezsłownym dźwiękiem głosu. Niekiedy w środku żywego śmiechu twarze obydwu krzepły, jakby zmrożone, gdy przesuwało się jakieś bolesne, bez słów wiadome wspomnienie, jakaś klęska znana i wiecznie, pomimo wszystko, żywa i wielka.

Michcik nakrył stół małym obrusikiem i ustawił talerze, a oni tego nie dostrzegli prawie. Wieczerzę więcej niż biedną spożyli prędko, nie zwracając uwagi. Michcik posłał Rafałowi na sofie, obitej zieloną skórą i, stojąc przy drzwiach, niekiedy pomrukiwał.

— Idź spać, stary... — rzekł do niego Piotr, nie przerywając rozmowy.

Żołnierz znowu wyjąknął swoje: »Według!« — i odszedł.

Świece spaliły się w blaszanych lichtarzach. Piotr wyszukał i zapalił nowe. Dopytywał się, pomimo wszystko, głównie o ojca. Zadawał tysiące pytań o jego zdrowie, chciał posiąść wszelkie szczegóły o tem, jak wygląda.

Rafał, brnąc w opowiadaniu, tracił z oczu granice, których dotychczas nigdy nie przekraczał. Pierwszy raz w życiu był tak szczery. Sam nie wiedział, kiedy mu przyszła myśl, żeby powiedzieć Piotrowi prawdę o nocnej przygodzie, o walce z wilkiem, żeby wyznać miłość dla Heleny. Wtem niespodziane uczucie, jakby jej rozkaz, zaleciło mu milczenie.

Piotr słuchał wszystkiego z oczyma szeroko otwar-

temi. Po dziesięć razy kazał sobie powtarzać szczegóły. Od jednej sprawy rozmowa skakała do zgoła innej. Nie spostrzegli się, kiedy blask świec pobladł, i sprzęty bardziej widocznymi się stały. Przez otwarte okna wpływał chłód rzeźwy. Gałęzie i pręty ich, pławiny z liśćmi ledwie rozwiniętymi, szedziwe od rosy nadrannej, bez ruchu leżały w pustkach okiennych, snem nieprzepartym objęte. Kiedy niekiedy wszakże jakaś gibka rózga nowotna zadrżała, niby od przenikającego chłodu, i nagle kroplisty deszcz z niej się sypał, szeleszcząc w dwójnasób przestraszająco, jak zwykle we śnie... Kiedy niekiedy zimny i zwilgły wietrzyk nadwodny wieszał się między gałęziami hiszpańskiego jaśminu i tulił w mokre liście, żeby pod dachem ich, na śliskiej, ledwie zrodzonej odnóżce usnąć na chwilę, wytchnąć pożywnem drzemaniem nadrannem. Z mglistej daleczyzny wynurzał się łagodny, miękki głos kurki wodnej.

Dniało.

W ramach okien rozpościerał się cichy błękit, a w nim ciemnemi smugami zarysowywać poczęły dalekie wzgórza i pasma leśne na równinach. Wysoko, na bezchmurnem niebie, jak lilia, świeciła się ostatnim blaskiem gwiazda poranna — zwiernica. Już zorza, rdzawą łuną z za świata idąc, obejmowała rąb ziemi. Piotr rzekł:

— Nie widziałeś nawet, Rafuś, jak tu jest u mnie. Chodź-no zobacz. Już świta.

Stanęli obaj w otwartem oknie.

W dole, tuż za płotem ogrodu, widać było skroś gałęzi uśpiony staw. Z wód jego biało-niebieskich, jak

stal zsiniała od ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale, nim odeszły, stały nad nią, jak gdyby w modłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taką właśnie jest nieskończoność. Ale światłość zdala nadchodząca pokropiła hyzopem cienie, i na jej wszechwładny znak woda samotna została w dole, a mgły porzucały jej łono. Zwijały swe cudne powłóczyste szaty, rozszerzały przezroczyste skrzydła i, mdlejąc, wijąc się z żalu, ginęły w błękicie. Tam, gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych, siostry ich błękitne śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na płytkiem wybrzeżu wody były różowe, jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem, na płaskim wzgórku, stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniąca zasiewem jarego żyta, które już w niwę żyjącą własnym żywotem zmieniać się poczęło.

Piotr objął Rafała w pół lewą ręką. I Rafał nieśmiało ogarnął brata również ramieniem. Zamilkli. Nieruchomo przetrwali owo świtanie, patrząc się w cudne wody, w niewysłowioną barwę niebios, która zwolna płonąć zaczynała, w żywe jej odbicie na nieruchomych odmętach. Było tak cicho, że wzajem słyszeli, jak życie w każdym z nich płynie...

SAMOTNY

Przeminęła wiosna.

Rafał spędził ją w Wygnance. Brat Piotr zostawił mu zupełną swobodę. Wygnanka leżała za borami, zdala od szerszych dróg, w pustce zupełnej. Roli tam było niewiele, i dopiero kapitan, wziąwszy wioskę w dzierżawę, począł wyprawiać i obsiewać nieużytki. Tuż za stawem, na wzgórzu, rozciągała się duża przestrzeń bezpłodnego pastwiska. Ta gleba, zarosła jałowcem, wrzosem, brzeziną, a pachnąca macierzanką, była, widać, przed wiekami orana, gdyż znać po niej było wyraźne brózdy i zagony. Gdy Rafał przebywał ją po raz pierwszy, zdybał Żyda z krzywą nogą, który kilofem, mającym niejakie podobieństwo do niego samego, wydzierał z ziemi jałowce. Rafał wdał się ze starcem w rozmowę i dowiedział od niego wielu szczegółów. Żyd nazywał się Uryasz (»ale to tylko na papierze«), »naprawdę« zwano go Uryś. Był z fachu szewcem, ale robił także i inne roboty. Jak kilof do Urysia, tak znowu Uryś z całej swojej figury podobny był do drzewa, do wierzby, do pnia z krzywymi korzeniami.

Sękate jego ręce okryte były dużemi plamami piegów, jakby zastygłą żywicą. Broda i pejsy tak spłowiały na słońcu i w czasie pluchot, że przypominać mogły bardziej mech drzewny, niż ludzkie włosy. Odzienie gałgańskie upodobniło się całkiem do kory.

Teraz, gdy pan kapitan zaczął trzebić pustki, jego do tej roboty najmuje. Dawniej, przed dwoma laty, pan kapitan czasami przychodził na nowinę i własną ręką darł jałowce. Ale pan kapitan i wtedy nie miał potrzebnej siły, a jałowiec ma korzeń długi, jak ludzka bieda. Nie. Nie miał siły. Może miał dawniej, pewnie miał, ale teraz to już całkiem niema. Jak można mieć siłę po tak wielkiej słabości? Teraz już ani razu nie przychodzi na rolę. Pan kapitan jak wolnym krokiem przybył, to on lubił usiąść na kamieniu i patrzeć, jak Uryś pracuje. On nie dlatego przychodził, żeby tę robotę dopilnować... To nie jest taki człowiek, co drugiego pilnuje... Urysia nie trzeba pilnować. On siadł na kamieniu, podparł głowę na ręce i patrzał. On patrzał, on milczał. Ale za najmądrzejszą mowę obstoi takie niemówienie, jeśli człowiek tak patrzy na człowieka. Z przeproszeniem panicza, czemu taki chrześcijanin nie urodzi się na żydowskiego rabina? Dużo się trafi mądre rabiny między zakonnemi, ale najmądrzejszy rabin między rabinami, sam magiet, nie będzie taki mądry, jak pan kapitan. On wszystko wie ze swego rozumu. Jego każde słowo można sprzedać za gotówkę, jak najlepszy towar. Parę razy to on się odezwał nie o te karczowanie, nie o zarobek, nie o jadło i napitek, nie o tutejsze ale o tamte życie... Uryś nie pamięta, nie umie powtórzyć, co on powiedział o tam-

te rzeczy o samym Adonaj, ale od tej chwili, kiedy kładzie śmiertelną koszulę i zacznie mówić pacierze, wie mocno, że on mówił czystą prawdę. On nie mówił, jak zawsze mówi, bez urazy, goj do Żyda, on nie mówił nawet, jak Żyd do Żyda. Raz to on przyszedł, długo milczał, a wkońcu zapytał się Urysia o tamte życie, o wieczność... Co jest, jak człowiek umrze? Czy Uryś wierzy w Jahwe? Niech mu powie... Uryś się bardzo przeląkł, Uryś dygotał, ale powiedział mu prawdę. A potem on mówił takie wielkie słowo do najbiedniejszego Żydka z Wygnanki, że Uryś dopiero zobaczył jego rozum. To żyto ozime, co je tam widać, to pan kapitan sam wsiał, ale tamto jare to już siał Michcik. Gdzie to kto widział, żeby taki szlachcic siał, albo karczował? On się przepasał płachtą i sam siał. Urysiowi jest bardzo przyjemnie, że on karczował tę nowinę, a pan kapitan ją zasiał.

Piękny owies rósł tam na nowej ziemi, jak dzikie ziele. Wśród jasnego zagaja wybuchały gęsto czarne, wyniosłe jego kępy o piórach szerokich, rozwiewnych, i mieniących się w słońcu.

Rafał nie był tak łaskaw na Urysia, jak brat Piotr.

Opuścił go ze śmiechem i tylko czasami, z głębi brzozowego gaju, który wśród pól dawniej wyprawionych pozostał, przypatrywał się nieraz jego twardej pracy.

W tym gaju, w rozległych łąkach, w dziewiczych i niedostępnych rokitach nad stawem, przepędzał dni, albo i wieczory, pogrążony w gnuśne marzenia. Zdarzało się, że nieraz pół dnia przeleżał nawznak w dą-

browie, patrząc w niebo, w obłoki sunące wskroś lazuru. Zdarzało się, że długie godziny trawił skurczony na kępie wśród wiklin i tataraków, niby to czatując na kaczki. Dopiero głód pospolity wyrywał go z marzeń i pędził ku domowi. Częstokroć opętany przez swe myśli tak rozwlekłe, że były prawie niczem, nie słyszał dzikich hukań Michcika, powołujących go na żołnierski obiad. Innym razem przychodził w dobie całkiem niewłaściwej, pewny, że się stawia w terminie.

Jedną rzeczywistością było dla niego to, co wrzało w sercu.

Dlatego taką radość sprawiała mu każda chwila samotności. Widoki stawu, zakrętów rzecznych, łąk w czerwcu, gajów i dzikich odłogów miały dla niego powab niewymowny. Ich życie, opuszczone przez ludzi, czarowało smutkiem swoim własnym, tamtejszym, przed wiekiem osiadłym, a tak duszy znajomym! Trafiały się w ciągu tych dni chwile zdziwień prawie bolesnych, a jednak samą radością będące, skąd miejsca te posiadały coś z niego samego, jakąś część z głębokości jego duszy, jakimś cudem stały się widomym obrazem niepochwytnego sekretu miłosnej nocy. Były tam czarne olchy nad wodą... Nie, nie olchy. Były czarne, z krwawymi pniami przeczucia nad wodą błękitną i ruchomą, zmienną i słabą, których widok rozdzierał duszę smutkiem okrutnego rodzaju. Były młode dalekie brzózki... Gdy Rafał zwracał stęsknione oczy ku ich wierzchołkom srebrzącym się w słońcu, ku sypkoszelestnym listeczkom, ku białopiennym ciałom, które się wstydliwie kryją w przejrzystą szatę, słyszał w głębi siebie jak gdyby obietnicę tajemniczą, wyjawioną przez głos obcy, głos

pełen łaski miłosnej. Nie umiałby nikomu powiedzieć czemu, patrząc na widok czarnych rokit, gęstym zastępem wiecznie posępniejących nad wartkim nurtem rzeki, sam w sobie narzekał, błąkając się wpoprzek wszelkich ustaw rozumu.

Gdy nieraz leżał na suchych pagórkach, otaczających niskie łąki nadrzeczne, zatopiony w ciszę niezgruntowaną, i gdy w nim budziły się i rosły marzenia o szczęściu, serce męskie i myśl wspaniała, wysoko pod chmurami, dawał się słyszeć chrzęst skrzydeł bujającego bekasa, jakoby śmiech szyderczy, pełen złych zapowiedzi. Osoba Heleny znikła z jego wyobraźni, nawet wspomnienie o niej wypełzło. Została się w duszy próżnia niejasna, usadowiona poza obrębem wyobrażeń, przez którą płynęły strugi łez...

Kapitan Piotr spędzał te dni w zupełnej również samotności. Od rana Michcik wynosił mu obszerne karło pod lipy na dziedzińcu, skąd było widać całą okolicę, i ustawiał je na kobierczyku. Kapitan spędzał tam dzień cały, sennemi oczyma patrząc w przestwór. Blada jego twarz, otoczona bujnymi włosami, bez ruchu, spoczywała na dłoni. Częściej wszakże wsparta była bezwładna głowa o tylną poręcz krzesła, i oczy zwrócone w niebo. W konarach odwiecznych lip grały roje pszczół. Pachniał odurzająco subtelny, złotolity kwiat lipowy. Z rabat kwietnika, gdzie stały rzędem wątłe balsaminy, goździki, kępy bratków, biła woń rezedy.

W dali za stawem widać było łąki, okryte jeszcze trawami, które dopiero kosić zaczynano. Od młyna, nieruchomego w tej porze roku, dolatywał ciekły szmer wody, cedzącej się ze stawideł, który w zupełnej głu-

szy coś wiecznego powiadał. Gospodarstwo prowadził Michcik. Pod jego przewodem wychodzili ludzie na pańskie, on pilnował parobków i dziewuch folwarcznych, doglądał koni i bydła, stodół i śpichlerza, śpiżarni i kuchni. Sam także gotował obiady.

Wieś, złożona z jedenastu chałup, świeciła na czerwonym, kamienistym wzgórku nędzą swoich przegniłych dachów i ścian zmurszałych.

Jednego dnia w końcu czerwca, zaraz po obiedzie, Rafał siedział w cieniu lip obok brata, miał za chwilę wyruszyć na dalszą wędrówkę. Strzelba stała obok niego, torbę miał pod ręką. Czekał tylko, żeby południowy upał nieco zelżał. Wtem psy drzemiące dźwignęły łby i poczęły naszczekiwać. Za budynkami, na drodze, dał się słyszeć turkot, i wkrótce, w tumanie kurzawy, stanął przed wrotami jakiś pojazd. Za chwilę wpadła na dziedziniec para kusych kasztanów w lśniących szorach z herbami, zaprzężona do wolantki suto platowanej. Z powozu wyskoczył na ziemię smukły młodzieniec. Rzucił na ręce lokaja płócienny kitel i z pięknym ukłonem zbliżał się do siedzących.

— Książę Gintułt — szepnął do brata kapitan.

Rafał z oniemiałym zachwytem przypatrywał się nieznajomemu panu. Zapomniał oddać ukłon, a języka w gębie. Nie mógł oczu oderwać od jego kostyumu z ciemnego sukna i lśniącego obuwia. Książę Gintułt podszedł z uśmiechem do kapitana i serdecznie ściskał jego rękę. Piotr wstał, ale przybyły osadził go zaraz na dawnem miejscu, a sam siadł na brzegu podanego krzesełka. Gdy zdjął kapelusz, Rafał miał możność podziwiania jego prześlicznych jasnych włosów, które

w lokach spadały, i wdychania zapachu wódek, któremi piękny pan był zlany.

— Mości kapitanie, przybywam powtórnie dowiedzieć się o twe zdrowie, choć mógłbym gniewać się dowoli za wstręt, jaki żywisz, a co gorsza okazujesz. Wszak nie oddałeś mi wizyty w Grudnie... — mówił książę.

— Nie mogłem w istocie być w Grudnie. Sił mam coraz mniej... — tłumaczył się kapitan.

— Czy istotnie tak źle się czujesz?

— Źle się czuję. Upadek sił.

— Ach, to niedobrze! A jakież są symptomata twej choroby? Bo na oko...

— Najbardziej widoczne symptoma to bicie krwi do piersi, do gardła, z czego częste krwotoki. Felczer z Włoszczowej krew mi puszczał kilkakroć, ale i to nie przyniosło zdrowia. Czuję po każdem krwie puszczeniu jeszcze większy sił ubytek.

— Czemu nie wezwiesz mego lekarza z Kielc jak cię prosiłem?

— Alboż to lekarz może siły wrócić?... *Quand la poire est mûre, elle tombe...* No, a u księcia pana co nowego słychać?

— Nic nie słychać. Nudzę się... Poluję, czasami trochę szaleję, a nadewszystko nudzę się... Często przychodzisz mi na myśl, stary towarzyszu.

— Dziękuję.

— Przeminęło wszystko! Jak nocny sen przeszło w dziedzinę śmierci. Niema nic. Pamiętasz nasze kadeckie czasy? Lekcje na szpady u Martin'a Dechamps? A Chillet i francuszczyzna przymusowa? a Kreys poczciwina z niemieckiem? A stary tancmistrz Davigni?

— Davigni... — powtórzył kapitan, jak echo.

Uśmiech smutny, jak łza, spłynął z jego oczu i zawisł na wargach.

— Śliczna młodość nasza... Posłuchaj! Czy nie chciałbyś innej wziąć ode mnie wioski? Puszczęć zastawem, którą zechcesz, na warunkach powszechnych, ale dogodnych, a w weselszem gdzieś miejscu. Bliżej Grudna i świata! Chciałbym częściej być z tobą, Piotruś. Tu pusto w tych lasach i piaskach, jakoś posępnie i nieswojo.

— Być może, ale, jeśli wola księcia, nie chciałbym się stąd ruszać. A że czynsz płacę do skarbu grudzieńskiego *accuratisssime*, więc — dodał z uśmiechem — niemasz racyi eksmisyi. Zresztą pilnie karczuję pustki jałowcowe, staw szlamuję i zarybiam, łąki osuszam. Rowy...

— Zgoła, jak ów... Cincinnatus.

Ordynarna, niczem nie okryta ironia wionęła przez twarz pana, gdy to mówił.

— Cincinnatus — rzekł Piotr oschle i równie szorstko — nie osiadłby był...

Książę otarł czoło wonną chustką. Chowając ją do kieszeni, schylił się i znacząco powiedział:

— Jestem mocno przekonany, że *basis* twojej choroby — to nie bicie krwi, tylko... myśli. A na to istotnie ani felczer, ani lekarz najzawołańszy nic nie pomoże.

Piotr podniósł na niego oczy znużone i rzekł z niechęcią:

— Nie. Już zastaliło się serce. Myśli ustały.

— Jeśli tak, to czemuż tu siedzieć w głuszy?

Czemużbyś się wzdragał patrzeć w życie i poić niem, pókiś młody? Czytam w tobie, jak w księdze. Te same tłamsisz w sobie zaskórne myśli, jak wówczas, gdyś mię na lekcjach Łęskiego, Hubego, Steynera, albo później nocami w namiocie pozbawiał snu. Pamiętam straszne twoje rozmowy...

— Nie wiedziałem, że były tak straszne... — rzekł Piotr i zaśmiał się szyderczo, długim i ostrym śmiechem.

Oczy księcia omgliła duma i wzgarda. Mówił zwolna i grzecznie:

— Dziś już mowa twoja nie potrafiłaby wyrzynać na mem sercu owych bolesnych hieroglifów.

— Bo też i objektu samego rozmowy niemasz. O czemże tu mówić? Najlepsza, co każdy z nas uczynić może, to milczeć. To jest *sors* takich, jak my...

— No, śmiać się jeszcze przynajmniej pozwól. To naturze ludzkiej nie wadzi... Cóż u licha! *Il n'y a si misérable qui ne puisse se consoler dans ses malheurs...* Kiedy wstecz patrzę, czy wiesz, czego najbardziej żałuję? Oto tego, żem przez czas tak długi śmiał się tak mało, żem tak długotrwale był sensatem!

— Dobrze mówi nasze chudopacholskie przysłowie: »Wolno panu, jako panu«.

— No... pewnie. Toż pamiętam, że kiedy nas z korpusu, dla braku kawalerów do tańca, zapraszano na pokoje królewskie, tyś mię zawsze odmawiał i sam... za nic, choć obaj ślicznie tańczyliśmy. Powiedz, czemuśmy się wtedy nie bawili? Czemu nie poznawaliśmy dworu świata, cudnych kobiet?

Rozmowa urwała się. Książę chłodził się, zlekka

pochylając kapelusz. Oczy jego z natarczywą uwagą, spoczywały na twarzy Piotra, który siedział, patrząc w ziemię z taką grzeczną obojętnością, jakby przed chwilą rozmawiał o upale, albo o szemraniu pszczół. Po długiem milczeniu książę rzekł twardo i sucho:

— Jest to sztych nieodbity. — Wreszcie cóż począć! Żadnej rady, żadnej, żadnej! Ziemia tylko pod stopami została, niebo nad głową. Słońce i nam świeci. Podnieść oczy winni jesteśmy — i żyć. Piotrze, mówisz, żeś wziął determinacyą po dojrzalszym namyśle, a mnie się widzi, że wciąż krzywo myślisz.

— Wszak to nikomu szkody nie przyniosło i dziś nie przynosi.

— Tobie przyniosło szkodę! Zabiło w tobie dzielne, przyjemne, czynne uczucie.

— Wdzięczny jestem księciu za wyrażoną kompasyę... Ale, jak sam mówisz, cóż począć? *qui ne sait nager, va au fond.* Ja należę do bardzo złych pływaków. O jednego też mniej. I to wszystko. Niech inni podniosą głowy — i żyją.

— Nie chciałbym mieszać się i wchodzić w twe życie... Tylko... Na jednej ławce siedzieliśmy, w jednym glicie stawaliśmy w szkole i w polu. Widziałeś mię przy sobie w bitwach. Przecież sam dobrze wiesz, jak cię kochałem... — wybuchnął.

— Mości książę...

— Wiem, co mówię! Nikt nie był bardziej, niż ty, gotów do hazardu życia. Ale też... Gdy teraz na ciebie opuszczonego tutaj patrzę, zda mi się, że spełniam zbrodnię. Dlaczego jesteś tak? Tak inny? Smutny? Czego chcesz? Cóżeśmy mogli czynić więcej?

Staliśmy oko w oko, pierś przeciw bagnetowi na grobli, w opłotkach Chebdzia... Tyś zrobił swoje nie gorzej od Żółkiewskiego...

— Milczałbyś oto waćpan! — rzekł Piotr grubiańsko i ordynarnie. — Żółkiewski nie odszedł żywy z placu honoru. Waćpan nie wiesz, czy jak? Dał głowę. Tak, jakby ją kazał wbić na spisę dla wiekuistego przestrachu pokoleń. Nie wyprzysiągł się pod mieczem swego Boga.

— Bo też i było o co karku pod cios nadstawić. Ale ty, mospanku, wspomnij tylko, coś za dni swych widział. Byłaż to pospolita rzecz Żółkiewskiego? Te stada ludzkiego bydła z szablami u boku, któremi na sejmikach rąbało każdą głowę mądrzejszą. Gdy sobie wspominam owe bandy jurgieltne, owe pyski, ryczące na rozkaz, owe puste, nikczemne, golone łby, które miały władzę stanowić, żal się Boże! — prawa... wyznaję, wyznaję...

Na twarz Piotra Olbromskiego wydobył się uśmiech z pod serca, coś jak przykre tchórzostwo. Książę ciągnął dalej:

— Toż pamiętam aż do tej chwili sejmiki. Sejmiki! — powtórzył głosem najbardziej zjadliwym, jaki tylko być może. — Mój ojciec... kandydował. Wyszedłem był wówczas ze szkoły i na owe sprawy patrzałem ze czcią, jako na rzeczy święte. Towarzyszyłem ojcu. Pomnę, gdyśmy przejeżdżali obok podmiejskiego błonia, gdzie się mieściło obozowisko panów braci równych wojewodzie... Nigdy nie wyjdą z mej pamięci owe namioty na drągach, okrytych brudnemi płachtami, budy z gałęzi, żerdzi i darniny, gorejące ogni-

ska, gdzie zarzynano woły naszego kontrkandydata i pieczono ćwierci na rożnach. Beczki piwa i miodu, kufy gorzałki — cha, cha! — stały tu i owdzie, a dokoła nich taczała się z garnkami, ze szklankami, z dzbankami i skorupami w ręku istna horda tatarska, zwana partyą naszego antagonisty. Chude szkapska wałęsały się tu i owdzie, łudząc do reszty, że się jest w obozowisku kipczackiem. Panowie bracia w kapotach, w opończach, burkach, w butach wysmarowanych dziegciem, albo i bez butów, ujrzawszy nas jadących, poczęli coś w niebogłosy ryczeć i wyrywać z pochew szable. Tegoż dnia wzięli się do rabunku sklepów żydowskich, do wybijania szyb, odrywania okiennic...

— Pocóż to wskrzeszasz, mości książę?

— Poto, u licha, żebyś nie płakał nad rozwiązaniem praw onego bydła, twojego raju. Prawo to musiało być rozwiązane.

— Ów raj był waszym, magnackim. Sam to mówisz.

— Mój ojciec przepłacał, żywił, rozpajał swoją bandę, to prawda, ale w jakimże celu? Żeby walczyć w sejmie o dziedzictwo tronu. Zaiste czynił to wbrew własnemu interesowi. Boć, jeżeli kto, to pan mógł się czuć dobrze na tej drodze otwartej, która go wiodła, jeśli chciał, aż na tron.

— Dawnom to już wszystko rozważał i na jedno przystał.

— Temu właśnie, na coś przystał, zaprzeczam.

— Już nic nie zmieni tego, co w sobie zamknąłem.

— Siedząc w samotności, wśród śniegów i lodów, myślałem i ja także dniami i nocami. Myślałem głównie nad tem, że w samej istocie rzeczy przestałem być sobą, panem. Nie przewyższałem otaczających niczem a niczem. Ja ich — niczem! Jeśli chcieli, gardzili mną. Gdy byli nastrojeni wspaniałomyślnie, maczali koniec palca w wodzie i zwilżali moje zgorzałe wargi. Wonczas powinienem był wielbić ich, gdyż, mogąc, nie uczynili mi nic złego. Nie ratowała mię nawet rodowa duma, bo gdym w nią z rozpaczą bił pięściami, wydawała nie dźwięk miedzi, nie szczęk stali, nie wzgardę wszystkich, czem była przez wieki, tylko jęk twoich długich, mądrych wywodów. Wtedy to olśniła mię ta myśl, którą czczę teraz. Znalazłem w sobie skałę, i na niej stanąwszy, uczułem moc w duszy i siłę w oczach. Przestałem być niewolnikiem, i oczy moje nabrały blasku. Ujrzałem życie, ujrzałem je całe. Trzeba w sobie mieć wszystko, trzeba samemu dumną głową przewyższyć wszystkich, mieć w sobie młodą siłę, mocniejszą, niżeli śmierć. Trzeba w swoich wnętrznościach nosić potęgę lwa szalonego, a o resztę wcale nie dbać. Powiedz-no waszmość, zaprzecz, jeżeli możesz, czy kiedy czułeś się bardziej człowiekiem, niżeli wówczas na stepie podolskim, kiedyśmy właśnie tak czuli. Nic, tylko — my! My — to świat! Reszta niech posłusznie milczy. Takiż, w tych samych miejscach był i twój Żółkiewski, kiedy króla i wszystką rzeczpospolitą na ręku piastował. Byłoż co w twojem życiu lepszego, niż owe noce nasze hulaszcze czasu kampamentów pod Bracławiem, powroty do obozu nad ranem z nocnych patrolów? W cóż się obróciły troski

nasze, męki, *vulnera, vincula, exilium*? Nic z nich dla duszy. Tylko strupy hańby, wypomnienia zniewag budzą i dziś jeszcze po nocach. Tęskny w dumaniu nawrót wiedzie do tych rozkosznych futorów, okolonych sadami wiśniowymi, które się taiły w przestrzeni stepu. Do rozkosznych miłostek, do hucznych pijatyk, dzielnych harców! Gdy nam powiedziano radosne słowo powrotu, pierwsza moja myśl była: inne życie. Już mię surowe twoje obowiązki nie zmamią. Słyszysz waćpan?

— Słyszę dobrze.

— I nie myśl, żem spodlał. Nie! To, co ty śnisz, to jest złudzenie, błąd za długi. Ze wszystkiego najgorsze jest to, że się sam zabijasz. Jedno jest złe na świecie — to śmierć. Wszystko, co jest życiem — jest dobrem.

Piotr obojętnie milczał.

— Gdy wróciłem, — mówił książę — zastałem wszystko daleko lepiej, niżem sądził. Warszawa pusta — to prawda. Pusta i opuszczona, jak stary cmentarz. Dziedzińce pałaców trawą zarosłe, okna wybite albo zasłonione. I moje tam własne gniazdo takie samo. Ale zato materyalne interesy nigdy tak nie stały, jak dziś. Byłoż kiedy zboże w takiej cenie, albo ziemia? Uszom własnym wierzyć nie chciałem, gdy mi komisarz wartość kluczów przedstawił. Samo Grudno dwa razy tyle jest warte, a w trójnasób powiększyła się moja fortuna, osobliwie w Prusiech południowych.

— W Prusiech południowych... Skoro tak, to może i mnie łatwiej będzie odegrać rolę Cincinnata

na twój koszt, mości książę... — rzekł szybko Olbromski.

Oczy jego świeciły się, jak płomyki, a lica pałały barwą ceglastą.

— Z ochotą... O cóż to idzie?

— Żołnierz, który mię z pola wyniósł na ręku, jest twój poddany, z twej wioski rodem. Służy teraz u mnie za huzara, za kucharza i podstarościego. Chciałbym mu się odwdzięczyć, ale nie mogę, jakbym pragnął. Otóż...

Książę Gintułt patrzał mu w oczy ze skrytym złym uśmiechem.

— Uwolnić »obywatela«... jakże mu tam?... z poddaństwa, zrównać ze sobą, podnieść, uszlachcić...

— Niestety! nietylko jego. Pragnąłbym zratować całą tę wioskę. Jest to włość nędzna i bardzo biedna. Pańszczyzna w takich warunkach... Właśnie wygotowałem na piśmie plan, obliczenie...

— Czyż możesz wątpić? Z największą gotowością każę rozpatrzyć wartość i jakość ich ziemi, znieść pańszczyznę, skoro sobie życzysz, oczynszować. Jedno tylko: majątek nie jest mój własny, mam braci i siostry nieletnie, to też rada opiekuńcza będzie musiała potwierdzić moją decyzyę. Dłużej to potrwa. Ale będę w tem.

Olbromski dźwignął się z krzesła, jakby się chciał schylić do nóg księcia. Rafał, który zdala, bez ruchu, stał obok płotu, przypatrując się tej scenie, uczuł na widok tego gestu pokory brata wściekły w sobie gniew i taki poryw dumy, jak nigdy jeszcze w życiu. Coś w nim wybuchnęło, jak słup ognia. Nie mógł zrozu-

mieć, skąd ta służalcza czołobitność w zimnym i wyniosłym oficerze, nie pojmował radości, która na twarzy brata jawnie się paliła.

Uczucie sympatyi jego w tej sprawie było po stronie księcia.

Piotr, tak napoły stojąc, z rękami opartemi na poręczy krzesła, wołał:

— Michcik, Michcik!

W głosie jego było coś niebywałego. Oczy miał szeroko rozwarte i pełne łez. Rozchylone usta śmiały się wszystkimi zębami. Po chwili zwrócił się do księcia i prześliczną chudą ręką ścisnął jego kolano z szeptem:

— Dzięki tobie mam... mam na tej ziemi... jeszcze jeden dzień...

Michcik zbliżył się wyprostowany, z dłońmi wzdłuż bioder.

— Do nóg panu dziedzicowi!... Pan kapitan... książę... darował ci...

Zaledwie żołnierz zdążył schylić się i objąć kolana książęce, nowe uczucie zaświeciło w oczach Piotra. Ks. Gintułt z całej siły odtrącił chłopa. Wzrok jego był pełen gniewu i szyderstwa.

— Nie znoszę tych scen czułych! Wiesz chyba waćpan... Nie jestem stworzony do bukolik. Szczególnie po tem wszystkiem... Oto w tej chwili najbardziej żywo uczułem nienawiść do tego wszystkiego, czemeś mię waćpan przejął swego czasu. Mam nieprzełamany wstręt do tych szlachetnych słabości, do owej dobrej niemocy, której tyle lat uczyłeś mię bez skutku. Zaprawdę, wstrętna to jest rzecz... Wierzaj mi waszmość,

— Nic rozumiem... Zgoła nie wiem...

— Mówię, — ciągnął książę porywczo — że moja zdrowa, wielka, silna rasa, a i twoja, przypuszczam, otrząsa się, jak po emetyku, po owych ckliwych cnotach... Dusiłem się zawsze, dziś ci otwarcie powiem, w owem powietrzu sejmu, a teraz to już do cna... Przekładam potęgę ducha, wolę, siłę, dumę, królewskość takiego prymasa Ponińskiego nad wasze ckliwe sentymenty...

— Cóż to za nierozważne słowa!...

— Gdym teraz patrzał na twoje oczy szczęśliwe aż do śmierci, zapalone po dawnemu, bo teraz już zagasły, najwyżej uniesione, jak tylko to być może, uczułem w sobie twoje właśnie dawne oczy, uczułem w sobie owe słabe i godne wzgardy obszary ducha, któreś zepsuł, zatruł niskiemi wzruszeniami. Takie szczęście należy się czemuś innemu. Takie wzruszenia winny poprzedzać dzieła Warneńczyka, Chodkiewicza, Sobieskiego... Cóżby człowiek był wart, gdyby ciągle chodził w twoich kajdanach obowiązku względem maluczkich, w dybach litości względem słabusieńkich, współczucia względem cuchnących? Jakiż to czyn można wówczas wykonać? Powiedz... Czy można? Ty się tak radujesz, żeś chłopa wyprosił z poddaństwa, jakbyś góry dźwignął z miejsca.

— Istotnie, moja radość nie ma granic.

— Z tego, żeś nie jego dźwignął, bo on zostanie sobą, tem, czem jest, ale żeś sam na dół zeszedł z wyżyny, na padół, na nędzny jego padół. Ty sam, który jesteś świat, zamiast iść ku wyżynie, zamykasz swe aspiracye w świateczku Michcika, czy kuchcika. Jemu

samemu krzywdę czynisz, bo go dźwigasz, niesiesz na sobie. Wolę jego, siłę, potęgę ducha skazujesz na los wozu, który koń ciągnie.

— Słowa, słowa.

— Nie słowa. Gdy teraz spojrzę w świat, w mój świat, ogarnia mię duma, że do niego z krwi, z mięsa, z kości, z każdego włókna należę. Co za ludzie! Każdy inny, każdy odmienny, każdy sam w sobie jedyny na świecie, każdy zaiste — pan. Gdzież był kiedy na ziemi świat podobny? Samuel Zborowski, Łaski, Radziwiłły!... A Czarniecki? a Sobieski? Kto każdemu z nich kazał czynić to, co czynili? Wszystko ze wspaniałego serca... Każda do rzeczpospolitej droga zawalona trupami ich, po dzikich polach pamiątki, od Warszawy pod Wiedeń szlak drogi. Wyście to znieważyli pamięć tego świata, mędrkowie. Co gorsza, wyzwoliliście motłoch, żeby się ośmielił rękę podnieść na pany.

Twarz Olbromskiego targnęła się, i prawa ręka zaczęła niecierpliwie szukać, macać koło siebie.

— Jesteś chory... więc milknę... — rzekł książę.

— Zraniłeś mię...

Tyle tylko Piotr wyrzekł, ale wzroku od księcia nie odwracał. Oczy jego przybrały dziwny wyraz, który Rafał widział już ze drżeniem. Patrzały jakoby wystygły popiół, w którym ani jedna iskra utrzymać się nie może. Jeśli się roznieci, to zagasa po krótkiem, po szalonem drganiu w sypkiej martwicy. Książę rzekł, patrząc mu prosto w oczy:

— Dowiódłbym ci, gdybyś zdrowie miał lepsze, że te twoje palladia były jak owa żaba Lafontena.

— Nie mów już więcej do mnie, mości panie... — cicho wykaszlał chory.

Książę Gintułt leniwym ruchem dźwignął się z krzesła i rzekł przez zęby ściśnięte:

— Zdałbyś mi waćpan rachunek z takiego rozkazu, gdybyś oto mógł stać na nogach.

— Rachunek! — piorunującym głosem zawołał Piotr. — Rachunek zdać jeszcze jestem gotów! W tej chwili... Michcik!

— Toż widzisz chyba swój stan, że zabiłbym cię od jednego sztychu.

— Mam prawo wyboru. Dawaj pistolety!... Są świadkowie.

— Cóż za świadkowie? Nie widzę...

— Brat.

— A... pan brat. No, to pewno twój. Dla mnie łaskawie zostawisz »obywatela« Michcika.

Olbromski milczał dziwnie. Rzekł jeszcze zcicha:

— To żołnierz...

Wtem głowa jego upadła na poręcz. Twarz stała się blada, jak masa gipsowa. Na wargach pokazała się krew, a pot kroplisty na czole. Ciało poczęło drżeć. Suche oczy zwolna oglądały daleką przestrzeń.

Michcik, który stał ramieniem oparty o pień lipy, zbliżył się do swego pana i zaczął do niego coś mówić, jąkając się tak bardzo, że ani książę, ani Rafał nie zrozumiał słowa. Po pewnej chwili, widać, kapitan dał znak schyleniem powiek, bo Michcik wsunął pod niego ręce, wziął go jak niemowlę i niósł do domu. Piękna głowa Piotra zwisła na jego ramieniu. Rafał szedł za Michcikiem, sam nie wiedząc, co czyni. Książę

pozostał na miejscu. Nie spojrzał nawet za odchodzącymi. Gdy żołnierz wszedł do pierwszej stancyi i był na jej środku, niespodzianie ostrym i dzikim głosem czegoś wrzasnął raz i drugi. Rafał przypadł do niego.

Michcik zwolna, ostrożnie upuścił Piotra na sofę, stojącą pod oknem. Chory ukląkł na niej bezwładnie, siadł na nogach. Barki jego osunęły się na ramę otwartego okna, a głowa, jak lity kamień, odwaliła się i głucho wsparła o futrynę. Rafał zajrzał z przerażeniem w tę twarz. Ujrzał dolną wargę przygryzioną przez odkryte zęby górnej szczęki, uśmiech nieopisany zawarty w tych ustach — i oczy. Nieruchome przeźroczyste źrenice patrzały łagodnie i ciekawie z żałosnem przymileniem. Zdało się Rafałowi, że brat zapatrzył się w coś, jak to bywa czasu smutku, w barwę daleką, że się zasłuchał w szmer ciekącej wody, że się może wmyślił w tajemnicze westchnienie serca, na rozstajne drogi zbłąkane... Ale oczy Piotra, patrząc tak w odłogi, zmierzchły, zastygły i skostniały. Wątłe jego ciało leżało bez ruchu, jak porzucona przez wędrowca opończa. Michcik troskliwie wsunął rękę pod bezwładną głowę i chciał złożyć zmarłego na sofie, ale Rafał oderwał jego ręce. Uczuł w sobie nagle tak niezgłębiony ból, jakby mu wilk rozszarpywał piersi i wydzierał serce.

— Niech sobie patrzy... — zdołał wyszeptać.

Przyszła nań świadomość, że może zmarły brat jeszcze widzi ziemię i wodę. Może słyszy ostatni raz szelest liści i całuje go w mrokach ostatnim dreszczem serca...

Nabożna trwoga odezwała się w nim, jak głos

surowy, mówiąc w głębi ducha, że nie wiadomo, co w owej chwili odchodzący czyni, nie wiadomo, czy nie żegna się z polami, z pracą swą, czy się nie modli...

Odstąpili tedy obaj ze czcią i, zdala stojąc, modlili się sami w cichości. Ale wnet chłop począł łkać i stękać. Bił się w piersi twardą pięścią żołnierską. Sylaby, urywki słów pacierza wyłamywały się z jego warg zczerniałych, jakby straszliwa, zaciekła groźba, jakby pozywanie na sąd i zaprzysięganie wobec życia. Wtem usłyszeli za sobą szczęk klamki.

Książę Gintułt wszedł do izby. Cicho zbliżył się do zwłok kapitana, schylił się... Po chwili syknął, jak po sparzeniu, strzepnął palcami i kazał Michcikowi położyć zmarłego na sofie.

Wkrótce zwłoki odziano w owo codzienne ubranie, gdyż nawet wojskowego munduru nie było. Szpadę tylko ze srebrnym feldcechem, zdjętą z nad łóżka, położono mu u boku, a mały portret dowódcy na piersiach. Dwoma wytartymi miedziakami przyciśnięto oczy...

Książę Gintułt siedział w zamyśleniu na krześle i przypatrywał się nieboszczykowi. Rafał wyszedł do drugiej izby, która zmarłemu za sypialnię i kancelaryę służyła. Przysiadł tam na kufrze. Obległy go teraz myśli innego porządku. Zaczął rozglądać się w rzeczach i uczuł łakomą żądzę posiadania rozmaitych sprzętów brata. Przedewszystkiem rzucały się w oczy przybory myśliwskie, rzemienie, baty, dobre siodło... Pod oknem mieścił się stolik do pisania z szufladą zamkniętą na klucz. Ta właśnie szuflada zajęła imagi-

nację Rafała. Ubierając zwłoki, Michcik, wyrzucił był z kieszeni klucz od tego stolika. Rafał widział ów klucz, wypolerowany od częstego użycia, lśniący stalowym połyskiem, i czekał chwili właściwej, żeby go chwycić. Bał się jednak poruszyć, lękał głośniej odetchnąć... Na samą myśl, że książę Gintułt pocznie z nim rozmawiać w taki sposób, jak z bratem, że zada mu jakieś pytania, czuł przestrach i chęć ucieczki. Tymczasem żądza zagarnięcia klucza i otworzenia szuflady, ciekawość, co też tam być może, paliła go i podrywała z miejsca. Wtem do izby wszedł znowu Michcik z parobkami w celu wysunięcia sofy na środek. Spostrzegłszy klucz na ziemi, podniósł go i oddał Rafałowi, mamrocząc i wskazując gestem, że to jest klucz od stolika. Rafał natychmiast wysunął szufladę. Nie było tam nic ciekawego.

Trocha pieniędzy i papiery przeważnie oficerskie, jak szarże, ordynanse, rozkazy, plany, mapki, piórem rysowane, i listy. Był także osobny zeszyt z grubego papieru, oprawiony w zieloną skórę, w którym kilka pierwszych stronic było zapisanych ręką zmarłego.

Wszystkie te papiery Rafał złożył systematycznie, związał sznurkiem i postanowił zatrzymać dla siebie. Pieniądze wsypał do kieszeni z niemałem zadowoleniem. Był tak zajęty gromadzeniem spadku, otwieraniem szafy i kuferka, a nadewszystko rozpatrywaniem rzemieni, że ledwie spostrzegł, kiedy książę wyszedł i odjechał. Wówczas zlustrował dom cały. Niektóre rzeczy wspaniałomyślnie darował Michcikowi, inne parobkom, kilka przeznaczył w myśli dla matki i sióstr.

Zajęcia tego rodzaju zabrały mu cały czas aż do zmierzchu.

Ściemniało się, kiedy z kościoła w Grudnie, odległego o wiorst kilka, przywieziono, widać na polecenie księcia Gintułta, świece kościelne i babę trupiarkę. Wnet zapalono świece, osadzone w wysokich czarnych lichtarzach, i ustawiono je dwoma rzędami obok ostatniego posłania mieszkańca tego domu.

Wóz odjechał z powrotem. Słychać było klekot jego kół, oddalający się w głębie mroku... Michcik urządził Rafałowi łoże w śpichlerzyku, zupełnie pustym w tej przednówkowej porze. Rozłożył tam wiązkę siana, świeżo zwiezionego z łąki, zasłał je pościelą. Ale Rafał nie myślał o spoczynku. Siedli obydwaj z żołnierzem we drzwiach śpichrza, jeden na wysokim progu, drugi na klocku drzewa, który za stopień służył i, nie mówiąc do siebie, patrzali w noc. Jarzące światło biło z okien dworku. Umilkło wszystko, nawet psy nie szczekały w wioskach sąsiednich.

Zrazu, po zachodzie słońca, panowała ciemność zupełna. Nad wzgórzami, które za dnia widać było w głębi horyzontu, wisiały teraz ciemne osłony nieruchomych chmur. Tylko woda słabo lśniła od poświaty gwiazd, błyszczących w zenicie. Około północy nad owemi spiętrzonemi chmurami ukazał się brzask wschodzącego księżyca. Zarysowały się brzegi ciemnych obłoków i wyniknęły niezliczone ich pokłady, a między jedną a drugą bryłą jakoby poprzeczne doliny w niezmiernych górach. Dalekie przestrzenie, otchłanie i wysokości ukazały się oczom w tej odległej jakoby ziemi. Złoto-biała obwódka, zrazu niejasna

i pełna lęku, poczęła się na szczycie obłoku. Wkrótce stała się świetlista i silna, niby namiętny, daleki, daleki śpiew... Pierwszy nadmierny jej błysk ażył się na cyplu i, rozpędziwszy ciemności, zleciał w głębokie doliny między chmurami. Wówczas przedziwna łuna rozświetliła gnuśne obłoki, ukrytą ziemię, lasy, pola, pustkowia i wszystkie tajemnice nocy. Wolno wypłynął księżyc na firmament bez skazy. Skróś rozległej powierzchni stawu strzeliła pręga ognista, drżąca, jakoby droga daleka, droga grubem szczerozłotem wysłana do onego przedwiecznego kraju gór. Solenna cisza nocy stała nad tym szlakiem, płonącym w nocnej głębi. Olchy wybujałe schylały się ku niej z pod nieba, patrząc weń przerażonemi gałęźmi. Nadbrzeżne wierzby, stojąc w promieniu księżyca, odbiły w wodzie wizerunki swych pniów strupieszałych z zielonemi głowami. Ani jeden wietrzyk nie dotknął wody, ani jeden powiew nie udźwignął schylonych mieczów tataraku. Chwilami lustrzaną toń rozdzierały ostre skrzela grzbietowe okonia. Wrzynały się, jak piła, w złocistą drogę. Kiedy niekiedy plusnęła płotka, igrając z radosnym blaskiem księżyca. Cieszyła się, gdy szły od niej wolno, rytmicznie i jakby przez sen kręgi lekkie, nicestwiejące, obciążone grubem falistem złotem, i znikała w żywiole ciemności. Widać było muchy wodne na szczudlastych nogach z wielkiemi stopami, depcące jedwabną głębinę, i daleki, daleki kwiat lilii wodnej, nieruchomo śpiący na brzegu szerokiego liścia. Kropla rosy nocnej świeciła się w złotym kielichu lilii, jak żywa gwiazda.

Czasem z zarośli, z szuwarów, z gąszczów ol-

szowych wydobywał się nieuchwytny głos, echo radości, rozkoszy, rozpaczy, walki, głos nie wiadomo czyj... Czasem zlatująca woda wydała dźwięk głębszy, który przepłynął okrąg i coś mu nakazywał, czy głosił. Słuchacze nastawiali uszu, żeby pochwycić jakowyś szmer z pod fal... Ale już wówczas cisza była wszędy aż do następnego momentu, kiedy znowu we śnie westchnie woda...

Rafał wyjął z kieszeni książeczkę, oprawioną w zieloną skórę z wyciskanym złotym brzegiem, otworzył ją na pierwszej stronicy i przy jasnym blasku księżyca czytał pismo brata.

»Został poza mną ojciec i poza mną została matka. Jestem sam i sam idę, podobnie, jak same jedne odchodzą za bramy cmentarne zwłoki człowieka.

»Oto w mrokach nocy kołatała się głowa moja po węzgłowiu, a w niej wałęsały się myśli, niby kroki obłąkanego człowieka, idąc i powracając od ściany do ściany, bez końca, po izbie nędzy i nicości.

»Najlepszy towarzysz i ostatni przyjaciel, sen błąka się bosemi nogami dokoła mojej pościeli, schyla się nad ciągle trzeźwą, nad nieustanie otwartą źrenicą i, wzdychając boleśnie, odchodzi, zcicha szumiąc sukniami, cieńszemi, niż włókna pajęczyny.

»Zeszła na mnie straszliwa niemoc: fizyczne cierpienie duszy. Zamieniłem się w byt obcy samemu sobie, nieistniejący w naturze, zabłąkany w zewnętrznym świecie. Jestem jak świat sobie samemu nieznany, przemierzły dla rozumu człowieka. Jestem jak świat, któryby się stał samem tylko i dla swego celu istniejącem cierpieniem.

»Ty się ze mną pozostań!

»Jako cel mojego krzyku byłeś wówczas, gdy w dniach utrapienia ludzie poczęli zostawać za mną, jedni z obojętnością zdrową dla nich, a twardą dla mnie jak rzemienny bat, a inni ze współczuciem przystającem, gdym się nie spodział, a inni z miłosierdziem, które wylewa krynicę dobrych łez, ale nie ma siły wytężyć kroku, i ci wreszcie, ostatni, którzy szli za mną trop w trop na górę udręczenia, dopóty, aż się napoły umarli, bez sił i tchu, u stopy mojej, wiecznie idącej, twarzą w proch walili, ślad mój całując.

»Odraza spadła na moje oczy, błądzące po ziemi z cypliska góry udręczenia. Ten cudny świat mojej młodości zmienił się w wydmę piaszczystą. Boli mię szelest liści, nęka zapach kwiatów, dokucza mi widok zorzy porannej i zorzy wieczornej. Usłyszałem cichy szelest godzin nieżywych. Usłyszałem cichy krok rozpaczy, idącej ku mnie...

»Ratuj mię, o Przyjacielu duszy mojej!

»Miałem Cię koło siebie wśród świstu ołowianych kul, wpośród trzaskania granatów z żelaza, pomiędzy błyskiem schylonych bagnetów, w szczęku szabel i lanc pędzącej konnicy, gdy oszalałe źrebce trzęsą się i stękają a zdrowy i tęgi żołnierz dygoce na całem ciele.

»Gdy góry ołowiu zwaliły się na moje piersi, a ognie zapłonęły we włosach, czułem Cię w oczach pełnych żółtej ciemności, jako światło przychodzące.

»Gdy myśl niewymówiona, sama siebie stwarzająca, jedyna, straszna strasznych żywota: — Oto umieram! — przebiła nawskróś moją głowę, poznałem Cię, o Bracie, stojącego w głowach moich...

»Tyś wezwał chłopa z szeregu, który w popłochu uciekał, żeby się twarzą w twarz przeciwko idącej śmierci obrócił. Tyś włożył w jego piersi męstwo nadludzkie, na jego ręku udźwignąłeś mię z ziemi.

»Tyś to uczynił, któryś jest Bóg, czyli Miłość.

«Czemużeś przed wiecznością zamyślił ten uczynek, a wtedy go wykonał?

»Czemużeś się uniżył aż do ran moich, wylewających krew zropiałą, aż do wzdrygnień i tchórzliwych skuleń ciała, do wstrętnego cierpienia, do przestrachu, rozsiewającego milczenie, do potu, zmazującego czoło, i do nikczemych łez?

»Czemuż skinieniem błogosławionem oddaliłeś śmierć, a jednem chłopskiem spojrzeniem i jednem pogłaskaniem uciszyłeś wszystką burzę męczarni?

»Ty wiesz, Ty jeden wiesz, jak było żywym piersiom oddychać powietrzem, a zbudzonym oczom patrzeć na świętą wolę dusz w łykach.

«Ty wiesz, że lepiejby głowie mej było na skrwawionych kościach w pospólnym dole...

»Dzisiaj, gdy uspokojony leżę bezczynnie, tylko senne i nędzne przeczucie mówi mi o Tobie. Jestem jak uciszona woda stawu, w której odbiło się niebo z jego wichrzatemi chmurami i z jasną otchłanią lazuru. Ale jak przemija odbicie chmury w toni stawu, tak ucieka przeczucie — duszy mojej, i tylko ciemność bardziej okrutna, niż kiedykolwiek, przenika ją aż do samego dna.

»O, Boże, którego stopy dotknąłem źrenicą i ustami spalonemi przez męczarnię, ukaż raz jeszcze trzeźwym oczom powszedniego dnia bytowanie Twoje.

»Wyrwij z piersi przebiegłe zwątpienie i chytry rozmysł, które się unoszą w kole widnokręga, a wracają nie do mózgu, lecz do serca i walą się w spracowane, cięższe od głazu, na podobieństwo westchnienia.

»Wyrwij z serca westchnienie, które w niem leży cięższe od głazu i daj mu odpocząć u stopy Twojej, jak w dniach płomiennych pozwoliłeś odpocząć krzykowi rozpaczy.

»Ty, który mocen jesteś uczynić to, coś uczynił, wyrwij z serca niewierną myśl i wiej w nie błogosławioną potęgę ciszy i zaufania.

»Niechaj się raz jeszcze rozraduję w miłości jednej, pospólnej z Tobą, niech wyznam na łonie Twojem krzywdę mą i niechaj zazna serce moje wiecznego spokoju na Twojem sercu, któryś jest Bóg, czyli Miłość...«

DRZEWA W GRUDNIE.

Cały dzień następny zeszedł na załatwianiu spraw tyczących się pogrzebu. Michcik ruszył do miasta Włoszczowy po trumnę, a Rafał do proboszcza w Grudnie. Tam jednak wszystko już było zadysponowane przez księcia. Rafał dowiedział się tylko, że zwłoki mają być tego jeszcze dnia przeniesione do kościoła. Wrócił tedy do Wygnanki i zajął się wysłaniem listu przez umyślnego do rodziców. Nim napasiono konia, i nim się sam goniec odpowiednio najadł a wypytał o drogę, nim wreszcie Rafał list obmyślił i wystylizował, miało się już ku wieczorowi. Deszcz, który zaczął był padać około południa, lał strugami. Michcik, przemokły do suchej nitki, wrócił z trumną i ułożył w niej na wieczny spoczynek ciało swego pana a towarzysza.

Ledwie to wszystko było załatwione, wpadło na podwórze ze sześć pojazdów, kilka bryk, bryczek i wozów. To książę Gintułt z całą swoją rodziną i dworem przybył dla asysty w czasie przewiezienia do kościoła zwłok kapitana. Rafał był tak oszołomiony mnóstwem tych niezwykłych figur, że ledwie zdołał wyleźć

ze swego śpichlerzyka. Przed oczyma jego wyskakiwały z karet, bastard i powozów młode i stare, prześliczne i paskudne kobiety, wspaniali panowie... Wszyscy z przybranym wyrazem najgłębszego uszanowania wchodzili we drzwi niskiego dworu. Był także proboszcz z organistą i służbą kościelną.

Dzień się już kończył, więc hajduki, służba leśna, stangreci i lokaje zapalili smolne kagańce. Przy blasku posępnych płomieni, ze śpiewem kościelnym wyniesiono trumnę. Wśród dziedzińca stał prosty, czterokonny wóz, wysłany słomą i okryty wielkim kobiercem. Na nim ustawiono i przymocowano powrozami trumnę. Ksiądz, zakasawszy poły sutanny, ruszył przodem. Za nim szli ludzie z pochodniami. Tuż przy trumnie brnął książę Gintułt, za nim owe piękne i brzydkie panie. Szaty ich brudziły się, a nogi tonęły w błocie rozmiękłej drogi. Mimo to żadna do powozu nie wsiadła. Dopiero za tą wspaniałą czeredą szedł zdala onieśmielony Rafał. Przy nim Michcik. Gdy orszak pogrzebowy mijał wieś, wychodzili z chat chłopi w brudnych koszulach, w zgrzebnych, wystrzępionych portkach, baby we wstrętnych krótkich spódnicach, kołtuniaste, półnagie dzieci. Wszystko to z otwartemi ustami dziwowało się, patrząc na wspaniały pochód, a dopiero gdy ognie były już daleko, wioska ruszyła się i postępowała w dali od pańskiego orszaku. Za wsią droga zniżała się między dwie lesiste góry nad rzekę i brzegiem jej ciągnęła. Był to w owej chwili szlak błotnisty, porznięty wyrwami, a tu i owdzie zawalony mnóstwem kamieni. Mimo to wszyscy wytrwali w pochodzie. Ubłoceni do kolan, w nocy już zbliżali się do

Grudna. Deszcz nacichł, choć szemrał jeszcze. Gdy orszak zbliżał się do alei grudzieńskich, Rafał szedł tuż obok pańskiego tłumu. Ośmielił się. Głowa jego była pełna niedorzecznej pychy z tego tytułu, że to on właśnie, na którego nikt uwagi nie zwraca, jest rodzonym bratem tego, komu takie honory czynią. Pragnął w jakiś sposób dać znać o sobie, zwrócić uwagę... Odzywał się półgłosem do Michcika, pytał go o różne szczegóły, dawał zlecenia. Żołnierz podnosił wówczas głowę i blade, osłupiałe oczy wlepiał w niego, coś tam mamrocząc. Na twarzach większości pań i panów malowała się szczera wściekłość, gdy trzeba było brnąć wpoprzek bajorów, nigdy nie wysychających. Szczególnie jedna podstarzała dama, zachlapana, z rozkręconą fryzurą, zmokła, rzucała naokół takie spojrzenia, że mogłaby niemi zabić najsilniejszego. Książę Gintułt szedł sam na przedzie, z głową podniesioną. Przebywał najgłębsze bagna, nie wiedząc o tem, zatopiony w myślach. Nareszcie droga polepszyła się. Szła w górę, ku kościołowi, stojącemu na szczycie pagórka. Po obudwu stronach szerokiego traktu stały przedwieczne lipy, nadwiślańskie topole, graby, klony, dęby i buki.

Teraz, gdy w ich wnętrza, wyrywając się z kłębów siwego dymu, padały migotliwe blaski pochodni, zdawały się być podwójnie wielkiemi. Konary, gałęzie, rózgi, czuby ich sięgały do czarnego nieba, a liście szemrały w chmurach. Była nieskończona potęga w owych widłach, odnogach, trój- i czterozębcach, w splotach gałęzi, wytężonych ku niebu, w owych jakoby barach, piersiach, plecach, ramionach i rękach, które coś dźwigają...

Ale nadewszystko — była potęga w ich szeleście.

Jedno z tych prastarych drzew, ogromna, płacząca brzoza, zwieszało się całym kadłubem nade drogą, a korona jego, bogata w ogrom liści, schylała się ku ziemi, jak kudłata głowa chłopa-starca. Gdy wóz, otoczony latającymi blaskami, wjechał pod nie, zaszemrało... zaszemrało... Wyszedł z jego głębokiej czeluści sykliwy, przestraszony szelest, półszept zbudzonych ze snu i zdumionych liści...

Rafał zląkł się i zadrżał.

Ach, jakże straszny, jak nieopisany głos był w tym szeleście!

Ale wnet gwara schylonego drzewa została się w mroku, korona jego cofnęła się i ukryła. Teraz inne przemawiały z wysoka. I dziwna rzecz! Jedne wchłaniały w siebie wieść o widoku, wlokącym się u ich korzeni, z zimną wzgardą, inne z obojętnością najgłębszą, z obojętnością świadomą swej głuchej i ślepej siły, a były przecie i takie, co płakały, jak żywy, czujący człowiek. Serce Rafała dźwignęło się i podniosło ku owym drzewom. Ogarnął spojrzeniem wyniosłe gałęzie... Pnie zielone, jak trawnik, od dawnego mchu, albo obwieszone mnóstwem drobnych gałązek, jakoby dziady zgrzybiałe, obsiadłe przez prawnuki... Pnie, pokryte splotami sznurów kory, zbróżdżone, o barwie deszczu i szarugi... Rózgi, chwiejące się pod niebem...

Wtedy nagle pojął, że już nie żyje dobry brat Piotr. Z mozołem przypomniał sobie chwilę, która przed nim jak chybka mysz uciekała, chwilę, gdy patrzał na bezwiadne oczy brata. Dusza jego wcieliła się

w ów moment, weszła tamtędy w niewiadome, tajemne, nikomu nieznane powiaty...

Wtem ktoś na jego ramieniu lekko oparł rękę. Rafał otrząsnął się i ujrzał przy sobie księcia Gintułta. Młody pan przypatrywał mu się uważnie.

— Wszak nie mylę się — rzekł — waćpan jesteś bratem zmarłego kapitana Olbromskiego?

Rafał ledwie zdołał wydusić z siebie głos:

— Tak jest.

— Proszę mi powiedzieć... waćpanowie macie jeszcze rodziców żyjących?

Znowu:

— Tak jest...

— A czy waszmość dałeś im znać?

— Tak jest.

— Żałuję, że to mi nie przyszło na myśl. Trzeba było lepiej zaczekać...

— Zaczekać z pogrzebem na rodziców?

— Zaczekać... z pogrzebem...

— O, rodzice prawdopodobnie nie przyjechaliby na pogrzeb — wypalił Rafał.

— A to dlaczego?

— Bo są wiekowi... A zresztą...

— A zresztą co?

— A zresztą... mieszkają daleko.

— Tak. No, a waćpan po pogrzebie dokądże masz zamiar udać się? Czy do domu?

— Nie, broń Boże!

— Nie i... broń Boże?

— Proszę księcia pana... my obydwaj z bratem nieboszczykiem...

— Cóż takiego?

Rafał zająknął się i teraz dopiero ujrzał w głowie głupstwo, które niósł na języku.

— Proszę waćpana po pogrzebie do mego domu — rzekł książę uprzejmie, patrząc zresztą gdzieś daleko. — Chciej uważać Grudno za dom własny... Zupełnie jakbyś był u brata. Zabawisz, dopóki zechcesz, odjedziesz, kiedy zechcesz...

Odchodził już, gdy wtem wrócił się jeszcze i dodał z uśmiechem:

— Możesz to napisać, jeśli wola, rodzicom, że miałem z Piotrem rachunki pieniężne. Winien mu jestem. Waćpan tu staniesz, jako sukcesor? Nieprawdaż?

— Tak, mogę... — wybąknął Rafał.

— A więc właśnie, będziemy się rachowali... Zostań tedy w Grudnie.

Książę przywołał do siebie skinieniem jakiegoś podstarzałego szlachciurę, wskazał mu Rafała i wydał jakieś zlecenia. W tej samej chwili z pomiędzy drzew na szczycie wzgórza wyłamał się dźwięk dzwonu za umarłych. Żelazne serce uderzało w bok śpiżowy. Ciosami coraz mocniejszymi wyczyniało ze srogich dźwięków, z martwego głosu przerażające miamlanie, słowienie tej nazwy, która mocniejsza jest nad dzień i noc nad przestrzeń niedościgłą myślami ludzkiemi, nad słońce, księżyc i gwiazdy...

DWORZANIN.

Pałac grudzieński leżał w głębi starego parku. W końcu siedmnastego stulecia jeden z książąt Gintułtów założył był tę siedzibę na wzór francuski. Z biegiem lat rozrost wielkich drzew zniszczył dawną symetryę ogrodu, a tu i owdzie gaje młodej leszczyny wtargnęły nawet w ulice, gracowane niegdyś z pilnością. Pałac, przebudowany na fundamentach starego zamczyska, otaczały zbiorniki spleśniałej wody. Mury jego były kilkułokciowej grubości, szczególnie na dole, gdzie pozostały izby sklepione jak w więzieniu i okna zakratowane. Grube, ukośne szkarpy, niby potworne nogi, grzęzły w podstępnych wodach starej, głębokiej, obmurowanej fosy. Piętro dopiero, z korynckiemi kolumnami i architrawem ozdobionym sztukateryami, było dziełem czasów nowszych. W chwili, kiedy Rafał zobaczył pierwszy raz ten dumny pałac, ściany były mocno zdrapane, figury otłuczone, kolumny czarne i ogołocone, jak słupy wiorstowe. W głębi parku kryły się tu i owdzie między drzewami murowane i drewniane domki, ozdobne i kształtne. Jeden z takich mar-

szałek przeznaczył młodemu samotnikowi na mieszkanie. Była to chatka o jednej izbie, z wejściem w stylu gotyckim i oknem, jak w kaplicy. Nade drzwiami stało w niszy popiersie Wenus z zielonymi oczodołami i utrąconym nosem, osłaniającej wstydliwie łono zapleśniałe i mchem wilgotnym porosłe. Tuż ciągnęła w gąszcze szeroka, błotnista droga. Nad dziwnym domkiem wznosiły się sokory, lipy, a za oknem zwieszała aż do ziemi gałęzie przecudna, wyniosła brzoza. Wprost z tegoż okna widać było głęboką aleję, która dokądś, jakby w ziemię zanurzała się i kryła. Rafał nie mógł od niej oderwać oczu. Nigdy nic podobnego w życiu swem nie widział. Bardziej niż pałac, niż przepych książęcego dworu przemówił do niego magnackim urokiem ten szpaler. Kiedy młody samotnik pierwszy raz wszedł tam, zcicha stawiając nieśmiałe kroki, otoczył go lęk rozkoszny w swej natarczywości, prawie bolesna żądza poznania tajemnic tego miejsca, przywłaszczenia sobie wiadomości o tem, co tu było.

Głębokie marzenia wypływały z cieniów tych drzew i, przemieniając się niemal w kształty, w osoby prześlicznych kobiet, niemal w figury dziewic z cudnymi włosami, cicho idące po twardej, gliniastej ziemi, znikały od uderzeń zimnego rzutu oka. Drzewa nad tym ciennikiem i w głębi parku, zdala stojące głuchym, dumnym, uprzywilejowanym zastępem, zdawały się nie rosnąć, nie wznosić, nie dźwigać z tej ziemi, lecz na skrzydłach lecieć ku niebu. Śliskie, pręgowate pnie grabów o barwie żmii strzelały w górę, wyginając się wężowo, jak gibkie i zwinne race, które pod chmurami rozpryskują się w deszcz liści, w płomyki

konarów. Prawdziwie w chmurach były ich wierzchołki. A lipy! Lipy, z których każda miała kilkset lat, o pniach zakutych w kolczugi grubaśne, powleczone ze strony północnej siwą patyną mchu. W jednem miejscu stał dąb, zwany »łabędziem« dla kształtu pnia wygiętego, jak szyja ptasia. Ogromna dziedzina jego zasępionych konarów, gałęzi, prętów i liści rozepchnęła knieję brzóz, sokór, brzostów, topól i lip. Oczy ze czcią i pokorą spoczywały na jego pniu, bulwach, gnatach, sękach, jakichś potwornych ranach i bliznach...

Do tej alei spływało z góry światło zielone, jakby do groty lodowca Rodanu.

Pierwszą noc Rafał spędził wśród uczuć najdziwniejszych. Położenie w liczbie uczestników tego dworu nabawiało go trwogi i niepewności, a zarazem ten cały rozhukany a tak nowy świat ciągnął ku sobie z nieprzełamaną siłą. Dopiero nad ranem usnął snem twardym. Gdy się obudził, znalazł koło swego łóżka tackę z przyborem do kawy i bułkami. Kawa była wystygła, ale Rafał pochłonął ją żarłocznie. Obawa trzymała go na miejscu, więc przed samym sobą udawał, że jest senny, znużony, choć pragnął zetknąć się z owym światem, ujrzeć go i poznać. Kiedy tak wahał się i namyślał, oszklone drzwi uchyliły się, i wsunął przez nie głowę kozaczek w suto szamerowanej liberyi. Spostrzegłszy, że Rafał nie śpi, wszedł do izby i rzekł:

— Pan marszałek kłania się i prosi do obiadu...

— Do obiadu? — krzyknął śpioch z przerażeniem.

Chłopiec uśmiechnął się chytrze i dodał:

— Zaraz będą podawać.

Rafał wyskoczył z łóżka i zaczął się gorączkowo ubierać. Wkrótce był gotów i z niecierpliwością tysiąc razy szarpał na sobie, poprawiał, obciągał i czyścił zniszczone odzienie.

Widział w oddali, naprzeciwko pałacu, stoły zastawione pod cieniem dębów tak grubych, że ledwie czterech ludzi objąćby zdołało ich pnie, a tak rozłożystych, że rzucały cień na ćwierć dziedzińca. Uwijało się tam kilkunastu lokajów w liberyjnych frakach, kozaków w ponsowych kabatach z galonami i herbowemi blachy, biegali pachołkowie i kuchciki. Wkrótce ozwał się dzwonek, i z rozmaitych stron, a przedewszystkiem z pałacu, pociągnęło ku stołom kilkadziesiąt osób. Chłopak, zahukany w domu i szkole, wprost drżał na myśl, że ma się złączyć z tym obcym mu tłumem, ale jednocześnie prostował się i przybierał pozę »równego wojewodzie«. W pewnej chwili głośno otwarł drzwi i poszedł śmiało ku stołom. Nikt na niego uwagi nie zwrócił. Panował tam gwar, jak w ulu. Słychać było śmiechy, okrzyki i wesołą rozmowę, przeważnie w języku francuskim prowadzoną. Usłyszawszy te dźwięki, ledwie zrozumiałe, Rafał ścierpł w głębi. Za chwilę zbliżył się już tak, że zaczęto zwracać na niego uwagę. Ten i ów rzucił okiem i ani myślał przerywać rozmowy. Jednej twarzy znajomej! Od grupy do grupy Rafał posuwał się dystyngowanymi półzwroty, z uśmiechem głupio-niedbałym prezentując swój wyszarzany kostyum. Ani jednej twarzy znajomej!

Miejsca zajmowano z hałasem, wśród wesołych śmiechów, spojrzeń wiele mówiących i żywej rozmowy. Rafał błyskawicowo przeczuwał ostatnią chwilę, która

miała nadejść za mgnienie oka: stojący sam jeden zostanie poza krzesłami! Cóż wtedy? Krew mu uderzyła do głowy... Zostać między lokajstwem... Czyż z powrotem wracać do swej kryjówki?

Głowa mu pękała z rozpaczy: nie widział już nigdzie miejsca wolnego! Wreszcie gdy owa ostatnia chwila nadeszła, i gdy w rzeczy samej ze stojącymi włosami i oczyma krwią zalanemi szedł omdlałym krokiem poza plecami osób siedzących, ktoś się podniósł przy drugim końcu stołu i jął go wskazywać lokajom. Rafał odetchnął. Wkrótce siedział już na krześle i zatopił oczy w talerzu. Słyszał tylko huk w głowie i bicie serca. Nie rychło podniósł łyżkę do ust. Zrazu tak miał wzrok zmącony, że gdyby naprzeciwko siedział znajomy, nie byłby o poznał. Kiedy się nieco z położeniem oswoił, zaczął wodzić oczyma po tłumie. Przedewszystkiem uderzyła go obecność kobiet o rysach jakby cudzych, twarzach ciemnych, smagłych, oczach czarnych i płonących, kobiet bardzo pięknych i porywających ku sobie. Damy te były wystrojone i mówiły po francusku, to też Rafał domyślił się, że to muszą być owe »emigrantki«, na które tak wyrzekała kołtuniasta szlachta po dworach. Obok jednej z Francuzek, a najpiękniejszej, bokiem do niej siedział książę Gintułt. Oczy miał utkwione w twarz tej sąsiadki, a na wargach uśmiech, który Rafałowi wydał się szczególnie sympatycznym. W bliskości siedziały siostry księcia, podobne do niego bardzo, szczególnie trzecia, ostatnia z brzegu. Była to jeszcze dziewczynka, jeszcze nie panna, może lat szesnastu. Przynajmniej robiono z niej młódkę.

Miała włosy jasne, tak jasne, jak ziarno dojrzałej sandomierskiej pszenicy. Przecudne, subtelne rysy, proste a wykwintne, drgały ciągłym śmiechem. Oczy szafirowe, czyste i ogromne, jak firmament, otwierały się ze zdumieniem, wlepiały bez ruchu w twarz starszego brata, z którym nieustannie szeptem rozmawiała — i oto dawał się słyszeć wybuch śmiechu tak niepowstrzymanego, że cały stół wpadał w wesołość, sam nie wiedząc czemu. Chuda Angielka, siedząca obok tej ślicznej blondynki, zwracała wówczas swą długą głowę, i na chwilę śmiech panieński przycichał. Obydwoje, brat i siostra, przybierali uroczyste miny, żeby za chwilę zwrócić na się oczy pełne wrzątku wesołości. Jeden jakiś wyraz, dźwięk cichego słowa wyrywał nową kaskadę, nowy, jeszcze bardziej głośny wybuch. W pewnych momentach, gdy śmieszka najbardziej zanosiła się swem przecudnem cha-cha-cha, książę Gintułt odwracał z trudem oczy od swej sąsiadki i wesołe, wilgotne od wzruszenia źrenice zwracał na rozbawioną siostrę z szeptem:

— Eli...

Nie wiadomo wszakże było, czy potępia tę, zbyt głośną, wesołość, czy tylko prosi uprzejmie zebranych, żeby piękna jeszcze długo mogła się tak śmiać bez przeszkody. Ale nietylko brat księżniczki miał w oczach ów szczególny wyraz. Wszyscy, na kogokolwiek Rafał zwrócił ukradkiem spojrzenie, byli zajęci jedną jedyną sprawą — i właśnie owem radosnem weselem dziewczęcem. Napozór wiodąc między sobą stateczne rozmowy, wszyscy mężczyźni, widać to było w ich twarzach, myślami i uczuciami krążyli obok prześlicznej.

Dla jednych było to skrytą rozkoszą, dla innych skrytą boleścią, a dla wszystkich oderwaniem się od spraw, któremi napozór żyli. Nawet starzy ludzie nad czemś głęboko dumali. Odraza i głuchy na wszystko zabójca-żal marszczył ich czoła. Cóż warte było życie całe? — mówiły te zmarszczki: — poco istnieć tyle lat, skoro się wiek swój cały spędziło bez tego, co jest wszystkiem, bez niej? Na twarzach młodzieży leżała bladość męki. Rafał uczuł, że jest w jakiemś zamkniętem kole, które sekretnie duma i z rozpaczą śni. Jakoby muzyka niedosłyszalna, tajemnicza, przepływała wskróś tego grona potęga, władza, tyrania piękności. Każdy ruch dziewczątka odbijał się w oczach patrzących, jako uniesienie. Ruchy te były niewysłowione. Odzwierciadlało się w nich wszystko życie duszy. To, co każdy człowiek chowa w zamkniętej skrzyni, u niej stało w oczach, w ustach, na czole, w drgnięciach brwi i ust Była samem weselem i dreszczem szczęścia, a biegł od niej na ludzi smutek i udręczenie.

Rafał nie widział wcale, kto siedzi przy nim. Jeszcze nie ukończył zanoszenia z sakramentalnem namaszczeniem zupy do ust, gdy wtem gruby głos zaskrzeczał tuż nad jego uchem:

— A cóż u Boga Ojca tak asan wodzisz za tą łyżką oczyma, jakbyś się bał, żeby ci jej ręka do ucha nie zaniosła?

Młodzieniec podniósł oczy i ujrzał obok siebie długie oblicze z włosami i wąsiskami, zwieszającemi się z niego, jak z buńczuka.

— Jesteś asan, jak słyszę, bratem onego, Panie mu ta świeć, filozofa z Wygnanki, Olbromskiego.

— A jestem.

— Pięknie u Boga Ojca brat waści gospodarzył na tej wioszczynie, niema co mówić!

— Jakto?

— A tożem patrzał, bo obok niego na Polińcu od lat siedzę. Chłopów, farmazon, rozpuścił, rozamorował, że mu na pole wychodzili jak z łaski, i koniec końców do garnka nie miał co włożyć.

Rafał wrzał wszystek od niewymownej złości, która nie mogła wydobyć się nazewnątrz. Milczał z oczyma wlepionemi w pusty talerz.

— Cóż asan milczysz? Prawdę mówię, choć i gorzką.

— Ja nie wiem, czy to prawda.

— Nie wiesz. No i pewnie. Wąsów asan całych nie masz, to skądżebyś miał znać się na całej prawdzie! Ale nie o to idzie... Słuchaj-no, mości panie, gdzież to zamierzacie podziać owe graciny nieboszczyka ze dwora, choć ich ta tyle, żeby żydowska koza uciągnęła? Zabierzecie to to w Sandomierszczyznę? Widziałem tam chomąta, siodło, rzemienia fornalskiego coś niecoś. Kiepskie to wszystko, ale jakby nie drogo, tobym kupił. Mówili mi tu, że to niby asan dysponujesz, jak i co.

— Zabierzemy do domu.

— A to zabierajcie wnet, bo ja w tych dniach dwór zajmę.

— Waszmość pan niby?

— A ja. Cóż się wasanu nie widzi? Ja, Chłuka z Polińca. Tak wasan napisz do swoich, że Nikodem Chłuka z Polińca bierze onę Wygnankę od księcia

w dzierżawę. Folwark gałgan, ale że to blisko... A i o te chomąta się spytaj, tobym kupił, jeśli nie drogo, młynekbym to samo kupił, a nawet i te szkapska...

— Ja napiszę, a teraz wszystkiem się opiekuje Michcik.

— He, opiekun! Faworyt... Dawno ja na tego draba mam chrapkę. Czapki gałgan nie zdejmuje ze łba przede mną. Folwark waści brat rozpaprał, chłopa zepsuł na nic...

— Folwark nieboszczyk rozpaprał! A ziemię to kto darł z pod jałowców?

— Widzicie, jaki to asan masz rezon w potrzebie! A nawet powiem: prawdę ci się udało chwycić za uszy. To jedno ten nieboszczyk, Panie mu ta świeć, zrobił. Chłopa zepsuł na nic, ale to do odrobienia, to ta już moja rzecz. Co zaś do ziemi, to nie można powiedzieć: wyprawił ziemi nie mało! Gdzie dawniej, jak ludzie zapamiętają, trznadle się jeno gziły, teraz owies, jak mur.

— A staw to nie brat wyszlamował? Młyn puścił, upust wystawił, rowy porznął?

— Nawet i to, powiedzmy, prawda.

W chwili, gdy się ta rozmowa toczyła, zabrzmiał znowu upajający szczebiot śmiechu księżniczki. Szlachcic Chłuka przerwał frazes, który miał wyrzucić, i wiechy swych wąsów zwrócił w stronę »jasnego« końca stołu. Sapał długo i tłamsił w sobie jakieś wzdychania, a wkońcu rzekł do Rafała:

— Ta się śmieje, hę?

— Jakaż to piękna bardzo! — zdradził się młodzik.

— Pewnie, że piękna.

— Co to za włosy!

— A i to, powiedzmy, prawda. Świeci się, bestya, człowiekowi w ślepiach, jak ten miesiąc po nocy.

— A jakie to oczy!...

— Waśćby jej dał radę — chy! Jezus ci Marya!

— Co też to waszmość pan!... Wstyd doprawdy...

— Asan mi powiesz! Znam ja się na was, dryblasy! Myślałby kto, że się do korda porwie, tak się przecie zsierdził, a ślepie mu ogniem zioną, jak czubatemu dyabłowi.

— Kto to jest taki? — cicho szepnął Rafał.

— Jakże u Boga Ojca, to asan książęcą łyżką książęcą zupę zawijasz, a nie wiesz tego, kto to jest taki! Toż Gintułtówna, młodego siostra, najmłodsza. Elżbieta jej. Ależ dzieucha! Że się też to pod szlachecką strzechą nie urodzi taka... Jużby o nią dziesięciu czuby se powyrywało i ślepie na nic podbiło. Tu będzie wyczekiwała na swego, aż ci osmętnieje z tego, jako wierzba u drogi. Wtedy przylezie wywłoka, albo i zgoła Francuz...

— Księżniczka Elżbieta... — powtórzył Rafał z przedziwnem upojeniem wewnętrznem i z drobiazgową uwagą, jak gdyby przywłaszczał sobie na zawsze śliczną melodyę, przypadkiem w smutku zasłyszaną.

Do samego końca obiadu Rafał siedział, jak na szpilkach. Mnóstwo myśli kłóciło się w jego głowie i przemknęło bardzo wiele postanowień. Nikodem Chłuka kładł mu w głowę Bóg wie jakie wiadomości i głośno wyrzekał, kiedy Rafał ledwie piąte przez dzie-

siąte rozumiał. Skoro ruszono od stołu, marszałek dworu skinął na Rafała, przywołał go do siebie i oświadczył, że książę życzy sobie z nim mówić. Wezwał zaraz jednego z lokajów i polecił mu zaprowadzić młodego panicza do gabinetu, gdy się tam książę uda. Sporo jednak upłynęło czasu, nim ta chwila nadeszła. Książę, otoczony gronem pięknych pań, poszedł na spacer do parku i znikł między drzewami. Rafał wyglądał jego powrotu z głębi swej izby, nie spuszczając oka z głównego wejścia pałacu. Nareszcie, a miało się już ku wieczorowi, wyfraczony sługus wszedł do stancyi z grubiańskiem prawie zawiadomieniem, że książę jest u siebie. Rafał poszedł za nim przez szereg sal, z których jedne były mozaikowane, purpurowe ze złoconymi gzemsami i z pysznymi stiukami na stropie, inne w barwach ciemnych, adamaszkowe z listewkami, albo bladoniebieskie. Przechodził jak we śnie obok wielkich obrazów, z których spoglądały na niego nagie kobiety, otwierały się krajobrazy zupełnie wyrwane ze snu, walczyły dziwaczne chimery, ucztowali bogowie... Oszołomiony przepychem naczyń i mebli, które zdawały się być stworzonemi dla świątyni, bronzowych żyrandolów, wielkich, porcelanowych waz, lustrzanych okien, pięknością podłóg, wysadzanych marketeryą z hebanu, cytryny i żółtego bukszpanu, skromnem i niespodzianie przyjemnem pięknem drzwi i odrzwiów z mahoniu, olśniony widokiem grup marmurowych i kominków z rzeźbami, usiłował zachować na twarzy wyraz doskonałej obojętności, jak gdyby te rzeczy pierwszy raz widziane wcale mu obce i dziwne nie były. Tymczasem, gdziekolwiek zwrócił oko, spostrzegał coś,

co przykuwało do miejsca, chwytało za ramiona, wabiło ku sobie, jak kobiecy uśmiech, a nieraz, jak pocałunek. Niewymowna rozkosz zastępowała tu drogę na każdym kroku. Rafał czuł bolesną, aż do zemsty podniecającą mękę — uwielbienie. Straszna praca niewysłowione katusze tworzenia ideału piękności w twardym kamieniu, w drogocennem drzewie, pot wysiłku i łzy wiecznego zawodu artystów, gnanych przez przymus, przez ciężką pańszczyznę twórczości, ogarniały go postrachem. To niedościgłe nigdy piękno, wyrwawszy się z powrozów pracy, czekało tu w utajeniu oddawiendawna, czyhało w obrazach, w porfirowych stolikach, we drzwiach tajemniczo okutych, w próżnych krzesłach, w wąskich, skromnie przepysznych kanapkach, tęskniąc za uwielbieniem tyle nocy i dni. Kiedy niekiedy dostrzegał w ogromnych lustrach swą postać w wyszarzanem ubraniu z werdragonowego sukienka, i wówczas niewymowna awersya do własnej postury, rozpaczliwa wzgarda dla swych rąk wiszących, jak bijaki cepów, nóg, głowy, ślepiów i nosa oblewała go całego ukropem. W pewnym małym saloniku, stosunkowo skromnie urządzonym, służący kazał Rafałowi oczekiwać. Gdy grube łydki fagasa przestały migać na posadzkach, a szelest jego pantofli oddalił się zupełnie, Rafał usiadł w głębokim fotelu i zasunął się w siebie, zagrzebał się sam w sobie. Spojrzeniami sięgającemi do dna przejrzał wszystko, co dotychczas wiedział i widział, czem był, co się z nim działo, co na świecie znaczył. Śmiech podnosił się z jego piersi, śmiech przemądrzały i bezlitosny. Nie wydobył się na wargi, tylko, jak fala wzdęta przez wicher, krótko zahuczał

i ustał. Ociężałe spojrzenie weszło w głąb tego szeregu sal, cicho, sennie drzemiących w rozkoszy. Naokół było cicho, jak w świątyni.

I oto niespodzianie, gdzieś za trzeciemi drzwiami rozległ się śmiech, ów jedyny na ziemi... Rafał zakrył twarz dłońmi i słuchał w zachwycie. Liczne, wesołe głosy, jak burza, zbliżały się, aż wreszcie zabrzmiały w sąsiednim saloniku. Półuchylone drzwi dawały Rafałowi możność uczestniczenia w tem, co się tam działo. Jak wiosenne gędziolenie ptaków, śpiewały radosne, drgające życiem, zdrowiem, weselem okrzyki najmłodszych sióstr księcia, ich towarzyszek i przyjaciółek. Jedna z nich wołała:

— Koniecznie *jeux de société!* Koniecznie... *Jeux d'esprit* — to nudne. Zupełnie, jak lekcya gramatyki.

— Jakto? *Le secrétaire?*

— Nie, nie! *Jeux d'esprit, jeux d'exercice* — to zupełne lekcye.

— Więc dobrze...

— A możeby najlepiej — *jeux de poules.* Co myślicie? Naprzykład: *Chnif-chnof-chnorum?* Co?

— Nie, nie! *Jeux de société* — domagała się księżniczka Elżbieta kapryśnym głosem, roztopionym w śmiechu.

— No, więc dobrze... Decydujmy!

— Zaczynamy...

— Czy są wszyscy?

— Kto się spóźni, sam sobie winę przypisze.

— Bawimy się... Mówcie! Co kto życzy?

— Ja proponuję *Le corbillon...* — ozwał się głos pierwszy.

— Ja *Les propos interrompus...*

— *Monsieur le Curé!*

— *La toilette.*

— Czekajcie, czekajcie! Tyle żądań... Głosujmy, jak na sejmiku.

— Ja chcę koniecznie — *l'Avocat.* Koniecznie, bardzo koniecznie!...

— Kto jest za *Avocat?*

— Nie, nie! *Avocat* — to nieprzyjemne. Lepiej już *La toilette*, albo *Combien vaut l'orge?*

— A możeby *Le Capucin?* To zabawne. Pamiętacie Kamila w postaci *capuchon*, a Cecylkę jako *la barbe?*

— Spróbujmy naprzód *La toilette.*

— No, dobrze! *La toilette!* Wszyscy się zgadzają?

— Wszyscy...

— Wszyscy!

— *Tout le monde est assis...*

— Już jestem gotów!

— Ja będę *le miroir*.. Lubię, żeby we mnie patrzono — cha-cha!...

— Ja *la boîte à rouge...*

— Skryta, skryta buatka!...

— Ja *la boîte à poudre...*

— Eli będzie *la boîte à mouches...*

— A Kamil — *le flacon!*

— Ach, to wyborne, Kamilek — *le flacon!*

— Cecylka, czekajcie, czekajcie: *Le faux chignon*..

— Gabryel — *le fer à friser.*

Rafał, ogarnięty przez ciekawość, zapomniał, gdzie

jest. Śniło mu się, że i on uczestniczy w tej zabawie. Siedząc nieruchomo w swoim fotelu, widział w szczelinie, między niedomkniętemi połowami drzwi środek salonu, gdzie śliczne, dorastające panienki, z twarzami cherubinów, otulone w lekkie muśliny i gazy, zsunęły szczelnie małe fotele i utworzyły zwarte koło. Nogi ich, ustawione na dywanie, niecierpliwiły się, oczy rozsypywały iskry, z ust sfruwał śmiech, a obnażone ramiona podnosiło gwałtowne drżenie. Dźwięczny głos najmłodszego księcia Kamila rozlegał się, jak delikatny rozkaz:

— *Madame demande son fer à friser!*

Ktoś zerwał się z miejsca, a zajęła je osoba, stojąca na środku.

— *Madame demande son faux chignon!*

Znowu szelest i śmiechy.

— *Madame demande son miroir!*

— *Madame demande toute la toilette!* — zawołał książę Kamil.

Foteliki rozsunęły się na wsze strony, i *tout le monde* z wrzawą, szelestem i śmiechem przemieniał miejsca. Oklaski i śmiechy, jak grad obsypały jedną z uczestniczek, która została w kole.

Rafał nie spostrzegł się, kiedy niedomknięte drzwi szybko się otwarły. Księżniczka Elżbieta wybiegła z nich i stanęła na progu. Spostrzegła była widać Rafała dość już dawno, ale nie przestawała śmiać się. Uczyniła to dlatego, jak się domyślał, ażeby dać mu poznać, że ledwie go widzi. Wstał niezgrabnym ruchem, ukłonił się z sandomierską (od strony Klimontowa) elegancyą, coś nawet wymamrotał, czegoby sam nie umiał powtórzyć raz drugi. Księżniczka przez chwilę na kogoś

jak gdyby czekała... Nikt nie nadchodził. Prześliczna niewiarogodnie urocza, nie śmiała się już. Rysy jej zmieniły się do niepoznania. Twarz przybrała wyraz chłodu i powagi, ale nie wyuczony, nie chwilowy, och, nie! Rafał uczuł się tym wyrazem zmiażdżony, zabity na duszy. Uczuł tę instynktową dumę, wyniosłe, obojętne spojrzenie i, co najgorsza, ów grzeczny, łaskawy, pański uśmiech, gdy zwolna odwróciła się i wyszła do sąsiedniego pokoju, zamykając drzwi za sobą. Przepłynął przed nim widok ślicznej szyi i ramion zlekka odkrytych, wzniesionej głowy, na której każdy włos był nicią lśniącego złota. Wówczas przez chwilę czuł coś bardziej jeszcze, niż ów śmiech, cudzego, nieprzełamanego, wrogiego w swych piersiach. Skoczyć ku niej, chwycić rękoma to królewskie, miękkie złoto. Rzucić ją przed siebie na kolana...

Stał obok swego fotela, jak na płytach rozpalonego żelaza. Wyszedłby był, wyleciał stamtąd bez czapki, jak wówczas ze szkół, ale na myśl, że może się jeszcze spotkać z tą panną, że jeszcze raz, w taki sam sposób, może jej osobą swoją przerwać śmiech, zepsuć chwilę radości, nie mógł się ruszyć z miejsca. Spojrzał na swe buty, na rękawy kubraka i znowu usłyszał w sobie wybuch, dźwigający się z samego dna. Stał tak długo, wpychając sobie ohydną wzgardę w piersi, gdy wtem drzwi boczne uchyliły się. Stał w nich książę Gintułt. Na ustach miał półuśmiech taki sam, jak siostra. Ruchem grzecznym, ale przewidującym chwile dużej nudy, wezwał Rafała do pokoju, z którego wyszedł przed chwilą, i wskazał mu miejsce. Sam chodził chwilę tam i sam.

— Czy waćpan pisałeś do rodziców o śmierci brata? — zapytał nareszcie.

— Pisałem.

— Jednak nikt nie przyjechał?

— Nikt.

— A jakże waćpan sądzisz: czy przyjadą później?

— Nie zdaje mi się. Mam zamiar odesłać rzeczy pozostałe po bracie do domu...

— Tak, tak! To będzie najlepiej. Co się da, na miejscu sprzedać. Ja wydam mojemu komisarzowi polecenie, żeby ta sprzedaż... A może już wydałem?... Zaraz sobie przypomnę... A sam nie jedź. Zostań tu lepiej, u mnie. Przyjrzysz się trochę światu, później zobaczymy, jak i co. Nieprawdaż?

Rafał skłonił się pokornie.

— Trzeba tylko — mówił książę zniecierpliwiony i prędkim głosem — ogarnąć się, ubrać po ludzku. Tak nie sposób! Jak to już mówiłem, brat waćpana ma, to jest miał u mnie pieniądze. Pożyczył mi sumę... Weźże je sobie, tę trochę uciułanych dusiów i spraw odzienie podług mody i naszego tu zwyczaju... To tam marszałek...

Mówiąc to, książę zarumienił się zlekka, wydobył z otwartej szuflady biurka sakiewkę ze złotem i podał ją Rafałowi. Chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Wreszcie książę, jakby ociągając się, rzekł znowu:

— Brat waści był mi przyjacielem i powiernikiem za dawniejszych lat służby obozowej. Dlatego to dyskursy nasze miały nieraz charakter ostry dla tych, którzy nie znali bliskiego stosunku. Może to i waści wydało się niemiłem, żem dość ostro, dość cierpko przymawiał bratu... wtedy...

Rafał trwożliwie, napoły potakująco, napoły przecząc, coś mruknął.

— Nie trzeba o tem wogóle mówić z nikim... — zcicha rzekł książę — bo to ludzie zarazby roznieśli po świecie, jakobyśmy się z nieboszczykiem poróżnili. Sam waść wiesz, że rozstaliśmy się w zgodzie, aczkolwiek dyskutując...

Rafał znowu niewyraźnie potwierdził.

— Nadewszystko nie należy nic mówić rodzicom, unikać wszelkich ekswisceracyj w tym przedmiocie. Mogliby w żalu wyobrazić sobie...

— O, ja nic, mości książę...

— Tak, tak — rzekł pan, uśmiechając się dziwacznie. — Gdy się waść pobawisz i poznasz nieco świata, sam się przekonasz, żem dobrze radził zmarłemu.

Zamilkł, i zwolna ślicznymi ruchy zaczął chodzić po kobiercu tam i z powrotem. Przez chwilę zatrzymał się u otwartego okna i patrzał w głąb dzikiego ogrodu.

— Kochałem go... — rzekł cicho. — Już go niema na świecie. *Horror, horror!* Niedopowiedziana sentencya, niewyłożony ostatni, najdobitniejszy efekt prawdy, a jego już niema. Już go niema wcale! Ani nie zaprzeczy, ani temi oczyma, co to... nie spojrzy. Ani po swojemu nie zmilczy. Garsteczka popiołu i — tyle. Och, Boże!

Podniósł na Rafała oczy szklane i twarz porzniętą nagłemi brózdami, starszą o wiele, wiele lat. Chwilę tak przyglądał mu się z uwagą, jakby teraz dopiero spostrzegł, że tu ktoś stoi i że go słucha. Uśmiechnął się wreszcie owym uśmiechem wdzianym na twarz, jak maska, uśmiechem przyjęć. Czekał.

Młodzieniec zrozumiał, że może nareszcie odejść. Ukłonił się ruchem pewnym, zgrabniejszym daleko bardziej, niż poprzednio, i ściskając w ręce garść dukatów w jedwabnej sakiewce, pełen wzruszenia szedł przez wspaniałe sale.

EGZEKUCYA.

Życie w Grudnie płynęło, jak romans ciekawy, z dnia na dzień przyjemniejszy. Polowania na zwierza w lasach, na kaczki w łodziach, na bekasy, dubelty, kszyki z wyżłami, konne wycieczki całym dworem, harce po błoniach — oto były zajęcia codzienne. Kiedy niekiedy zjeżdżano olbrzymią hurmą ludzi do pierwszego lepszego dworku dzierżawcy, zjadano wszystkie zapasy żywności i, naśmiawszy się dosyta z prostactwa, co koń skoczy ruszano dalej. Francuzi i Francuzki, goszczący u księcia, nudzili się pomimo to wszystko. Wieczorami grywano w karty, nieraz do późna. Siostry księcia Gintułta uczyły się jeszcze i niby to pozostawały pod ścisłym dozorem Francuzic-nauczycielek, ale brały udział we wszelkich zabawach. Rafał, odziany w modny fraczek, w obcisłe piaskowego koloru ineksprymabie, wysoki kapelusz i świecące buty z twardemi cholewkami, uczestniczył we wszystkiem na prawach niby gościa, niby domownika. Dopuszczano go zlekka do towarzystwa, ale czasami posłano tu i ówdzie, albo wyręczano się nim w potrzebie. On go-

dził się na wszystko. Żył tu, oddychał, upajał się wolnością. Nigdy przez jego głowę nie wionął cień pytania; co będzie dalej? Bez myśli o tem wiedział jedno, że nie wróci do domu z Grudna! Przenigdy! Był tu u siebie, na swej drodze. Szedł naprzód z zadartą głową — i kwita. Każdy dzień, każdy wypadek zbliżał go, łączył, zespalał z nową krainą. A co raz posiadł, tego żadna już potęga nie byłaby w stanie wydrzeć mu z pazurów. Uczył się form towarzyskich, mowy francuskiej, zwyczajów, reguł życia, zabaw, metod wybryku, kształtów modnego kaprysu, kultury zepsucia. Kochał swoją izbę, ubranie, konia, na którym jeździł zazwyczaj — i księcia. Mniej lubił młodszych jego braci, którzy dość wzgardliwie nań spoglądali, chociaż strzegli się wyjawienia niechęci. Jeden był rówieśnikiem Rafała i ten właśnie był najnieprzystępniejszy.

Przy końcu sierpnia, po żniwach weszły w modę codzienne prawie jazdy konne. Nad wieczorem siodłano wszystkie konie wierzchowe i, kto żyw, dosiadał pysznych rumaków. Rafał miał ścigłego gniadego anglika. Łatwo mu było na nim trzymać się w pobliżu księżniczki Elżbiety.

Nie kochał się w niej, och nie! Możnaby prędzej powiedzieć, że jej nienawidził. Jej radosny, szczęśliwy śmiech odbierał mu sen i duszę całą napełniał zimną namiętnością. Z niewymownem szczęściem byłby pochwycił i na zawsze zapamiętał jakiś w niej szczegół brzydoty, coś, coby napełniło wyraźną odrazą. Ale nie było takiego nic.

Była cudowna. Co gorsza, co nieznośniejsza, my-

ślami jej objąć nie mógł, ani ogarnąć wyobrażeniem. Ciągle była poza jego wiedzą, wciąż coraz bardziej odmienna w swem czarodziejstwie. Jeżeli wyuczył się już jakiegoś jej przymiotu i mógł do woli wyśmiewać z niego w głębi siebie, nagle zjawiała się z czemś innem, czego jeszcze na ziemi nie było, z uśmiechem niebiańskim, półsmutnym, półlitosnym, z jakiemś cichem dumaniem, przez które łagodny mrok płynął, jak cień białej chmurki przez lazurową wodę jeziora. Z jakąż rozkoszą byłby ją za to rozszarpał, z jakąż nienawiścią zdusiłby pocałunkami owe zaziemskie troski i radości prawdziwie anielskie! Marzył o niej ciągle. Szedł z nią zawsze przez jakieś knieje, gdzie noga ludzka nie postała, gdzie tylko ona i on... I tchu mu w piersiach nie stawało na samą myśl o tem, co do niej mówił.

Widział wówczas strach na jej twarzy, przeraźliwy okrzyk z ust jej wyrywał i słyszał go z upojeniem, fruwający wkoło głowy. Przy stole nigdy otwarcie nie patrzał w jej stronę, ale w każdej chwili śledził ją tajemnie. Na spacerach starał się być w pobliżu, ale nie udało mu się nigdy przemówić do niej jednego wyrazu. Zdala odpowiadała na jego głęboki i pokorny ukłon. Pomimo jednak, że zdawała się nie zwracać na jego osobę uwagi, skoro tylko się skłonił, spostrzegła ten ruch i z martwą grzecznością, wyniośle, oddawała mu dalekie skinienie głową. Nigdy się nie odwróciła w tę stronę, gdzie był, ale on doskonale wiedział, że cała jej osoba uczuwa jego obecność, że osobliwe cienie przepływają przez tę twarz, i że w szczególny sposób widzą jego figurę jeśli nie oczy, to jak gdyby

spuszczone powieki. Rzadko kiedy błądzące po tłumie spojrzenie przesunęło się i po nim także. Wtedy czuł gałgańską uciechę, rozkosz kradzieży, tryumf zdobywcy. Zawsze czysty śmiech księżniczki zmieniał się w tonie, kiedy Rafał był blisko, zmieniał się tak samo, jak wówczas u drzwi salonu. Nie brzmiał już jak samo szczęście, lecz złowrogo dźwięczał, jak straszny krzyk wzgardy. Tak było za dnia. Nocami Rafał błąkał się po alei, która od jego domku szła w ogród. Przesycony waryacką ambicyą, nadęty żądzami, pełen namiętności wybujałych aż do szaleństwa, piął się coraz wyżej i wyżej. Zuchwalstwo rozparło się w nim tak dalece, że księżniczka, pani przemożna z tego domu, siostra rodzona księcia, stała mu ciągle w oczach. Był tak przeżarty od wewnętrznego ognia, że swe sny i furye poczytywał za rzeczywistość. Ileż to razy czekał w ustroni szpaleru podczas księżycowych nocy, ufając, że ona musi znać jego męczarnie, że takie same czuje, i że w to miejsce przyjdzie wiedziona przez ciemnego anioła! A gdy chłodna, sierpniowa noc mijała, gdy oszalały od wewnętrznych szlochań wracał do izby, kąsał poduszkę, dusił się i zanosił od żalu. Kilkakroć tylko gościła w jego głowie myśl, że wszystkie te zajścia ducha są złudzeniem. Może księżniczka wcale nie wie o jego egzystencyi. Wtedy zaciskał pięście i zdolen był rwać włosy z głowy. Traf zrządził, że się przekonał o prawdzie.

Księżniczka Elżbieta jeździła konno, jak amazonka. Na siodle postać jej o łagodnych, wolnych ruchach przeobrażała się jakby w młodego chłopca z gestami zdecydowanymi, nagłymi, piorunowymi. An-

gielski źrebiec »Unreclaimed«, na którym jeździła, lśniący kasztan o nogach ze stali, a mięśniach z żelaza, szedł przodem w każdym wyścigu. Pod jesień, gdy otworzyły się rozległe ścierniska, urządzano te gonitwy bardzo często.

Pewnego dnia wypadła gromadna wyprawa właśnie w okolice Wygnanki, gdzie zmarł brat Rafała. Wziął w tej zabawie udział książę i jego siostry. Rafał niechętnie zbliżał się do tych miejsc, które mu przypominały sprawy odrzucone z niedbalstwem. Jechał wszakże w pobliżu księżniczki. Na jednym z pagórków, otaczających rozległą płaszczyznę, towarzystwo zatrzymało się. Po deszczach dość długotrwałych dzień był jak wiosenny, pełen woni jałowcu, wrzosu i macierzanki. Błękit nieba okrywał się co chwila obłokami iście wiosennymi, które były delikatne i urocze, jak włosy dwuletniego dziecka. Gdy całe towarzystwo zajęte rozmową skupiło się w pewnem miejscu, kilka osób zjechało niżej ku polom. Księżniczka chciała puścić konia i zwracała się z żądaniem towarzyszenia jej to do tego, to do owego z jeźdźców. Ale młodzi jej bracia i kuzyni byli znużeni. Wreszcie dwu z nich puściło w skok wierzchowce. Między nimi Rafał, którego nikt nie wzywał, skoczył, niby to poniesiony przez konia. Anglik księżniczki, rozgrzany, odsadzał się coraz bardziej, niósł coraz wścieklej, wreszcie poszedł w lot niepohamowany. Mężczyźni zostali w tyle. Wpadli na szeroką wyboistą drogę, która prowadziła do brzozowego lasu. Rafał począł smagać swego gniadosza i gnał co tchu. Spostrzegł, że księżniczka usiłuje osadzić Unreclaimed'a, że szarpie się z nim nadare-

mnie. Wtedy podwoił ciosy i w lesie już na gościńcu zaczął się do niej zbliżać. Ale szybkobiegacz amazonki, choć zdarty munsztukiem, rwał jeszcze skokami, od których błoto na obie strony pierzchało w las. Rafał widział już tylko lśniące kłęby konia, aksamitny kapelusz i złote włosy. Krew w nim kipiała. W pewnej chwili usłyszał głos księżniczki, jakby wzywający na pomoc. Usłyszał to raz, drugi. Wówczas co mocy w ręku ściągnął konia szpicrutą i w kilkunastu susach dopadł. Zrównał się z nią. Ujrzała go zdumiona, wielkiemi oczyma. Ale i on pierwszy raz utopił w nią dziób i pazury oczu. Czuł to, że ją przeszywa potężnym, ślicznym wzrokiem.

— Popręg! — krzyknęła całą piersią i ustami chwytając oddech.

Jednym zamachem chwycił cugle jej konia, zdarł go i osadził. Ogiery otarły się o siebie, a nogi księżniczki żarem owionęły nogi jeźdźca. Wówczas czartowskiem podbechtaniem wiedziony, schylił się i obiema rękami porwał cudowną dziewczynę. Chwilę miał jej włosy na chciwych ustach, a ramiona i piersi na piersiach...

Ale znagła stało się z nim coś niesłychanego. Księżniczka porwała się, jak błyskawica. Uczuł tylko, że się dźwignęła na siodle.

— *Imbécile!* — krzyknęła przez zwarte zęby i zadała mu przez pysk cios szpicrutą tak niesłychany, że mu się ciemno w oczach zrobiło, a w uszach rozległ się dzwon. Zleciał z konia.

Pierwszym jego czynem, kiedy przetarł powieki, było skoczyć na siodło. Księżniczka Elżbieta znikła.

Słyszał tylko za brzozami huk, tętent kopyt jej konia i lepki szelest roztrącanego błota. Wściekły ból od czoła aż do brody w pobliżu nosa targał mu twarz. Rozpacz runęła na niego, jak ściana kamiennego domu. Cóż dalej? Ścigać ją i zabić, czy uciekać? Chwilę jechał trupiomartwy, jakby go przed chwilą rozstrzelano. Kiedy noga za nogą posuwając się naprzód, wybrnął z lasu, zobaczył całe towarzystwo na skraju. Nie było sposobu uciekać. Wówczas zostało już tylko cyniczne, czerstwe męstwo. To też wolno podjechał do zbliżającej się czeredy. Obok księcia Gintułta jechała księżniczka. Rafał raz tylko rzucił na nią okiem.

— A wasan skąd przywozisz taką pręgę — ze śmiechem zawołał książe, gdy się o kilka kroków zbliżyli.

— Wina to siostry księcia pana... — rzekł Rafał.

— Jakimże to sposobem wina mej siostry?

— Kiedy dopędzałem Unreclaimed'a, pragnąc wstrzymać... przelatywaliśmy obok drzewa. Księżniczka odgięła gałąź brzozy i łaskawie puściła ją na mnie.

— Otóż i masz nagrodę za galanteryą! Tak to fortuna opłaca wysługiwanie się białogłowom!

Księżniczka w milczeniu, ze spuszczonymi oczyma, słuchała opowiadania Rafała. Gdy skończył, parsknęła krótkim, wzgardliwym śmiechem i odwróciwszy konia, odjechała.

Książę tknął konia obcasem i przysunął się bliżej do kłamcy. Wtedy krew zwolna ustawać zaczęła w jego żyłach. Czekał blady i zimny, jak na śmierć. Przemknęło mu przez głowę widmo ojca. Tymczasem książę natarł nań koniem i rzekł półgłośno:

— Jesteś waćpan cały w błocie zawalany. Przyznaj się: spadłeś z konia? co? prawda?

— Ależ gdzie tam!

— Daj-no pokój! Skocz, proszę cię, do Chłuki, wszak go znasz?

— Znam...

— Oczyść się, obmyj, bo cię wezmą na języki i wyśmieją. My wracamy do Grudna. Powiem wszystkim, żem cię posłał na Wygnankę w swoim interesie.

— Słucham księcia...

— Zdaleka oddaj towarzystwu waletę, jak gdyby nigdy nic, i ruszaj. Wróć wieczorem o zmroku. Twarz na noc obłóż wodą... *Adieu*...

»Nic nie powiedziała« — myślał Rafał z niewymowną rozkoszą. Zadrgała w nim jak gdyby struna, wyśpiewał się krótki, osobliwy głos i upadł w nicość.

»Nic nie rzekła, ani wyrazu...« — marzył, odjeżdżając.

Popędził w przeciwną stronę, ku Wygnance. Gdy się pode wsią obejrzał, już mu kawalkada grudzieńska znikła z oczu. Ostrym kłusem mijał wioskę.

Chałupy włościańskie ze zmurszałego drzewa, kryte gontem, jak żebracze łachmany wyciągały się wzdłuż drogi. Najlichsza z nich, krzywa i rozsypująca z siebie próchno, była siedliskiem starego Żyda, Urysia. Sam krzywonogi Żydowin stał przede drzwiami i patrzał w stronę dworu z takiem przerażeniem, że nawet pędzącego Rafała nie dojrzał. Inne chałupy były poroztwierane i puste. Dopiero na końcu wioski widać było zbiegowisko ludzi. Z kolein drogi podnosiła się

tam kurzawa, a w niej migotały jakieś figury. Krzyk dolatywał. Chargot chłopstwa...

W pewnej chwili przebiegła obok jeźdźca stara jakaś baba, umykająca w popłochu, z bekiem i z głośnemi słowami pacierza w drżących, zczerniałych, wywiędłych wargach. Dalej wpadły pod nogi końskie dzieci czarne, zeschłym gnojem okryte, a rozpierzchłe, jak stado spłoszonych wróbli. Gdy Rafał blisko podjechał do końca wioszczyzny, ujrzał w kłębach pyłu huzarów austryackich. Kilku siedziało na koniach, trzymając cugle wierzchowców, z których zsiedli towarzysze. Tamci uwijali się w tłumie pospólstwa. Chłopi stworzyli koło wzburzone, kipiące stłumionym gwarem. Rafał nie mógł się przecisnąć, gdyż całe opłotki były zapchane przez lud i konie. Pilno mu było do dworu, ale zmuszony był wstrzymać się, zwrócić uwagę. Sięgnął z konia i pociągnął za ramię pierwszego człeczynę z brzega:

— Ojciec, a co się to tu robi?

Podniósł na niego oczy z pod obdartego, zgniłego już kapelusza ze słomy człowiek stary tak bardzo, że był istotnym grzybem.

— Hę? — wymiamlał. — Nie słyszę...

— Co się tu dzieje?

— Gádáj, mászli gádáć, bo nie słyszę...

— Czegóż was tu taka kupa?

Ów stary, trzęsący się dziad trącił w bok sąsiada i wskazał mu Rafała. Sam znowu wlepił w środek koła oczy wygniłe, stuletni pewno mózg i stuletni uśmiech obojętności. Tamten drugi spojrzał błędnemi oczyma, jakby go dopiero co zbudzono ze snu. Po chwili ocknął się i rzekł:

— A to, proszę łaski panicza, żołnierze chłopa biją.

— Zaco go biją?

— A no... gzekucya i tyla.

— Ale zaco go biją?

— Zato go biją, proszę łaski panicza, na pańskie nie chce wychodzić i wieś bontuje. Pada, że my som niby wolne. A tu sam pokazał, jaki to... Cie wy, moi ludzie..

Rafał ruszył koniem, rozepchnął motłoch i wjechał dalej. Ujrzał posępne, głuche i nieme twarze żołnierzy. Wejrzenia ich kamienne stały wkoło, jak nastawione bagnety. Rafał stanął w strzemionach i przez głowy otaczających, między wysokiemi czapkami, zobaczył twarz Michcika. Chłop stał obdarty ze szmat, półnagi, z koszulą rozerwaną, z odkrytemi piersiami. Łeb jego był rozkudłany i osuty kurzawą drogi. Włosy wisiały mokrymi skrwawionymi strzępami. Z rozbitej czaszki, z nosa, z ust krew ciekła. Wargi miał czarne, oczy podbite i zamknięte, policzki sine od zniewag.

Wlekło się krwawe, wyczekujące milczenie. Tylko dokoła lud wciąż między sobą gadał, gadał, gadał...

— No, Michcik, ostatni raz się pytam... — rzekł jakiś człowiek w urzędowym kaszkiecie.

Chłop milczał.

— Michcik, upamiętaj się na rany Pana naszego Jezusa Chrystusa, bo jeszcze jedna chwila, i klamka zapadnie. Pójdziesz w żołnierze, jak amen w pacierzu. Na oczy więcej tej oto Wygnanki nie obaczysz. Ja ci to mówię, mandataryusz ci to mówi. Pan Chłuka to teraz jest twój prawowity pan. Cóż ty, człowieku? Na panaś swego rękę podniósł? Na pańskie wychodź, jak

Bóg wszechmogący przykazał, daninę oddaj, jak święte prawo każe — i nikt na cię palca nie zakrzywi. Jeszcze jedna chwila oporu, i rozgniewa się w sercu swem pan Chłuka, da cię na wieczny czas w kamasze, jak amen w pacierzu. Ja ci to mówię, mandataryusz ci to mówi!

Nastało znowu milczenie.

Żelazne oczy żołnierzy zawisły nad Michcikiem. Każdy z nich trzymał w ręku laskowy kij ogołocony z liści. Gwar chłopski ucichł. Na dany znak pierwszy żołnierz z brzega chwycił Michcika za ręce. Ale skazaniec odepchnął go od siebie jednem podźwignięciem ramienia, i jakby do niego tylko kierując mowę, w niego wlepiając bielma zabitych oczu swoich, zaczął jąkać się z przeraźliwym krzykiem:

— Pod Na... pod Na... służyłem.. psiekrwie.. Miemce!... Szanuj mię, psie! Żołnierza! W bitwach, w bitwachem-em beł, psiekrwie! W ośmi! Pod Kozubowem...

Na dany znak chwycono go za bary, z tyłu poderwano mu nogi, rzucono na ziemię. Wzniosły się kije i zaczęły świstać a rypać. Co chwila Michcik zrywał się z ziemi z krzykiem coraz straszniejszym. Nie słychać już było słów, które z krwawych jego ust leciały, tylko sylaby jakieś porozdzierane. Rafał rozumiał je dobrze. Słyszał, że Michcik wzywa nadaremnie brata, i to zdanie w strzępach wciąż powracające:

— Szanuj mię, psie, człowieka wolnego!

Żyły Rafała uległy zaciśnieniu, a krew ich zamieniła się w dziki płomień. Oczy oślepły i widzieć nie chciały. Ucho było z drewna. Wzgarda względem

wszystkich rzeczy świata, do tego chłopa, do siebie, owionęła go od stóp do głowy, jak fetor nie do zniesienia. Wspomnienie ciosu szpicrutą werznęło się weń nagle z całą potęgą towarzyszących mu myśli, i niewysłowiona rozpacz wwaliła się do serca. To, co miał przed oczyma, to, co włamywało się w uszy, pomnażało tylko od chwili do chwili bezdenne i głuche obszary nędznej boleści. Ów dawny chichot, wyłamujący się z płonących bebechów wściekłości, zatrząsł nim całym. Koń szarpnięty z całej siły cofnął się i aż przysiadł na zadzie. Rafał nawrócił go, wydobył się z tłumu i jechał z powrotem tą samą drogą, ku Grudnu. Słyszał, mijając wieś, że ktoś za nim biegnie, jęczy i skamle o pomoc dla Michcika, ujrzał nawet szarą twarz Żyda Uryasza, ale słabo rozumiał, co bełkocze, szlochając, ten mizerny twór. W oku, w kącie ust, w policzku, w czole wzmagał się narywający ból od cięcia szpicrutą. Głowę miał pełną dymu, w kościach pałające żarzewie, a przed całą duszą jakby dół wykopany.

Słońce zachodziło za lasy. Koń szedł noga za nogą. Rafał go nie popędzał. Był spragniony nocnej ciemności, jak człowiek spalony od gorączki pragnie wody. W bezludnych polach, między opustoszałymi ścierniami siedział na koniu z obwisłemi rękoma, patrząc w tarczę ognistą. Czuł, jak tego dnia uderzyło nań słońce całym swoim pożarem. Udawał się jeszcze sercem to tam, to sam...

Brat Piotr... Michcik... Role przez nich wykarczowane... Dźwigał rękę ciężką, jak kamień. Czuł, że nic sobie pomódz nie może... Z obszarów zasłanych jałowcem, ze ściernisk pachnących macierzanką i cierpkiemi

woniami chwastów jesiennych, dźwigało się ku niemu owo bolesne, straszliwe szemranie chłopstwa, dygotał w uszach niepochwytny gwar wściekłego motłochu, rozjuszone skamlanie, jęk nie do zniesienia. Fizyczny ból w policzku przypiekł go do żywego, niby rozpalonem żelazem. Rafał wzniósł szpicrutę, zaczął ciąć konia i zdzierać go uzdą, siekł jego lśniącą, zgiętą szyję, smagał mu kłęby i brzuch... Koń stęknął głucho, wspiął się, zwinął w sobie i rwał z miejsca, gdy ciosy coraz wściekleisze, obłąkane, spadały nań, jak błyskawice, a munsztuk nie popuszczał...

CHIESA AUREA.

Na jesieni roku 1797 książę Gintułt jako tako załatwił obowiązki głowy rodziny i wyjechał z kraju. Siostry zaopatrzył w opiekę dalekich ciotek, tudzież w legion nauczycielek, dwu braci odwiózł do szkół publicznych w Krakowie, udzielił pełnomocnictwa do działania folwarcznego komisarzowi, a władzę kierowniczą nad interesami zlał na krakowskiego mecenasa, Dorszta. W tym samym czasie pozbył się z domu wielu rezydentów, a między innymi Rafała. Przydał ostatniego za pewien rodzaj towarzysza braciom. Przy protekcyi pańskiej udało się, z ciężką wprawdzie biedą, tyle dokazać, że Olbromski zdał wymagany egzamin do klasy piątej i umieszczony został na poetyce w liceum świętej Anny. Dużo trudu kosztowało księcia uzyskanie w Wiedniu paszportu do Włoch, a mianowicie do krajów rzplitej Weneckiej, na dwór Papieża, do krajów króla Piemontu, wielkiego księcia Toskanii, księcia Parmy i Burbonów Neapolu. Przerwana już była napozór w Leoben wojna, ale tlała jeszcze żarzewiem. Wszelako rozległe stosunki umożliwiły otrzymanie dro-

gocennego papieru z mnóstwem podpisów, winiet i pieczęci. Książę wyjechał. Chyżo mijał góry Styryi, Karyntyi, przedłużone odnogi Alp tyrolskich. Jechał wielkim, starodawnym traktem górskim, który przecina rzeki Sawę, Drawę i Mur. Dostał się nareszcie w pustynię Krasu, między wapienne wyniosłości i zawaliska, gdzie woda w głąb ziemi ucieka, tworząc w jej łonie pieczary, podziemia, jeziora i rzeki. Ten bezludny, zapadający się świat kamieni pełen był jeszcze wojsk republikańskich, które pod dowództwem Masseny, Gnieux, Chabot'a, Serruvier'a i Bernadotte'a zwolna cofały się ku Palma-Nuova, opuszczając Gorycyę i Karyntyę. W miejscu tem wielki trakt stykał się z drogami, idącemi ze wschodu. Z wyżyn widać było białe ich taśmy, łamiące się po bezdrzewnych i bezwodnych łańcuchach gór. Jak oko sięgło, słały się po nich ruchome kurzawy, a w nich brnęły ku południowi i na zachód kolumny za kolumnami. Górskie wioseczki były popalone i zrównane częstokroć z ziemią. Ludność witała podróżnika nieufnem, podejrzliwem okiem, wyciągając wychudłą rękę po datek. Słowo ze zczerniałych warg padające było słowiańskie.. Książę nie pożądał bynajmniej widoku dzieł Marsa, to też, ile się dało, zbaczał z traktu wojennego i co tchu dążył w stronę Tryestu. Sądził, że już wszystkie szlaki strategiczne wyminął. Tymczasem na jednej z najwyższych przełęczy, w miejscu spotkania się rozstajnych dróg, woźnica obrócił się na koźle, potrząsnął głową i wskazał biczyskiem zbliżające się tuż tuż obłoki kurzawy. Nie było sposobu ruszyć dalej, gdyż wojska wwaliły się z bocznej na główną drogę i zajęły całą szerokość. Zatrzymano się

pod wysoką skałą wapiennego szczytu na zakręcie drogi. Książę wysiadł właśnie z powozu dla uniknięcia kurzu, kiedy z za tej skały wynurzyły się pierwsze rzędy infanteryi. Szli ludzie przywaleni kurzem od głów do stóp, jak ruchome jego słupy. Ledwie w dymach pyłu wapiennego widać było zgorzałe na węgiel ich twarze, zamknięte oczy, zacięte usta. Szli wielkim, twardym, młodym, niestrudzonym krokiem. Przesuwały się w małych odstępach jedna za drugą kompanie grenadyerskie. Gdy książę wzwyczaił oczy do kurzu, ujrzał, że ci ludzie byli oberwani, prawie bez butów. Znienacka dokuczliwy ból zarznął go do żywego... Widok kroju mundurów tych grenadyerów do złudzenia przypomniał dawne czasy.

— Toż to mundur kawaleryi narodowej — mamrotał książę.

Szedł batalion strzelców, odziany w łachmany, łudząco podobne do regimentu marszałkowskiego strzelców węgierskich, w mundurach niby błękitnych z ponsowymi wyłogami, w pozłocistych giwerach z ponsową kitą. Ciągnęli wciąż, wywalając się z za góry, jakoby ze straszliwego jej łona. Wizya bolesna, sen długi i duszący... Widok każdego oddziału nożem padał w piersi i utykał w sercu. Oto idą znowu, idą znowu! Łoskot ich kroków grzmi na tej ziemi, wewnątrz próżnej. Regiment fizylierów, coś jak regiment Działyńskich, a wreszcie regiment pierwszy imienia królowej Jadwigi. Ponsowe mundury, białe kolety, białe pasy i czarne kapelusze. Wszystko to obdarte, w łatach różnokolorowych, w szwach, w gałgankach. Nogi półbose dzielnie i twardo wytrzymywały tak na tej nieskończonej drodze między

morzem a lądem, wlokąc strzępy »czarnych butów niemieckich«. Broń szczękała. Obok ludzi, idących miarowo, brnęły do taktu chude konie oficerów wyższych. Oni sami jak czarne znaki, równo kołysząc się, znikali w kurzawie. Na prawo i na lewo, zygzakiem schodzili w głębie pustej doliny. Czarne ich widma znikły z oczu, i sama chmura pyłu zwolna osiadała na drodze. Jeszcze długo kołysała się rytmicznie w głębi, a później poszła w górę, na dalekie, błękitne pasma, we światy...

Książę ocknął się, jak ze snu. Popędził w swoją drogę. W Tryeście trafił szczęśliwie na odchodzący tegoż dnia do Wenecyi dwumasztowy okręt z pomalowanymi żaglami — *trabaccolo* i puścił się na morze.

Już kiedy przepływano obok fortu św. Andrzeja, na grobli Lido i u wejścia do portu Molamocco, okręt poddany był nadzwyczajnie ścisłej rewizyi. Podróżnych badano, jak zbirów, a ich paszporty oglądano na wszystkie sposoby. Osobliwie książę, jako przybywający z Austryi, był przez celników francuskich obserwowany bardzo podejrzliwie. Gdy się te wszystkie ceremonie skończyły, wylądował wprost na mały rynek. Był tu za lat wczesnej młodości swej, z rodzicami, kiedy jeszcze nosił błękitny mundur kadecki. Dziś był zupełnie sam. Ojciec i matka spoczęli pod ziemią. Te miejsca ukazały się teraz oczom, jak widok tamtych minut, jak widok samych umarłych.. Młode szczęście godzin, straconych na zawsze, taiło się w tych murach. Nie widząc wcale ludzi przechodzących, książę brnął przez »piazettę« ku kościołowi świętego Marka, z oczyma pełnemi łez, z ustami pełnemi słów miłości, z piersią pełną westchnień i żalu.

— *Pax tibi, Marce...* — szeptał do świątyni z najgłębszą czcią.

»Złota świątynia« stanęła przed nim znowu. Śnił, patrząc na nią, że go niby urząd duchowy, niby trybunał sądzący zapytuje o lata ubiegłe, o życie przebyte, o szczęście odepchnięte, o pogrzebane w ziemi zwłoki i o całuny uczuć, co je do snu wiecznego otuliły. Przywarł plecami do muru Kampanili obok białej lodżiety Sansovina, skulił się i z wlepionymi w kościół oczyma na długo tam został. Miał więc znowu to, za czem tęsknił. Balustradę z kilkuset kolumn o ozdobach gotyckich, połączoną z kapryśnymi słupami saraceńskimi, nad którą strzelają minarety arabskie i pięć jasnych kopuł greckiej cerkwi. Nasycał znowu oczy widokiem przedsionka, okrytego mozaikami na złotem dnie... Tam św. Marek w ubiorze biskupim, tam Zmartwychwstanie, tam Wskrzeszenie Łazarza... Oto chimeryczne korynckie konie nad głównym portalem środkowym wspinają się i rwą w świat. Dokąd? Były już przy pogromie Grecyi i, jako symbol tryumfu, rwały się w świat na tryumfalnych bramach Rzymu. Były przy upadku Rzymu i stanęły na tryumfalnych murach Carogrodu. Były świadkami zwycięstwa Wenecyi nad Bizancyum i stanęły tu, u drzwi św. Marka, na pięćset lat...

Nim wszedł do bazyliki, książę miał pod powiekami jasnowidzenie jej złotego wnętrza, wizyę całkowicie złotą, pełne oczy złotego mroku. Słyszał w głębi swej duszy szelest sukni dawno zmarłych rodziców, echo brzmiące pod ciemnem sklepieniem rozmowy, prowadzonej między wonnymi dymami czci i pokory. Pod-

niósł oczy ze drżeniem. Obcy ludzie snują się naokół... Wszedł tedy co prędzej na mozaikowe posadzki, na owe dywany z kamienia, gdzie tylekroć hulały bałwany morza, że same mozaiki powyginały się na obraz fal i pian. Ale stuoka pamięć i tam z każdego kąta, z za każdego filara wysuwała obraz albo dźwięk dawno umarły. Jakże straszliwie patrzały teraz w przybysza wielkie, jak gdyby senne oczy samotnych świętych, oczy pełne smutku, nie smutku, żalu nie żalu, oczy pełne mądrości, oczy, które widzą przez wieki, oczy wieszcze! Książę czuł, że to od nich zstępuje ku niemu ów szept niezrozumiały. Jakże rozdzierającą była mowa ich zeschłych ust, prawda, której wyznać nie mogą, zamknięta w skurczach czół i lic, w okrutnych gestach skostniałych rąk. Mowa ta usiłowała wyjawić wieść z tamtego świata, wyznać straszliwe ostrzeżenie, jedno i to samo dawała znać przez tysiąc lat trwożliwym spojrzeniom rzesz ludzkich, które tu przychodziły ze wszystkich kończyn ziemi. Zdawało się, że głębokie łuki, arkady sklepienia i kopuły nad filarami, odzianymi w polerowany, ciemno czerwony marmur, żarzą się i świecą własnem zarzewiem złotem, które wybucha ze ścian, gdzie w czworograniastych słupach przepala się czarodziejski ogień grecki.

Książę błąkał się po świątyni z miejsca na miejsce, wodząc po twardych liniach bizantyjskich przymrużonemi oczyma. Jakże się to dokonało, że wszystko naokół jest takie samo, jak za poranku jego młodości, a on sam... Gdzież się podział młodzieniec, który to widział pierwszy raz? Niema go już. Ten, co ogląda to samo, to inny zgoła człowiek. Radosne uczucia tam-

tego przeistoczyły się w strupieszały żal, podobnie, jak w trupa przeistacza się żywy człowiek. I oto rozszerzył się żal, zabrzmiał niesłychanem, zaświatowem echem, na podobieństwo głosu, rozlegającego się pod sklepieniem chrzcielnicy w Pizie. Gdzie się podziały ludy z ich wolą, czynem i sprawą? Gdzie państwa ich i królowie? Świątynia ta stała się już taka sama, kiedy Mieszko I-szy na tron wstępował. Została taka sama... Przeszli tędy rycerze, idący odbierać grób Chrystusowy. Tu, na kamieniach przedsionka, Fryderyk Barbarossa klęczał u stóp papieża. Niezliczone tryumfy weneckiego ludu nad Genuą, Konstantynopolem, Vicenzą, Weroną, Belluno, Padwą, Bergamo, Istryą, Dalmacyą, Moreą, Kandyą, Cyprem i wyspą Lemnos, nad całem carogrodzkiem morzem...

— Przeżyłeś i swą Wenecyę, święty Marku... — zaśmiał się wędrowiec, patrząc z niecną radością w mroczne głębie kościoła. — Żołdak francuski zerwał z masztów twoje szkarłatne chorągwie, wiszące w chwale od czasów Henryka Dandolo, roztrącił skrzydlatego lwa...

Poruszony do samej głębi ducha, wyszedł z kościoła. Uderzyła go, jak nieznośny ciężar, myśl o zwycięstwie francuskiem. Widział w marzeniu pustą lagunę, zalewisko zgniłych wysp, gdzie królował przypływ morza. Lud, uciekający przed dziczą Attyli, stworzył tu ludzkie siedlisko. W ciągu trzynastu wieków potomkowie tych, co tu przybyli, wbijają w muł miliony dębowych palów, na nich wznoszą blisko trzydzieści tysięcy domów, czterdzieści rynków; przywożą z dalekich gór ciosany granit, czerwony, biały i żółty mar-

mur, wyścielają kamieniem czterysta kanałów, dźwigają blisko pięćset mostów z marmuru. W mieście tem wyrasta niezmierna liczba świątyń i pałaców, wykwita biblioteka Sansovina, Prokuracye, Kampanila, pałac dożów i sama owa bazylika. Niestrudzeni żeglarze, waleczni żołnierze, najprzemyślniejsi kupcy zwożą w darze dla świętego Marka wszystko, co gdziekolwiek było cennego. Z Egiptu, Grecyi, Bizancyum — kolumny z porfiru i serpentyny, alabastry, wazy, płaskorzeźby egipskie, snycerskie dzieła Persów, słupy z mistycznem pismem ze świątyni Saba w Akrze. Wydali ze swego łona niezliczony poczet artystów aż do Wielkiego Tycyana, byli szerzycielami umiejętności i kunsztów... I oto jednego dnia przybywa z ziemi twardej samotrzeć w gondoli adjutant francuskiego generała, sam jeden z nakrytą głową wstępuje na »olbrzymie« i na »złote« schody i wchodzi na posiedzenie wielkiej rady, do sali, skąd słuchały wyroków dalekie ludy morza, podniesionym głosem odczytuje w obliczu doży i wszystkiej Wenecyi list zwiastujący wojnę, a właściwie deklaracyę zniszczenia ich ojczyzny, którą tyle pokoleń własnemi rękoma zdziałało...

W parę tygodni później złota księga płonie u podnóża drzewa wolności, doża chroni się do swego domu, a patryarcha Giovanelli asystuje przy ceremonii zniszczenia ustaw Wenecyi i zanosi do Boga modły...

Wyszedłszy na plac, książę otoczony został przez tłum natrętnych przewodników. Ci wskazywali mu jeden przed drugim wieżę zegarową. Rzucił okiem i spostrzegł to, z czem tak uporczywie chcieli go zaznajomić. Na karcie księgi, którą trzymał przez wieki złoty

w błękitnem polu lew Wenecyi, zmazane były słowa: *Pax tibi, Marce, Evangeliste meus!* — i wyryte inne: *Droit de l'homme et du citoyen.* Inni, podkreślając stokrotnie dowcip gondolierski, że nareszcie po tylu latach złoty lew odwrócił jedną kartę swej księgi, wskazywali rozpoczęte z rozkazu »wielkiego generała« budowanie *Fabrica nuova*, które miało zamknąć plac św. Marka i w jedną całość złączyć Prokuracye. Bito tam w kanał pale, wznosiły się rusztowania. Książę odpędził zgraję i z wybrzeża piazetty popłynął w gondoli do hoteliku, dokąd już był rzeczy odesłał.

Tego jeszcze dnia zaczął składać wizyty w celu poznania stanu rzeczy. Łączyło go dalekie po przodkach kuzynostwo z jedną rodziną magnacką Wenecyi. Skorzystał z tego i odnowił znajomość, zawartą czasu pierwszej z rodzicami bytności. Był przyjęty bardziej życzliwie, bardziej gorąco niż przewidywał. Duże jeszcze kołatało się w pływającem mieście zgromadzenie emigrantów francuskich, którzy szukali tutaj nietylko schronienia przed motłochem swej ojczyzny, ale również rozniecali namiętności patrycyatu weneckiego przeciwko Francyi, jej rządowi, generałowi i niezwyciężonej armii. W chwili, gdy książę Gintułt stanął w tem mieście, emigracya francuska zabierała się do odwrotu... Sceny paryskie powtórzyły się na placu św. Marka i na moście Rialto. Lud, przez pięć wieków, od czasów doży Piotra Gradenigo praw pozbawiony, pozbawił praw szlachtę, i sam w osobach sześćdziesięciu przedstawicieli, zasiadał w sali *di Pregadi*, i w cedrowej, i w izbie rady dziesięciu, a nawet w izbie, gdzie zasiadali *Inquisitori di stato.* Ludwik Manini skrył się w zaciszu domowem

po wzruszeniach pierwszego i szesnastego maja. Exprokurator Franciszek Pesaro, ogłoszony za wroga ojczyzny, wygnany został z kraju. Lud, rządzący pod osłoną bagnetów francuskich, zadeklarował przedewszystkiem otwarcie więzień — zarówno pod ołowianym dachem, jak pod wodą, oraz zniszczenie inkwizycyi stanu. Trzęsło się po placach, tawernach, kawiarniach i gondolach od powieści o więźniu, który miał w lochach przebywać czterdzieści trzy lata. To też na gmachu *Prigioni* widniał teraz napis: »Więzienia barbarzyństwa tryumwiratu arystokratycznego zniszczone przez municypalność tymczasową Wenecyi w roku pierwszym wolności włoskiej, 25 maja 1797 roku«. Wszystkie te szczegóły jak grad sypały się na przybysza podczas jednego z zebrań towarzyskich w pałacu Morosini. Zdawało się, że pozbawieni władzy chlubią się tem wszystkiem, co rozpowiadali. Dawało to sposobność do niezrównanych dowcipów, świetnych drwin z motłochu, rozsiadającego się w pałacu, a nawet do rzewnych legend. Jakże doskonale natrząsano się z sekretnych artykułów »podyktowanych« w Medyolanie 15 maja, a szczególnie z piątego punktu, który żądał wydania dwudziestu najprzedniejszych obrazów i pięciuset manuskryptów! Z dumą i wzgardą istotnych patrycyuszów łżono dowcipami ową żarłoczność republikańską, która za nic zdzierała z miasta sześć miljonów kontrybucyi, trzy statki wojenne i dwie fregaty z załogą. Jedni rozpowiadali z najdrobniejszymi szczegółami o zajęciu fortu świętego Andrzeja, Chiozzy, arsenału i ważniejszych punktów przez cztery tysiące »załogi«, o zagarnięciu władzy nad flotą, o odwołaniu ministrów i wysyłaniu do dworów monarszych...

demokratów... Ci ośmieszali »traktat« za zniesienie kary śmierci, tamci za otwarcie więzień, skasowanie »lwiej paszczy«, dziesięciu i trzech, za wywrócenie starej konstytucyi, ogłoszenie swobody sumienia, wolności prasy i zupełnej amnestyi...

Książę Gintułt doświadczał złudzenia, że już raz widział takich ludzi za swego niedługiego żywota. Uśmiech wystąpił na jego usta. Z uwagą przysłuchiwał się wszystkiemu. Patrzał badawczo, jak mężowie trzeźwi, politycy przebiegli, natury po włosku gibkie, znawcy rzeczy tego świata, czciciele faktu dokonanego, teraz dobrowolnie łudzili się, napół świadomie przeceniali rzeczy błahe. Jeden w ciągu godziny mówił o sile partyi ludowej, przywiązanej do świętego Marka, drugi szeptał o możności sprowadzenia raz jeszcze najemnych komuników słoweńskich, trzeci o konieczności spróbowania raz jeszcze walki, jak na moście Rialto. Inni rozprawiali z zapałem o takich sprawach i zabiegach, z których przed rokiem śmialiby się szyderczo. Oni, którzy pochwalali zamordowanie kapitana Lourier pod Lido na statku *le Libérateur de l'Italie*, co było ostatnim, najbardziej bezpośrednim powodem, a nadto zrozumiałym pretekstem zemsty Buonapartego, szukali teraz oparcia... w ludzie! Wzdychali do jego wierzeń. Budowali nową Wenecyę na lagunach uczuć ludu. Uśmiechali się z wyrazem niezachwianej wiary w jego przywiązanie do skrzydlatego lwa. Jedna z dziewic, piękna, jak marzenie, uproszona przez wszystkich, miała wypowiedzieć w gwarze utwór nieznanego poety z ludu o wykradzeniu relikwii świętego Marka przez »francuskiego złodzieja«. Książę słuchał ciekawie. Recytatorka mówiła:

— »Złodziej wszedł do dzwonnicy świętego Marka i wstąpił na wysokość lwa złoconego. Usunął duży kamień, który się sam obrócił, i zobaczył małe wydrążenie w murze. Tam leżał lew bronzowy, któremu przednią odśrubował łapę. We wnętrznościach tego zwierzęcia znalazł pięć kluczów złotych, zaśrubował napowrót łapę, kamień na swe miejsce zasunął a klucze zabrał. Udał się prosto do bazyliki, i, porachowawszy słupy, zaszedł do kaplicy sobie wiadomej. Był tam ciężki konfesyonał drewniany roboty snycerskiej, który się na czopie obracał. Gdy go złodziej obrócił, znalazł kamienną niszę, w której głębi znajdowała się płyta. Zdjął ją, wszedł i znalazł się w korytarzu, wydrążonym w grubym murze. Miał fosfor sycylijski i jeden kamień przezroczysty, wydający z siebie jasność słońca. Użył go do oświetlenia i ciasnemi zeszedł schodami. Tu, będąc już pod powierzchnią morza, zbliżył się do wielkiej sali, dokąd wiodły wielkie drzwi dębowe, sztabą żelazną okute. Otworzył je kluczem i przeszedł. Był w sali, w której sklepienie wspierało się pośrodku na grubej kolumnie. Wyciosana tam była historya świętego Marka od Aleksandryi aż do tajemniczego grobowca. Widać tam było kupców weneckich, nabywających ciało święte; dalej widać było, jak je okrywali słoniną, jak muzułmanie przestraszeni uciekli. Widać tam było dalej, jak szli na okręt, jak ich napadła straszliwa burza. Widać było, jak wylądowali w Wenecyi, wchodzili do kościoła, do podziemnego grobowca. Widać było, jak doża sam jeden skrycie kryptę odwiedza... Złodziej odśrubował kolumnę i znalazł w podstawie okrągłe schody. Zeszedł po nich i ujrzał

ogromną przestrzeń, strachem przejmującą. Ale był tam guzik w murze okolicznym. Przyciska go, i oto spada most żelazny. Bez tego mostu zleciałby był w przepaść, gdzie koła obracały się ciągle, gdzie ostre noże i kolce żelazne posiekłyby świętokradcę. Przebywszy most, znalazł trzy kraty żelazne, które umiał otworzyć sekretem symbolicznym. Wówczas stanął u ostatnich drzwi z bronzu, które złotym kluczem otworzył. Tu olśnił go widok kaplicy. Ujrzał tam wazy, urny, kadzielnice złote, srebrne i z drogich kamieni. Sto świec woskowych płonęło, wonią napełniając powietrze. W środku był ołtarz zrobiony z tego metalu, z którego jest pierścień dla doży, zaślubiającego morze. Na nim był posąg świętego Marka ze lwem przy nogach. Lew miał paszczę otwartą, a zamiast oczu — dyamenty. Klucz grobowca był w paszczy lwa. Gdybyś go wziął ty, albo ja, wystrzeliłby ze straszliwym hukiem, a przez tajemnicę magiczną poruszyłby dzwony świętego Marka. Doża nadbiegłby z patryarchą. Ale złodziej wiedział dobrze, co czynić. Obrócił cztery razy ucho lwa, i klucz sam wyszedł z grożącej paszczy. Wtedy wkłada klucz w zamek grobowca, otwiera... Święte kości przed nim leżą!

Świętokradztwo! Przekleństwo! Wieczne potępienie!

Bierze święte kości, obwija je w płaszcz swój. Korzysta z przejścia, które na dnie grobowca znajduje. Wstąpił na korytarz. Korytarz obraca się, podnosi. Dalej znajduje schody. Długo otwiera drzwi ostatnim złotym kluczem i oto wchodzi do bazyliki na balustradę nawy, gdzie zwykle nikt nie patrzy. Czeka nocy, ażeby uciec. Ucieka. Noc upływa...«

Całe towarzystwo słuchało tych słów w bolesnem wzruszeniu. Twarze były jak skrzepłe, oczy zdrętwiałe. Ten i ów ukrył twarz w dłoniach. Jeden książę Gintułt słuchał obojętnie.

Ogarniało go nie współczucie, lecz właśnie pogarda względem tych, którzy zdolni byli wzruszać się tak tem, co ich najbardziej hańbiło. Wydali mu się, jak szalbierze, którzy usiłują zrobić interes na ostatniej resztce własności ludu. Nie zdążyli wydrzeć korzyści z błędnych jego wierzeń i głupich plotek, błędnych i głupich z ich winy, więc czynią to teraz w chwili stosownej, kiedy nie pora już osiągać korzyści wyższego rzędu. Ci sami, którzy przedsiębrali wszystko przez sześćset lat dla zdławienia i zniszczenia praw motłochu, odwoływali się do motłochu, gdy przyszło karę ponieść za winy. Czyliż — myślał — nie są, jak żebracy, wciągający rękę? Udają ludzi, wierzących w doskonałość praw swej rzeczypospolitej... Gdybym też teraz wstał i zapytał ich: jak się zapatrują na maksymy Fra-Paola Sarpi, na owe wytyczne zasady udzielane prokuratorom? Pierwsza zasada: trzymać w stanie ciągłego ubóstwa stan szlachty zubożałej. Druga zasada: poprawić artykuły konstytucyi w taki sposób, żeby można było posługiwać się nimi w miarę potrzeby. Trzecia zasada: schlebiać głupocie, namiętnościom, a nawet występkom motłochu.

Nie wstał jednak. Wystarczyło mu wspomnienie słów mędrca, najgłębszego znawcy rzeczy dokonanych, Nicola di Bernardo dei Macchiavelli. Oto były te słowa, zawierające prawdę dowiedzioną: »Jeżeli potężny nieprzyjaciel wstąpi w kraj jaki, naówczas wszyscy mal-

kontenci z rządów swojego kraju przyłączą się do nieprzyjaciela. Ten, kto panuje, powinien ich mieć na oku i nie dopuścić tego połączenia się, ale owszem pociągnąć malkontentów ku sobie i siły ich obrócić przeciwko potężnemu nieprzyjacielowi, aby sam jeden był panem w kraju. Jeżeli tego nie uczyni, narazi się na zgubę, ponieważ wszystko go opuści«.

Książę, siedząc na uboczu i niby to przysłuchując się rozmowie, widział przed oczyma ów zastęp bagnetów z nad słodkich wód Piawy, jako wynik naturalny formuły Macchiavellego. Zdawało mu się, że śni, że dostrzega blade oblicze człowieka, który tak poznał sprawy ziemskie... Cóżby dał za to, ażeby z nim przepędzić jedną godzinę życia, usłyszeć odpowiedź na zadane pytania!...

W tej samej chwili ktoś z gości przysiadł się do niego i zaczął rozmowę. W trakcie jej zapytał:

— Wszak to rodak pański, adjutant Buonapartego, pierwszy nam przyniósł zapowiedź zniszczenia, deklarację wojny, lub tak zwanego pokoju. Sam jeden wszedł na olbrzymie i na złote schody, do sali cedrowej, gdzie zasiadała wszystka dziedziczna arystokracya Wenecyi?

— Rodak mój! Któż taki?

— Oficer, nazwiskiem Sułkowski.

— Czy być może?

— Tak jest.

Książe dotknięty był tą wiadomością. Józef Sułkowski był jego przyjacielem z lat obozowych. Razem niegdyś uczyli się, fantazyowali, toczyli rozmowy. Książę pamiętał go z czasów rydzyńskich... Pełen nieprzyjemnego uczucia ironii, która co chwila przeciwko niemu

samemu ostrze bolesne zwracała, wyszedł z tego zebrania. Unikał też odtąd następnych. Spędzał dni sam, najczęściej w gondoli. Jeżeli morze było niespokojne, wałęsał się w obrębie lagun od Giudecci po Murano, zwiedzał brzegi twardego lądu od Fesine do Mestre. Codziennie pozdrawiał ulubiony swój most *dei Sospiri*. Kształt tego mostu był jakby wmurowany w jego myśli i stał się symbolem pewnych zajść duchowych. Niby dziwne, magiczne szkło dawał widzieć całą prawdę życia. Z głębi jego okien, dzierganych w kamieniu, zdawały się patrzeć bolesne oczy Jakóba Foscari, kiedy wracał do swego więzienia... Nad swobodnemi wodami stała ta droga wzdychania w obliczu śmierci między tem, co jest najbardziej rozkosznego w życiu ludzkiem, a tem, co jest największem złem. Dzieje nieszczęścia uczyniły ją piękną i godną myśli nigdy nieuprzykrzonych. Dzieje niepodległej siły ducha owiały westchnienia rodu ludzkiego. Gdy zdarzył się dzień cichy, książę wyruszał o żaglu na morze i spędzał tam dzień cały. Szczególnie udał się jeden dzień pogody zupełnej, jasności zupełnej, dzień senny po jesiennemu, przejrzysty i niezwykły. Łódź nie kołysała się wcale. Morze było tak ciche, że tworzyły się na niem w matowych polach świetliste miedze i drogi, niby polne szlaki między rolami zredlonemi pod wiosnę. Były momenty olśnień szczególnych, kiedy ruchliwe wody straciły wyraz ciekłości, stawały się bezwładne, zastygłe, przejrzyste aż do samego dna, jak niezmierzony otwór wyszlifowany i drążony w górskim krysztale. Wszystkie dokoła łodzi nie fale, lecz kręgi i okrągłe zwoje wody miały jednakową barwę bez cieniów. Brzeg Lido i Malamocco roz-

tapiał się i ginął w morzu. Ląd był okryty białemi mgłami, a śnieżne Alpy Julijskie zdały się być przemijającym obłokiem. Daleko z południowej strony leżały nad słonemi wodami chmury płasko rozciągnięte, mamiąc oczy, jak gdyby bliski ląd, na którym sinieją pasma gór, ukrytych w tajemniczych tumanach. Tylko jakiś samotnie stojący w niebiosach obłoczek tej samej barwy kłam zadawał złudzeniu.

Wracając z tej wycieczki, książę ostrzeżony był przez gondolierów, że na plac wysiadać nie można. Łodzie, jak stado rozbitych kaczek, miotały się u wejścia do wielkiego kanału i tłukły pod brzegiem kamiennym. Istotnie, przebiwszy się przez tłum czarnych stateczków, książę spostrzegł na wybrzeżu Piazetty linie wojska z bagnetami, zwróconemi ku morzu, a nadto paszcze dział i kanonierów z zapalonymi lontami. Kazał podjechać do brzegu i wysiadł... Ale gdy chciał wstąpić na plac, pierwszy żołnierz z brzegu kolumny skierował ku niemu bagnet. Książę spojrzał na jego mundur, w oczy i na chybił trafił rzekł po polsku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków... — rzekł tamten z niekłamaną radością i wszystek się przemienił w uśmiech przyjazny. To samo jego koledzy z szeregu.

— Puśćcie mię, panowie bracia, na plac?

— Nie możemy... — odpowiedzieli szeptem. — Nikogo na plac nie puszczamy.

— Toż czemu? Wczoraj było wolno a dziś nie?

— Cały garnizon pod bronią.

— A wy jakiejże broni jesteście?

— My są strzelcy z pierwszego legionu generała

Kniaziewicza. Dwie nas kompanie drugiego batalionu pod szefem Forestier.

— Kto dowodzi?

— Major Chłopicki dowodzi.

— A którzy oficerowie subalterni?

— A jest adjutant Sielski, Bolesta. Jest kapitan Downarowicz, Kozakiewicz, Borowski, Kończa, Koszucki.

— A reszta le ii gdzie?

— Poszła w bresciańskie i mantuańskie i aż w samą Bolonię, co teraz zrobiona stolicą nowej republiki.

— Cóż znowu za republika?

— Transpadan. *La république Transpadane* się nazywa.

— Miło to zetknąć się ze swoimi... Możebyście waćpanowie puścili mię na plac.

— A kiedy nie można...

— E... rozsuń się ta?... Niechże idą, aby chyłkiem po podcieniu, a wele pałacu...

— Żeby zaś Bolesta nie zobaczył.

Książę przesunął się i wydostał na rynek. Dopiero minąwszy pałac dożów, ujrzał przyczynę zbiegowiska. Przed samem wejściem do katedry stały tęgie słupy rusztowania, a na nich biegali żołnierze. Olbrzymie liny na blokach snuły się w ciągłym ruchu. Nie można było zrozumieć w pierwszej chwili, co się to dzieje. Plac pełen był ludu, który przerwał był kordony i przez rumowie *Fabrica nuova*, przez zaułki Prokuracyów wtargnął do środka. Teraz miotał się bandami ku bazylice. Żołnierze łomotali napastników kolbami i bronili przystępu, ale w tłum zmieszani nie mogli mu dać rady.

Szarpany na wsze strony, znajdując się co moment, to między gawiedzią, to wśród żołnierstwa, książę, spostrzegł nareszcie przyczynę. Na linach niezmiernej grubości, wciąż wodą zlewanych, spływał na dół drugi z rzędu koń grecki. Liny sprężyście drgały, tocząc się zwolna po blokach, a wielki koń, ważący blisko dwa tysiące cetnarów, bokiem do ludu zwrócony, posłusznie szedł na dół... Było coś nad wszelki wyraz tragicznego w tem zstępowaniu wielkiego znaku, żywego pomnika czasów Aleksandra Macedońskiego, było coś wstrząsającego w tej wędrówce nowej... Książę nastawił uszu. Słyszał, że żołnierz naokół słucha rozkazów polskich, między sobą mówi po polsku. Dojrzał ludzi w mundurach tej samej barwy, ciągnących tłumem liny... Zatrząsł się od strasznego gniewu. Ocknął się w nim pan. Twardym krokiem, laską rozpychając przed sobą żołnierzy, którzy na widok jego bladej twarzy i oczu bezwładnie opuszczali broń, wszedł w sam środek, pod rusztowanie. Tam piorunującym głosem zawołał:

— Kto tu wami dowodzi?

Kilku oficerów, słysząc mowę polską, wysunęło się z różnych stron, bezradnie patrząc. Nareszcie zdala, bez pośpiechu, wyszedł z tłumu oficer starszy z pytaniem:

— A co tam? Nie puszczać!

— Waść tu dowodzisz? — zawołał książę w kierunku tego człowieka.

— Ja dowodzę. O co idzie?

— Nazwisko waści?

— Moje nazwisko?... Co to jest? Co to za jeden?

— Nazwisko waści?! To śmiesz żołnierza polskiego do takich dzieł!...

— Kto wasan jesteś? Mam rozkaz ludzi użyć, więc używam.

— Masz rozkaz imię polskie hańbić na wieki!... — począł nań krzyczeć, jak na ekonoma, dławiąc się słowami ze wściekłości, idąc nań z laską.

— Co to jest? Kto to? Jak śmie! Baczność!

— Kondotyery!

— Brać go!

— Rabusie!

— Daj go tu!

— Pachoły, siepacze!

Karabiny zamigotały w oczach księcia. Sto pięści chwyciło go za bary. Rzucony na ziemię, z piersi, przyduszonej kolanami, ze ściśniętej gardzieli, krzyczał ostatkiem sił:

— Nie pozwalam!

ŻOŁNIERSKA DOLA.

Już następnego dnia książę Gintułt wyjechał z Wenecyi. Powziął był wiadomość, że wódz legionów w Weronie, albo w Montebello znajdować się musi. Mówiono szczególnie o Montebello, gdyż tam przebywał generał *en chef*, otoczony, jak koronowany książę, przez ministrów Austryi, Rzymu, Neapolu, Sardynii, Genui, nieszczęsnej Wenecyi, Parmy, kantonów Szwajcaryi i wielu państewek niemieckich. Książę Gintułt jechał z postanowieniami wniesienia protestu przeciwko czynnościom rabunkowym, na korzyść Francyi, batalionów weneckich. Stanął na lądzie pełen furyi i poganiał swego woźnicę, ale nim do Padwy dotarł, już zaczął odzyskiwać spokój. Pędząc od świtu starym gościńcem wzdłuż kanału de la Brenta pod niebem ciepłem a smutnem, zasłanem wilgotnemi chmurami wśród pól, jak oko sięgnie zarosłych szczepem winnym o liściu przywiędłym, srebrnoszarym, jak gdyby szronem okrytym, wśród gajów drzew oliwnych, które, od połowy wysokich gór Euganejskich zstępując, całą ziemię płaszczem osłaniają, uciszał się zwolna. Mroczne już liście morw z festonami wina, drzewa mi-

gdałowe, figi, słodkie kasztany, brzoskwinie i dziki granat tworzyły sploty różnokształtne nad żyzną, rodzącą ziemią. Spracowane gaje, oddawszy człowiekowi owoc, pogrążały się w błogosławioną dobę spoczynku. Jeszcze tylko grona winne, brunatne i jasne, tu i owdzie ciążyły na wątłych gałęziach. Sennemi oczyma książę witał i żegnał wonne pagórki, otaczające Padwę, wapienne złomy Vicenzy. Gdy minął te okolice wjechał w kraj morwy. Tegoż dnia dotarł szeroką drogą, wysadzoną lipami, do Werony. Nim rozpoczął kroki w celu dowiedzenia się o miejscu pobytu generała, chciał rzucić okiem na miasto, którego nie znał. Łatwo trafił do amfiteatru rzymskiego, na plac Erbe i sąsiadujące z nim dziedzińce dei Signori, oraz do grobów Scaligerowskich. Nie tego wszakże szukał. Już w drodze opanowało go szczególniejsze utęsknienie do Werony. Z głębi myśli wzburzonych, błędnych i bezładnych raz w raz wypływało jedno i to samo imię: Julia... Książę uczuł niewysłowiony urok tej Julii przez poetów wyśnionej, cichej dziewczyny werońskiej. Widział niemal cielesnemi oczyma jej twarz, pamiętał każde jej słowo, tak pełne miłosnego męstwa, tak prawdziwe i tak nieomylne, że każdego człowieka dzieje w sobie zawiera. Pod przedziwnem jesiennem niebem Werony, które nie chłodem, lecz rzeźwością owiewa i dodaje mocy a wiary w siebie, jak uścisk dobrego przyjaciela, szedł ulicami, szukając naoślep. Śnił na jawie... Czeka go tutaj szczęście... Mrok już zapadał. Łudziło go omamienie, dyszące samą rozkoszą i radością, o którem przecie wiedział, jak okrutną jest igraszką, że to jego samego czeka w czarodziejskim pałacu Julia z Capulettich rodu. »Jeszcze ranek nie tak

bliski. To słowika, nie skowronka pieśń. Ten słowik śpiewa nocą codziennie, tam, w liściach ciemnego granatu. Wierzaj mi, że to był słowik«... Do niego wyrzeczone są te słowa pełne szczęścia i szaleństwa. Cóż to tak szlocha w sercu? tak rwie się i kona?... »Jest to skowronka głos, zwiastuna dnia. To już nie pieśń słowicza! Widzisz na wschodzie te smugi zazdrosne, co złocą jasnością obłok poranny? Wypaliły się pochodnie nocy tej. Dzień rączy wspina się już po mglistych wzgórzach«... Już przeszła czarodziejska noc młodości. Wypaliły się jej pochodnie...

Zapytał jednego z przechodniów o dom Julii i wkrótce przyprowadzony został do jego bram. Zaśmiał się szyderczo i długo. Odrapana buda, w której mieści się szynk ostatniego rzędu i coś jeszcze gorszego. W głębi czarodziejskiego pałacu — kupy gnoju, szerzące fetor nie do zniesienia. »Błogosławiona, o, błogosławiona po dwakroć nocy! Czyliż to wszystko, dokonywując się w tobie, nie jest tylko marą? Coś tak lubego możeż być istotnem?«... Cha-cha...

Powlókł się nieznanemi ulicami, dźwigając na ramionach brzemię rozczarowania, ciężkie, jak góra. Błądził to tu, to tam. Noc była już zupełna, przechodniów coraz mniej, a ci, co się jeszcze wałęsali, nieśli zapalone latarnie. Księżyc wpłynął na niebo. W nikłym blasku jego kwadry ukazywały się z cienia fantastyczne gmachy i wieże. Oto rozesłał się w bladej poświacie marmurowy dziedziniec. Łuki i gzymsy okien, wyskoki balkonów, wielkie obłąki portyków, utkane ciemnemi plamami medalionów prokuratorskich, szczególne złamania dachów tworzyły na białych licach są-

siedniego pałacu niewymowne linie, wyrwy i znaki. Białe ściany z marmuru, które księżyc światłem oblewał, były takiej samej barwy, jak on. Przysiągłbyś, że je wykuto ze skamieniałej światłości miesięcznej. W zagłębieniu przed kościołem Santa Maria Antica, między jedną białą masą a drugą, wynurzały się z czarnej czeluści dreszczem przejmujące grobowce Scaligerów. Tam pod gotyckiem poddaszem śpi wyprostowany, miecz swój piastując, książę Mastin Drugi. Obok niego wszystek z białego marmuru leży Can Signoria.

Na obraz cennych marzydeł, niby z otwartych grobów, wybuchało to przedziwne snycerstwo. Baldachimy, łuki, kręcone kolumny, ramiona i rzeźbione wyłogi ciskały na ościenne mury jakoby cyfry jakieś i napisy, znaki niepojęte i słowa...

Książę błąkał się tam w samotności, nie spotykając nikogo, ani żywego ducha. Miasto było jak umarłe. Nawet z jego głębi, z oddalenia nie dochodził turkot. Wszystko naokół leżało w martwocie, jakoby cmentarz olbrzymi, pełen grobowców.

Podróżny usiadł na przymurku i zapadł w swoje marzenia. Wtem z ciemnego przejścia od strony Adygi wynurzył się miarowy łoskot kroków i rozległ głośno na oniemiałych placach. Z cieniów uliczki wysunęła się kolumna żołnierzy i szła wprost na księcia. Iskry zalśniły na bagnetach. Gintułt usunął się z drogi i chciał oddalić w kierunku placu dell' Erbe, kiedy dowódca oddziału coś zaczął mówić do niego. Książę nie zrozumiał i szedł dalej. Wówczas kilku żołnierzy otoczyło go ze wszech stron i siłą pociągnęło przed oblicze oficera. Ten srogim głosem pytał po kilkakroć w łamanej włosz-

czyźnie, czemu niema latarni, jak się nazywa, skąd i dokąd idzie... Ponieważ badany nie odpowiadał, wtrącono go w środek kolumny i przymuszono do marszu pospołu z nią. Zaledwie oddalili się z tego miejsca o kilkadziesiąt kroków, kiedy książę usłyszał obok siebie szept jednego żołnierza do drugiego w najczystszej mazurskiej mowie:

— Północek psiadusza za pasem, a ty się uganiaj po dziurach, łap włóczykijów...

— Spać się chce, że to nosem się podpierasz, nie — ganiaj!

— Wyśpisz się jeszcze, aby jeno za rzekę a dopaść barłogu...

— Cichajta! W szeregach nie mamrotać!

— Ale!

— Wyście zaś, chłopcy, z jakich okolic? — rzekł książę z niechcenia a głośno.

Wrażenie tych słów było tak mocne, że kolumna bez rozkazu stanęła. Sam srogi dowódca zmieszał szyk i wlazł w środek oddziału.

— Polak? — mówił z ogromnym marsem na dwudziestoletniej twarzy, gdy błysnęła latarnia i mógł zajrzeć brańcowi w oczy.

— A Polak.

— Nazwisko?

— Na cóż to waści potrzebne?

— Pytam się! Nazwisko?

— Nie powiem nazwiska.

— Co tu waćpan robisz sam jeden na ulicach Werony?

— Szedłem na schadzkę z Julią Capuletti środ-

kiem jednej z ulic Weiony. Ale co tu waćpaństwo robicie w charakterze drabów nocnych? I waść na ich czele w tak wielkim kapeluszu i kołnierzu? Pytam się?

— Bez przymówek, bo wsadzę na areszt o chlebie i wodzie!

— Wiedz waść, żem starszy od ciebie rangą wojskową, latami służby i tam dalej.

— Dowody?

— Pytam się, co tu robicie?

— Spełniamy rozkaz komendanta placu.

— To jest czyj?

— Teraz generała Kilmaine... — niezdecydowanym już głosem odpowiedział rycerzyk.

Pociągnął Gintułta na bok i szepnął:

— Miasto wre. Toż w kwietniu, od 17 do 24 wyrznęli pięciuset Francuzów. W samym szpitalu chorych zamordowali 400, bezbronnych. Pomimo zdobycia go i kapitulacyi 24 kwietnia emeuta w niem nieustająca. Stąd surowość. Patrol za patrolem. Nikomu nie wolno nocą z domu wychodzić. Musimy ich trzymać za gardło...

— A was tutaj dużo?

— Było 2.600 ogółem wiary, w Mantui pod Wurmserem siedzącej. Z nich to załoga. Że wódz zabrał oficerów zdatnych, więc imion między nami znajomych nie było. Przyszła potrzeba atakowania Werony, kiedy już generał Balland pięć dni bronił się przed Wenecyanami, zbuntowanym motłochem werońskim i chłopstwem z okolic. Po całych dniach bili z fortów Saint-Pierre i Saint-Félix, z cytadeli. Posłali zdrajcy Wenecyanie po Laudona, żeby ich przyszedł ratować.

— Waćpan tu byłeś?

— Jakże! Już my w starym zamku nie mieli nadziei. Jeść nie było co, amunicya wyszła. Generał-komendant Beaupoil zaczął się układać... Nie było żadnej nadziei... Żądali, żeby my złożyli broń i przeszli wszyscy co do nogi przez Porta Vescova. Byliby nas żywcem zarznęli. Aż tu nadchodzi wieść: pokój zawarty z cesarzem. Z Laudona nic! Radość nas ogarnęła...

— Radość was ogarnęła, że pokój... — zaśmiał się książę szyderczo.

— Zaraz też ze szczytu fortu Saint-Félix rozpoznali kolumnę zbliżającą się. To był generał Chabran. Wnet szturm do bramy San-Zeno, bo miał dwanaście armat! Tam to szli i nasi z szefem Liberadzkim na czele Aie że mu prorok w Awinionie śmierć przepowiedział od pierwszej kuli, więc też padł pierwszy.

— Co też to waszmość?

— Prawda święta! Ale nie czas tu i miejsce na gawędę. Proszę za mną. Taki rozkaz!

— Możebyś mię waćpan puścił na oficerskie słowo. Jestem tu przejazdem. Nie będę robił emeuty w Weronie. Nazwisko Gintułt. Z książęcego rodu...

— Nie przemawiają do mnie rody książęce, com złożył przysięgę nienawidzenia tyranów! — rzekł ze srogością oficer.

— Do licha! Idę posłusznie.

Ruszono w drogę. Książę mimo chęci obszedł całe miasto. Znużony też był potężnie, ale nie żałował, że się tak stało. Maszerował w żołnierskiej kolumnie twardym, chodziwym krokiem. Ów szept żołnierza w marszu, podniecający łoskot stąpania, szczęk broni...

Wprowadzony do koszar w cytadeli, znalazł się wkrótce w izbie wątpliwego przeznaczenia, a mocno naśladującej psiarnię. Zaraz jednak wywołany został z tej kaźni, gdzie po kątach chrapały jakieś twory ludzkie, i wprowadzony, oczywiście w drodze łaski, jako rodak do sali oficerskiej. Był to rodzaj kasyna, widocznie, a zarazem jadłodajnia oficerów w służbie czynnej. Mieściły się tam stoły do kart, fajczarnie i bilardy. Sala była pełna młodzi oficerskiej. Jeniec z placu Scaligerów tak był znużony, że na nikogo nie patrząc, rozsiadł się na ławce i wyciągnął nogi. Dopiero, gdy cokolwiek odpoczął, podniósł głowę. Dym tytuniowy żarł w oczy i zasłaniał przestrzeń zupełnie. Świece ledwie w nim było widać. Rozmowy, wrzaski, okrzyki, spory w języku polskim, francuskim, włoskim, niemieckim tworzyły wrzawę nadzwyczajną. W jednem miejscu banda, obsiadłszy stół, piła, ryczała i śpiewała chórem jakąś pieśń włoską arcysprośną. Obok, przy drugim stole, grano w karty, gdzie indziej z wrzaskiem i plastyczną aż do zbytku mimiką ktoś opowiadał niemożliwe anegdoty francuskie, a słuchające koło pokładało się od śmiechu. Wciąż dawał się słyszeć brzęk szkła, szczękanie pałaszów, walenie pięściami do taktu... Gdzieś za fajczarniami, za karcianym stołem, tłamsiła się osobna kupa. Coś tam tajemniczego robili, pochyleni nad stołem osobnym. »Gra cicha, to znaczy na grubą stawkę«... — pomyślał książę i ruszył w tamtą stronę. Ale już zdala poznał, że nie grają. Doszły jego ucha znajome polskie matematyczne terminy... Stary oficer z krótko przystrzyżonymi włosami i małym wąsem, a twarzą tak surową, jakby była z kamienia wykuta, z czołem porytem w brózdy i ścią-

gniętemi brwiami, spokojnie ciągnął wykład. Dookoła, za jego plecami, obok i przed nim, notesy podsunąwszy ku świeczkom łojowym, tłum cierpliwie notował. Książę przysunął się do nich, znalazł kącik za wszystkimi i ciekawie słuchał. Patrzał z pod oka na niezgrabne mundury z nędznego sukna, na owe naramienniki z napisem: »Gli uomini liberi sono fratelli...« Objął głowę rękoma i, napoły słysząc wrzawę, utonął w myślach. Te anegdoty, swada, żart ze wszystkiego, owo tęgie oficerskie dufanie w siebie, cześć dla zgrabności swych łydek i siły w gnatach — wszystko to zwróciło go ku dawnym chwilom. Ta kapitalna duma żołnierska! Coś w nim zadrżało. Śmiech buchnął z piersi. Wodził oczyma po ubraniach, po twarzach. Cóż za zuchy! co za bestye czubate! Każdy z pewnością zaprzysiągł się na nienawidzenie tyranów...

— Do stu tysięcy bomb! — myślał książę — muszę i ja wyimaginować sobie jakiego tyrana i znienawidzić go potężnie, żeby mieć prawo do wstąpienia w szeregi tych dyabląt.

Kiedy spostrzegł, że wykład z zakresu fortyfikacyi o budowie »dzieła rogowego« na chwilę przerwany został, a ten i ów ze słuchaczów nachyla ku swej szklanicy szyjkę wspólnego *fiasco*, skłonił się przed pierwszym młodzieńcem z brzegu i spytał:

— Racz mię waszmość objaśnić, jaka to jest broń, której mundur nosisz?

Młody oficer zmierzył go oczyma, ale odpowiedział z galanteryą:

— Miło mi powitać rodaka... Czy może kandydata do stanu wojskowego?

— Właśnie, właśnie...

— A no! Co do broni, to najświeższa formacya: Strzelcy augzyliarne. *Battaglione cacciatori legione polacca ausiliaria della Lombardia* — wyrecytował, jak lekcyę.

W chwili, gdy to mówił, wszyscy jego koledzy zwrócili się raptownie w stronę drzwi wejściowych. Oficer, rozmawiający z księciem — również. Gintułt poszedł oczyma za ich wzrokiem. Od wejścia przez środek sali przebijał się oficer wyższy, lat czterdziestu z górą. Był tak wielkiego wzrostu, że jego ogromna, długa, wygolona twarz ukazała się nad całym tłumem. Płaszcz, całkowicie okryty kurzawą, zwisał z jego ramion, kapelusz był mocno naciśnięty na oczy. Książę od jednego spojrzenia poznał tego wojownika. Bez namysłu poszedł za nim. Dąbrowski minął salę, prędko i zdala oddawszy pozdrowienie wojskowe na ukłon podkomendnych. Wstępował po kamiennych schodach na piętro. Za nim szło kilku towarzyszów, którzy widocznie skądś dopiero co przybyli. Nie dając im wyprzedzić się, książę poszedł za dowódcą, szybko postanowiwszy od jednego razu załatwić swą sprawę. U wejścia do jakiegoś korytarza na górze Dąbrowski obrócił się i spostrzegł obok siebie przybysza. Ilustrował go twardem i zaczepnem okiem.

— Panie generale, pragnę prosić o chwilkę rozmowy...

— Kto prosi?

— Jestem książę Gintułt.

— Gintułt... Gdzieś widziałem...

— Pod Powązkami.

— *Es ist... ja...* Pan przybywa z Paryża? Może z hotelu Diesbach?

— Bynajmniej! Przybywam wprost z kraju, a w tej chwili z Wenecyi. Właśnie w interesie rodaków tamtejszych chcę koniecznie słów parę...

— Czy co ważnego?

— Tak jest.

Generał otwarł drzwi i wpuścił go do pokoju o niskim stropie. Stało tam na ceglanej posadzce łóżko i kilka sprzętów. Dąbrowski poszukał oczyma miednicy i, przeprosiwszy gościa, zaczął ściągać z olbrzymich ramion kurtę, przypominającą mundur kawaleryi narodowej, który nosił był w brygadzie Byszewskiego i na wyprawie wielkopolskiej. Rzekł pośpiesznie:

— Jestem na wsiadanem. Dziś jeszcze mam sporo do załatwienia, to też mów prędko, mości książę.

Gintułt, nie tracąc czasu, zaczął rozpowiadać o tem, co widział w Wenecyi, wykładać całą aferę. Z początku wyrazy więzły mu w gardle i nie szły na usta, ale wkrótce gniew wczorajszy jął go przypiekać. To też zimno formułując zarzuty, ciskał w słuchacza nieodparte argumenty. Generał zawinął wysoko rękawy koszuli i zlewał sobie obficie głowę wodą. Książę zniecierpliwiony tem przerwał. Ale wódz zawołał:

— Słucham, mości książę, słucham uważnie.

— Może nieco później...

— Mam żadne później! Jutro idę z moimi w marsz.

— Dokąd, jeśli wolno zapytać?

— Jakto dokąd? Twarzą ku północnemu wiatrowi. Zęby mu błysnęły.

— Przecie zawarte preliminarya...

— Ale pokój jeszcze nie zawarty. Zwlekają. Szczęk oręża powie nam, czy chcą podpisać, czy nie.

Ocierając wielką, czerwoną twarz swoją ręcznikiem, spytał:

— Więc zdjęli konie Aleksandra Wielkiego?

— Mówię to, co widziałem na własne oczy.

— A hultaje! — dorzucił z mniemaną indygnacyą.

— Panie generale... To nie może być! Nigdy jak świat światem nie splamił się nasz naród takim uczynkiem. W nadziei, że pan generał mocą i władzą swą nakaże tym ludziom wyłamanie się z haniebnych służb, przyszedłem tutaj. Jestże to rola polska deptać cudze rzeczypospolite? Potoż wyszła w te kraje owa wiara?

Dąbrowski wdziewał z obojętnością swą kurtę. Zbliżył się do księcia i rzekł twardo:

— Waćpan do mnie w jakim charakterze to mówisz?

— Mówię to jako szlachcic polski z prawieków.

— Ja jestem także obywatel polski! Oto masz moją rezolucyą: żołnierz nasz musi zajaśnieć cnotą na śmierć gotową, konduitą, żelazną subordynacyą i energią. Dopiero wtedy zaufają mu ci, którym ja honorem swoim za żołnierza ręczyłem. Waść mi radzisz, żebym co tchu zdusił gorliwość żołnierską i zaczynał od rokoszu?

— Nic nie zaczynać, jeśli droga haniebna!

— Wdziać taki oto strój pański podróżny i wyjechać na wojaż. Mógłbym już przerwać dysertacyą, skoro mię książę obrażasz, ale że cię pamiętam z pola, więc powiem, jak jest. Mówisz, że ja i moi idziemy drogą hańby. I co? Wskazujesz na pokonanie Wenecji. A We-

necya to co? To tajny sojusznik Austryi, to wróg przebiegły i chytry. Przez usta Giustinianiego, Pesara i innych, zapewniając o neutralności swojej, za plecami, kiedy wojska republikańskie wżerały się w kamienną Pontebbę, rznęły w Sterzing, oblały się krwią pod Klagenfurt — organizował na tyłach rozruch Werony, uzbrajał całą ludność swych krajów i zamordował oficera Laurier w swym porcie. A co to jest Wenecya? Żal ci tak, mości książę, tej szlachty, która do złotej księgi pisała się nie krwią, lecz za cenę dziesięciu tysięcy cekinów, złupionych w handlu, albo z cudzego dobra w Cyprze, w Istryi, Gorycyi... żeby na fundamencie kupionego szlachectwa mieć prawo do plucia z loży w teatrze na lud. Znasz chyba doskonale prawa ich, kodeks karny, więzienia, zasady moralne. Cóż to złego uczyniła Francya, niosąc w te kraje swe wielkie prawa? Lud wenecki pieśniami powitał żołnierzy francuskich. A twoje bronzowe konie, mości książę... Żartuj zdrów! Te konie, zwiastujące zwycięstwo, komuż należą się dziś, jeśli nie wielkiemu wodzowi? Azaliż Wenecyanie mają do nich prawo? Skąd je wzięli? Pięścią, przemocą. To jest wojenny łup. To też jako łup idą dalej. Ja zresztą... Ale ci mówię: konie Lisippa należą z prawa do wielkiego wodza, Buonaparty. Żołnierze nasi nie uczynili nic złego, słuchając rozkazu swych dowódców.

— Widzę, że moja sprawa przegrana. Nic pozostaje mi nic innego, tylko pożegnać pana generała.

Dąbrowski wyciągnął rękę. Poczciwy uśmiech z serca rozjaśnił jego twarz.

— Nie chciałbym rozstać się z księciem panem w gniewie. Zostań chwilę. Powiem ci jeszcze słowo.

Prawie siłą odprowadził go do drzwi otwartych na balkon i tam wtrącił. Tymczasem weszli do pokoju sztabs-oficerowie z dołu. Ów starszy, który wykładał naukę o szańcach i mostach, zbliżył się do wodza z ukłonem. Już rozeszła się w sali wieść o marszu od towarzyszów, którzy przybyli z Montebello.

— Pisz, bracie, rozkaz na jutro. Idziemy wprost aż na Palma Nuova. Mamy się z naszymi połączyć w wąwozach Gorycyi.

Oficerowie obstąpili stół. Dąbrowski usiadł przy nim, wsparł łokcie i czoło ukrył w dłoniach. Zaczął dyktować rozkaz dzienny. Tamci z pośpiechem pisali. Książę, słuchając tych kategorycznych słów, mimo wiedzy prostował się, jak podkomendny Znowu pójdą te tłumy niepłatne, głodne, obdarte, w kurzu obcych gościńców, forsownymi marszami, ślepo wierząc, że Wiedeń jest ich drogą... Z głębiny nocnej dochodził plusk Adygi, ujętej w brzegi z granitu. W dole uśpione miasto bieliło się od słabego blasku księżyca.

Skończywszy rozkaz, wydawszy cały szereg ustnych poleceń, generał podniósł się i zwrócił z pożegnaniem do swoich. Wszyscy zaraz wyszli. Kiedy za ostatnim drzwi się miały zamknąć, rzucił jeszcze:

— Eliasz, obudź mię jutro do dnia...

Za chwilę był we drzwiach, prowadzących na balkon.

— Daruj, mości książę... Spać, spać! Ale jeszcze słowo...

— Nie chciałbym być natrętnym.

— Muszę powiedzieć, to się należy.

Ujął go pod rękę i olbrzymiem przedramieniem przycisnął go do swego boku. Zaczął szeptać:

— Ty jeden cierpisz nad wszystkimi objektami, jakie oczy widziały? Ciebie jednego żal nocami budzi? Ech, bracie! Ja się to samo przez krwawe łzy przypatrzył wszystkiemu, gdym z *Garde de corps* elektora przyszedł. A później, a później! Ale moja dusza nie do żalu destynowana, moje oczy nie do łez. Wszystko w sobie trza zaprzeć na zamki, na klucze. Myśl teraz nad tem: te legie, ta chłopska i małoszlachecka masa — to któż to jest? Ludzie z prizonów i zbiegi. Gniew w tobie kipi na samą myśl, że oni w służbie Buonaparty czynią, co im dzienny rozkaz przepisze... Myśl nad tem, coby ci sami czynili w austryackim glicie. Azaliż nie lepiej...

— W klubach przemocy, z musu, nie z dobrej woli!

— Niema już dobrej woli! Bóg dał, Bóg wziął. Wybij to sobie z głowy. Teraz praca na śmierć. Wszystko od samego początku zaczniesz i udźwigniesz ciężar dziesięciokrotny! Ile krwi, męki, trudu, sławy wsiąknie w obce pola — któż to odgadnie? Ale zostanie reszta. Ze wszystkich rozstajnych dróg jedna jakaś będzie prowadziła! Żyły będą pękać, i krew z za pazurów tryśnie, ale to darmo. Iść trzeba wiekuistym pochodem. Trza w karach odrobić wszystko i w mękach wyczynić wielkiego ducha. Co do mnie, znajdą mię wszędzie i zawsze, dopóki siły w tych gnatach, a krwi w żyłach. Nic mię nie zwróci z drogi. Mnie stu akuzatorów denigruje, żem Niemiec, bom się u Mauryccgo Bellegarde'a i u mą-

drego Blüchera od *tahnjunkra* uczył, jak ślepo słuchać rozkazu, jak szyk sprawiać i jak wojsko wieść do batalii. Ba, żonę mam Niemkę! Kondotyer! Szuka chleba i awantur. Niema hańby, którejby mi nie zadali. Wiem, że zedrą ze mnie ostatni strzęp dobrego imienia. Nie oszczędzili mi nawet ostatniego postrzału, zarzutu zdrady. Wszystko, co czynię, toć to za pruskie talary. Ale niech-że tam! Niech się Chadzkiewicz wygada! Towarzysze niedoli...

»...la compagnia malvagia e scempia
Con la qual tu cadrai in questa valle
Che tutta ingrata, tutta matta ed empia
Si fara contra te...«

jak Dante wygnany pisał tu właśnie, w tej samej Weronie.

— Pogardzić.

— Ale i z drugiej strony, mości książę, rozkosz to niemała wystawać pod drzwiami francuskich potentatów, włóczyć się po cudzych schodach, wyżebrywać dla żołnierza swego żołd, buty, odzież byle jaką, prawo do walki i prawo do śmierci. Rozkosz to nie byle jaka z poszeptów o słabostkach dyrektorów paryskich i cisalpińskich poznawać swe drogi, ścieżki sekretne i przełazy. Tamtędy, własnymi sposoby iść bez tchu i odpoczynku, dniem i nocą, między tysiącem zgryzot. Nie wyspać się i nie dojeść, a żywić się i konsolować nadzieją. Toż mogłem pójść w łaski króla pruskiego w służbę taką, czy inną. Ostatnie gniazdo, Pierzchowiec, sprzedałem. Już teraz żołnierski chleb jeno został, taki sam, jako i ojcu. Kondotyer! Jedź,

mości książę, na wojaż swój, bo możeby cię chęć wzięła kosztować naszego chleba i soli. A mówi ten stokroć mądry poeta, że gorzki to chleb pono, »lepiej się nie rodzić!...«

Z uśmiechem drwiącym patrzał w oczy księciu i na pożegnanie ścisnął jego rękę.

ZUCHWAŁY.

W miesiącu *nivôse* VI- o roku Rzeczypospolitej »obywatel« Gintułt zdążał w zakrytej budzie jednokonnego fiakra o zachodzie mrocznego dnia styczniowego na wybrzeże Lunettes. Już od miesiąca z górą bezczynnie siedział w Paryżu. Znał go dawniej przed żywiołowym wybuchem. Obecnie rozpatrywał się długo w tem samem mieście, jak gdyby w zjawisku nieznajomem wcale. Unikał starannie rodaków wszelkiego autoramentu, zarówno stronników Barsa, jak Mniewskiego, którzy zresztą w owej dobie łączyli się w myśli zwołania sejmu. Wszystek swój czas książę obracał na zaglądanie w żywe oczy Rzeczypospolitej jednej i niepodzielnej.

Tego dnia był dziwnie nieswój.

Mokry, zimny, tający śnieg zalewał i brudził ulice. Mury były przemokłe, twarze ludzkie niemiłe i jak gdyby spłakane. Sam książę przeziąbł do szpiku kości i do głębi duszy. Ów świat, który teraz poznawał, a właściwie nagle w całości zobaczył, zjawiska ogromne, sprawy lecące na skrzydłach, wieści wypełzające

z zaułków, odgłosy rzeczy dawnych, szepty nowe, wciąż nowe, nagie i potworne w swej nagości, poruszyły w nim z przyciesi wszystko, co nawykł uważać za istniejące na swojem miejscu, za pewne i za swoje własne. Wszystko stało jeszcze w jego duszy na tych samych fundamentach, wzniesione osobistemi siłami wśród ciężkich dni żywota, a przecież owe nadchodzące nowe zjawiska, śmieszne tak bardzo na pierwszy rzut oka, męczyły do gruntu. Rodził się, prawda, w duszy nieustanny śmiech i tryskał nazewnątrz kryształowym dowcipem, a jednak towarzyszyło mu westchnienie bezsilne, niespojne i znikome, prawdziwie jako cień. Wszystko stało na miejscu. Nic nie runęło i nie rozbiło się w gruzy. Życie szło, pędziło naprzód, wrzało od rozbudzonych sił.

Wtulony w kąt karetki, owinięty płaszczykiem, książę śmiał się, patrząc na postacie biegnące ulicą, skulone od zimna. W myśli jego przelatywały podarte obrazy, na własne oczy widziane daleko. Jakiż olbrzymi skok z końca w koniec świata uczynił! Chwilami wlokły się w pamięci widoki straszne, nieznośne, odpychające. Tuż obok stanęły myśli, dopiero zbudzone w głowie pod wpływem pism przeczytanych na bruku paryskim, rozmów i widoków nowych, sylogizmy obronne, doskonałe aż do tej chwili, niby szpady wyborowe i nagle rozlatujące się w proch, jakby były ulepione z popiołu. Z głębokich źródeł duszy wypływało nieznane dotychczas, obłudne znużenie, które wewnątrz siebie zawierało coraz bardziej ostrzejszy niepokój.

Powozik zatrzymał się przed bramą domu sławnego zegarmistrza Breuéta, i książę z niechęcią wysunął nogi na bruk, zalany wodą. W sieni odnalazł

portyera i ze swą zwykłą, wyniośle grzeczną postawą zażądał wskazania lokalu *księcia* Sułkowskiego. Zaspany i brudny człowiek, który stał przed nim, przypatrywał mu się w sposób tak oryginalny, że książę zbudził się jak ze snu.

— Książę Sułkowski? — zapytał portyer uprzejmie, gdy oczy jego przybierały wyraz coraz bardziej ciekawy, przebiegły i sobaczy.

— Książę Sułkowski — powtórzył Gintułt, zaglądając mu między rzęsy wzrokiem równej siły — *aide-de-camp* generała Buonapartego.

— Tak, tak... generała Buonapartego... — wymamrotał tamten.

— Co mówisz obywatelu?

— Cóż jabym śmiał mówić o tak wielkim generale Buonaparte? *Książę* u niego służy za adjutanta —che-che...

— Książę, rzeczywisty książę...

— Bagatela! U tego samego generała Buonaparte, który kazał swoim siepaczom walić z armat do ludu nie dalej, jak dwa lata temu...

— I pobił cztery armie wrogów.

— A niech on zginie ze swemi zwycięstwami! Cztery armie... Co to mnie obchodzi? Oto ramię strzaskane ułamkiem kartacza... Kazał armaty wytoczyć pod Tuilerye! Ten sam generał Buonaparte...

Książę nie słuchał dłużej. Wrażenie obmierzłej troskliwości o własny spokój, pewna postać niepowstrzymanej wzgardy, która natychmiast mogłaby się zmienić w policzek, albo plunięcie w natarczywe ślepia, pchnęło go na schody. Sam znalazł w ciemności drzwi wskazane i zastukał. Długo mu nie otwierano. Wresz-

cie, na odgłos coraz silniejszego kołatania, dały się słyszeć kroki, i ktoś klucz przekręcił. Książę wszedł do ciemnego pokoju i ledwie zdołał dostrzedz przed sobą stojącego człowieka.

— Chcę się widzieć z *obywatelem* Sułkowskim... — rzekł, sykając pod naciskiem dopiero co odczutej zgniłej dumy, czy zgniłej obawy.

— Kto chce się widzieć?

— Pewien... Polak.

Człowiek ów oddalił się. Po chwili wrócił, niosąc w ręku świecę. Książę poszedł za nim przez zimne i ciemne pokoje. Ostatnie drzwi żołnierz otwarł i cofnął się, zabierając światło. W kącie obszernego salonu siedział na sofie młody mężczyzna w uniformie wojskowym. Ujrzawszy wchodzącego, wstał i czekał, nie ruszając się z miejsca.

— Czy mię poznajesz? — rzekł Gintułt, podchodząc do stołu.

Sułkowski zbliżył się do niego z uśmiechem szczerej radości i ucałował go po bratersku. Usiedli na sofie i przez czas pewien przypatrywali się sobie. Gospodarz był młodzieńcem dwudziestokilkoletnim. Piękny był, jak urocza dziewczyna, przebrana po męsku. Długie jedwabne, faliste włosy odczesywał z białego czoła na tył głowy. Oczy miał wielkie, nadzwyczajnego wyrazu, cudnie ocienione długiemi rzęsami. Mały wąs ozdabiał jego usta, pełne teraz uśmiechu. W oczach i w tej pięknej twarzy, nim poznał towarzysza walk ubiegłych, malował się przecież nie kobiecy wyraz. Było w nich przenikające zimno.

— Wracasz z więzienia? — spytał zcicha.

— Z więzienia? A... tak, prawda. Ale to już dawne dla mnie czasy. Właściwie przybywam z Włoch, to jest... — dodał z drwiącym uśmiechem — z rzeczypospolitej Transpadańskiej.

— Przepraszam, że cię odrazu zapytam, wszak z zamiarem wstąpienia do wojska? Do legiów, czy może na ochotnika?

Książę zastanowił się przez chwilę, dość zakłopotany nagłością pytania, wreszcie stanowczo rzekł:

— Nie.

— Żałuję, że z równą siłą nie powiedziałeś: tak! Przecież otrzymałeś specjalną i doskonałę instrukcyę wojskową w korpusie. Ale nie uważaj z łaski swej tego, co mówię, za werb nek.

— Broń Boże! Tylko... Szczerze mówiąc, dość mam już wojny.

Sułkowski powolnym ruchem prześlicznej głowy chciał zakryć przykre zdumienie, którego doświadczył, usłyszawszy te wyrazy.

— Ja nie... — rzekł po chwili z zimnym uśmieszkiem.

— Proszę cię, — mówił Gintułt, wygładzając koronkę swego żabota — nie chciałbym, żebyś mię źle zrozumiał. Straciłem zaufanie do wojny nie z lenistwa, a nawet nie z tchórzostwa. Po prostu wygasła we mnie wiara w jej doniosłość.

— Czyż to możliwe?

— Po długiem rozważaniu i samotnej deliberacyi doszedłem do wniosku, że każda władza ma swoje wady, każdy system swe dobre strony, a rewolucye najbardziej uprawnione niczem innem nie są, tylko zamianą

bardzo kosztowną pewnych nadużyć i wad na innego rodzaju, innego kształtu nadużycia i wady. Wszakże — ciągnął spokojnie i obojętnie — zamordowanie wpośród tłumu jednego człowieka wskutek tego, że był złym zwierzchnikiem, tyranem, zdziercą, oszustem, jest większem stokroć złem, niż jego tyrania, zdzierstwo i oszustwo. A ze złego, które jest większe, niż poprzednie, dobro wykwitnąć nie może. Pocóż się bić? Należałoby wypowiedzieć zaciekłą wojnę, ale nie ludziom, tylko samej tyranii, samemu zdzierstwu, samemu oszustwu.

— Doskonale! Tylko jakże to uczynić, nie tykając ludzi, tych właśnie zdzierców i tyranów?

— Bardzo to niedaleki wróg. Należy poszukać go w samym sobie.

— Ach, dziecko!...

Książę Gintułt zmienił przedmiot rozmowy.

— Słyszałem — zapytał — że w ostatniej kampanii byłeś przy wodzu?

— Tak.

— Więc poznałeś go bliżej?

— Czy poznałem? Zapewne...

Po chwili dodał z uśmiechem:

— Chociaż bardzo często wydaje mi się, że go nie znam wcale.

— Czy tylko nie jesteś oczarowany? Wszak w miłości zaślepiamy się tak dalece, że widzimy w pięknej kobiecie tyle tajemnic i takich...

— Ta jest różnica, że ja nie kocham Buonapartego. Nie jestem również jego poplecznikiem.

— Wiem, wiem. Ale uwielbiasz go, jak żołnierz

żołnierza, co częstokroć przewyższa miłość dla najcudniejszej kobiety. Wiem to z doświadczenia. Ja sam tak kochałem.

— Mylisz się co do mnie. Chciałem być przy nim, byłem i będę, jeśli mnie nie odpędzi dla innych powodów.

— Domyślam się, domyślam...

— Tak jest. On strzeże swoich piorunów! Czujnie je trzyma w dłoni. Ale mogłem przecie i mogę jeszcze patrzeć na ich trzaskanie, mierzyć siłę ciosu, zamach ręki, blask no i samą władzę ciskania cyrklem wyczuwać.

— Czy to prawda, że ufał ci tak dalece, iżeś w jego imieniu wydawał rozkazy, jakie uznałeś za stosowne? Mówiono mi w Mantui, że podpisywałeś z jego zezwolenia nawet imię jego na swych rozporządzeniach i rozkazach dziennych. Słyszałem to i tutaj w kołach bardzo wpływowych.

— Tak, to prawda. Bywało tak w chwilach stanowczych. Ale to są rzeczy małej wagi. Więc mówisz, że dość masz już wojny? — rzekł nagle w zamyśleniu.

— Tak, tak. Widać nie byłem stworzony na żołnierza.

— To dziwne. Nie być stworzonym na żołnierza! Dla mnie wprost niepojętą jest taka natura. Ja jestem tylko żołnierzem.

— Ty, kochany bracie, jesteś uczonym, nie żołnierzem. Jakimś Kwintylianem, della Mirandolą... Czyż to żołnierza mieszkanie te góry książek?... Jestem pewien, że w apartamencie Buonapartego książek niema...

— Znowu się mylisz. Ot teraz od piętnastego

trimaire'a, to jest od przybycia do Paryża po zawarciu pokoju w Campo-Formio...

— Ach, to Campo-Formio... — zaśmiał się Gintułt jadowicie. — Okrutną sprawił wam niespodziankę tem Campo-Formio! I to za tyle nadziei, po tylu przyrzeczeniach.

— Jeszcze nie skończone, nie skończone rachunki! — zaczął krzyczeć prawie Sułkowski. — Jeszcze żyje, jeszcze nie umarł, jeszcze przed nim i przed nami lata stoją otworem. Nażre się pychą, natka zaszczytów adwokacki syn z Ajaccio — i musi wrócić do roli żołnierza, która mocniejsza jest w nim, niż żądza sławy. Ale wracając do rzeczy... Teraz całe dni spędza sam jeden w gabinecie, zamknięty *sur les cartes immenses, étendues à terre*. Jeżeli gdzie bywa, to chyba w teatrze, i to *dans une loge grillée*. W ciągu tych dni czołga się od mapy do mapy z kompasem, cyrklem i ołówkiem w ręku. Tam, w tym zacisznym pokoju czai się, waha, zsiada i w cios zwolna zmienia straszna myśl. Napaść na wybrzeża Anglii, słyszysz? żelazny marsz na Londyn, czy na wybrzeża Egiptu...

— Szepcą o tem, a więc to prawda?

— Bywam u niego kiedy niekiedy, wzywany w sprawach specyalnych, taktycznych, do obliczeń, zestawień... Widziałem dawniej w jego cyfrach i w kałkułach, które z nich układał, tylko uderzenie Anglii, *au coeur*, olbrzymi pomysł, żeby ją zwalić z piedestału przez nagłą inwazyę, zdeptać potęgę kupców i na gruzach oligarchii zapalić ogień rewolucyi, żeby nauczyć swobody ten lud, któremu wydaje się, że jest wolny dlatego, że mu to wmawiają. Teraz już tego niema

Znam już plan inny: plan zwrócenia nacyi francuskiej imperyum nadnilowego, wyrwania Anglii organów jej siły. I jeszcze jedno, jeszcze jedno. To drugie *est décidé dans son esprit...*

— Czy tak?

— Ale teraz pozostaje... Mam nadzieję, że zatrzymasz wszystko, co mówię, w zupełnej tajemnicy.

— Możesz ufać mojemu słowu.

— Teraz pozostaje... *transporter un rêve dans le réel!* Porucza mi rozebranie rzeczy wykonalnych z kupy marzeń. Tę bezmierną sprawę, największą sprawę od czasu krucyat. Tego się uczę ze wściekłością, dniami i nocami.

— Tego?

— Tak. Uczę się tworzenia potęgi.

— Tworzenia potęgi... — powtórzył Gintułt.

— Można nauczyć się uderzeniem nogą w ziemię wywoływać z niej legiony, jak Pompejusz.

— Chciałeś powiedzieć, jak... Dąbrowski.

Sułkowski skrzywił się kwaśno. Po chwili rzekł:

— Nie. To przypadkowe zgromadzenie zbiegów, awanturników i poczciwców. Dąbrowski jest pionem, czy tam laufrem, w ręce pierwszego lepszego Berthier, albo Brune'a. Minęły czasy Czarnieckiego, i darmo go usiłuje naśladować. Oto masz przed sobą trzy tarany: *L'armée du Nord, l'armée du Rhin, l'armée d'Italie...*

— Widzę, — rzekł książę z uśmiechem bladej ironii na ustach, — że samą prawdę zawiera zdanie Buonapartego o tobie...

Płonące oczy Sułkowskiego szybko przygasły.

— Jakie zdanie? — zapytał głucho.

— Podobno, mimo położonych zasług, nie otrzymałeś żadnego wyższego stopnia, żadnego odznaczenia...

— Tak, tak! Nie dbam o odznaczenia.

— A kiedy ktoś z twoich przyjaciół zapytywał Buonapartego, czemu, patrząc na wszystko, co czyniłeś, pozostawił cię przecież w tym samym, co przed wojną, stopniu kapitana-adjutanta, miał odpowiedzieć: »Dlatego nie awansowałem Sułkowskiego ze stopnia kapitana, że od pierwszego dnia pod Mantuą na przedmieściu San-Giorgio, kiedym go poznał, uważam go za godnego jedynego awansu, to jest awansu na stopień naczelnego wodza«.

Sułkowski rzekł z opryskliwym uśmiechem:

— Nie on mię w każdym razie będzie nim mianował, tylko ja sam siebie! San-Giorgio! Pewno, żem mu pokazał sztukę. We dwustu grenadyerów wziąłem fort, klucz fortecy. A zresztą w jego opinii jest najfatalniejsza omyłka. Ja nie jestem jeszcze godnym awansu na naczelnego wodza. Ja w mem jestestwie. To już ja wiem lepiej od niego. Nie jestem jeszcze naczelnym wodzem, a gdy nim będę, to nie tutaj.

— Buonaparte musiał wiedzieć, co mówi.

— Mój drogi, znam ja siebie aż nadto dobrze. Wiem, czego we mnie wcale niema. Tego dotychczas nabyć nie mogłem. Nie mam w sobie organu, którym mógłbym wyczuwać... Tylko on jeden na ziemi, między tylu żołnierzami, ma w swych kościach ten ciągle pęczniejący, lwi szpik. Umiem ja już nie gorzej od niego przechodzić wzgórza trupów, umiem pracować spokojnie w środku ognia i być nieporuszonym w boju, kocham dym armat i huk ich paszcz ognistych, trzymam

w skupieniu uniesienie, jak na munsztuku dzikiego konia...

— Cóż więc jest owa władza, mój drogi?

— Nie wiem. Przed nią jedną drżą mi kolana.

— Nie rozumiem.

— Oto generał Francyi, sługa ojczyzny, obrońca rewolucyi raz do mnie rzekł w zaufaniu, z uśmieszkiem Włocha, Korsykanina, pół-Francuza z *Ażaksio*, że trzeba by ta sama Francya popadła w nierząd większy, niż teraz. Poniekąd dlatego idziemy do Egiptu, dlatego zarzniemy tysiące ludzi... — szepnął prawie z rozpaczą. — Zapomniał już na śmierć o uliczce Saint-Charles, o domu, z którego wyszedł. Ani już mowy o powrocie za zębate wysepki *Iles Sanguinaires* u wejścia do portu Ajaccio. Mary mu chodzą po głowie... »Tem gorzej dla republikanów, — rzekł mi wtedy — jeśli spalą na panewce swoją rzeczpospolitą«. Słyszałeś! Tem gorzej dla republikanów...

Książę Gintułt zaśmiał się sucho, krótko, dyskretnie.

— Toż mówiłem... — rzekł.

— Czy sądzisz może, że to jest w nim tylko pospolita pycha, nędzna podłość dorobkowicza, którego oszalały tłum ludzki wypchnął aż tak wysoko? Mylisz się: to nie jest tylko pycha. Jest to właśnie owa nadludzka potęga. Ja wiem, że on kocha siebie samego tak mocno, jak święty Antoni Padewski kochał Boga, że dla własnego celu napełnia ziemię swoją straszną niezmierzoną sławą. Ale w tym jego celu mieści się nowy świat, nikomu nie znany. On do niego zmierza bez przerwy, jak Kolumb do swej Ameryki. Tam się

poczynają i ciągną nowe dzieje okręgu ziemskiego. Pomyśleć!... Gdybym ja właśnie miał posiadać tę jego tajemniczą siłę... — mówił z uśmiechem dziecięcej boleści. Nowa ziemia. Moja nowa, odrodzona ziemia, którą widzę tak, jak tę oto mapę. Gdybym mógł stawać się bez drżenia, kiedy zechcę, nędznikiem, wówczas, gdy trzeba być bardziej potężnym dla celów olbrzymich, tylko mnie jednemu wiadomych! Władać swoją duszą i jej małemi nędznemi cnotami tak samo, jak wojskiem ludzi!

— Znienawidziłem wojnę i widzę, żem słusznie zrobił — rzekł obłudnie Gintułt. — »Milczą tam prawa, gdzie lśni oręż«. Tak niegdyś rzekł Cezar do Metellusa, gdy mu ten zabronił ruszać skarbu publicznego. Dodał jeszcze, że na wojnie prawo jest próżnem słowem.

— Wojnę! Ten jedyny pług, który drze ugory ziemi, żeby siewca mógł w rozerwane jej łono rzucać nowych zbóż ziarna, wydobywać z niej zamiast chwastu pszenicę.

Książę Gintułt uśmiechał się wciąż słabym, ironicznym uśmieszkiem. Sułkowski zamyślił się i rzekł po chwili...

— Znienawidziłem wojnę. I to po tem, cośmy widzieli! Znienawidzić wojnę po tem, com uczuł, stojąc pod gradem kul u mostu Żelwy! Po tej hańbie, która mi kopytami zmiażdżyła duszę! Więc mam przejść przez to krótkie życie, jak obserwator? Nic nie uczynić...

— Któż to powiedział?

— Ty! Bo tylko z mieczem w dłoni mogę sprawić, com zamierzył. Inaczej — nic! Jestem do tego

stworzony, tak samo jak do tego, żebym jadł i pił. Jeślibym miał siedzieć bezczynnie, pracować dla siebie, dla jakiejś ambicyjki, rodziny, familii, wsi, powiatu, uczyć się dla samej nauki, nie dla spełnienia wielkiego czynu, czynu-skoku ludzkości, to zabij mię, jak nędznego psa! Pamiętam, kiedym przybył z Konstantynopola, za późno, na pogrzeb, kiedy już trup pochowany w ziemi, a spadek rozerwali wierzyciele. Pamiętam, kiedym odchodził, a za mną na całej ziemi dymiła się krew wylana. O, nie! Kocham wojnę! Nadewszystko! Ja się jej nauczę całej, posiędę na własność wszystkie jej znane i tajemnicze siły tak samo, jak obejmuję i zabieram na własność arabski lub angielski język, ujmę ją w garść jak tę szpadę. Wtedy wrócę. Ja wtedy wrócę!

Skromny uśmiech nie ustępował z warg księcia Gintułta. Sułkowski spostrzegł go widać, gdyż zamilkł, jakby się w siebie cofnął i wejście zaparł. Wówczas gość jego rzekł cicho:

— W miarę, jak tracę wszelki gust do wojny, zaczynam go nabierać — czy uwierzysz? — do dyplomatyki.

— Dyplomacya — mówił Sułkowski innym głosem, prędko, sucho i prawie niegrzecznie — przypomina mi zawsze mego poczciwego stryja, Augusta, który mnie mizeraka sposobiąc na męża stanu, zabraniał mi surowo uczyć się matematyki, fizyki, chemii, twierdząc, że to czas zabiera, i że powinna mi wystarczać tak zwana ogólna wiedza o tych materyach. Natomiast główny nacisk kładł na umiejętność muzyki, śpiewu, malarstwa, gry w szachy i sztukę odgadywania zagadek.

To są umiejętności dyplomatyczne. Gdyby nie Solnicki, który po nocach, w sekrecie, wyuczał mię trygonometryi, inżynieryi, matematyki... byłbym dziś wściekłym dyplomatą. Mój stryj był człowiekiem spróchniałym, aczkolwiek wyklął mię i wydziedziczył za objawiony jakobinizm z werwą i życiem, ale dyplomatyka mniej więcej pod postacią sztuki odgadywania zagadek i dziś mi się przedstawia. Toż dyplomatyzowałem... Jeżeli zostaniesz mężem stanu, zwróć uwagę na jedyną w tej dziedzinie siłę fizyczną, za politykę wojenną.

— Bardzo powątpiewam, czy kiedykolwiek zostanę dyplomatą. Nie sądzę, żeby do tego przyszło. Mówiłem tylko, że mi się to podoba. Ja stoję sobie z boku i patrzę na świat, jak na piękną operę, cokolwiekbyś o tem powiedział, twórco uczynków. Jest to z pewnością zajęcie godne człowieka o ćwiczonym i wyższym rozumie zapuścić się w knieję zdrad, matactw, oszustw, podejść takiego, naprzykład, Talleyrand'a Perigord, ministra *des relations extérieures*, waszej rzeczypospolitej, poznawać je, psuć w sposób równie dowcipny, jak straszliwy dla całych krain, dla dziesiątków lat.

— Być może. A czy widziałeś tego Talleyrand'a?

— Byłem nawet na balu, wydanym przez niego na cześć Józefiny po jej przybyciu z Włoch w dniu 2-go stycznia.

— W hotelu Gallifet?

— Tak.

— Toż musiałeś widzieć tam i Buonapartego?

— Widziałem. Miałem to szczęście. Nie doświadczyłem wprawdzie wzruszeń tej dziewczynki, która

zbliżywszy się do niego ze drżeniem i przyjrzawszy mu się szczegółowo, zawołała do swej matki, pełna głębokiego zdumienia: *Maman, c'est un homme!* Przypatrywałem się więcej obyczajom demokratycznym i samym demokratom. Stroje dam! Józefina Buonaparte ubrana w tunikę grecką i *coiffée en camée...* Panie Tallien de Chateaurenaud, Adrienne de Cambis, de Creny... Te, jak *Sapho de Mitylène,* inne *à la Cleopatra.* I to wszystko w poczciwie sankiulockim miesiącu *nivôse...*

Sułkowski siedział w kącie sofy zamyślony.

— Byłem także — ciągnął Gintułt — w hotelu de la Chantereine.

— Bagatela!

— A tak. Podziwiałem z zachwytem salon z fryzami i malowidłami, wykonanemi przez uczniów David'a *stylobates en plâtre sur les bas-reliefs* przez de Moitte'a, meble w stylu greckim według de Percier'a... Nadzwyczajne! Zaręczyłbym, że ty sam, który dzieckiem bawiłeś się w Wersalu, na kolanach Maryi Antoniny, a chowałeś w młodości wśród przepychu dworów monarszych Europy, nie wiele widziałeś rzeczy bardziej przedziwnych. No i zrabowanych w sposób tak republikańsko-prostoduszny nie widziałeś tam na pewno. *Les camées, les statues, les tableaux, les antiquités...* Nadzwyczajnie!

— Mało mię to wszystko obchodziło dawniej i nic mię dziś nie interesuje.

— Jednak... dla tego... także prowadzi się wojny.

— Ja jej dla takiego celu nie prowadzę. Jako oficer niskiego stopnia nie mam prawa wstępu na te salony...

— No, ale posiedzenie tej Rady panów w turbanach, *du Conseil de cinq-cents*, musiałeś widzieć? Tego się pewno nie zaprzesz...

— Cóż cię w nich tak bawi?

— Zmiłuj się, czyżbym śmiał! Pięciuset mężów w białych spódnicach do samej ziemi, w płaszczach tajemniczego kształtu, a szkarłatnego koloru, w turbanach *de velours bleu!*

— Widziałeś?

— Byłem na posiedzeniach, ukryty w tłumie »obywateli« na jednej z galeryjek, słuchałem, gdy przemawiali z gestami zarazem srogich Rzymian, jak również cnotliwych handlarzy cielęciny, gdy dawali *l'essor à leur imagination.* I nic dziwnego: »*la carrière est ouverte au génie*«, więc korzystają.

— Przedstawiciele interesów ludu...

— A dopieroż *Conseil des anciens* w robach i tokach fioletowych, w białych płaszczach i pantoflach! Nie miałem szczęścia ujrzeć żadnego z członków *du Directoire exécutif* w wielkim kostyumie, ale może to i lepiej, bo zapewne nie byłbym w stanie znieść słabemi oczyma piękności tego stroju. Z pewnością przewróciłbym się ze strachu. Są oni przecie *plus puissants que les Monarques.* Raz tylko, gdy wystawiono w teatrze »Horatius'a Cocles'a« był w loży *le Directeur* Barras, ale ten, aczkolwiek najgłówniejszy, nie sprawił na mnie rażenia czegoś potężniejszego od monarchy. Owszem, wygląda na to, czem zapewne był i jest z przyrodzenia i woli Bożej: jak tłusty siepacz, szlachetnie udrapowany i odpowiednio rozdęty przez imaginacyę. Ale czy nie sprawiam ci przykrości, mówiąc w ten sposób?

— Nie. Myślałem teraz o czem innem.

— Ach, tak?

— Słyszałeś pewno o Joubercie?

— Generał Joubert?

— Tak jest. Czy też powtórzy się to samo tam, w czerwonych wydmach, u brzegu pustyni? Czy też spotkamy tam dziką wściekłość chłopów Tyrolu? Gdybyś to widział! Tych ludzi mocnych, wyniosłych, zwinnych, w ciemnej odzieży, przepasanych szerokimi pasami, nabijanymi błyszczącą cyną! Tak pewno żelaznym legiom Cezara ukazywały się w wąwozach Gaster, u podnóża lodowatej góry Glernisza, w puszczy Helweckiej plemiona Orgetorixa. Tak pewno mężnie zstępowali ku łacińskim zastępom z *Adula mons* Germanowie nieprzemierzonych gór, odziani w skóry krów i jałowic, z rogami byków na głowach, z bukowemi maczugami w ręku, jak ku nam ten lud górski, ukazujący się z pieczar, ukrytych na wysokości między niebem a ziemią. Było to nowe starcie rodu łacińskiego z plemieniem germańskiem. Szli przeciwko naszym czworobokom, najeżonym bagnetami, wielkimi kroki, w najgłębszem milczeniu. Bili się na śmierć, nie wydając jęku, ni krzyku zachęty. Ani jeden nie prosił o darowanie życia. Tarzając się po ziemi, walczyli na ciałach konających towarzyszów. Porywali żołnierzy naszych za bary, wydzierali im z rąk karabiny i, chwytając je za bagnety, zadawali z niewidzianą siłą ciosy, jak maczugą. Tysiące ich zasłały ciałami pole bitew. Żołnierze nasi patrzali na te trupy ze czcią. Starzy wojacy nasi mówili że porozszarpywane bagnetami ciała ich wylewały ze siebie nadnaturalną, jakby podwójną ilość krwi.

Książę Gintułt w milczeniu słuchał ze zwieszoną głową. Gdy Sułkowski skończył, rzekł z westchnieniem:

— Słuchając tego, zdaje mi się, że czytam historyę dzikich walk Cezara z Pompejuszem.

— Prawdziwie. Joubert, który przeszedł strasznemi dolinami Sterzingu, pchając przed sobą Laudona wśród wzburzonego ludu gór, Joubert, który otoczony ze wszech stron, zdołał wtargnąć do kraju nieprzyjaciół i otworzyć drogę do stolicy, wart porównania z Pompejuszem.

— Wszystko to nie warte jednego wiersza Dantego.

— Ciesz się do woli tą pewnością! Cha-cha! Nie warte jednego wiersza Dantego... Wiem to nie z książki, nie z mądrości cudzej, lecz ze siebie, ze swego własnego przejrzenia, że wszelkie słowo w istocie swej jest czcze i próżne. Nawet słowo najgenialniejszych poetów. Nawet spisane natchnienie proroka. *Oblectamenta et solacia servitutis*... Wielkimi są tylko czyny. One jedne równają się siłom przyrody, niweczą ich wszechmoc i wszechmoc naszej, ludzkiej śmierci. To też życie bez wielkiego czynu jest nędzą i głupstwem. Takież życie przepędza kuna, pies, motyl. A zresztą... Oto zbudziły się w nas ambicye Antoniusza, i już ich mowa ludzka nie zażegna. Przechadzamy się po lądzie ziemskim, dyktując mu nowe, wysokie prawa. Idziemy z kolei obaczyć, jak wojują lotne, bezdomne ludy Masagetów, Parsów, Numidów. Wyzywamy na rękę potomka Masynissy, i pogromcę, co w spalonym od słońca stepie dopada, ujarzmia miedzianą pięścią i osiada lędźwiami z żelaza dzikiego konia Arabii. Pieni się już nasze da-

lekie, dzikie, ciemnobarwne morze. Tłucze się z gniewem o czerwone skały Korsyki, o żółtą Kapreję, o błękitną Elbę, o granitowy brzeg Malty. Przez wieki na nas czekało. Idziemy, żeby wziąć we władanie jego bałwany aż po zdradzieckie mielizny Syrtów, po żółte piany Suezu. Wiatrom, nie znającym nad sobą przemocy, każemy ryczeć w nasze białe żagle. Niechaj dźwigają wielkie korwety bojowe. Rozkosz mi sprawia myśl o słonych, błękitnych samotniach morskich, nad któremi pod chmurnem niebem rozlega się krzyk dzikich gęsi, lecących z posępnych ściernisk Północy, o tym tajemniczym egipskim lądzie, który pożarł wielkie ludy, piaskiem zasypał ich dzieje a skostniałą ich mądrość poruczył liktorskiej straży hieroglifów. Czuję tęsknotę do powiewów słonego wiatru pustyni, kamsinu, co opalał śniade skronie Ramzesa Drugiego, Miamen, Sezostrysa, który zdeptał barbarzyńskie ludy aż po Kolchidę i Phasis, a na długich okrętach swoich wziął w posiadanie morze aż po erytrejskie wybrzeża. Czuję radość na samą myśl, że wciągnę w płuca ten wicher, który genialnemi myślami upajał czoło wodza Antoniusza i czoło wodza Aleksandra, który owiewał najcudniejsze lica tej ziemi, królewskie jagody Kleopatry, i zeschłe oblicze Pawła, pierwszego pustelnika, nieśmiertelnego, jako duch, i nieśmiertelnego, jako ciało. Dotykam we śnie stopami gorącej ziemi pustyni, odbywam piaszczyste przeprawy... Dławi mię po nocach niezrozumiała, pełna trwogi tęsknota do straszliwej, beznosej czaszki Sfinksa.

Książę Gintułt wstał niecierpliwie, przeciągnął się... Chwilę się wahał, jakby w zamiarze wyznania Sułkow-

skiemu ostatniej, najgłębszej calizny swych myśli, lecz nagle zamilkł. Ujrzał w jego twarzy zimne, żelazne upojenie, w oczach siłę rozumu, którego rozwinięć niepodobna było ogarnąć, ani odeprzeć, a w ściśniętych ustach lodowaty połysk czynu. Przeszedłszy tedy tam i z powrotem po izbie, wziął kapelusz i pożegnał przyjaciela uściskiem dłoni.

Gdy wyszedł na ulicę, deszcz zmieszany ze śniegiem ćwiczyć go zaczął po twarzy i zalał oczy. Książę owinął się w płaszcz, kapelusz nasunął na czoło i biegł ciemnemi ulicami. W piersiach jego szerzyła się owa cudna w swej mocy i szerokości rana, z której, niby krople krwi, sączyły się westchnienia. Szedł krokiem coraz bardziej przyśpieszonym, zaciskał pięście i mamrotał do siebie jakieś wyrazy urwane, które się w jęk głuchy, w zduszone łkanie przelewały.

»UTRUM BUCEPHALUS HABUIT RATIONEM SUFFICIENTEM?«

Z wielką biedą i narzekaniem profesorów Rafał *de* Olbromski przebrnął zawiłości wersyfikacyi Horacyuszowskiej, oraz innych wieszczów Rzymu — i ukończył »chlubnie« *poetykę*. Tym sposobem zdobył prawo wstąpienia do Akademii. W rzeczy samej, ku zdumieniu kolegów i reszty świata, zapisał się na filozofię. Ten jego niepośledni zapał do nauk austryjackich, oraz umiejętności powszechnie łacińsko-niemieckich, miał swoje własne przyczyny. Książę Gintułt opłacił był za swego wychowańca wikt i mieszkanie tylko za rok jeden i siedział gdzieś w obcych krajach. Ani wiedziano, ani słyszano, gdzie się obraca. Rafał został na ulicy. Do domu wracać nie miał ochoty, ani możności, a udać się do Grudna nie śmiał. Młodzi książęta, umieszczeni w pensyonacie prywatnym, prowadzonym przez emigrantkę Francuzkę, gdzie mieli konwersacyę i odbierali lekcye poloru, nie trzymali z chudeuszem kompanii. Zresztą, dla oka tylko i zadowolenia zwierzchności, która żądała kończenia gimnazyów politycznych, uczęsz-

czając do szkół, rzadko go widywali. Po ich wyjeździe na wakacye, nie zaproszony wcale, Rafał został na koszu. Nie miał, co prawda, chęci wyjeżdżać z miasta. Bawił się tu arcy-wesoło. Mecenas Dorszt, prowadzący interesy grudzieńskie, u którego mieszkał, wcale nie zajmował się jego edukacyą, ani tem mniej konduitą. Ze swej izdebki obok kuchni de Olbromski miał możność wymykania się na miasto w każdej porze dnia, tudzież w każdej porze nocy. To też używał, osobliwie w karnawale. Miasto Kraków aż drżało od zabaw, huczało od muzyki. Zamożna szlachta zjechała z całej Nowej Galicyi. Reduty i bale nie ustawały. We fraczku francuskim, jaki studenci retoryki i poetyki nosili z urzędu dla odróżnienia się od niższych, z polska odzianych uczniów klas łacińskich, dostawał się tu i owdzie na bale, wprowadzany przez zamożniejszych kolegów, i hulał do upadłego. Umiał już prowadzić angielskie kontredanse, francuskie kadryle, strasburskie i styryjskie sztajery. Bardziej wszakże, niż tańce, wciągnęło go i porwało życie publiczne w *kafehauzach*, z niemiecka urządzonych. Bilard, karty i tajemne uczęszczanie na pijatyki były przez całą zimę na porządku dziennym. Nadaremnie prorektor gimnazyalny Himonowski (od powtarzanego często przysłowia zwany *Nempe*) ścigał łobuzów dniami i nocami. Umieli zawodzić znakomicie jego czujność i przyprawiać ciało pedagogiczne o zgrozę, rozpacz i przedwczesne łysiny. Zadymiony i cuchnący kafehaus Gerersdorfa z olbrzymią fajczarnią, zatłuszczonymi stołami i podartymi bilardy miał tajemniczy urok, którym przyciągał. Tylnem wejściem po brudnych schodach wpadała codziennie

młoda banda, opanowywała bilard i spędzała tam rozkoszne godziny, dopóki straż, stojąca na czatach, nie dała znać, że nadciąga »Himcio«, lub którykolwiek z belfrów. Nie mniej namiętnie grano w karty. Szulernie takie tworzyły się u kolegów, mieszkających pod opieką krewnych, a kwitły także i na pensyach, utrzymywanych przez profesorów. Zaczynało się niewinnie od stawiania na kartę kilku czeskich, a kończyło nieraz straszliwą przegraną kilkudziesięciu reńskich. Wygrane dawały możność tajemnego uczęszczania na teatr niemiecki i, co stanowiło rozkosz najwyższą, na balet, świeżo przez Niemców dla szerzenia cywilizacyi założony. Kilku z młodzieży, kończącej szkoły, miało opinię, o czem miasto szeptało ze zgrozą, uczęszczających zakulisy.

Do ostatniej kategoryi Rafał nie należał z braku niezbędnych po temu funduszów. Gdy minęła zima i zbliżał się czas drugiego w roku szkolnym egzaminu, trzeba było przysiedzieć fałdów. Ale rozbuszona imaginacya i zastarzałe próżniactwo wytrącały z rąk książkę. Skoro ziemia obeschła, Rafał począł wymykać się za miasto, do okolicznych lasów, na górę świętej Bronisławy, w stronę Krzeszowic i Bielan. Zbudziła się uśpiona tęsknota. Obce, jakby przez wiatr wiosenny przyniesione uczucie ocknęło się w piersi. Zdarzało się, że szedł polami, o niczem nie myśląc i nic nie widząc, z oczyma wlokącemi się po szarym gruncie, aż oto jęk w sobie słyszał żałosny, wyrzut tak dokuczliwy, że stawał zdjęty trwogą najgłębszą, strachem i okropnością zjawiska. Twarz zakrywał rękoma, ażeby nie widzieć w myślach samego siebie.

— Helena, Helena... — świstały młode trawy, przez, wiosenny wiatr kołysane. Ale nim dzień upłynął, wszystko przywalił gruz, i zasypało suche wapno. Mijały znowu tygodnie głuchego zapomnienia, zupełnej ciszy i rozpustnej nicości serca.

W tym czasie najbliższe pobratymstwo Rafał zawarł z koleżką Jarzymskim. Był to zamożny chłopiec, sierota, zostający na opiece swego stryja, byłego rotmistrza kawaleryi narodowej. Opiekun miał duży majątek w okolicach Siewierza i usiłował ściśle kontrolować wydatki pupila, który rzucał pieniądze na prawo i lewo. Młody Jarzymski czekał tylko chwili dojścia do pełnoletności, żeby się wyprządz z twardego jarzma opieki stryjowskiej. Nim wszakże to nastąpić mogło, musiał, w braku gotowizny na reprezentacyę bilardową i baletową pożyczać, skąd się dało. U niego też odbywały się najbardziej hazardowne gry po nocach, oraz pijatyki. Od niego wyruszano na reduty. Jarzymski miał zawsze u siebie kilka butelek doskonalego węgrzyna ze składu Kraussa, on dla studentów gimnazyalnych był wyrocznią mody i twórcą tężyzny. Olbromski był jego prawą ręką, pomocnikiem i powiernikiem. Kasę mieli wspólną. Dzielili się nią w sposób wzruszająco-arkadyjski, równie bezinteresownie, jak każdym zapałem dla nowej gwiazdy baletu, albo zawodem w karcianych przegranych. Właśnie dzięki tylko tej przyjaźni z Jarzymsiem de Olbromski wstąpił na filozofię. Rotmistrz-opiekun wymagał natarczywie studyów, chciał widzieć swego wychowanka na jakimś urzędzie, które się otwierały po dystryktach, pragnął, żeby koniecznie zdał egzamin na komornika, co dawało bardzo dobre

akcydensa. Nakłaniał przeto Jarzymskiego prośbą i groźbą do wstąpienia na Akademię i do słuchania lekcyi prawa natury, które wykładał *utriusque juris doctor* Nemetz, oraz na prawo cywilne, tłómaczone przez adwokata Litwińskiego. Jarzymski, pragnąc żyć w zgodzie z opiekunem, z boleścią przystał. Namówił dla towarzystwa i Rafała do składania egzaminu z pięciu klas do Akademii. Pod jesień, spędziwszy lato w mieście, już obadwaj zdali »chlubnie« i otrzymali świadectwa, upoważniające ich, jako alumnów, do słuchania filozofii. Rafała nie bawiło wcale to przeniesienie się z liceum świętej Anny do kolegium. Znudzony już był do syta łaciną, niemczyzną, książkami i kajetami. Nigdy nie zadawał sobie trudu rozumienia, poco się to wszystko odbywa, czemu wolno w rozmowie z nauczycielem niezrozumiały wyraz łaciński zastąpić niezrozumiałym wyrazem niemieckim, a nie wolno zastąpić go zrozumiałym polskim. Nigdy się nie rozpadał ani nad łacińskimi wierszami, ani nie brał do serca nauki o sylogizmach, więc i teraz szedł w gronie koleżeńskiem z obojętnością i wzgardą do paplania belfrów. Niektórzy z jego współdryblasów czytywali ukradkiem książki polskie (»Pierwiastki Annusi«, »Przygody i awantury Markiza« i t. d.), zabłąkane z dawnych czasów. Niektórzy pisywali nawet wierszydła do bogdanek, rymy okaleczałe wykrzywioną a nierozwiniętą mową, wedle przypadkowego wzoru starych pieczeniarzy i panegirystów doby Stanisława Augusta, którzy teraz, dziwnem losu zdarzeniem, byli mimowolnymi siewcami mowy naddziadów. De Olbromski nie chwytał nigdy za lutnię. Myślał wprawdzie po polsku, ale przez czas pobytu w szkole,

nie słysząc zgoła wyrazu rodzinnego, po skończeniu gimnazyum nie umiał godziwie listu napisać i ledwie czytał we wzgardzonym języku. Daleko lepiej władał piórem w mowie niemieckiej i wcale dobrze mówił tym językiem. Mocno nim zresztą pogardzał, równie jak wszechobecną i zawsze nudną łaciną.

Jednego dnia w porze zimowej lektorya Kolegium miały słuchaczów daleko więcej, niż zwykle. Nawet na wykładzie pana Lody, »profesora Logiki i Metafizyki«, widać było drabów z Proszowskiego i Skalmierskiego, którzy zazwyczaj świecili nieobecnością, zalegających ostatnie ławy. Pan Lody zwracał się do nich z miłością i często im zadawał objekcye, usiłując przyuczyć zachodnich i wschodnich Galicyan do pięknego kunsztu władania wykwintnymi sylogizmami. Łatwość tłómaczenia się po łacinie (a wszystkie objekta w tym języku były wykładane na krakowskiej filozofii) nie na wiele się przydała, wrodzona dobroć połączona z niezgłębioną nauką nic nie pomogły, gdyż większość słuchaczów grała najspokojniej pod ławami w karty. Ciepło w salach Kolegium zwabiło tego dnia tak wielki zastęp filozofów. Jedni z nich drzemali, inni przypatrywali się grającym, jeszcze inni zajęci byli lekturą rzeczy znacznie od połączonej z Logiką Metafizyki weselszych (»Pierwiastki Annusi« i t. d.). Do grona zajętych grą w karty przyłączył się i Rafał. Czy profesor spostrzegł szczególne ożywienie na jego licu i wytłumaczył je sobie, jako skutek głębokości wykładu, czy, zatopiony w bezdennych głębiach dociekania, uczynił to bez namysłu, dość że zadał nagle Rafałowi kwestyę:

— *Utrum Bucephalus, equus Alexandri Magni, habuit rationem sufficientem?*

Olbromski władał łaciną znacznie lepiej z czasów jeszcze sandomierskich, niż starsi od niego uczniowie z reformowanych przez Komisyę szkół polskich, ale zaskoczony znienacka, z kartami w ręce, pragnąc co prędzej pozbyć się nudziarza, zaczął wywodzić niestworzony sylogizm i dowiódł wreszcie, że koń Aleksandra był obdarzony rozumem. Nie wszystkie subtelne wiązania przesłanek sam spłodził. W znacznej mierze przyczynił się do tego Jarzymski zdradzieckiem podpowiadaniem. Rafał tak został wzburzony śmiechem, który wzbudziło jego dowodzenie, że, zapomniawszy się do żywego, machnął ręką, w której właśnie trzymał karty. Profesor spostrzegł ten objaw zepsucia i z rozszczepionymi palcami oddalił się z okręgu Sodomitów, otrząsając pył z trzewików, a puder z francuskiej fryzury, ozdobionej szynionem na tyle metafizycznej głowy. Długo jeszcze nie mógł przyjść do słowa. Pierś jego falowała pod żabotem, i usta wyrzucały (łacińskie zapewne) wyrazy oburzenia i zgrozy. Całe zajście straciło na tragizmie wówczas dopiero, gdy profesor wyszedł, a miejsce jego zastąpił staruszek, mocno już pochylony laty, kanonik Andrzej Trzciński, profesor fizyki. Przyszedł zziębnięty, jak kość, w swej wytartej sutannie, z powichrzoną siwą czupryną. Dla rozgrzania się kazał służącemu przynieść sobie szklankę kawy i bułkę. Miał właśnie wyłożyć zebranym dowodzenie *de porositate corporum*. Kawa i bułka znakomicie nadawały się do uzmysłowienia filozofom prawdy dowodzeń. Ucieszony tak doskonałym zbiegiem wydarzeń nie chcąc

czasu tracić, sławny autor »Zakusu nad zaciekami wszechnicy krakowskiej« popijał ciepły napój, a maczając w nim ciasto, z zapałem głosił prawdę o wsiąkaniu kawy z cukrem w nadgryzioną bułkę. Tymczasem Jarzymski, któremu karta nie szła, mrugnął na jednego z kolegów, a tamten począł zagadywać fizyka. Kanonik zbliżył się do ławek i wdał w dyskurs zajadły. Wówczas poza jego plecami Jarzymski wysunął się na środek, wypił kawę i zjadł bułkę. Gdy resztę połykał, staruszek przypomniał sobie filiżankę.

— *Ubi est mea caffa?* — spytał ze zdumieniem, zwracając się do audytorjum.

Jarzymski otarł usta, skłonił się grzecznie i odpowiedział:

— *Caffa et bucella per attractionem corporum venit ad meum stomachum.*

Ponieważ materyału do doświadczeń nie stało, kanonik zafrasował się i począł uskarżać na zimno. Wreszcie, nie czekając końca godziny, ruszył na kawę do domu.

SKRYTKA.

Na wiosnę tegoż roku Rafał pokłócił się z przyjaciółmi, a osobliwie z Jarzymskim, i stracił w Krakowie grunt pod nogami. Wymówiono mu mieszkanie, zgrał się w karty do nitki, spadło nań tyle odrazu nieprzyjemności, tak mu obmierzło uczęszczanie do kolegium, że postanowił emigrować... Ale dokąd? Długo ze sobą walczył, aż wreszcie powziął decyzyę: nikomu słowa nie mówiąc, ruszył do domu. Zjawił się tam w pierwszych dniach kwietnia, przed wielkanocnemi świętami. Śniegi już były spłynęły, choć jeszcze czarnemi szmatami leżały tu i owdzie w parowach. Drzwi chat były już otwarte, jakby na przyjęcie idącej wolno Marzanny. Zdala na wzgórzu ujrzał rodzinną habendę. Jakże mu się ten niski, szary, białościenny dom wydał upragnionym i drogim! Gdy najęte szkapięta zajechały przed ganek. Rafał zwolna wysiadał i nie kazał woźnicy odjeżdżać. Ale na spotkanie wyszedł sam stary cześnik, kazał furmanowi wracać do siebie, a nawet dołożył złotówczynę na piwo. Rafał został łaskawie przyjęty. Otoczono go kołem i oglądano jak Wę-

gra z towarami. Matka dotykała rękoma jego włosów i gładziła je nieznacznie, siostry dziwiły się i admirowały przetarty mocno fraczek, oraz wyszarzane pończochy, nawet stary pan, choć nadąsany i chmurny, pozwalał synowi mówić do syta i z pełnego serca, nadto śmiać się raczył, pytać łaskawie i często przytakiwać. Gdy wspomniano Piotra — płacz się rozległ. Serce Rafała zmiękło, i oczy zaszły łzami. Miał chwilę tak dziwną, że pragnął rzucić się do nóg rodzicielskich, wyznać na wzór syna marnotrawnego wszystkie swe, najtajniejsze winy, spełnione w Grudnie i Krakowie. Chwila ta przeminęła szybko, i do wyznań nie przyszło.

Po świętach wielkanocnych, w czasie których Rafał był osobą interesującą całe sąsiedztwo, nastał czas siewu, robót w polu. Stary cześnik kazał fraczki i pończochy ex-filozofa schować do szafy, a do narożnej izby zanieść strój ziemiański: drelichową katankę, takież hajdawery, uszyte przez nadwornego Judkę, grube buty, spłodzone przez nadwornego Wąsika, i słomiany kapelusz, używany już w roku zeszłym przez członków familii, a wypleciony z własnej słomy pszenicznej przez owczarza Joachima. Buty były potworne, o stopach, jak szufle, obcasach niestruganych, z podkówkami i cholewami, których nagi jucht przebijał z pod łoju i jakiegoś cuchnącego czernidła. Wciągając na wydelikacone nogi te statki, Rafał zatrząsł się z obrzydzenia i owiany został płomieniem wstydu. Przyszła mu na myśl księżniczka Elżbieta.

— Warto, żeby mię zobaczyła w tym kostyumie! — pomyślał wśród dreszczów dokuczliwego szy-

derstwa. — Miałaby przynajmniej dobry pretekst do pośmiania się prawdziwego...

Mimo to przywdział domową odzież i szedł na pole, gdzie mu kazano. Wszystko w sobie zagłuszał, umyślnie przyciemniał najmilsze wspomnienia. Całe dni trawił na polu, wśród szarych, z lekka już pylących ról sandomierskich. Chodził za pługami, dozorowa. siewu, jeździł na folwarcznych wozach z workami i na szkapie folwarcznej z byle interesem. Wnet ogorzał, ręce mu zgrubiały, fryzura à la Titus zmieniła się na czuprynę à la Bartek. Powiedział sobie, że wszystko, co było dotychczas, było złe. Postanowił słuchać we wszystkiem rodziców i nic zgoła przed nimi nie taić. Tak będzie myślał, jak oni, tak będzie postępował, jak oni sobie życzą. Jak najsilniej zdecydował się zapomnieć o miłostce dla Heleny, która ze swą opiekunką bawiła wciąż jużto w Berlinie, gdzie prowadziły jakieś procesy spadkowe, już, latem, u wód w Bardyowie na Węgrzech.

W celu zupełnego wygnania z pamięci tej panny, odprawiał trudne nad sobą egzorcyzmy. Umyślnie wyjeżdżał na szkapie daleko w pole, skąd widać było Dersławice. Stawał tam i patrzał na siwiejące w dalekim krajobrazie kępy drzew, podobne do obłoków. Kępy te miały zawsze ten sam kształt, zawsze jednako było je widać, niby złudne marzenia, które ostygły w powietrzu i rozwiać się nie mogą. Rafał nie chciał pozwolić sobie na myślenie o dersławickich drzewach, o tamecznym ogrodzie, nie chciał zmiłować się nad sobą i dać folgi tęsknocie do kwiatów, które się tam rozwijały na rabatach pod cichym zgrzytem okiennicy.

Nakazywał sobie obojętność, śmiał się ze siebie, drwił dowcipnie ze swej głupoty i rozumował tak mądrze, jakby go słuchała cała familia w komplecie. Zawracał konia i jechał do domu spokojny i pewny siebie. Zdarzały mu się jednakże chwile niepewności.

Jednego dnia zaszedł niespodzianie na kraniec niwy, leżącej na płaskowzgórzu, które z dwu stron okalał głęboki rozdół. Było to w końcu kwietnia, kiedy murawa ledwie się puściła. W głębi parowu, u stóp swoich, Rafał ujrzał przeźroczystą, pierworodną zieleń moczaru. Słońce wskrzeszało stamtąd omdlałe, półprzejrzyste mgiełki o barwie perłowej muszli, zarazem błękitnawej i jakby różowej. Kilka maleńkich fal fijołkowej wody drgało i lśniło się tam między nowotnymi badylami, jak samo słońce. W owej to chwili cudna mgła zarzuciła na duszę praktykanta w trzeźwości swe niewidzialne, nieujęte ręce. Uczuł na sobie smugi jej rozkosznych pokus, niejasnej, nadmiernie uroczej względności wszystkiego, co mogłoby być inne, niż jej wola tajemnicza, pełna radości. Patrzał zdumionemi oczyma, pełnemi mgły wiosennej w jasną łąkę, obejmował ją wzrokiem duszy, z krzykiem uniesienia, ze drżeniem przygarnął do ust jej widok... Za wrzeciądzami rzeczywistości, które go trzymały w więzieniu, otwarł mu się przez szczelinę pozór na niewysłowiony dreszcz trawy i wodnego zalewiska, na przedwieczny a najwyższy cud wszystkich sił świata, na rodzenie się, na wschód wiosenny życia. Krynica pierwiastkowego uczucia i dokładnej wiedzy o niem na chwilę rozchyliła się przed jego duszą, ukazała cudowne kłęby wody wiekuistej. Spływał stamtąd tajemny, bojaźnią i wzrusze-

niem tworzącem przenikniony powiew i nakaz, prawie szept czy śpiew: Módlmy się... Była to chwila tak osobliwa, sama jedna, pustelnicza, że się jej przeląkł. Ale nim się obejrzał, już znikła. Znikła bez śladu, bez znaku, bez cienia swego bytu, niby bróżda wyorana w powierzchni jeziora przez uderzenie wiosła, które dokądś, u boku szybkiej łodzi, w dal niezgłębioną odpłynęło.

Wrócił do roboty i w ciągu wielotygodniowych zajęć zapomniałby był o tem dzieciństwie na zawsze, gdyby nie siostra, nie Zofka. Za ogrodem, który pokrywał strome zbocze wzgórka, leżał szmat nieużytku, zarosły w dole gąszczem olszowym, wyżej tarniną. Stało tam jedno wielkie drzewo na urwisku gliniastem, brzost stary, rozrosły i napoły uschły. Z pomiędzy jego konarów wypływało źródlisko wody zaskórnej i kilkoma strumykami ciekło między olchy. Na wiosnę, w maju, było to miejsce przecudne. Żyzne wyziewy wznosiły się stamtąd, karmiąc chciwie nachylone krzewiny i zielska. Brzegi stoku bramowały się za tych dni kępami niezapominajek, a strumienie płynęły między żółtemi ogniskami jaskrów. Cudne kwiaty wznosiły się nad wodą i schylały ku niej rozmarzone głowy. Wyrastały tam kwiaty nigdzie nie widziane w tych stronach, fantastycznego kształtu, jak dziecięce nocne marzenia. Strzelały z grzęzawiska sity martwice, jak kołczan obłych strzał żelazno-zielonych, gibkich, kończystych, opatrzonych u boku w kistki ciemno-dzikie; rozwidlały się, jak drzewka, wysokie dudy, łodygi wewnątrz puste, o ścianach nasiąkłych wodą, z których samotne dziecko pańszczyźnianego chałupnika czyni

sobie piszczałkę i gra na niej jednostajną, uboższą, niż ptasia, piosneczkę. Samotnie stały pałki o wąskich liściach, długich na kilka łokci, podobnych do mieczów, a z pośrodka nich wyrastały proste pędy z ciemnoszarymi wełniakami, które słońce w perzynę obróci. Po mokrem zboczu nad stokiem zwisał mech barwy tak żywej, że zacierał rozkoszny błękit niezapominajek, a z pomiędzy jego zwojów czołgała się ku wodzie masa szerokich liści, niby monstrualnie rozrosłe żabie nogi z mokremi błonami. Były to liście szorstkie, najeżone mnóstwem chropawych kolców. Zdawało się, że te żywozioła wciąż syczą i wciąż drżą w bezsilnym gniewie, że trupie ziewy chuchają z pod ich błon zielonych, i martwe oczy lśnią pod nieruchomemi powiekami. Tam także rosły kosaćce błotne, zwane płonemi, a nadewszystko rosły »jaskółki«, kwiaty o szerokich liliowych kielichach. Gdy Rafał ujrzał pierwszy z nich, nagle mu przyszło na myśl, że ten kwiat to księżniczka. Nadobny kwiat sobie samemu pięknością przyświecał w tem zaciszu. Wynurzał się z mokrych traw i zatapiał w duszy człowieka cudnej siły niezwalczony urok. Rafał złamał kruchą łodygę, przycisnął do warg subtelny kielich i zdusił go, zdruzgotał, spalił pocałunkami.

Jednego dnia Rafał zastał przy źródełku siostrę. Zofka przez czas jego nieobecności dojrzała, wyrosła i stała się piękną dziewczyną. Rzadko się wydywali na osobności. Schodziła teraz z góry małą ścieżką, wyżłobioną w glinie. Nie spostrzegła go i nucąc zcicha, poszła na prawo od źródła. Rafał widział jej głowę z płowymi włosami, przesuwającą się między tarniną,

którą oblewał kwiat śniegowy. Dziwnem mu się to wydało, że siostra mogła wejść z taką swobodą w ten bugaj dziewiczy, którego on sam nigdy jeszcze nie przekroczył. Udał się tam i ze zdumieniem zobaczył głęboko w ziemi wyrytą między cierniami ścieżkę, która chyłkiem szła w górę do skrytej w gąszczach altanki. Darniowa ławka zajmowała połowę tego schronienia. Nad nią zwartym, nieprzeniknionym gąszczem stały czarne ciernie, okryte kwiatem. Dziki chmiel przerzucał tu i owdzie swe mocne nici, i jedna tylko biała brzózka o pękającej białej korze wzdychała nad tem miejscem, gdy cichy wiatr czesał jej długie srebrnozielone włosy.

Zofka zarumieniła się, zczerwieniała, ujrzawszy brata. Ona, praktyczna gospodyni, od świtu do nocy zajęta krowami, cielętami, kurami, gęśmi, spiżarnią i kredensem, siedziała tu, schwytana na gorącym uczynku »egzaltacyi«, tak zgubnej i tak ogólnie potępionej... Sama wykopała tę ścieżkę, sama zniosła kamienie i okryła je ziemią a darnią. Poco? Naco? Żeby przychodzić tu na wiosnę i siedzieć »sobie«. Jakże teraz żałowała tego, co się stało, gdy brat patrzał na nią drwiącemi, męskiemi oczyma! Nic nie mogła powiedzieć na swe usprawiedliwienie, nic a nic. Ani jednego praktycznego względu! Nie było to ani dla dobra krów, ani dla wygody cieląt, ani dla gęsi, ani dla czeladzi. Dla nikogo... Spuściła oczy, i ponury wyraz bezsilnej hańby odmalował się na jej twarzy. Siedziała tak dość długo, skubiąc palcami trawę. W końcu rzekła:

— Rafał, nie mów tatuńciowi dobrodziejowi, żeś mię tu zastał...

— Nie mówić?

— Nie mów!

— A to mi ty powiedz, poco tu siedzisz?

— Nie mów! Zobaczysz, że nie będziesz żałował. Nieraz ci się odwdzięczę.

— Powiedz, poco tu siedzisz?

— No, tak siedzę, i koniec. Jak się zmęczę w kuchni, przy praniu, to tego... To przyjdę tu i odpoczywam sobie.

— A to nie możesz odpoczywać w ogrodzie? Nie tutaj, między tarkami?

— No, a cóż ci to przeszkadza, albo komu? Tu mię nikt nie widzi, a tam zaraz która z dziewek zobaczy i woła a to do obory, a to do piekarni...

Rafał umilkł. Stał jakiś czas u wejścia, rozglądając się. Po chwili usiadł obok siostry na ławce. Srokosze kuły dokoła swe metaliczne piosenki, z trwogą odpędzając natrętnych ludzi od gniazd skrytych w gąszczu pod kwiatami. Trznadle zanosiły się od gminnych melodyi. Dwa pospolite, białe motyle unosiły się w przestrzeni, jak gdyby skrzydlate płatki kwiatu. Po pewnym czasie Zofka podniosła się i, nie powiedziawszy słowa, wybiegła. Rafał został jeszcze długo, leniwie wyciągnięty. Kilka godzin przeszło, a on nie wiedział o tem wcale. Zdawało mu się jak przez sen, że jest w Wygnance. Zapomniał się i zbłąkał w puszczy dawnych marzeń. Byłby przysiągł, że dolatujący do ucha łoskot — to echo Urysiowego kilofa, że słychać wołanie Michcika...

Kiedy spostrzegł się i schwytał na uczynku tak niecnego próżniactwa, co prędzej wyszedł i ruszył

w pole, postanawiając do tej dziury nigdy już nie wracać. Ale po upływie dni kilku, niechcący znowu tam trafił. Dobrze się jakoś w tem miejscu myślało. Wsparł tedy głowę na ręku i myślał. Zbudził go szelest... To Zofka skradała się na palcach, badawczo wychylając głowę z za tarniny. Gdy go spostrzegła, chciała uciekać, ale już ją zobaczył i śmiechem rubasznym przytrzymał. Weszła tedy i usiadła. Nie była już tak strwożona, jak wówczas, gdy ją wytropił. Owszem na twarzy jej malowała się żywa jakaś i zawzięta ciekawość. Wszczęła z bratem rozmowę, nieznacznie naprowadziła ją na Kraków i Grudno. Zbywał ją szczegółami, które już kilkadziesiąt razy publicznie całej familii był obwieścił. Zofce to nie wystarczało. Umiała już to wszystko na pamięć.

— Ty mi wytłumacz, — mówiła, patrząc w ziemię ze zmarszczonemi brwiami — jaki jest ten książę.

— Jakto jaki? Mówiłem już: wysoki, szczupły...

— To ja wiem doskonale, jakbym go sto razy widziała, ale żebyś więcej o nim opowiedział!

— Jażem się tysiąc razy rozwodził.

— To mi wytłumacz, jak to on tak nagle wyjechał... I żeby też nikt nie wiedział, gdzie on jest!

— No, nikt.

— Ale to jest tak dziwnie ładne...

— Ładne nawet?

— Znikł i niema go. U nas, — rzekła ze wzgardą — jeżeli kto wyjeżdża, to do Klimontowa, albo do Sandomierza. Wszystkie chałupy wiedzą wtedy, że wyjechał do Klimontowa, czy do Sandomierza, wróci nad wieczorem, albo jutro przed obiadem. Wszystkie Żydy

w mieście pamiętają o tem przez dwa dni. Raz tatuńcio jeździł aż do Opatowa, tośmy się do tego zdarzenia tydzień przygotowywali, konie paśli, kurczęta smażyli. A taki książę pojechał w świat — i znikł. Może przyjedzie, a może nie. Jego jaśnie oświecona wola! Jakaż to musi być satysfakcya tak z oczu ludzkich zniknąć!

— Cóż ci znowu strzeliło do głowy?

— Nic nadzwyczajnego. Mnie się wydaje, że i ty sam chciałbyś tak skoczyć we światy.

— Nie, wcale nie!

— Ejże...

— Głupia jesteś sroka i tyle. Ty myślisz, że świat to akuratnie tyli, co Klimontów z Koprzywnicą. Wleziesz za góreczkę, schowasz się i — niema! Zobaczyłabyś ty, co się tam dzieje.

— Nie zobaczę, nie masz mię co straszyć.

— A żebyś wiedziała, że nie zobaczysz!

— Ech, co ty wiesz... Mnie się wydaje, że on musi być jakiś... puszysty, jasny, cichy... Jakie to cudne słowo: jaśnie oświecony pan, jaśnie oświecony książę pan...

Rafał nie odpowiadał. Ale w chwili, gdy siostra mówiła napoły do niego, a właściwie do siebie te słowa, uczuł w sobie tęsknotę, spływającą niby kropla zjadliwa, która rozgryza i kruszy wszystko, co na swej drodze spotka.

— Powiedz mi — gwarzyła Zofka: — to on nieboszczykowi bratu Piotrowi, Panie świeć nad jego duszą, takim był socyuszem, a czy to nie powinien przyjechać tutaj i z tatuńciem się politycznie rozmówić?

— O czem?

— A bo ja wiem o czem, ale powinien.

— Wiesz co, ty zbyt długo przestajesz z krowami...

— O, rozumie się — rzekła poważnie, opierając przechyloną głowę na ręce i patrząc w ziemię.

— Jakże taki pan — tłumaczył jej Rafał dla złagodzenia tego, co powiedział — mógłby przyjeżdżać do pomiernej szlachty, jak my? My sobie panowie na kilkunastu włókach, a to magnat. I z jakiej racyi?...

— A z tej racyi, że chciałabym go zobaczyć. Przypatrzyłabym się, czy też taki sam...

— Jeszcze dawniej, — ciągnął, — za polskich czasów, to podobno zajeżdżały poszóstne karoce i najwspanialsze bastardy przed nasz dwór, bo chodziło o kreski na wyborach, albo tam o co. Ale teraz! Żebyś ty wiedziała, jacy oni są...

— Nigdy nie będę wiedziała, — rzekła z gnuśnym a jadowitym śmiechem — więc cóż mi z tego, że ty wiesz?

— Cały taki dwór, rodzina siostry...

— To on ma siostry?

— Ma... — szepnął.

W owej chwili Zofka spojrzała na niego i podniosła głowę.

— Czemużeś mi nigdy o tem nie mówił?

— A czy to jest dla ciebie ważna wiadomość?...

— Czy to jest dla mnie ważna wiadomość?... chacha!... Tak, to jest dla mnie... dużej wagi.

Rafał zamilkł i odął usta. Było mu nieswojo i głupio siedzieć z siostrą w tej tarninie. Wstał tedy

i wyszedł. Leniwie wlókł się ścieżką obok źródła i stanął tam w zamyśleniu. Nie odwrócił się, choć słyszał, że Zofka idzie za nim, podśpiewując. Sądził, że go wyminie, pójdzie sobie i da mu sposobność powrotu do altanki. Ona tymczasem poczęła wdzierać się po stromem zboczu nad źródłem, depcząc silnemi i zwinnemi nogami aksamity mchów i wielkie liście. Z radością i szczególnym entuzyazmem wołała do siebie półgłosem:

— Książę, mój książę!

— Co ty pleciesz? — syknął na nią zniecierpliwiony — czego ciągle gadasz o tym księciu?...

Zofka zerwała wysoko rosnący, przyśliczny kwiat »jaskółki«. Zdaleka, z głęboką powagą i przymrużonemi oczyma, w których gorzał ogień szczery, rzekła pokazując mu kwiat:

— To jest książę...

Rafał zmieszał się i całkiem spłonął.

— Spojrzyj — mówiła Zofka: — czy nie jest najpiękniejszy ze wszystkich kwiatów? Cudniejszy, niż konwalia, okazalszy, niż storczyk. Dlatego nazwałam go tak: książę. Jaśnie oświecony kwiat. Mój umiłowany, mój kwiat... Cóż z tego, że nie pachnie? cóż z tego że niema żadnego zapachu?...

MANTUA.

Okno szczelnie zatarasowane wewnętrzną, składaną okiennicą... Lipcowy promień słońca włamał się już do wnętrza i, pełzając po wydeptanych cegłach posadzki, kruszył głęboką ciemność. Najmniejszego turkotu, żadnego szelestu... Jaka rozkosz! Cisza tak zupełna, że smętne nucenie mantuańskich komarów błąka się po izbie i całkowite, od początku do końca, brzmi w uchu. Książę Gintułt, przebudziwszy się ze snu, odczuwał trwanie tej ciszy, jak doskonałe szczęście. Nie walą gromy, nie dzwonią tęskliwie szyby, nie sypią się pacyny ze ścian i sufitu. Pogrążonemu w łaskawe drzemanie widziało się, że to jest pierwsza chwila po przybyciu do tego miasta, że to jeszcze kwiecień. Wystawiał sobie, że wolno idzie z Porta del Beluardo przez groblę, prowadzącą do szańców przedmostowych San-Giorgio, ażeby ujrzeć cmentarz, miejsce czynu Sułkowskiego. Po to jedynie przybył. Ujrzy to miejsce, rzuci jakoby lauru liść na czoło, upojone marzeniami, którego już niema, i odjedzie stąd co prędzej. Wody wiosenne napełniły po brzegi Lago di Mezzo i Lago

di Sotto. Modre fale żywo chwieją się, gonią i chlaszczą pianami po rudych murach. Ze drżeniem pędzą do portu Catena i do portu Ankony. Ciekawie zajrzą w ich wnętrza obmurowane i uciekają na łeb na szyję, przerażone dzikością starych bastyonów. Za groblą droga idzie pod bramami fortu, później na prawo ku niewielkiemu wzgórzu. Wiosenny wiatr lekko poddyma pył drogi... O cudne trawy, któreście wówczas kryły foremne stoki i narożne bulwy szańców, nasypy, skarpy i przeciwskarpy obmurowanych rowów! Drzewa platanów z łagodnymi liśćmi, Wergiliuszowe ulubieńce- »miłujące słodkie wody...« Myśli strudzone od malaryi plączą się i gubią. To, co oczy widzą w marzeniu, leci stronami. Jakież to miejsce tam daleko widać?

Szwajcarya-ż to, gdzieś u płytkich zalewisk Zurychu jeziora, gdy idzie nawałnicą górska wiosna? Trzciny szelestne, suche, jasnożółte, nad ruchliwym fioletem toni... Może to u nas? Może to Wołyń? Widome przedmioty dalekie i blizkie, drzewa i trawy, zamglone rysy domów i siniejące góry są jak gdyby dźwięki najsubtelniejsze nie nazewnątrz nas, lecz w głębi duszy. Nie pochwyci ich pamięć, ni myśl. Tulą się do sennych wspomnień. Nazwa bolesna błąka się i łka w pamięci, krąży dokoła mózgu, szeleści w uszach, w oczach, w uściech mściwie ściśniętych. Kurczem dłoń zwiera!... Mantua! Mantua!

Szpaler świerkowy ciągnie się górą ku cmentarzowi za murem starej twierdzy przedbramnej. Nie oczekiwane napastowanie żalu na widok tych świerków, które korzeniami wyssały krew tysiąca rycerzy. Cicha, przyziemna brama cmentarna. To tam.

Książę otwarł oczy i ze wstrętem myślał o czekającej go pracy. Był znużony do cna, pełen głębokości smutku. Ciągły widok oczu, gasnących na wieki... Z innymi zgoła celami wrócił z Egiptu, Ziemi Świętej i Grecyi. Spieszył do kraju. Do życia, do życia! Rozpoczynać pracę długą i twardą, zmagać się ze sprawami wiecznemi! Kaprys oto losu uwikłał go w sprawy najbardziej przemijające.

Nie mógł w Ankonie doczekać się na statek który z racyi wybuchłej wojny utknął w jakimś porcie. Żeby czasu nadaremnie nie tracić, książę pomknął na północ dyliżansem, pewien, że legalny paszport ułatwi mu przekroczenie nawet łańcuchów armii walczących.

Było to w kwietniu r. 1799, czasu kampanii neapolitańskiej, po bitwie pod Weroną, czyli Magnano. Baron Kray złamał już był lewe skrzydło armii Scherera i napastował go całą siłą. Wojska republikańskie ustępowały na południe. Batalion polski (pierwszy) pod szefem Dembowskim zasłaniał cofanie się prawego skrzydła ku Vigaccio, a generał-adjutant Kosiński osłaniał lewe skrzydło na drodze ku Nogara. Prawe skrzydło udało się do Mantui. Cała armia francuska mogła być w owej chwili odcięta przez Brescia od Lombardyi. Nie pozostało nic innego, tylko umieścić załogę w Mantui, a główny korpus cofnąć za Oglio. Tak też uczynił generał Scherer. Odłączył część wojska na garnizon do Mantui, a sam pośpiesznie ruszył w kraj lombardzki. Książę Gintułt miał właśnie wyjeżdżać z ojczyzny Wirgiliusza, gdzie się na nocleg w drodze swej zatrzymał, kiedy zdyszane wojska przyszły ją

zająć. Ujrzał niespodziewanie w ostatnich szeregach swojaków. Był to batalion artyleryi polskiej pod szefem Wincentym Axamitowskim, złączony z drugim legionem pod komendą generała Wielhorskiego. W bitwach, które owo wejście do fortecy poprzedziły, legion polski tysiącem bez mała trupów usłał włoskie pola. Dogorywał w drodze do Medyolanu generał Rymkiewicz, zginął major Lipnicki, kapitan Laszkiewicz, podporucznik Paciorkowski. W furgonach wieziono rannych: kapitana Bogusławskiego, Zabłockiego, Zeferyna, Zieleniewskiego, Godebskiego, Kirkora, Berensdorfa, Markiewicza, porucznika Tomaszewskiego — i innych. Wiedzieli to żyjący, że nie na zabawę idą do Mantui. Załoga, spędzona z rozmaitych stron, składająca się z rodowitych Francuzów, Piemontczyków, z *garde de corps* króla Sardynii, ze Szwajcarów, dezerterów Niemców, z »cisalpinów« i jednolitego korpusu polskiego, wynosił zaledwie około dziesięciu tysięcy ludzi. Z tej liczby połowa najwyżej mogła stać pod bronią. Fortyfikacye starej twierdzy były nieużyteczne i uszkodzone. Niezdobyta zapewne w czasach katapult i baszt na kołach, może nawet w epoce marszałka Vaubana, Mantua była osłoniona jedynie fortami Migliorétto, del Té i szańcami przedmostowymi Pradelli ze strony zachodniej i południowej. Z północy i wschodu miasto siedziało, jak przed wiekami, za jeziorem di Mezzo i zwykłym, nizkim murem bez nasypu. Dowódca całej załogi, generał Foissac-Latour miał na przeprowadzenie wszelkiego rodzaju ulepszeń sto tysięcy liwrów. Tymczasem baron Kray ciągnął z siłą 39 batalionów piechoty, 4 batalionów grenadyerskich,

9 kompanii dragonów i 6 kompanii lekkich. W szeregach republikańskich szeptano, że 600 dział ma ze sobą, że idą z nim wszyscy znaczniejsi generałowie: Klenau, Elsnitz, St. Julien, a na czele artyleryi posiłkowej Rebinder z 270 kanonierami.

Książę Gintułt, przypatrzywszy się z uwagą stanowi rzeczy, przyszedł do przeświadczenia, że na nic mu się nie przyda pilnie wizowany paszport, że wbrew chęci trzeba wdziewać zielony mundur artylerzysty i stawać w szeregu. Tak też uczynił. Zaczął dosługiwać się od kanoniera, ażeby między zgonionych oficerów, idących z pola bitew nie wnosić waśni o stopnie i nie korzystać z prerogatyw nazwiska. Wkrótce jednak spostrzeżono jego wiadomości wojskowe. Powołany został do boku generała Bortona, naczelnika artyleryi, później wyznaczony do biura Jakubowskiego, starego nauczyciela z Werony, który pod generałem Meyerem, wspólnie z kapitanem Millerem, porucznikiem Hornowskim i Maurycym Hauke fortyfikował przedmieście San-Giorgio. Pięciuset żołnierzy polskich pracowało tam co noc pod ogniem. Sądzono powszechnie, że atak może nastąpić tylko od strony tego przedmieścia, to też, kiedy nieprzyjaciel gromadził swoje siły od południa i zachodu, z tamtej strony Mincio, uważano to za podstęp i tem usilniej sypano szańce, wycinano drzewa i zbrojono się według planów groźnego »Amilkara« Kosińskiego. Od chwili wielkiej powodzi majowej, kiedy rzeka Mincio zatopiła wejściowe śluzy jeziora Payolo, podniosła wody we wszystkich jeziorach, otaczających Mantuę, więc w Lago di Sopra, di Mezzo i di Sotto, tak dalece, że grobla San-Gior-

gio znikła zupełnie w głębokości kilku stóp pod powierzchnią, sklepione przejścia Molini, wiodące do cytadeli, pogrążyły się w wodzie do połowy, a powyżej kół młyńskich, książę przeniósł się w interesach służby do środka miasta.

Miglioretto i wyspa Té z szańcami i bramy Pusterli stały się samoistnymi lądami. Były to chwile najbardziej niebezpieczne. Nieprzyjaciel, zgromadziwszy mnóstwo łodzi i promów, usiłował podsunąć się ku zatopionym murom. Wynikła potrzeba czuwania nieustannego. Książę miał polecenie obserwowania wysokości wód w pewnych rewirach. W małem czółenku krążył nieustannie we wszelkich kierunkach. Nocą, w zupełnej ciemności, w deszcze, docierał częstokroć aż do Angeli na wybrzeżu Lago di Sopra, gdzie Austryacy zaczęli nocami w największej ciszy sypać ostatni, najbardziej w lewo wysunięty barkan swych robót podkopowych. Przed brzaskiem wracał jużto przez jezioro Payolo, już przez Corso delle Barche, pod samemi bramami miasta do śluz wyjściowych.

Kiedy jeszcze stały nad topielami ranne tumany i tłukły się dymy po całonocnem bombardowaniu, sunął nieraz w szuwarach i trzcinach aż pod Belfiore, skąd raz wraz wywalały się niespodziane dymy kanonady dla zamaskowania prac, gdzieindziej prowadzonych. Gdy wkrótce zaczął się szerzyć w wojsku z racyi zatopienia młynów nie głód jeszcze, lecz doskonały półgłodek, gdy żołnierz z dobrowoli oddał ze swego żołdu dwie części na fortyfikacye, książę zajął się w chwilach wolnych na własną rękę urządzeniem żarn i wydawaniem porcyjek chleba żołnierzom, zrazu

swojej kompanii, potem szerszemu kołu wiary, a wreszcie każdemu, kto przyszedł. Widziano go pracującego dzień i noc za dwu, za trzech, a potem za dziesięciu i dwudziestu na wszystkich niemal miejscach. Nikt nie wiedział i nie pytał przy wzrastającem rozprzężeniu, kto to jest właściwie, u kogo mianowicie adjutantuje, gdzie służy. Był i w biurach Bortona i przy Axamitowskim, w składach zboża i przy obronie. Przyzwyczajono się do jego zabiegliwych, pośpiesznych czynności, do jego figury, przymkniętych oczu, skrzywionych ironicznie ust i pańskiego tonu. Ale mozoły właściwe zaczęły się wówczas dopiero, gdy w połowie czerwca wody zaczęły spadać, gdy wylazły dalekie brzegi błotne pod Putole i Vergiliana, gdy ukazała się grobla Cerese przez jezioro Payolo i druga naprzeciwko bramy Pradelli. Co tchu zamknięto śluzy od jeziora di Sopra, a otwarto wyjściowe do Mincio dla utworzenia z jeziora Payolo trzęsawisk nie do przebycia. Przyszły straszliwe upały. Stęchłe błota zadymiły się. Komar jadowity zadźwięczał nad uszami ludzi zamkniętych w murach, fosach, szańcach i wieżach. Wyziew błotny ogarnął ich miłosnem ramieniem. Wnet tłum żołnierzy zwalił się na pościółki lazaretów z febry i szkorbutu. Z dniem każdym przybywało nędzy. Ci nawet, którzy stali jeszcze pod bronią, trzęśli się z zimna. Twarze pociemniały i zmora wionęła wskroś miasta.

Książę wziął się teraz do roboty z całego ramienia, co się nazywa, z polska po warcholsku. Był wszędzie, gdzieś go nie posiał. Należał do rzędu tych oficerków polskich, którzy z własnej woli a fantazyi peł-

nili na wałach i szańcach pozasłużbowe nocne straże. Jakże polubił owe wigilie. Owe dla odegnania snu i smutku ciche pogwary o ziemi dalekiej i sprawie... Owe powieści groźne a proste o miejscach krokiem przemierzonych, o lądach i morzach, o rzeczach straszliwych i pracach niezmiernych zniszczonych, o czynach wielkich, które się ponad wszystko wydźwignęły, o sile fizycznej i cnocie cichej... Stali się wówczas między sobą wszyscy bardziej niż rodzeni bracia solidarni, otwarci, zrośnięci. Ustały pospolite spory i zawiści. Niczyje słowo i czucie nie było dla drugiego głupie, niczyja, najbardziej prosta dusza wzgardzona...

Książę Gintułt nosił starym wiarusom, których »wujaszek«-szkorbut zagryzał, butelczyny wina pod płaszczem artyleryjskim z piwnic, które, jak twierdził sprzedawca, samego Wirgiliusza pamiętały. Gdy wyśliznęły się ostatnie, ręką w kieszeni namacalne dytki, i gdy został jeno stary mundur na grzbiecie, zielony płaszcz i buty niezupełnie foremne, wynalazł w dzielnicy żydowskiej pewnego znawcę, który nawet o Grudnie coś niecoś wiedział. Dzień w dzień szedł teraz do pugilaresu tego finansisty rewersik na wioski w Prusiech Południowych i w Zachodniej Galicyi wzamian za mięso, mąkę, wino, leki. Książę sypiał teraz tylko czasami. Gdzieś w drodze, na przymurku, w kucki, wpośród worków mąki na promie, do dnia, między jaszczykami dwu *obusiów* Czechowskiego, wiecznie miotających nawisowy ogień z bramy Pradelli, gdzieś pod platanem w drodze do Redela, który ze swymi rył wciąż rowy i bił palisady za klasztorem San Francesco sul Té naprost bramy Pusterli.

Gdy od 4-go lipca Austryacy poczęli rozciągać swój front aproszów od Certosy, przez Pallagina, Dosso del Corso i Chiesa Nuova, przez Simeona i Valle aż do Spanavera i, zatrudniając co noc po kilka tysięcy chłopów z okolicy, oraz swoich własnych żołnierzy, wznosili wciąż nowe linie dwuramników złączonych kurtynami, a w tyle sypali czworoboki zamkniętych redut, gdzie kolejno umieszczali swe baterye od pierwszej do ósmej, prace i czuwania dosięgły szczytu. Książę Gintułt sam począł zapadać na zdrowiu. Niespodziewane, w największy upał lodowate dreszcze, bóle głowy, rozum i przytomność wyczerpujące z czoła, a nadewszystko niechęć śmiertelna do jadła i napoju, do świata, słońca i powietrza. Ręka skostniała podnosi do oczu szkła perspektywy, a oczy widzą nie to, na co patrzą. Dalekie smugi wyrzuconej ziemi, równie ogniowe szańców darnią już odziane, dalekie gęstwiny platanów i morw, trzciny, wierzby i eukaliptusy na pobrzeżach, a z nagła... cóż to? Jak żywa rośnie przed upadłemi oczyma wydma piaszczysta gdzieś w kraju, jasna, żółta, sypka, usychającym jałowcem tam i sam porosła...

Świat zewnętrzny oddarty jest od człowieka, zwisa z duszy jak łachman ciężki i bolesny, nie do odtrącenia a nad siły, nic z nią nie mający wspólnego... Ludzie snują się i wiercą naokół, jak gdyby pogrążeni w falach szczególnego eteru, w cienkich mgłach smętnicach. Czyny ich głupie, ordynarne, wrzaskliwe, kamieniami walą się na głowę, na ciemię jej, na piersi i na ramiona. Tymczasem już ludzie przyzwyczaili się do posługi. Żądali jej natarczywie, jak od robotnika

patnego na dniówkę. Szedł tedy wciąż tymi samymi szlakami, ale już, jak wóz bez koni, pchnięty z góry w wyżłobione koleje. Coraz mniej mając w oczach światła, coraz słabiej rozróżniając kontury spraw, a nawet twarze, czynił przecie swoje. Policzki przybrały barwę popiołu, kości ich wylazły. Oczy wwaliły się w swe doły. Usta zamilkły. Wreszcie czyny ręki były to już raczej znaki woli żywego ducha, niż akty ciała.

Oto teraz, siedząc po przebudzeniu na swym leżaku, zawinięty w płaszcz i wtulony w siebie, myślał, że musi wstać i iść na służbę. Niemoc przytłukła go, jak wieża. Ręce i nogi leżały cięższe od kloców dębowych.

— Pocóżeś tu, głupcze, został? — zadrwił z niego nagły, postronny śmiech szatański.

Usunęła się wraz przed wewnętrznem okiem duszy ściana domowa na obraz kotary, a za nią widać było nicość, nędzę i śmieszną trywialność poświęcenia. Patrzał przez chwilę na całe rzeczy, na początek i koniec ich, na wierzch i środek. Wszystko, co tu przedsiębrał, wsiąknie w ziemię tak samo, jak wsiąka deszcz, tak samo, jak wsiąka w ziemię krew zastrzelonego człowieka — i zginie. Śladu nie będzie. Któż jest, ktoby odróżnił drzewo, czerpiące soki ze dżdżu, od drzewa wyhodowanego ze krwi? Czyjeż oczy wyleją łzę? czyje piersi westchną? W mrok się rozpraszał ostatni brzask wytrzymałości.

— Już nie pójdę nigdzie! — cisnął słowo głośne, jak klątwę na nieszczęśliwych, którzy szelestu jego kroków wyglądają. Runął na wznak i zamknął oczy.

— Zdychajcie! Wszystko mi jedno. Teraz i ja nareszcie będę próżnował.

Owinął się starym, zielonym wojskowym płaszczem i niweczył swe dreszcze szeregiem skuleń i wyprężeń ciała. Sen go opętał twardy...

Wtem runął gromem strzał armatni. Okna zadrżały w swych zawiasach wszystkiemi futrynami Szyby żałośnie dźwięknły. Ledwie pochwytny szmer w ścianach przeniknął je, jakoby dreszcz tyfusowy. W luftach kominów załopotały strącone skrzydła sadzy.

— Jesteś... — wyszeptał.

Zarazem rozrzucił poły płaszcza i wstał. Ulegając nakazowi starego nałogu, siadł po umyciu przy tualetce podróżnej, ostatnim wykwintniejszym sprzęciku, ogolił się starannie i uczesał. Potem oczyścił porządnie mundur już podczas ryku kilkudziesięciu armat. Skoro wyszedł na ulicę, huczała niesłychana kanonada. Tak znał się na tonie armat, zależnym od oddalenia, że wnet odróżnił bateryę Redeia i jednorogi Axamitowskiego od naszczekiwania dział Monet'a z cytadeli i Jakubowskiego z San-Giorgio. Oto dzwonią pociski z bastyonu St. Alexis, z bastyonu Luthérien, z *retranchements Charles*... Szedł ulicą Garety, mechanicznie, prawie bez udziału myśli licząc pociski. Krył się przed słońcem. Pod murami stał już cień włoski, martwy, jak opończa nieruchomo zwisły z wysokości nagich ścian. Ulice były puste, jak wymiótł. Tam i sam wyjrzała z bramy kędzierzawa głowa ulicznika, albo wśliznęła się w ciemną i wilgotną sień strwożona kobieta. Przyzwyczajony do codziennego huku armat od czterech miesięcy książę szedł ospale, ze zwieszoną głową. Na-

gle osobliwy, nieznany łoskot uderzył go w dekę piersiową, jak cios pięści. Oto z narożnego domu na przecięciu dwu ulic, z domu cichego, śpiącego w cieniu swych drewnianych żaluzyi runął olbrzymi narożnik. Kupa cegieł z futrynami okien zwaliła się na środek ulicy o kilkadziesiąt kroków przed idącym. Zrazu nie mógł zrozumieć, co to się stało. Ale jakaś blada twarz w wyrwanem oknie... Wraz palnął w tę samą ścianę pocisk, buchnął płomieniem. Wyrwał drugą dziurę, rozleciał się na tysiące skorup wartkich, ledwie dostrzegalnych, wiercących się w kilkudziesięciu miejscach na przestrzeni jakich stu sążni. Szczęście chciało, że książę stał o pięćdziesiąt co najmniej kroków od miejsca wybuchu, wskutek czego czerepy bomby przeleciały już nad jego głową. Jeden z ułamków kręcił się długo na kamieniach ulicy. Gdy spoczął, książę, czując się mimowoli, podszedł ku niemu i wejrzał nań z taką ostrożnością, jakby oko zapuszczał w przepaść. Zobaczył podługowaty złom żelaza, urywki na nim kutych obręczy, resztki tlejącego drelichu i smolnych sznurów...

— Karkas... — wyszeptał ze drżeniem.

Ale nim spojrzał, nim to pomyślał i wymówił, już kilka nowych piorunów padło na ulicę. Prały ją straszliwe, kilkopudowego wagomiaru brandkugle, wyrzygujące ogień przez trzy swoje »oczy«, ryczały lane walce knyplów, służące do targania wiązań wszelkiego rodzaju, splątanych przez pracę ludzką, pękały w powietrzu, około drzwi i okien z hukiem głośniejszym od armatniego wystrzału »świecące kule«, wyrzucały z bruku i ziemi leje sążniowej średnicy wielopudowe, jednookie, uszate bomby i skakały naokoło, jak gumowe

piłki ślepe granaty. Książę dyszał prędko. Nogi się pod nim trzęsły, serce przestało bić i trzepotało się, jak dzwon na trwogę. Widział był dotychczas walki fortów z fortami na kule, bitwy pułków na bagnety, ataki konnicy na konnicę. Teraz co innego...

— Bombardują miasto... — wymamlał do siebie, brnąc dalej spłoszonymi kroki.

Rozbijał mu głowę, miażdżył oczy, dusił oddech przeciwny naturze, grzmot walących się domów, wrzask śmiertelny niewidzialnych ludzi, łomot i stęki wyrwanej ziemi, buchanie prochu, trzask drzewa, łoskot kamieni. Zielone drzazgi okiennic, zębce, krzyże, ramiona potrzaskanych ram okiennych i futryn, strzępy i zwitki rynien z malowanej blachy, gruz czerwony glinianych dachówek, jak liście pierzchało to wszystko bryzgami w powietrzu. W rozwarte jamy okien i drzwi skakały kłęby ognia. Zaduch smoły, dziegciu, prochu, gałganów palących się od zapraw otaczał każdy dom płonącą atmosferą. Książę wtulony we framugę przy studni ulicznej łypał na wszystko oczyma i przeciągał się od zimna.

— Madonna! Madonna!... — rozległ się za nim, gdzieś u stóp okrzyk człowieka na ziemi.

Rzucił okiem na czarną twarz, białe zęby, wysadzone na wierzch, straszliwe oczy, na ręce błądzące bezradnie po nagim bruku. Wtulił się w mur jeszcze głębiej, przylgnął do niego, jak płaskorzeźba. Nie podnosił oczu...

— Żeby choć prędzej... — szepnął mu do ucha jego własny duch. Myśl tę usłyszał tak wyraźnie, jak głos owego człowieka, który się wił coraz ciszej na kamieniach. Zmęczone ciało wzdrygnęło się od kilku szlo-

chów urwanych. Przycisnął płaszcz do piersi i wśród wzmagającej się orgii pęknięć, strzałów dookolnych, wśród piachu z cegieł, czarnego dymu i ognia pożarów, zaczął usilnie nakazywać spokój rozbieganemu sercu. Namacał wreszcie wolą obojętność w ciemnościach wewnętrznych duszy, a dłonią rękojeść szpady. Odszedł stamtąd. Ale dalej w ulicy, przed kościołem San Rocco przejście było zagrodzone. Zapchała je barykada zwalonych ścian i gruzów, buchająca pożarem. Wiodąc ręką po murze, obok którego postępował, trafił na bramę otwartą, czy otwór wyłamany. Wszedł do ogrodu. Ujrzał dokoła siebie drzewa porozrywane, konary z owocami rzucone o kilkadziesiąt kroków od pnia, srebrne zagajniki cytryn i bardziej ciemne pomarańcz, pokrzywione drzewa figowe skwarzące się we własnym ogniu. Liście, gałęzie, kwiaty stratowane... Przez chwilę zadumał się sennie nad wyniosłą grubolistną magnolią, którą kula ścięła w połowie wysokości. Jeszcze, zdawało się, drży pień... Raz wraz waliła w ten śliczny ogród pięciopudowa bomba. Zapadłszy się w miękką, skopaną i wynawożoną ziemię na półtora sążnia, wyrzucała stóg ziemi z korzeniami fig i migdałów, wykroty obwieszone gruzłami czarnej próchnicy, miecąc na wsze strony donice z kwiatami, rododendroty i żywopłot z bukszpanu, kamelie i biały bambus. Książę szedł przed siebie na oślep. Ujrzał nagle ciemnik z winorośli, rozpięty na obłąkach i na drzewach morwowych. Tuż u wejścia siedział na płaskich kamieniach człowiek jakiś i trzymał w ramionach umierającego chłopca lat pięciu, a raczej zmiażdżone szczątki chłopięce. Oczy dziecka zaszły już mgłą, ciało roze-

rwane, krwawe zwisło, jak rzecz wiotka. Jeszcze żebra wznosiły się i opadały, a maleńka gardziel, biała jak kameliowy kwiat, łykała powietrze. Człowiek siedzący kołysał się naprzód i w tył, jak wahadło. Całował konające usta, wysysał jego oddech, ulatujący w milczeniu straszniejszem tysiąc razy, niż huk kanonady. Nie podniósł oczu na księcia, gdy ten zadreptał koło niego, żeby coś pomódz, nie wiedzący w czem i jak. Wciąż tylko zgrabiałemi palcami przyciskał do piersi coraz mocniej, coraz trwożliwiej skrwawione szczątki. Chuchał nadaremnie w otwarte usta dech żywota, czy może przyjmował w swe rozdarte serce ostatnie tchnienie... Skrzypiały wokoło drzewa, pękało i paliło się miasto. W głębi czarnych ulic kotłowały się straszliwe, nieustające womity murów. Książę wpatrzył się oślepłemi oczyma w ów szczególny, jedyny na świecie bełkot śmierci miasta. W dymie, pod sklepieniem z płonących kul, zbity kamieniami, ociekający krwią od zranień ułamkami kul, czarny od prochu, z płaszczem tlejącym w kilku miejscach, przyszedł do bramy Pradelli. Z tyłu od miasta waliły się teraz perzyny, czad spalenizny i upał pożarów. Nie stało powietrza na oddech. Kanonierowie ledwie mogli ustać w dymie. Pod murem leżał porucznik Kobylański, któremu urwało rękę w krytej drodze dwuramnika przedmostowego Pradelli. Książę musiał stanąć do roboty u boku Czechowskiego, niegdyś w kraju majora, awansowanego obecnie na kapitana. W tę bramę najzacieklej biły pociski ze wszystkich bateryi austryackiej paraleli. Słychać było głuche stękanie odwiecznych murów i nieustanny łoskot bryl cegły walącej się w zgniłą fosę. Dwa jednorogi, bro-

niące gruzów wieży, rzetelnie tego dnia pracowały. Sam kapitan celował, chodząc od jednego do drugiego. Gdy Gintułt stanął przy nim, spojrzał przez ramię, wskazał ręką granatnik, sam rzucił się na ziemię pod murem. Książę ujął dłonią dwa drążki celownicze łoża, nastawił, uregulował mosiężną suwaczkę w dioptrze, i ledwie dostrzegając dalekie pola ogniowe szańców austryackich, wykrztusił zeschłemi usty:

— Pal!

Czarny od dymu kanonier przyłożył żywy, mocny kończysty węgiel lontu. Pół okrągły ogon łoża skoczył w tył i szczęknął, powstrzymywany w klinach legarów. Runął potężny, dźwięczny strzał. Książę był przy drugiem dziale. Schylił się, wlepił oko w dioptrę i znowu sennym głosem:

— Pal!

Kiedy kanonierowie rychtowali pierwsze działo, wsunął głowę między policzki strzelnicy i wyjrzał. Grobla przedbramna była pusta, zalana przez białe słońce. Dalej pod dymem rozesłało się błoto Payolo tak zielone, kwietne od porostów grążelowych, od lilii wodnych, od wodnych szuwarów i tataraku, że oczu nie można było oderwać. Z okopów austryackich, które stały w drugim rzędzie za linią barkanów i kurtyn, pękały co chwila w morzu dymów nowe stożkowate, śnieżno-białe ich słupy. Całe powietrze wstrząsało się od dźwięcznego łoskotu, a ziemia trzęsła się nieregularnemi drgawkami. Książę wrócił do roboty, między kanonierów, których białe ze zgrzebnego płótna lejbiki przemieniły się w ciemne łachmany. Pot czarną plamą wylazł na ich plecach i barkach. Ręce mdlały

od wprowadzania łóż na miejsca. Tylko białka oczu błyskające świadczyły o rozpętanej i wściekłej sile.

Nadjechał generał Borton ze sztabem. Już wówczas słabła kanonada. Miasto płonęło. Ludność, schroniwszy się do piwnic i lochów, nie ratowała swego mienia. Nad wieczorem tegoż dnia, po obustronnem zaprzestaniu walki, książę Gintułt szedł przed samym zachodem słońca do Miglioretto, gdzie było czoło boju. Minął bramę Pusterla, most arkadowy na Corso delle Barche al Palio. Zielona od skrzeków woda, zakisła i nieruchoma, gnijąca pod kożuchami grzybienia, pełna była gruzów i strzępów. Wierzby i eukaliptusy, wysysające wilgoć z błot, były pościnane, albo podarte. Na poszarpanej drodze tarzały się niebieskawe od spalenizny czerepy bomb i rozprysłych kul. Smutek śmierci ściskał serce żelaznemi klamrami na tej drodze samotnej. Minąwszy Palazzo del Té, książę szedł ku Miglioretto śliczną niegdyś platanową aleją. Nie ocalało tu ani jedno drzewo. Ogrody były zryte, same groble i forty uszkodzone nadzwyczajnie. Były to ślady bombardowania tych miejsc specyalnie poprzedniego ranka, kiedy nieprzyjaciel wyrzucił 5,114 pocisków granatnikowych i 824 bomby. Idąc po groblach, obok upustów, między cuchnącymi kanałami, książę nie znajdował w żadnym z fortów Axamitowskiego. Miał polecenie od generała Bortona oświadczyć ustnie szefowi bateryi polskiej, że nazajutrz całe przedmieście San-Giorgio, będzie bez strzału oddane nieprzyjacielowi. Załoga wyjdzie w nocy, bez szelestu. Wszystkie siły należy wytężyć ku obronie Miglioretto. Przybywszy do strzałczanu, dwuramnika, wysuniętego na czoło układu

wszystkich szańców, bastyonów, redanów, kurtyn, lunet i biretów, znalazł olbrzymie zmiany. Wszystkie podmurowania Miglioretto były napoły zburzone, palisady zgorzałe.

W chwili, gdy książę przybył, Axamitowski po kilku dniach i nocach walk nieustannych spał snem kamiennym. Oficerowie i kanonierowie byli tak spracowani, że drzemali stojąc, półleżąc, zwisając z łóż, wozów prochowych i armat. Noc zapadła. W ostatnim blasku dnia widać było z blizka najszerszą gać błot, zginających się ku Mincio. Jezioro Payolo przeobrażone teraz w bagna, których środkiem ciekła leniwie zgniła rzeczka, porośnięte było gajami nieprzejrzanymi trzcin jasno-żółtych, szelestnych, sitowiem, tatarakiem i rokiciną. Gwar szpaków rozlegał się tam na całej przestrzeni. Groblę, prowadzącą przez błota do wioski Cerese na zajezierzu widziało się w całej długości.

Książę tak przecież był zmęczony, że ledwie spostrzegał i słyszał, ledwie wiedział, gdzie jest. Powtarzał sobie w myśli raz za razem zlecenie i czekał. Wszystkiemi siłami ciała starał się, ażeby ustać na nogach. Wszedł po drewnianych stopniach na *banquette* szańca, miejsce wyniesione pod poziom, gdzie stają obrońcy, żeby strzelać ponad ziemne przedpiersie. Przechadzał się tam i napowrót między jednem działem a drugiem. Te posępne, spracowane spiże zdały się w tej chwili drzemać tak samo, jak ludzie. Posłaniec uczuł, że jest tu między wszystkimi sam, sam jeden czuwający. Zajadłe ćwierkanie szpaków przemieniało się w dziką melodyę... Roje komarów wiro-

wały tu i rzuciły się na twarz. Wstrętne myśli rzuciły się na duszę. Gdy tak błąkał się, głową przewyższając *hauteur d'appui* nasypu szańca, i gdy zabrnął w najciemniejsze pieczary smutku, dano mu znać, że szef wstał i czeka.

Książę zdał mu raport i zarazem prosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Axamitowski, usłyszawszy wieść hiobową, chwycił się za głowę i siedział przez chwilę bez ruchu. Potem dopiero przypomniał sobie drugą prośbę i zaprowadził księcia do baraku w głębi sąsiedniego *bonnet de prêtre*, gdzie spał niedawno. Gintułt przycupnął na wygniecionem posłaniu i wnet usnął. Miał sny straszliwe, sny nie zapomniane na całe życie, w których zamknięte są światy samoistne, prawdy nam tylko samym wiadome i zjawiska prawdziwie nieziemskie. W tym śnie pamiętnym książę przebiegł jakieś inne, całkowite życie od jego początku do końca. Zapamiętał niektóre tylko kształty, ułamki, blaski widzianego świata i jego mglistą całość. Kilkakroć skakały na jego piersi pociski przeraźliwe. Uderzały, wypadając z ciemności, naprzód w ziemię, jak lane kule, a potem mknęły koło uszu na podobieństwo wielkich chrabąszczów, skarabeuszów niezwykłej wielkości. Wrażenie ich przelotu, ich muskanie twarzy szorstkiemi skrzydłami było nie do zniesienia. Z przezsennym jękiem, którego z piersi nie można wyrzucić, uciekał, przeczuwając, że znowu padnie, odbije się od ziemi i skoczy kula skrzydlata... Wtem tę trwogę senną, straszliwszą niż wszystko na rzeczywistym świecie, zgniótł gromadny wrzask, jęki, łoskot broni. Książę, wyrwany z twardego snu, ocknął

się, ale nie wiedział nic o sobie. W malaryjnej półwiedzy siedział na posłaniu i patrzał przed siebie. W czołach i barkach biretu, w narożnikowych szczególniej kątach ujrzał tłok artylerzystów, mocujących się, jakby w czasie ćwiczeń gimnastycznych. Żołnierze wielkiego wzrostu przełazili przez wierzchołki przedpiersia i tu, rażeni śmiertelnie wyciorami, drągami, bagnetem darli się do armat. Gintułt nie mógł pojąć, co to za ludzie. Widział w blaskach ognia ich niskie czarne kapelusze z białą obwódką, białe z ciemnemi potrzebami mundury, szerokie, czerwone pasy, ciemne spodnie i czarne kamasze.

— Gułaje! Bij, zabij! — wrzeszczał obok niego jakiś podoficer, pędząc naprzód z bagnetem.

— Regiment Franza Guilāy... — myślał książę, rozumiejąc teraz dopiero, co się dzieje.

Tymczasem już wszystkie armaty były opanowane. Infanterya austryacka, prowadzona do szturmu przez pułkownika Ridt von Latterman, pchała się ze wszech stron na okopy. Olbrzymi kanonier austryacki w ciemnopiaskowym mundurze obuchem młota wbijał bretnal w zapał granatnika... Ale jednocześnie przez wąską szyję szańca krokiem żelaznym a cichym nie wbiegła, lecz zaiste wskoczyła jak pantera kompania grenadyerów polskich. Książę zerwał się ze swego miejsca, znalazł szpadę i biegł do szeregu. Szerokie bagnety werznęły się w Austryaków. Zwarty zastęp przebił najbliższych napastników. Ale wdzierały się nowe ich szeregi. Zawrzała bitwa nie na bagnety już, lecz na kolby. Rozwścieczona garść sięgnęła po gardziel wroga. Zarzuceni w ciemność przez wierzch szańca,

tonęli w fosach. Bili się na moc, szarpiąc bronią mundury. Rosła kupa trupów i rannych. Wreszcie wnętrze biretu opustoszało. Napastnik zginął albo wyrzucony został nazewnątrz. Kompania grenadyerska chyżym krokiem wysunęła się przez szyję i wsiąkła w ciemność. Gintułt szedł z nimi. Broń do ataku, krok żelazny, oko wlepione w mrok. We wszystkich naczelnych szańcach wrzała walka śmiertelna. W fosach, między palisadami, w martwych kątach narożników słychać było ciosy i jęki. Kompania, idąca naprzód, przez rowy, przez wały rannych i trupów, dojrzała przed sobą białe mundury. Wzięła je ścigać wilczymi susy. Wnet byli w bagnach. Już stamtąd dochodził szczęk i ryk boju. Dopadli. Wrzask tylu przebitych, rozkazy oficerów szczujące do rzezi, przekleństwa, skomlenie rannych. Chyżo z dobytą szpadą szedł książę, porwany przez uniesienie. W pewnem miejscu kupa białych obskoczona przez cisalpinów i Polaków biła się po pas w błocie.

W trzcinach wyniosłych, suchych, trzeszczących żołnierze tworzyli zwarte koło. Kogo bagnet dosięgnął, tego spychał w bagno, w żywy grób. Kolba go dotłukła, a obcasy wdeptywały w bajoro. Żeby nie zapadać się w błocie, stawali na żywych jeszcze ciałach i z nich prali w tłum uciekający. W pewnej chwili kule ogniste oświetliły całe Payolo. To Radel wyczuł swym ogniem skradających się pod wodzą kapitana artyleryi, Szmita, oraz inny oddział pod kapitanem Martynowem wpław przebywający rzekę. Strychowana z baryerów del Té runęła na nich kanonada. W wybuchach prochowego ognia książę widział dokoła zbro-

czone bagnety i lufy, rzygającą z ran krwią zlane piersi i gęby, wyszczerzone zębce, wywalone, straszliwe oczy. Krwawe szpony wszczepiły się w czyjeś włosy... Nowy blask! Własna szpada cała jak piorun! Czerwieni się i cieknie gorący ogień krwi. Nowy cios... Po rękojeść! Dłonie, palce kurczowo chwytają idącego za nogi z głębi trzęsawiska. Zduszone rzężenie gardzieli, bełkot ust w błocie. Trzask trzcin. Ktoś ucieka. Szczęk kolby o czaszkę i cichy płacz. W samym kanale Payolo zapaśnicy siepali się pierś w pierś, dusili się wzajem za gardła i spychali na wieki do jam śmierci. Coraz już rzadziej, ale coraz wyraźniej rozdzierały ciemności gromy nieludzkich ryków i krzyki zemsty.

Dopiero nade dniem wycieczka była odepchnięta na całej linii. Grenadyerowie wlekli ze sobą gromadę niewolnika, schwytanego w szuwarach. Książę staplany w bagnie plątał się między ludźmi, dźwigając głowę ciężką, jak kowadło. Mróz go przenikał od stóp do głów. Nogi się gięły. Ledwo widząc drogę i przedmioty, zawlókł się rano do swej w mieście izby i nieprzytomny zgoła upadł na łóżko.

Spał teraz jak drewno, pogrążony w potach, dreszczach i ciemności. Gdy się kiedy niekiedy ocknął, znajdował przy wezgłowiu proste, gliniane naczynie z winem rozcieńczonem wodą. Nachylała się ku niemu ohydna twarz lichwiarza, który mu pożyczał pieniędzy. Był to Żyd z twarzą mantuańską, popielato czarną. Książę widział w półśnie, że lichwiarz przeszukuje kieszenie jego płaszcza, że przewraca w tualetce, gdzie nic cennego nie było. Bawił się tym widokiem. Byleby

cisza... Dwa, czy trzy razy zjadł skibkę chleba, popił wodą i znowu spać! Piątego dnia Żyd wbiegł do izby w popłochu i z krzykiem. Targając chorego, wrzeszczał przeraźliwie, że Francuzi poddali miasto i wychodzą, że Miglioretto już obsadzone przez Austryaków, a w bramie Cerese pięciuset ludzi. Książę zrazu nie chciał ruszyć się i nie wierzył, ale koniec końców wstał z łóżka. Ogarnął się jak mógł i wyszedł. Żyd za nim. Mówił prawdę. Piechota z jednym sztandarem generała Foissac-Latoura ciągnęła wolno w stronę mostu Molini ku cytadeli, za nią artylerya z działami. Furgony generała dowodzącego i innych, a nawet powozy oficerskie i ekwipaże ich żon szły, dudniąc między gruzami. Przerznąwszy się wskroś motłochu, książę zobaczył nareszcie swoich. Szli w porządku z obnażoną bronią. Artylerya na przedzie, za nią konnica, kompanie piesze na ostatku. Oznajmiono mu, że garnizon poddał się i z honorami wychodzi przez cytadelę, a legia ma rozkaz zamykać kolumnę.

Stanął w szeregu, dobył szpady i postępował obok działa. Pułki lekkie francuskie zajęły sklepione mosty, minęły je, ale nie posuwały się dalej. Wąskie przesmyki gruntu między jeziorami na przedmurzu fortecy zastawione nędznemi domostwami tak były pełne wojska, że noga ludzka wcisnąćby się tam już nie mogła. Artylerya Axamitowskiego i jej armaty weszły na most, w ciemną czeluść murów grubych, bezkształtnych, trupio szarych od wielowiekowych pyłów mąki. Kompanie piesze wciąż jeszcze stały w ciasnych ulicach. Książę był w szeregu między żołnierzami. Oczy jego włóczyły się bezradnie po starych pajęczynach, które

mąka obarczyła, po śladach powodzi i owych posępnych oknach-strzelnicach, co wychodzą na stęchłe jeziora. Milczące w tej chwili młyny były wstrętne, jakby tortury średniowieczne.

Gdy tak w ciszy strudzone wojsko czekało na chwilę wyjścia z przeklętego miejsca, biała kolumna austryacka ukazała się zdala w ulicy. Oficerowie szli równo z nią krokiem chyżym. Zbliżywszy się, sformowali szyk w dziwny sposób. Naprzód klinem weszli między artyleryę i piechotę polską, a potem wzięli broń do nogi. Nikt z Polaków nie przeszkadzał im, ani protestował. Wychodzili z honorami na podstawie kapitulacyi jawnie zawartej i odczytanej w szeregach. Drugi jej paragraf wszem wobec głosił, że wojska cisalpijskie, szwajcarskie, polskie i piemonckie będą uważane i traktowane pod każdym względem, jak wojska rzeczypospolitej francuskiej. W pewnej chwili, na rozkaz Austryacy pochwycili za broń i nastawili ją przeciwko grenadyerom, woltyżerom i artyleryi. W tejże chwili ze wszystkich zaułków, z dziedzińców, z za murów rzuciła się na nieprzygotowanych piechota olbrzymim tłumem. Wydzierali zdradziecko napadniętym z rąk karabiny, czapki wbijali na oczy, albo je zdzierali i wlekli obezwładnionych po bruku. Wiązali ręce powalonym na ziemię. Oficerowie w pierwszej chwili oniemieli z przerażenia. Ale i ich nie oszczędzono.

Ujrzeli, jak napadniętym w ciasnych zaułkach żołnierzom i podoficerom zdzierają naramienniki i biją nimi po twarzy, jak szarpią za włosy, kopią nogami, tarzają w błocie ulicznem, wiążą ręce i nogi. Ujrzeli wreszcie, że zdzierają mundury oficerskie z tych, któ-

rzy je męstwem, w bitwach, przed oczyma dwu armii zdobyli, wiążą dłonie do lufy karabina, żeby puszczać przez kije.

— Do broni! — rozległ się krzyk.

Było już za późno. Kolumna była rozerwana na kilkanaście części, a każda z nich obskoczona. Broń wydarto. Z kompanii najbliżej mostu stojących kilkuset żołnierzy chyłkiem przemknęło się ku cytadeli i uszło losu współbraci. I na grupę dwudziestu oficerów artyleryi zwaliła się masa piechoty austryackiej z nastawionym bagnetem. Obstąpiono ich pierścieniem grubym na dziesięciu chłopa. Poznawszy, co się dzieje, wyrwali szpady. Sparli się brat w brata ramionami i utworzyli pierścień obronny. W milczeniu poczęli bić. Szpady ich trzaskały w karabiny i bagnety, młynem ognistym warcząc. Raziły i przeszywały. Ktoś zaczął komenderować. Błyskawicami nagłych ciosów parli chłopstwo i otwierali sobie drogę. Wnet jednak ten i ów, zajechany bagnetem, osunął się na ziemię. Żywi rozwścieklili się od męki, od krzywdy, na widok tej hańby niesłychanej w dziejach świata. Bili się w szale. Gintułt nie widział świata. Werznął się sam między żołdactwo, w tłum zbity, i prał, na śmierć idąc. Wtem tłum na rozkaz rozchylił się przed nimi na dwie strony. W dali, z ulicy wyjeżdżał orszak generalski, a najdalej, w otoczeniu wspaniałego sztabu, na pysznym koniu generał baron Kray de Krayowa. Major Królikiewicz bez czapki, ze skrwawioną szpadą w ręce, blady jak trup poszedł na jego spotkanie i zdala, wskazując, co się dzieje, wołał o rozkaz zaprzestania zbrodni. Feldmarszałek z wyrazem wzgardliwego szyder-

stwa przymrużonemi oczyma spojrzał naokół i rzekł niedbale:

— Wszystko, co się dzieje, dzieje się na mocy paragrafu sekretnego, dodatkowego o kapitulacyi z dnia 28 lipca. Niema tu żadnego bezprawia. Zbiegowie z pod sztandaru Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości będą wydani każdy zosobna pułkowi i batalionowi, do którego należą.

Tknął konia ostrogą i chciał w bok odjechać. Ale major Królikiewicz chwycił groźnie cugle jego konia i nie puścił, choć nad nim szable zawisły. Głos mu zaparło. Krwawe oczy wlepił w dowódcę.

— Zapewniam każdemu życie... — wycedził marszałek.

W tej samej chwili z przeciwnej strony przymuszony jechał w tłumie oficerów polskiej konnicy blady Foissac-Latour. Zbliżając się do końca mostu, zamknął oczy. Oficerowie polscy miotali mu w twarz obelgi. Książę Gintułt złamał swą szpadę i ze wzgardą cisnął mu ją w piersi.

Wołano z szeregów:

— Zdrajco!

— Krzwoprzysięzco!

— Spełniłeś największą zbrodnię na ziemi: podstępnie, na hańbę wydałeś zbiegów!

— Patrz teraz w oczy tym, którzy z ognia wyszli, gdzie bez drżenia umierali ich bracia.

— Dawaliśmy ci życie za naszą sprawę i honor. Mówiliśmy ci, jak rycerze: jeśli nas chcesz rzucić na pastwę wrogom dla ratowania Francuzów i siebie, miej odwagę uczynić to jawnie. My wiemy, co czynić mamy. Skłamałeś pod przysięgą.

— Mówiliśmy, że gdy jawnie nam wyznasz, co zamierzasz, zamkniemy się w wieży prochowej i braterskiemi dłońmi wszyscy wraz rzucimy ogień, żeby się wysadzić w powietrze. Hańba ci, zdrajco!

Foissac-Latour podniósł oczy. Potem białą, drżącą rękę. W milczeniu, patrząc w shańbiony tłum jeńców salutował ich długo.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.